Warren H. Carroll

Gilotyna i Krzyż

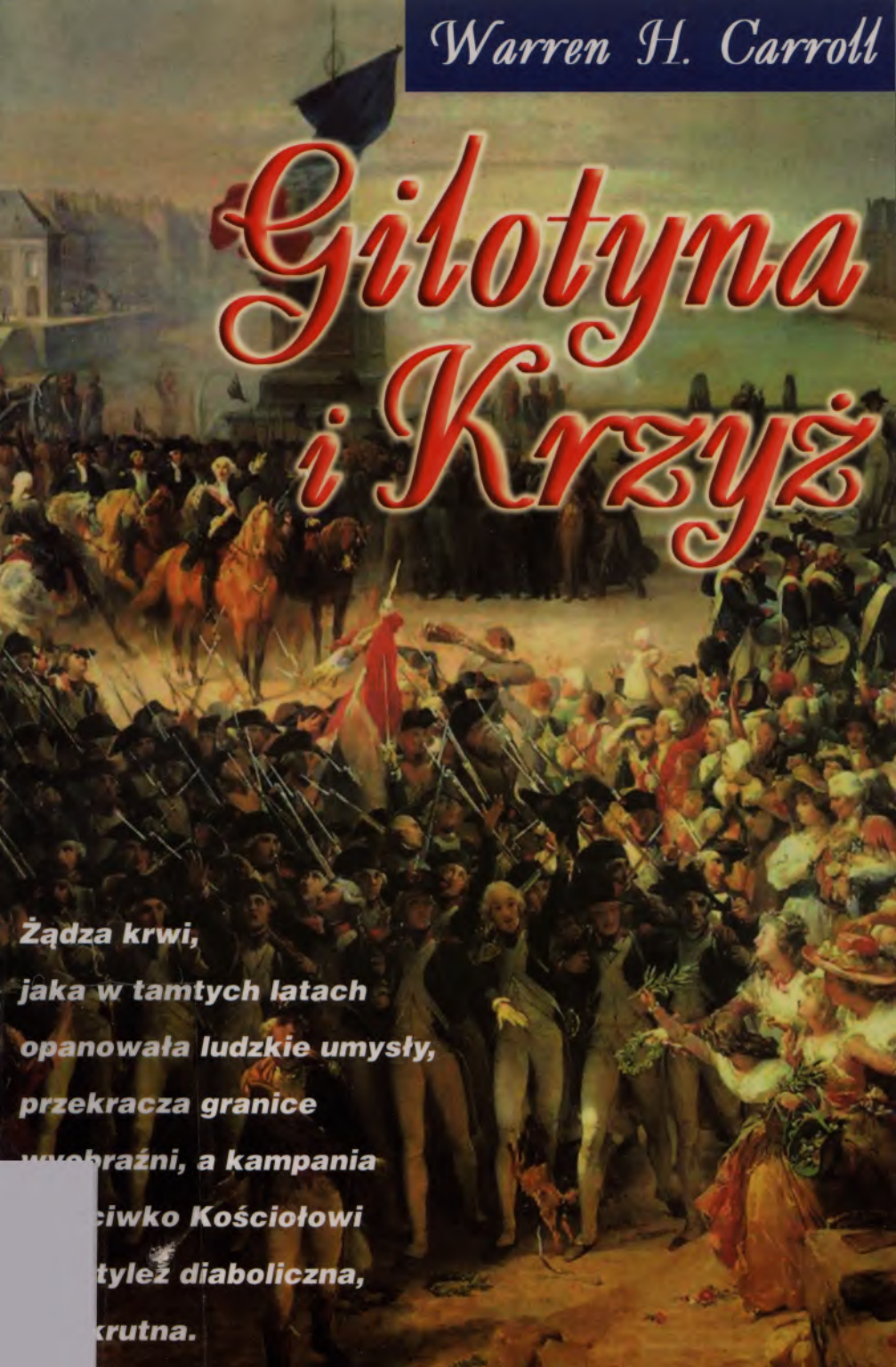

Żądza krwi,
jaka w tamtych latach
opanowała ludzkie umysły,
przekracza granice
wyobraźni, a kampania
[illegible]ciwko Kościołowi
[illegible]tyleż diaboliczna,
[illegible]krutna.

Warren H. Carroll

Gilotyna i Krzyż

przekład: Jerzy Morka

WEKTORY

Spis treści

I. *Ça ira!* – Uda się! 7

II. Za Chrystusa albo za Rewolucję 33

III. Dziwne zwycięstwo 67

IV. Egzekucja katolickiego króla 90

V. Powstanie katolickiego ludu 114

VI. Zabójczyni, penitent i męczennik 144

VII. Zniesienie chrześcijaństwa 177

VIII. Ekspiacja Dantona 209

IX. Męczennicy 238

X. Koniec Terroru 260

Posłowie 284

Bibliografia 289

I

Ça ira![1] – Uda się!

(10 sierpnia 1792)

Wparną, gorącą noc 10 sierpnia 1792 roku, trzy kwadranse po północy, odezwały się nagle paryskie dzwony. Dzwony kościelne, których najważniejszą funkcją było zwoływanie wiernych na nabożeństwo. Tym razem kościoły pozostały ciemne i puste, a dzwony mimo to biły. Niektóre z nich początkowo powoli, inne coraz szybciej i szybciej, aż uderzenia zlały się w jedno, nieomal ciągłe, ogłuszające *bim-bom-bim-bom*. Biły miastu na alarm, na trwogę, wzywały do broni, choć uderzanie w nie bez zezwolenia rządu było przestępstwem karanym śmiercią. Tamtej nocy jednak w Paryżu funkcjonowały trzy rządy: królewski, Zgromadzenia Narodowego oraz powstańczy rząd Komuny Paryża. O tym ostatnim nie wiedziano, jako że utworzono go w tajemnicy tamtej właśnie nocy. To za sprawą Komuny Powstańczej uderzono na alarm. Zanim odezwały się dzwony, przez całą noc po ulicach krążyła pogłoska, że nadszedł czas, że to już teraz, tej nocy. „Uda się!" – powtarzali ludzie, nie wiedząc do końca,

---

[1] *Ça ira* – dosł. „powiedzie się, pójdzie" – pieśń z czasów Rewolucji Francuskiej (1790). Pierwsze jej słowa napisał śpiewak uliczny Ladré, muzykę skomponował Bécourt (przyp. tłum.).

dlaczego tak mówią, ale powtarzali to bezustannie: *Ça ira!* Uda się! *Ça ira!* Uda się![2]

Gabrielle Danton

W skromnym mieszkaniu pod numerem 24 na rue des Cordeliers (ulica Franciszkanów) szlochały trzy kobiety, które przeraził dźwięk dzwonów. Od kilku minut doświadczały obezwładniającego lęku, aż usłyszały znajome ciężkie kroki i z pokoju obok, gdzie próbował zdrzemnąć się choć na kilka chwil, wyłonił się niezwykły i nietuzinkowy człowiek. Był to mężczyzna ogromnej postury, o tubalnym głosie i dominującej osobowości. Jego wielka, groteskowo spłaszczona twarz wyglądała jakby uszkodziło ją kopnięcie i cios rogiem byka (tak w istocie było – uczyniły to dwa różne byki – a ponadto stratowało ją stado świń). Niezdarnie okazując czułość, pospieszył uspokajać kobiety: swoją żonę Gabrielle, którą prawdziwie i głęboko kochał, Lucille Desmoulins – jedną z najpiękniejszych paryżanek, oraz Louise Robert. Powiedział im, że nie ma się czego bać, wszystko toczy się zgodnie z planem ułożonym na tę właś-

Georges-Jacques Danton

[2] Ów zdecydowany i ostry zwrot jest prawdopodobnie historycznie najsławniejszym idiomem w języku francuskim, ale nie sposób go wiernie przetłumaczyć. Dosłownie znaczy „będzie szło, pójdzie; powiedzie się" bliskie jest angielskiemu *here it goes!*, które do pewnego stopnia, choć nie całkowicie, oddaje pewność, wolę i determinację zawartą we francuskim idiomie (przyp. aut.).

nie noc. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, bo chronił je on – Georges-Jacques Danton, przywódca Rewolucji Francuskiej.

O pierwszej nad ranem od strony mostu Pont Neuf nad Sekwaną dobiegł odgłos armatniego wystrzału, a dzwony nadal nieustannie biły na trwogę. Setki uzbrojonych mężczyzn gromadziły się na placu de Greve, który opadał w stronę nabrzeża Sekwany naprzeciwko Ratusza. Pośród nich szczególnie rzucała się w oczy zwarta grupa 516 mężczyzn, którzy przymaszerowali tutaj aż z Marsylii, drugiego co do wielkości francuskiego miasta położonego na południowym wybrzeżu, śpiewając bojową i marszową zarazem pieśń „Marsyliankę", która za ich sprawą już stała się sławna. Mimo że doniesienia mówiły o 2000 zbrojnych, którzy gromadzili się w dzielnicy St. Antoine, gdzie niegdyś stała Bastylia, od dawna uważana za ognisko rewolucji, odzew ludności nie okazał się tak powszechny i szybki, jak spodziewała się Komuna Powstańcza. Z ratusza wysłano delegację do mieszkania Dantona. Jednym z jej członków był prokurator, kuzyn Kamila Desmoulins i mąż Lucille, który trzy lata wcześniej jako pierwszy podburzył pospólstwo do szturmu na Bastylię. Prokurator był wysokim, zdrowym i silnym człowiekiem, jednak cienkie i wygięte w dół wargi pod wąskim, haczykowatym nosem, wysoko podniesione, nieomal zawsze zmarszczone brwi i rozbiegane oczy nadawały mu dziwną powierzchowność. Nazywał się Antoine Quentin Fouquier-Tinville. Danton obiecał mu tejże nocy, że uczyni go swoją prawą ręką. Fouquier-Tinville miał później, w okresie Terroru, oskarżać nieomal wszystkie ofiary gilotyny, a Lenin wspomniał o nim w grud-

Antoine Quentin Fouquier-Tinville

niu 1917, kiedy tworzył pierwszą sowiecką tajną policję, poprzedniczkę KGB: *Skąd mamy wziąć naszego Fouquier-Tinville'a*?[3]

Około drugiej nad ranem, wkrótce po wyjściu Fouquier-Tinville'a i jego towarzyszy, Danton uznał, że obecność przywódcy w ratuszu jest niezbędna.

– Nie jest dobrze – powiedział do Gabrielle, która oczywiście nie chciała go puścić – Muszę tam pójść[4].

Kiedy dotarł na miejsce, ogłosił Gwardii Narodowej i wszystkim zebranym wokół i wewnątrz ratusza, ustanowienie rządów Powstańczej Komuny Paryża. Nigdzie nie widziano burmistrza Jerôme Pétiona; uprzedzono go, na co się zanosi, a on postanowił się temu nie przeciwstawiać. Dowódca Gwardii Narodowej, dzielny i lojalny oficer Antoine-Jean Galliot, markiz de Mandat, trwał jednak na

Tuileries

[3] Harrison E. Salisbury, *Black Night, White Snow: Russia's Revolutions, 1905-1917*, New York 1978, str. 545.

[4] Robert Christophne, *Danton*, London, brak daty, str. 226.

Zatrzymanie rodziny królewskiej w Varennes

niebezpiecznym posterunku w pałacu królewskim, gotów dać odpór powstańcom.

W dole rzeki, półtorej mili od ratusza, w pałacu i ogrodach Tuileries umieszczono francuską rodzinę królewską. Przetrzymywano ją tam od owego strasznego październikowego dnia 1789 roku, kiedy uzbrojony motłoch, podobny temu, gromadzącemu się dzisiaj, przywiódł ich w to miejsce z Wersalu; wówczas na czele pochodu szli ludzie z pikami, na których zatknięto odcięte ludzkie głowy.

Ponad rok temu podjęli dramatyczną próbę ucieczki. Tuż po północy wyślizgnęli się z Tuileries, a następnie z Paryża i przez cały następny dzień pędzili co koń wyskoczy, szukając ocalenia, ale kiedy docierali już do bezpiecznego miejsca, zostali rozpoznani i zatrzymani w miasteczku Varennes. Jednak, mimo że ratowali życie, nie pojechali konno, lecz wsiedli do ciężkiej i powolnej karocy,

w której zamiast zbrojnej straży jechała guwernantka, eskortę stanowił fryzjer królowej, a jeden ze zwiadowców był krótkowidzem i niewiele co widział, podczas gdy 28-letni naczelnik poczty Jean-Baptiste Drouet, który ich schwytał, pędził za nimi w zapadającym zmierzchu przez lasy, po kamienistej grani, w szaleńczym galopie ryzykując życiem. Teraz ponownie przebywali w Tuileries, a kiedy posłyszeli larum dzwonów, wiedzieli, że biją one dla nich.

Ludwik XVI

Jego Wysokość Ludwik XVI, król Francji był średniego wzrostu, miał blond włosy, niebieskie oczy i zaczynał tyć. Życzliwy, pobożny i zaledwie przeciętnie inteligentny, w każdej epoce niezbyt nadawałby się na władcę, ale w czasach stabilizacji i pokoju prawdopodobnie poradziłby sobie całkiem nieźle. Francją jednak od z górą trzech lat targały rozruchy, jakich w innych chrześcijańskich krajach nie znano i nawet nie potrafiono sobie wyobrazić, a których ów król – wiedząc, że osobiście prawie wcale się do nich nie przyczynił – ani potrafił pojąć, ani nad nimi zapanować. Mimo że zamknięty w Tuileries, wyczuwał groźbę tej nocy już wcześniej, zanim jeszcze uderzono w dzwony. Po raz pierwszy, odkąd zasiadł na tronie, odmówił uczestniczenia w *coucher* – starodawnej ceremonii kładzenia króla na spoczynek. Rzucił się w ubraniu na łóżko, zasypiał na krótko i zaraz się budził. Chwilami zrywał się i chodził po pałacu w wymiętej fioletowej szacie z potarganymi włosami, choć zwykle miał je starannie zakręcone i przypudrowane. Jak zawsze borykał się z fatalnym w skutkach brakiem zdecydowania, który stanowił fundamentalną cechę jego charakteru. Ludwik XVI w żadnym razie nie był tchórzem, żywił jednak nieprzezwyciężony wstręt do rozlewania krwi swego ludu, a jego osobowość nie należała do tych, które potrafią uporać się z każdą trudną sytuacją.

Maria Antonina

Jego żona, Maria Antonina, była ulepiona z zupełnie innej gliny. Żadna inna kobieta i tylko niewielu mężczyzn doświadczyło równie niesprawiedliwej i mściwie destruktywnej oceny ze strony swych współczesnych oraz historii. We Francuskiej Bibliotece Narodowej, aby przeczytać najpodlejsze pamflety, jakie pisano przeciwko niej tuż przed wybuchem Rewolucji i w czasie jej trwania, nadal wymagane jest specjalne zezwolenie. Mimo że najpotworniejszym i obscenicznym kalumniom nie daje się już wiary, wokół jej imienia nadal unosi się otoczka skandalu, zaprawiona zgryźliwą pogardą. Czyż nie powiedziała o głodujących: *Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciasto!*? Otóż nie. Tą, która wypowiedziała te słowa, była praprababka jej męża, żona Ludwika XIV[5].

Maria Antonina poślubiła następcę francuskiego tronu jako zaledwie szesnastolatka i przez kilka pierwszych lat, jako księżniczka, a następnie królowa, zachowywała się dość lekkomyślnie. Upływ czasu, a zwłaszcza macierzyństwo, spowodowały jednak, że spoważniała i wydoroślała. Była bez reszty oddana swej czteroletniej córeczce Marii Teresie Karolinie (której imiona nadano na cześć wspaniałej i bohaterskiej matki Marii Antoniny, która przez czterdzieści lat była cesarzową rządzonego przez dynastię Habsburgów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego) oraz siedmioletniemu synkowi Ludwikowi Karolowi, który został następcą tronu po tym, jak jego starszy brat zmarł na straszną, wyniszczającą chorobę w pierwszych dniach Rewolucji 1789 roku. Maria Antonina była głęboko wierzącą katoliczką. Nie ciemiężyła nikogo. Inteligentniejsza, wrażliwsza i bardziej stanowcza od męża, nieomal od

[5] Vincent Cronin, *Louise and Antoinette*, New York 1975, str. 13.

samego początku rozumiała Rewolucję lepiej niż on. Wyczuwała, że w samym jej sercu czai się potworna złośliwość, zasilana, zda się, przez źródła spoza tego świata i przywołująca te tryskające w otchłannych głębinach. Ona, jej mąż i dzieci od trzech długich lat byli więźniami Rewolucji. Po ucieczce, którą w ostatniej chwili udaremniono w Varennes, nieskończenie długiej i przerażającej podróży powrotnej, w trakcie której motłoch niemal na każdym kroku zagrażał ich życiu, jej niegdyś wspaniałe kasztanowe włosy stały się siwe (Spośród tych, którzy wracali królewskim powozem z Varennes, tylko dwie osoby ocalały i przetrwały Rewolucję). Temperament królowej i niemal cała jej uroda zniknęły. Czekała ją jeszcze kalwaria, której zapowiedzią był nieustający dźwięk dzwonów.

Członkowie Gwardii Narodowej przydzieleni do Tuileries kłócili się hałaśliwie, czy powinni wypełnić swój obowiązek i bronić rodziny królewskiej. Ich krzyki, oskarżenia i pogróżki docierały do królewskich komnat. Tylko Gwardia Szwajcarska stała milcząco i niewzruszenie – dziewięciuset młodych wieśniaków z alpejskich dolin bardzo katolickiego kantonu Lucerny. Ostatni, w pełni lojalny oddział zbrojnych, jaki pozostał w Paryżu. Byli nieugięci i panowała wśród nich żelazna dyscyplina, ale mieli zaledwie trzydzieści nabojów na każdego żołnierza, ponieważ burmistrz Pétion odmówił im jakichkolwiek dostaw zaopatrzenia. Marsylczycy zaś przywieźli ze sobą armatę.

Dochodziła czwarta nad ranem. Dzwony w końcu zamilkły, ale na ulicach rozlegał się teraz warkot bębnów, przerywany regularnie łoskotem wystrzałów dział sygnałowych. Niebo na wschodzie poróżowiało; zapowiadał się piękny wschód słońca. Księżniczka Elżbieta, łagodna i świętobliwa siostra króla ujęła drżącą królową za ramię i poprowadziła do okna wychodzącego na ogród Tuileries. – Chodź, siostro – powiedziała – popatrzmy, jak wschodzi świt[6].

Kilka cennych chwil niemal całkowitego spokoju trwało do momentu, gdy do królewskich kwater wtargnął oficer Gwardii Narodowej. Potoczył dzikim wzrokiem dookoła i wrzasnął: – To wasz ostatni dzień. Naród okazał się najsilniejszy. Ależ to będzie jatka!

---

[6] Stanley Loomis, *The Fatal Friendship; Marie Antoinette, Count Fersen and the Flight to Varennes*, Garden City, NY 1972, str. 249-250.

Maria Antonina rozpłakała się. – Ratujcie Króla! Ratujcie moje dzieci! – krzyczała do zdenerwowanych i niezwracających na nią uwagi oficerów, obecnych w komnacie króla.

Pobiegła do pokoju synka. On, jako jedyny z domowników, spał smacznie dzisiejszej nocy, ale teraz, wyrwany ze snu spytał: – Mamusiu, dlaczego chcą skrzywdzić Papę? Jest taki dobry[7].

Maria Antonina z ogromnym trudem odzyskała panowanie nad sobą. Usiadła tyłem do okna przy kominku, w pomieszczeniu zajmowanym przez pokojowca i zwróciła się do Pierre'a Louisa Roederera, ministra sprawiedliwości i przedstawiciela Zgromadzenia Ustawodawczego drugiego francuskiego rządu. Roederer już wcześniej zawiadomił rodzinę królewską, iż mimo że jest najwyższym urzędnikiem organów sprawiedliwości, w obliczu tego, co się dzieje, nie jest w stanie uczynić niczego, bowiem powstanie, w przeciwieństwie do zwykłych przestępstw, wykracza poza jego możliwości działania. Nalegał, aby rodzina królewska opuściła Tuileries i oddała się pod opiekę Zgromadzenia, które dzisiaj o drugiej nad ranem zebrało się pod przewodnictwem Pierre'a Vergniaud, sławnego prawnika i mówcy z Gironde – departamentu położonego na południu Francji – aby debatować (jakby w tak wyjątkowej chwili to właśnie było najważniejsze) nad kwestią niewolnictwa Murzynów.

Pierre Vergniaud

Królowa ponownie zapytała Roederera: – Cóż mamy czynić? – on zaś powtórzył uprzednie zalecenia.

– *Monsieur*, jest tutaj wojsko – odparła Maria Antonina.

[7] Rupert Furneaux, *The Bourbon Tragedy*, London 1968, str. 11-22.

W tej właśnie chwili doszło w niej do głosu dziedzictwo przodków – władców z rodu Habsburgów, którzy przez pół tysiąclecia rządzili Świętym Cesarstwem Rzymskim: – Czas przekonać się, kto zatriumfuje: król i konstytucja czy wichrzyciele[8].

Roederer oddalił się nieco speszony i zdezorientowany. Nie spodziewał się po niej aż takiej odwagi. Sam król, natchnięty przez żonę, wtórował jej przez krótką chwilę. Nie ufał Zgromadzeniu. Będzie walczył o koronę i własne życie. Za kilka minut dokona przeglądu oddziałów.

Była piąta rano. Markiz de Mandat, lojalny dowódca Gwardii Narodowej, większą część nocy spędził w Tuileries. Z ratusza przysłano mu kolejne wezwanie, by stawił się w magistracie. Kto je przysyłał? „Legalne" władze Paryża, na czele z burmistrzem Pétionem, czy tajemniczy powstańcy? Wydawało się, że przysłały je władze miasta akceptowane przez Zgromadzenie Ustawodawcze i Roederer przekonał Mandata, że jego obowiązkiem jest być im posłusznym. Ani król, ani królowa nie przeciwstawiali się temu. Mandat wskoczył na konia i pojechał nabrzeżem Sekwany, kierując się do ratusza. Po drodze widział bardzo dużą liczbę zbrojnych, którzy gromadzili się i sposobili do marszu.

Po przybyciu do magistratu, Mandat ledwie zsiadł z konia, wydał rozkazy, aby: *zaatakować od tyłu i rozpędzić pochód maszerujący na Pałac.* Dowódca batalionu, który ów rozkaz otrzymał, prawdopodobnie nie będąc pewnym, której władzy ma być posłuszny, przekazał go komisarzowi policji Rossignolowi, a ten zawiadomił o nim Dantona. Ten wkroczył groźnie do biura Mandata w towarzystwie Rossignola i zażądał, aby markiz stawił się przed radnymi powstańczej Komuny i wytłumaczył ze swego postępowania. Mandat, arystokrata, znacznie drobniejszej budowy, unosząc wzrok popatrzył na giganta ze zmasakrowaną twarzą, który kilka dni wcześniej, gdy Pétion przed wybuchem powstania zaproponował usunięcie Mandata ze stanowiska dowódcy Gwardii, powiedział: – Co znaczy usunąć? Zabij go, człowieku! Umarli nie powracają[9].

---

[8] Dawid P. Jordan, *The King's Trial: the French Revolution versus Louis XVI*, Berkeley Ca 1979, str. 6.

[9] Christophne, str. 226-227

Pierre Louis Roederer

– Wasza tak zwana Komuna jest zwykłą bandą wywrotowych rebeliantów i nie zamierzam przed nimi stawać[10] – oświadczył, a gniew rozpłomienił mu wzrok. Danton wyciągnął ogromną dłoń i chwycił Mandata za kark. Wtrącono go do więzienia i oznajmiono, że zostaje pozbawiony dowództwa, a jego stanowisko obejmie Santerre, piwowar z dzielnicy Saint-Antoine. Około trzech godzin później wyciągnięto Mandata z celi i zaprowadzono pod strażą na schody ratusza, gdzie czekał komisarz policji Rassignol, który spokojnie dobył pistoletu i z zimną krwią go zastrzelił.

– Mandat dał rozkaz strzelania do ludu – wyjaśnił później Danton. – Dlatego wydałem na niego wyrok śmierci[11].

Kilka minut po aresztowaniu Mandata, król przypasał paradny miecz i nadal ubrany w wymiętą fioletową szatę, z trójgraniastym kapeluszem pod pachą zszedł do ogrodów Tuileries, aby dokonać przeglądu wojska i, na ile to możliwe, dodać ducha obrońcom. Po drodze przeszedł obok szwajcarskich gwardzistów, którzy stacjonowali wewnątrz pałacu, a ci zakrzyknęli do niego: *Precz z frakcjami! Precz z jakobinami!*[12] (Ci wieśniacy byli najemnikami, ale doskonale zdawali sobie sprawę, z czym walczą). Na dziedzińcu jednak, gdzie zgromadzono jednostki Gwardii Narodowej, pierwsze okrzyki *Niech żyje król!*, szybko zagłuszyły inne: *Niech żyje naród!, Precz z tyranem!*[13] Część gwardzistów złamała szeregi i otoczyła monarchę. Wymachiwali pięściami przed obliczem władcy i nazywali go tłustą świnią. On mimo to kontynuował przegląd i każdej kompanii, do której się zbliżał, mówił: *Kocham Gwardię Narodową!*[14]

---

[10] *Ibid.*

[11] *Ibid.*

[12] Jordan, str. 7.

[13] Furneaux, str. 24-25.

[14] Louis Madelin, *The French Revolution*, New York 1925, str.268.

Kiedy nie spotkał się z żadną jednoznacznie wrogą reakcją, spytał żałośnie: – Nie sądzicie, że musimy się bronić? – Nawiązując do atakujących, powiedział: – Na pewno tu idą. Czego chcą? Nie odstąpię dobrych obywateli, moja sprawa jest także ich sprawą[15].

Wreszcie zrezygnował i śmiertelnie blady powrócił do rodziny.

Chyba niemal dokładnie w tej samej chwili Roederer, który opuścił Tuileries, by dowiedzieć się czegoś więcej o wydarzeniach na zewnątrz, natknął się na Dantona. Przywódca rewolucji dużo wypił, Roederer czuł w jego oddechu zapach alkoholu.

– Wszystko zaplanowane. Jesteśmy pewni, że wygramy – powiedział konfidencjonalnie olbrzym. – Rzecz jednak w tym, że ludzie są zdecydowani zabić króla dzisiaj, a ja w tych okolicznościach nie uważam, by to było konieczne... Jego śmierć ogromnie skomplikuje sprawy i dlatego jestem przeciwny samemu pomysłowi egzekucji króla. Od ciebie zaś chcę, abyś napędził mu porządnego stracha – przekonaj go, żeby opuścił pałac i poszukał schronienia w Zgromadzeniu. Tam będzie osaczony, a my będziemy mogli potem bez pośpiechu zaaranżować jego abdykację.

Roederer wahał się. Danton błyskawicznie schwycił go za gardło.

– Uważaj – zagrzmiał głosem, który czasem niósł się aż na drugą stronę Sekwany. – W tej tragedii wszyscy mają już przydzielone role. Każdy, kto myśli, że może być tylko widzem, zapłaci głową. Nie wahaj się teraz, bo później pożałujesz. Będę ci się przyglądał.

Niespodziewanie ciszę rozdarł huk dział. – Słyszysz to? – wrzasnął Danton. – Bal już się zaczął! Tym razem my wybieramy muzykę, a ludzie zatańczą, jak im zagramy![16]

W Tuileries król, z dłońmi opartymi na kolanach, siedział przy stole przy wejściu do salonu. Każdy widział, że nie ma najmniejszego pojęcia, co robić. Krzyki na zewnątrz co i rusz przybierały na sile, bo na plac Carrousel naprzeciwko pałacu napływała coraz to większa liczba rewolucjonistów. Powrócił Roederer.

– Wasza Wysokość nie ma ani chwili do stracenia. Bezpieczni będziecie tylko w Zgromadzeniu Narodowym. Opinia ministerstwa

---

[15] Furneaux, str. 25.

[16] Christophe, str. 228.

jest taka, że powinniście udać się tam bezzwłocznie. Wasza Wysokość nie ma dość ludzi, aby bronić pałacu. Oni nie są do was przychylnie nastawieni. Artylerzyści rozładowali działa... Jest ich dwanaście, a nadciąga ogromny tłum.

Ludwik XVI wstał i podszedł do okna, z którego częściowo rozpościerał się widok na to, co działo się przed pałacem.

– Nie widzę dużego tłumu – mruknął zdumiony król.

Gerdret, kolega Roederera, krzyknął coś w złości. Królowa zganiła go i zwracając się do Roederera powiedziała, że w pałacu nadal jest wielu ludzi, którzy chcą bronić królewskiej rodziny.

Księżniczka Elżbieta, siostra Ludwika XVI

– Madame, maszeruje tu cały Paryż – odparł Roederer.

– Czy wszyscy nas opuścili? – spytała Maria Antonina, walcząc z ogarniającą ją rozpaczą. – Nikt nie wystąpi w naszej obronie?

– Opór jest niemożliwy – stwierdził kategorycznie minister. – Czy chcesz Pani być odpowiedzialna za rzeź dokonaną na Królu, waszych dzieciach, sobie samej i wiernych sługach, którzy was otaczają?

– Zachowaj Boże – powiedziała królowa. – Obym to ja padła jej jedyną ofiarą.

– Czas nagli, *Sire* – powiedział chłodno Roederer i spojrzał na króla, który w czasie dyskusji o jego życiu i życiu jego rodziny zachował całkowite milczenie. Teraz także nie odezwał się ani słowem.

– *Monsieur* Roederer – odezwała się zamiast niego księżniczka Elżbieta. – Czy weźmie pan na siebie odpowiedzialność za życie Króla?

– *Madame*, mogę jedynie obiecać, że zginiemy wraz z wami.

Król podniósł się z miejsca i chwiejnym krokiem podszedł do szlachty i oficerów zgromadzonych w salonie.

– Panowie, błagam was, abyście zaniechali beznadziejnej obrony. Ani dla was, ani dla mnie nie da się tu uczynić niczego. *Marchons!* (Ruszajmy!)[17].

Księżniczka de Lamballe

Eskortowane przez podwójną kolumnę żołnierzy Gwardii Narodowej i Szwajcarów stronnictwo królewskie na czele z Roedererem i podążającym za nim królem, wyruszyło przez ogrody Tuileries, kierując się do siedziby Zgromadzenia Narodowego. Ptaki śpiewały, świeciło słońce, trawa mieniła się soczystą zielenią. Maria Antonina trzymając synka za rękę, szła za mężem; tuż za nią księżniczka Elżbieta prowadziła za ręce bratanicę Marię Teresę Karolinę i najukochańszą przyjaciółkę królowej, księżniczkę de Lamballe. Z oczu monarchini płynęły łzy. W pewnej chwili poczuła, że nie jest w stanie iść i wsparła się na ramieniu gwardzisty Rochefoucauld, który poczuł, że królowa drży na całym ciele. Ona mimo wszystko nadal starała się przezwyciężyć rozpacz, wołając do swoich dam dworu: – Jeszcze się zobaczymy. – Księżniczka de Lamballe wyszeptała jednak: – Nigdy już nie wrócimy.

Kiedy zbliżyli się do siedziby Zgromadzenia, musieli przepychać się przez rozeźlony tłum, ale nie spotkali się z żadną poważną próbą zatrzymania. Obradom przewodniczył Pierre Vergniaud – silnie zbudowany mężczyzna, o mocnych rysach, gęstych kręconych włosach, starannie ułożonych nad wysokim czołem, i ciemnych, na

[17] Furneaux, str.8.

co dzień łagodnych oczach, w których jednak, gdy zaczynał przemawiać, pojawiał się płomień. On sam nie był chyba zaskoczony przybyciem rodziny królewskiej, czego nie można powiedzieć o większości deputowanych. Obrady natychmiast przerwano. Król podszedł do Vergniauda i powiedział: – Przybyłem tutaj, aby zapobiec straszliwej zbrodni i wierzę, że nigdzie nie mógłbym być bezpieczniejszy niż pośród przedstawicieli narodu.

Vergniaud odparł: – Możesz liczyć na stałość Zgromadzenia Narodowego. Zna ono swoje obowiązki, a jego członkowie przysięgali przestrzegać poszanowania praw narodu i konstytucyjnych władz[18].

Słowa te, wypowiedziane przez bezkompromisowego republikanina, jakim był Vergniaud, zostały uznane w oskarżeniu, jakie później wysunął przeciwko niemu Fouquier-Tinville za dowód „rojalizmu" i przyczyniły się do jego egzekucji.

Gdzieś w oddali ze swego mądrze wybranego i nigdy nieujawnionego punktu obserwacyjnego, wydarzeniom, jakie już miały miejsce, i tym, które dopiero rozegrają się tego ranka w Tuileries, bacznie przyglądał się niewysoki, dwudziestotrzyletni porucznik artylerii z Korsyki o prostych brązowych włosach i dużych, władczo spoglądających oczach. Kiedy ujrzał, że król i jego stronnictwo opuszczają pałac, ponuro pokiwał głową.

– Ech, gdybym to ja tu dowodził – szepnął do siebie Napoleon Buonaparte[19].

Wszystkie rewolucje, nawet wedle własnych standardów, mają chwile szaleństwa, zjadliwej ironii i niewybrednego humoru, gdy świat wali się, a fala wydarzeń wynosi na powierzchnię najdziwaczniejsze wyrzutki społeczeństwa. W tej właśnie chwili dał znać o sobie jeden z nich. Rodzina królewska przebywała w siedzibie Zgromadzenia, ale Francois Chabot, ksiądz, którego pozbawiono godności duchownej i mistrz w rzucaniu najcięższych inwektyw wymierzonych zwłaszcza w Kościół, którego nienawidził, podniósł się z miejsca, aby zaprotestować: Konstytucja Francuska zabrania Zgromadzeniu Narodowemu obradowania w obecności monarchy (Nie odno-

[18] *Ibid.*, str. 29-30.

[19] *Ibid.*, str. 16; Madelin, str. 269.

towano, aby ktoś przypomniał mu wtedy, że Konstytucja Francuska gwarantuje także monarsze nietykalność, a przyczyną obecności władcy w Zgromadzeniu jest owej nietykalności osobistej pogwałcenie). Vergniaud, napuszony i pompatyczny, poprowadził obrady Zgromadzenia, które oddało się poważnej debacie nad tym trudnym konstytucyjnym dylematem. Nie mogli obradować w obecności Króla: Boże zachowaj, tego nie uczynią! Nie mogli jednak również po prostu go odesłać, bo to prawdopodobnie oznaczałoby jego śmierć, przed którą wszak w żadnym innym miejscu uchronić go nie byli w stanie. Co czynić? Znaleźli rozwiązanie rodem z „Alicji w krainie czarów": rodzinę królewską zamknięto w boksie dla stenografa. Było to duszne, małe pomieszczenie, wysokie na 1,80 m i 3,6 m szerokie. Od sali posiedzeń oddzielała je żelazna krata. Formalnie rzecz biorąc, gdy król w nim przebywał, nie był obecny w Zgromadzeniu. Rodzina królewska weszła do kabiny. Dzieci się przestraszyły. Królowa nadal starała się odzyskać panowanie nad sobą, nerwowo splatając i rozplatając dłonie złożone na podołku. Król, wedle słów niemieckiego obserwatora, sprawiał wrażenie *oszołomionego i bezradnego*[20].

Rodzina królewska pozostała w tym gorącym i niemal pozbawionym powietrza więzieniu przez następne czternaście godzin.

Kilka minut po odejściu króla atakujący, nie napotykając na żaden opór, przedarli się przez bramy wiodące do Tuileries; żołnierze francuskiej Gwardii Narodowej uciekli bądź przyłączyli się do rewolucjonistów. Na wielkich schodach wiodących do pałacu ujrzeli przed sobą Gwardię Szwajcarską w bojowym ordynku.

Z tłumu napastników padały wrogie okrzyki i żądania natychmiastowego poddania się. Jeden z przywódców buntowników, niemieckojęzyczny Alzatczyk Francois-Joseph Westermann wrzasnął: – Poddajcie się narodowi!.

– Okrylibyśmy się hańbą – usłyszał w odpowiedzi.

Wówczas jeden z atakujących, znający język niemiecki, próbował przekonać podoficerów i żołnierzy, aby zwrócili się przeciwko swym oficerom.

---

[20] Madelin, str. 269.

– Jesteśmy Szwajcarami, a Szwajcarzy oddają broń tylko wówczas, kiedy oddają życie – odparł mu sierżant Blazer[21].

Zdenerwowani i coraz bardziej rozwścieczeni napastnicy spróbowali ściągnąć Szwajcarów ze schodów hakami halabard. Udało się im to z pięcioma gwardzistami. Rozbroili ich i zmasakrowali. Kapitanowie Zusler i Castleborg, którzy stali na szczycie schodów, dali rozkaz otwarcia ognia. Regularne salwy położyły pokotem motłoch i odpędziły artylerzystów od działa. Atakujący wycofali się na plac Carrousel, na którym uprzednio się zgromadzili. Kapitanowie Dubler i de Pfyffer poprowadzili śmiały wypad. Sześćdziesięciu Szwajcarów sformowało pusty w środku czworobok i ruszyło naprzód, zasypując Carrousel gradem kul. Gwardziści podprowadzili działo, które odbili atakującym i zaczęli strzelać do napastników szukających schronienia w wąskich uliczkach, wychodzących na plac. Wśród uciekającego w popłochu tłumu znalazł się także oddział marsylczyków.

Napoleon Buonaparte

Szwajcarzy z wielką werwą posługują się artylerią – odnotował na swoim posterunku obserwacyjnym porucznik Buonaparte[22].

Marsylczycy, kiedy znaleźli się poza zasięgiem działa, zwarli szyki i zaczęli ostrzeliwać Szwajcarów, którym zaczynało już brakować amunicji. Westermann nie pozostał paryżanom dłużny i rozpoczęła się zażarta strzelanina z muszkietów; dochodziło także do walki wręcz. Zgiełk bitewny narastał, aż zaczął zagłuszać patetyczną debatę, jaka odbywała się w Zgromadzeniu, zaledwie 500 m od Tuileries. Kilka zabłąkanych kul wpadło przez okna do budynku Szkoły Jeździeckiej, w którym zebrali się deputowani. Mówcy przekrzykiwali hałas, a bliskie paniki Zgromadzenie uchwaliło zdumiewający dekret, który *bezpieczeństwo wszystkich i wszelką własność* [oddawał] *pod ochronę paryskiego*

[21] *Ibid.*, str. 270; Furneaux, str. 32.

[22] Furneaux, str. 33.

ludu[23]. Kilku członków Zgromadzenia namawiało króla, który nadal znajdował się w pomieszczeniu stenografa, aby rozkazał Szwajcarom wstrzymać ogień. Ten natychmiast się zgodził i wysłał jednego ze swych dostojników, aby przekazał wiadomość gwardzistom. Był nim Szwajcar, d'Hervilly, generał w stanie spoczynku. Narażając życie, przedarł się pod gradem kul do pałacu, odnalazł kapitana Dublera i przekazał mu rozkaz króla.

Kapitan odmówił jego wykonania. Pamiętał o pięciu gwardzistach, których rewolucjoniści schwytali, rozbroili i na jego oczach zamordowali u stóp schodów. Wiedział, że ci wrogowie nie znają litości. Poddanie się oznaczało śmierć. Pobiegł do Zgromadzenia, utorował sobie drogę do dusznego pomieszczenia, w którym zamknięto króla, i błagał go, by wiernym Szwajcarom pozwolił się bronić.

Ludwik XVI podjął wtedy ostatnią decyzję jako król Francji. Była podobna do wielu jego poprzednich postanowień, lub raczej ich zaniechania, które mimo najlepszych intencji władcy sprowadziły nieszczęście na niego samego, jego rodzinę oraz poddanych.

– Złóżcie broń. Przekażcie ją w ręce Gwardii Narodowej. Nie jest moim życzeniem, aby ginęli dzielni ludzie – powiedział kapitanowi.

Nawet od najwyższego dowódcy Durler nie mógł przyjąć ustnego rozkazu, który skazywał jego ludzi na śmierć. Poprosił o rozkaz na piśmie. Ludwik XVI mu go wręczył.

Król rozkazuje Szwajcarom natychmiast złożyć broń i niezwłocznie wycofać się do koszar. Ludwik[24].

I tak bębny Gwardii Szwajcarskiej oznajmiły odwrót przed Rewolucją. Maszerując, wycofywali się przez ogrody Tuileries. Zgromadzeni tam zdradzieccy członkowie Gwardii Narodowej otworzyli ogień do przechodzących obok i niestawiających oporu szeregów. Jedna kolumna Szwajcarów poszła do koszar, druga do Zgromadzenia; w obu tych miejscach żołnierze złożyli broń. Kiedy już byli bezbronni, zaatakowano ich. Dokądkolwiek biegli, dokądkolwiek uciekali, gdziekolwiek się kryli, chwytano ich, wywlekano triumfalnie i masakrowano. Wielu straszliwie okaleczano. Zanim to wszystko dobiegło końca, pewien postronny obserwator stwierdził, że jego

[23] Madelin, str. 270.

[24] Furneaux, str. 34; Cronin, str. 354.

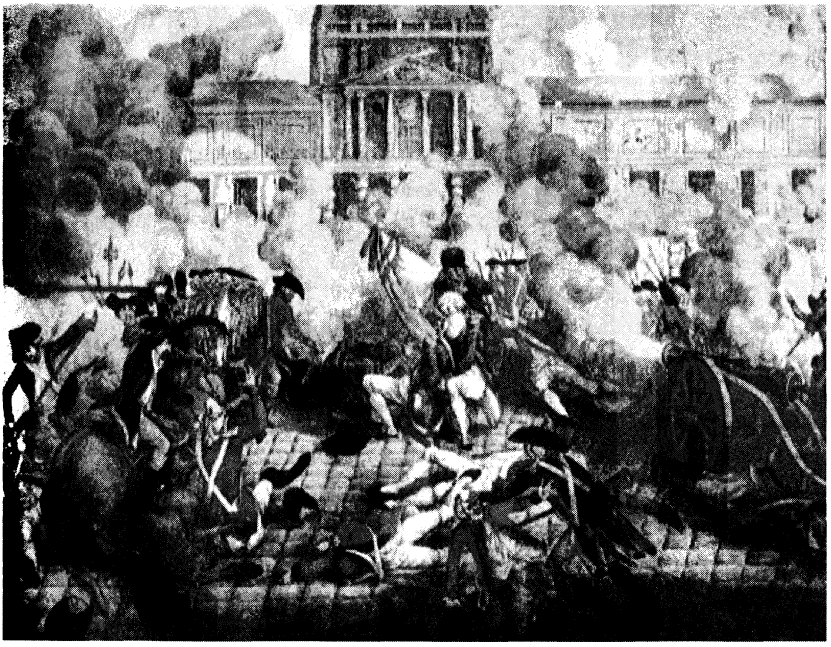

Szturm na Tuileries

zdaniem nie ma w Paryżu ani jednej ulicy, na której nie widziano by co najmniej jednej szwajcarskiej głowy zatkniętej na pice. Pod koniec dnia dzieci toczyły niektóre z nich po ulicach. Kobiety, niczym sępy, darły pasy z nagich ciał królewskich obrońców.

W masakrze tej, jednej z najbardziej odrażających, jakie odnotowała historia, zginęło ponad sześciuset żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej (O wiele więcej osób zabito w Auschwitz i innych podobnych mu miejscach, ale tamtych ofiar nie mordowano na ulicach stołecznego miasta w otoczeniu kobiet i dzieci wiwatujących na cześć zabójców i oprawców ludzi, którzy jedynie spełniali swój obowiązek w obronie prawowitego władcy, a później nawet nie próbowali się bronić). Ocalałych wtrącono do więzienia, ale prawie każdy z nich zginął w podobny sposób niecały miesiąc później.

Nadal istnieją historycy, którzy uważają, że śmierć, jakiej doświadczyli, była znośna, a nawet na swój sposób godna podziwu. Zupełnie inna pamięć o tym wydarzeniu zachowała się w Lucernie.

W tym pięknym mieście stoi dziś pomnik przedstawiający lwa, wzniesiony dla upamiętnienia tych, którzy w obcym kraju oddali życie w obronie zagranicznego monarchy. Lew kona, przebity lancą. Aż do śmierci wierny, trzyma w pazurach tarczę, ozdobioną *fleur-de-lis* – odwiecznym symbolem królów Francji. Poniżej wygrawerowano nazwiska poległych.

Szwajcarscy gwardziści nie byli jedynymi, którzy tamtego dnia stracili życie w Tuileries. Atakujący motłoch zabijał i okaleczał wszystkich, którzy służyli królowi, jakich udało im znaleźć: od szlachty po kucharzy, nie bacząc na wiek ani stanowisko. Jego ofiarą padło ponad dwieście osób, ledwie udało się przekonać, by oszczędzono kilka kobiet, ale w żadnym razie nie wszystkie. Oto relacja Christophera Hibberta:

Wyrzucali ciała przez okna, nadziewali głowy na piki, rabowali komnaty, rozbijali meble i tłukli szyby, kradli kosztowności i ozdoby, darli papiery i rozrzucali je po podłogach. Zbiegów, którzy próbowali uciekać, dopadali, kiedy ci biegli przez ogród, i zarzynali ich pod drzewami oraz obok fontann. Niektórzy uciekinierzy wdrapywali się na pomniki, ale napastnicy, którzy nie strzelali do nich, bojąc się uszkodzić marmur, strącali ich stamtąd pikami, bagnetami i zakłuwali, kiedy ci zeskakiwali na ziemię[25].

Drewniane budynki przylegające do pałacu zajęły się ogniem; zabójcy odpędzili strażaków strzałami z dział i pozwolili im płonąć, aż ogień rozprzestrzenił się na niektóre części pałacu.

Nie wszyscy szlachcice i żołnierze obecni w Tuileries owego katastrofalnego ranka byli zdrajcami, tchórzami albo głupcami. Ponieważ nikt nie mógł być pewny, czy stojący obok niego człowiek nie zalicza się do jednej z tych trzech kategorii, zorganizowana obrona, jaką prezen-

Francois-Athanase Charette

[25] Christopher Hibbert, *The Days of the French Revolution*, New York 1980, str. 160.

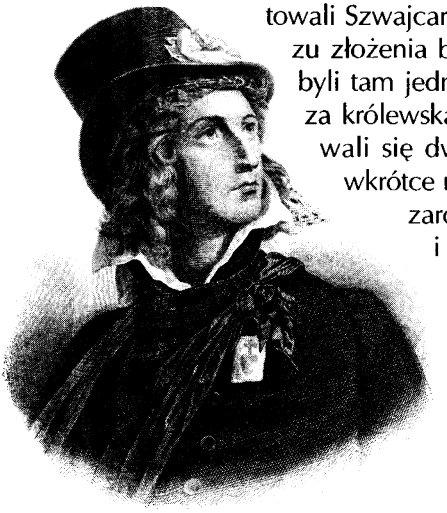

Henri de la Rochejaquelein

towali Szwajcarzy do czasu otrzymania rozkazu złożenia broni, była niemożliwością, ale byli tam jednak ludzie gotowi oddać życie za królewską rodzinę. Wśród nich znajdowali się dwaj młodzi szlachcice, którzy wkrótce mieli pozostawić po sobie ślad, zarówno w dziejach Rewolucji, jak i w historii oporu, który był przeciw niej skierowany.

Francois-Athanase Charette pochodził z nadmorskiego regionu kraju u ujścia Loary, miał trzydzieści lat, ostre rysy, wysokie czoło, był atletycznej postury, waleczny, elegancki i obdarzony talentem teatralnym. Henri de la Rochejaquelein – pełen pasji, odważny i elokwentny dwudziestolatek był wysoki i jasnowłosy o bystrych, pełnych życia oczach osadzonych w owalnej twarzy. Był najstarszym synem markiza de la Rochejaquelein. Pochodził ze starej, ale wcale nie bogatej szlacheckiej rodziny osiadłej w Bocage, krainie małych żyznych pól i niemal nieprzebytych żywopłotów w zachodniej Francji, na południe od ujścia Loary. Jego ojciec i brat na fali emigracji szlachty uciekli do Anglii, ale Henri pozostał przy swoim królu; rodzinę Rochejaquelein od wieków cechowała szczególna lojalność względem władcy. Kuzyn Henriego, dwudziestosiedmioletni Louis-Marie Joseph, markiz de Lescure był poważny, skryty i całkowicie lojalny wobec monarchii. Miał narzeczoną, Marie-Louise Victoire de Donnissan, chrześniaczkę jednej z córek Ludwika XV (ciotki Ludwika XVI). Tamtego dnia od wczesnych godzin rannych próbował dotrzeć do Tuileries, aby pomóc królowi, ale nie udało mu się tam dostać.

Charette i la Rochejaquelein, pozostawieni przez króla własnemu losowi, znaleźli się w oku cyklonu grabieży i rzezi, jaki rozpętał się w następstwie królewskiego rozkazu nakazującego Szwajcarom złożenie broni. Mimo to, udało się im wyjść z niego cało. Największe niebezpieczeństwo zagrażało Charette'owi, który znalazł się w tłu-

mie rabującym królewskie komnaty. Uratował się wyłącznie dzięki temu, że założył kurtkę zwaną *carmagnole*. Zdarł ją z ciała zastrzelonego przez Szwajcarów rewolucjonisty, a przez ramię przewiesił sobie odciętą nogę jednego z gwardzistów, którzy padli ofiarą motłochu (Fakt, że ów makabryczny rekwizyt okazał się skuteczną charakteryzacją, jest szczególnie wymownym przykładem, czym w istocie była rzeź, jakiej dokonano na Gwardii Szwajcarskiej). Żaden z nich nigdy nie zapomniał scen rozgrywających się na ich oczach tamtego dnia w Tuileries. Obaj mieli walczyć za katolicką Francję, ale dopiero po egzekucji Ludwika XVI, gdyż król, póki żył, zabraniał stawać w jej obronie.

To jednak była sprawa przyszłości. Tamtego dnia jedynym miejscem, dokąd mogli uciec i gdzie mogli się schronić, było Zgromadzenie, ale także panowało tam przerażenie. Część szabrowników i zabójców, z dłońmi powalanymi krwią, wrzeszcząc i krzycząc, wtargnęła na salę posiedzeń. Guadet, który o dziesiątej zastąpił Vergniauda w fotelu przewodniczącego, powitał ich uniżenie, mówiąc: – Zgromadzenie podziwia wasz zapał.

Jeden z członków Komuny Powstańczej podbiegł do mównicy i krzyknął: – Wiedzcie, że Tuileries płonie i nie ustaniemy, dopóki zemsta ludu nie będzie zaspokojona![26]

Mężczyźni i kobiety, miotając groźby, stawali na krzesłach, a nawet wdrapywali się na kolumny, aby stamtąd choć przez chwilę spojrzeć na królewską rodzinę w jej malutkim więzieniu. Maria Antonina drżała i była blada jak ściana; co niezwykłe, król wydawał się spokojny.

Wniesiono sztandary Gwardii Szwajcarskiej i złożono je na biurku przewodniczącego. Po nich przyszła kolej na łupy zagrabione w pałacu, które jako „ofiarę dla narodu", ułożono w stertach na stołach naprzeciwko biurka. Pośród nich pojawiła się także część klejnotów królowej. Następnie dorzucono do nich złote cyborium wyjęte z tabernakulum królewskiej kaplicy. Niewykluczone, że przyniesiono je w zakrwawionych dłoniach. Nadal znajdowało się w nim Ciało Pańskie.

Guadet pozostał w fotelu przewodniczącego, a Vergniaud dołączył do specjalnego Komitetu Dwudziestu Jeden, w którym deliberowano nad losem monarchii.

---

[26] Madelin, str. 272.

Jego członkowie rychło uzgodnili stanowisko, a Vergniaud przekazał ich ustalenia Zgromadzeniu. Nie sposób było dłużej udawać, że sławetna Konstytucja z roku 1791 nadal obowiązuje. Zawieszono ją, a wraz z nią instytucję monarchy. Zarządzono także wybory nowego ciała ustawodawczego. Zadeklarowano jednocześnie, że rodzina królewska *do czasu, kiedy w Paryżu zostanie przywrócony spokój, znajduje się pod opieką organu ustawodawczego*[27].

Przywracanie spokoju w Paryżu trwało bardzo długo, zajęło z górą siedem lat.

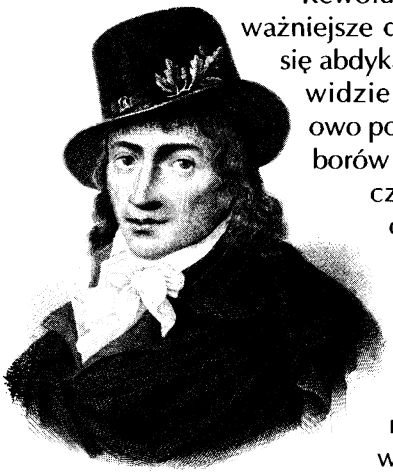

Kamil Desmoulins

Rewolucjoniści zrealizowali swoje najważniejsze dążenia; ci, którzy ostro domagali się abdykacji i stracenia króla, nie mieli (jak widzieliśmy) poparcia Dantona, który owo powstanie wywołał. Ogłoszenie wyborów do Konwencji Narodowej oznaczało zniesienie za jednym zamachem monarchii, konstytucji i rozwiązanie obecnego Zgromadzenia Narodowego. Dwa ośrodki władzy istniejące w Paryżu, zanim 10 sierpnia zaczęto bić w dzwony, zostały jej pozbawione. Pozostała jedynie Komuna Powstańcza.

Kiedy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia, Danton spał. Był absolutnie pewny ostatecznego rezultatu. Było już popołudnie, kiedy podekscytowany Kamil Desmoulins obudził go i poinformował, że Zgromadzenie 284 głosami przeciwko 222, wybrało go ministrem sprawiedliwości rządu tymczasowego.

Zapadł wieczór. W hotelu Diesbach, markiz de Lescure i jego dziewiętnastoletnia żona Marie-Louise Victoire, którą poślubił niecały rok wcześniej, doskonale zdawali sobie sprawę, że ponieważ znano ich tutaj jako zwolenników króla, odnalezienie ich przez zabójców jest tylko kwestią czasu. Marie-Louise była w siódmym miesiącu

[27] Claude G. Bowers, *Pierre Vergniaud, Voice of The French Revolution*, New York 1950, str. 230.

Markiz Louis de Lescure

ciąży. Opuścili hotel w przebraniu. Początkowo, na ulicach, którymi podążali, panował złowrogi spokój. Kiedy dotarli w pobliże Tuileries, zobaczyli że pałac stoi w płomieniach. Mijali grupy pijanych, uzbrojonych ludzi, którzy ryczeli coś w zamroczeniu. Na Champs Elysées natknęli się na kobietę uciekającą przed mężczyzną ze strzelbą, który groził, że ją zabije. Kobieta uchwyciła się ramienia Lescure'a, błagając, żeby ją ratował. Na drugiej ręce uwiesiła mu się Marie-Louise – nie miał więc żadnej możliwości, aby sięgnąć po broń.

Prześladowca powiedział:
– Zabiłem już dzisiaj kilka arystokratek, ta będzie następna.

Czym tak go rozzłościła?
– Zapytałem ją o drogę do Tuileries; chciałem tam pójść i zabijać Szwajcarów, ale mi nie odpowiedziała.

– Masz rację, ja też tam idę[28] – odparł Lescure. Następnie przekonał mężczyznę, że musi znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie zostawi kobiety, zanim wspólnie wyruszą do Tuileries, aby zabijać Szwajcarów. Na tym stanęło i każdy z nich poszedł swoją drogą. Ostatecznie Lescure wraz z żoną znaleźli schronienie w mieszkaniu jego dawnej gospodyni. Marie-Louise Victoire była skrajnie wyczerpana i nie potrafiła zapanować nad spazmatycznym szlochem.

W tym samym czasie w Klubie Jakobinów, który był siedliskiem rewolucji, przemawiał niewysoki mężczyzna. Nie było w nim niczego ujmującego; miał słaby, piskliwy głos, bladą, ziemistą cerę, długą szczękę z wydatnym podbródkiem oraz wyraźnie zaznaczone, wypukłe brwi, a na twarzy od czasu do czasu pojawiał mu się nerwowy tik. Krótkowzroczne, szarozielone oczy owego człowieka

[28] Marchioness de La Rochejaquelein, *Memoirs*, (tł. ang. Sir Walter Scott), Edinburgh 1816, str. 24.

cechowało osobliwie przenikliwe spojrzenie, a wrażenie to potęgował jeszcze nawyk przysłaniania ich okularami, a następnie podnoszenia szkieł na wysokość brwi, tak aby oczy stawały się przez to jeszcze wyraźniej widoczne. Ubierał się bogato i dystyngowanie, ale poza tym był wstrzemięźliwy i purytański. Nie lubił kobiet. Kochał władzę, lecz ta, którą dysponował, nie była jeszcze nazbyt wielka. Gardził bogactwem i znany był jako „Nieprzekupny". Pochodził z Pikardii – prowincji, która dała światu Jana Kalwina. Nazywał się Maksymilian Robespierre i w czasie Rewolucji Francuskiej miał stać się główną postacią okresu Terroru.

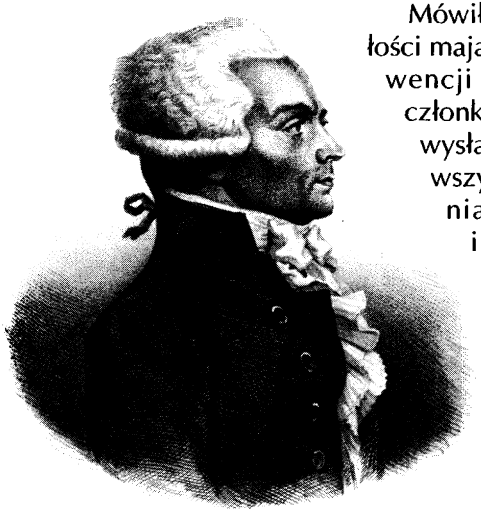

Maksymilian Robespierre

Mówił właśnie o wielkiej doniosłości mającej się wkrótce odbyć Konwencji Narodowej i wyboru jej członków. Nalegał, żeby jakobini wysłali swoich przedstawicieli do wszystkich prowincji, by wyjaśniali wydarzenia tego dnia i dopilnowali natychmiastowego uwolnienia wszystkich więzionych rewolucjonistów. On sam jednak, o ile wiemy z dotychczasowych ustaleń historyków, nie odegrał żadnej roli w wydarzeniach 10 sierpnia.

Tuż przed północą, rodzinę królewską uwolniono wreszcie z zamknięcia i przeniesiono do klasztoru Les Feuillants, tuż za budynkiem Szkoły Jeździeckiej, w którym zbierało się Zgromadzenie Narodowe. Rewolucjoniści otoczyli Bourbonów ze wszystkich stron. Drogę oświetlały płomienie świec zamocowanych na muszkietach. Oddano im do użytku cztery zatęchłe cele. Od lat nikt z nich nie korzystał i nie było w nich mebli. Któryś z nielicznych, ocalałych z pogromu służących, przyniósł materace. Z zewnątrz nadal dobiegały groźby wykrzykiwane przez rewolucjonistów, głównie pod adresem królowej. Niektórzy wdrapywali się na kratę, skąd mieli widok na korytarz, przy którym znajdowały się cele. *Strącić jej głowę!* – wołali.

Ludwik de Bourbon, który nie był już królem Francji, otulił głowę starym suknem i ułożył się na materacu. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział, nim zasnął, brzmiały: – Ludzie żałują, że nie zaatakowałem buntowników. Ale jaki byłby tego skutek?[29]

Długi dzień dobiegł końca, dzwony wybiły północ. Teraz każdy, kto zechce zapewnić sobie we Francji sprawiedliwość, będzie musiał spotkać się z Georgesem-Jacquesem Dantonem.

[29] Furneaux, str. 41.

II

Za Chrystusa albo za Rewolucję

(5 maja 1789 – 9 września 1792)

Spośród wszystkich wstrząsów społeczno-politycznych, jakie odnotowała historia, żaden nie stanowił równie wielkiego zaskoczenia dla współczesnych, jak Rewolucja Francuska.

Tę fundamentalną historyczną prawdę przysłania mglista otoczka legendy i bezpodstawne założenie, jakie przyjmuje się w odniesieniu do owego wstrząsającego wydarzenia. Głosi ono, że Rewolucja Francuska bardziej niż jakiekolwiek inne zdarzenie polityczne przez dwa minione stulecia kształtowała historię zachodniego świata. Fakty są jednak takie (a przyznają to uczciwi i wnikliwi historycy), że za rządów Ludwika XVI, do maja 1789 roku, kiedy w Paryżu zwołano Stany Generalne, nie nawiedził Francji żaden z jeźdźców Apokalipsy. Nie pojawił się ani jeden tradycyjny zwiastun nadciągającej katastrofy. Nie było wojny, która osłabiłaby państwo i wytraciła młode pokolenie. Kiedy wybuchła Rewolucja, Francja od sześciu lat cieszyła się całkowitym pokojem. Nie było głodu. Mimo że często wyolbrzymia się wąski margines rzeczywistej nędzy, biedotę francuską było stać na chleb, który stanowił jej podstawowe pożywienie. Margines ów, co prawda, istniał, ale większość narodu miała co jeść. Oczywiście, w przypadku większości ludzi dostępność żywności nie zmieniała się na przestrzeni życia. Nie było zara-

zy. Nie było wielkich przewrotów religijnych. Na przekór modnemu niedowiarstwu, szerzącemu się w niektórych kręgach klas wyższych, i mimo popularności, jaką cieszyli się wśród pewnej liczby intelektualistów zajadle antychrześcijańscy w swoich poglądach Wolter, Diderot i Rousseau, owe idee i tendencje nie wywierały w roku 1789 prawie żadnego wpływu na zwykłych mieszkańców Francji. Nie było zorganizowanej opozycji politycznej, żadnej grupy, która nawoływałaby do rewolucji, ani niczego podobnego. Do pewnego stopnia wynikało to z faktu, że w kraju nie było także surowego, zakrojonego na szeroką skalę politycznego ucisku. W tym miejscu legendy i bezpodstawne założenia splatają się z sobą najściślej. W roku 1789 rząd Francji poniósł głównie skutki własnych zaniedbań, ale nie ciemięstwa. Większość członków rodziny królewskiej i wyższej arystokracji po prostu nie traktowała poważnie swoich obowiązków rządzenia krajem. Część zła i niektóre przypadki rzeczywistych prześladowań zrodziły się z popełnionych przez nich zaniedbań. Nie stanowiły jednak części ani rezultatu jakiejś konkretnej polityki lub planu; nie były także zbyt dotkliwe. Ludwik XVI zaś, choć niezbyt skuteczny jako władca, mimo wszystkich swych wad, był pryncypial-

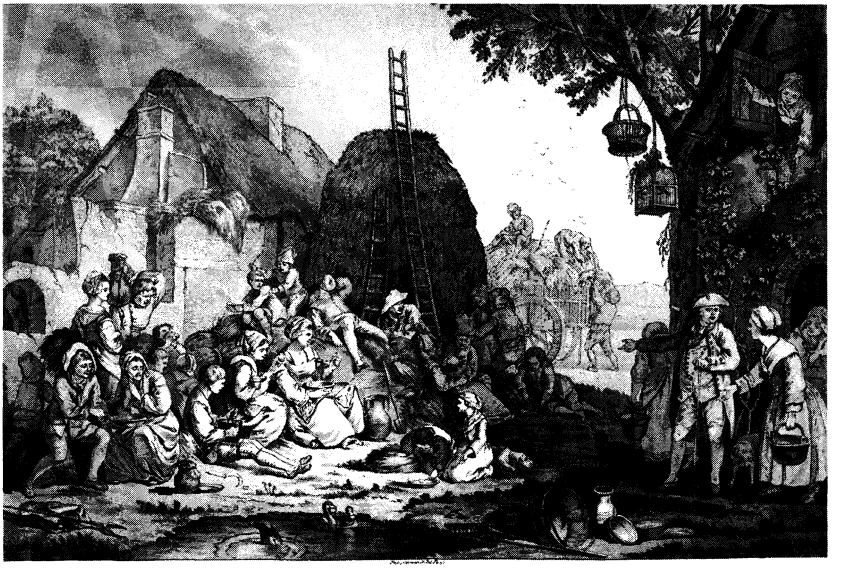

Gospodarstwo chłopskie, Francja, druga połowa XVIII w.

nym monarchą, który pragnął wypełniać swe obowiązki i podjął wiele istotnych inicjatyw ustawodawczych, zwłaszcza w dziedzinie podatków. Miały one właśnie przeciwdziałać skutkom owych zaniedbań.

Francja borykała się z dość poważnymi problemami gospodarczymi, wynikającymi z wadliwego i niesprawiedliwego systemu podatkowego. Znacznym brzemieniem były też długi – efekt wojny zakończonej w 1783 roku. Francuska pomoc pozwoliła wtedy amerykańskim koloniom uniezależnić się od Wielkiej Brytanii, ale Francja nie wyciągnęła z niej natychmiastowych i wymiernych korzyści. Problemy te skłoniły króla oraz jego doradców do podjęcia decyzji o zwołaniu Stanów Generalnych, czyli zgromadzenia przedstawicieli trzech stanów: duchowieństwa, szlachty i ludu. Ostatni raz obradowały one aż 175 lat wcześniej. Problemy, z jakimi borykał się kraj, nie groziły jednak katastrofą: nie były na tyle poważne, by zawiadamiać o nich cały naród. Większość Francuzów najprawdopodobniej w ogóle nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia, a jeśli już, to w niewielkim stopniu.

Niemniej jednak rachunek krzywd był rzeczywisty i sięgał daleko w przeszłość. Kraj potrzebował reform. Już sam fakt, że Stany Generalne nie zbierały się od 175 lat, ukazywał, do jakiego stopnia rząd oddalił się od narodu. Zjawisko to przybrało postać politycznej struktury, określanej jako absolutyzm królewski. Żaden z królów tamtego okresu nie wprowadził jednak rządów twardej ręki ani nie uczynił poważniejszego użytku z posiadanej władzy. Ważnym wyjątkiem był pod tym względem Ludwik XIV, który zasłynął powiedzeniem *L'état, c'est moi!* (Państwo to ja!). Władza była podzielona między ministrów i dworzan, których bardziej pociągał społeczny prestiż i własne przyjemności niż sprawy związane z rządzeniem państwem. Wydaje się, że najpoważniejszym źródłem społecznego niezadowolenia była hermetyczność środowiska arystokracji, która zajmowała najwyższe szczeble w hierarchii społecznej i najpoważniejsze stanowiska w organach władzy. Inaczej niż w Anglii, gdzie tytuły szlacheckie można było sobie oficjalnie lub nieoficjalnie kupić, arystokrata we Francji musiał być biologicznym potomkiem innego arystokraty. Ci, którzy nimi nie byli (lub brakowało im sprytu i zręczności, aby oszukać innych, sfałszować rodowód i w ten sposób przeniknąć w kręgi arystokracji), mieli drogą zamkniętą. Zdarzały się nieliczne wyjątki (należał do nich Jean Bart, syn rybaka z Dunkierki, który za

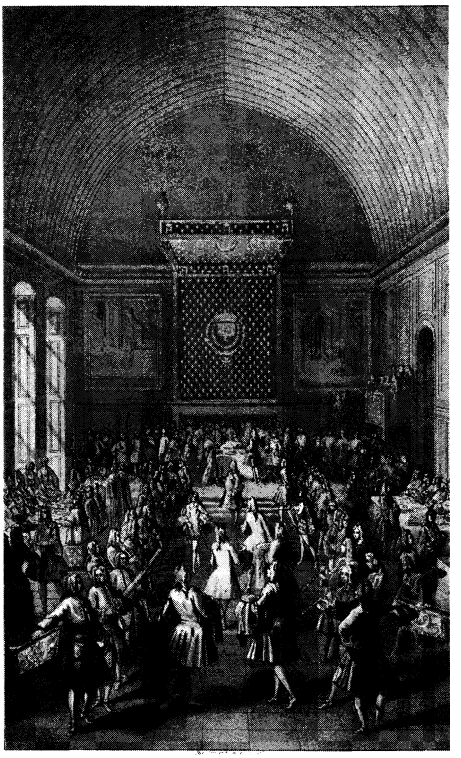

Bal po koronacji Ludwika XVI

rządów Ludwika XIV został admirałem), ale plebejusz nie mógł liczyć na awans, wykraczający poza średnie warstwy społeczne. Wszystkie wysokie stanowiska w rządzie, wojsku i Kościele pozostawały niezmiennie niedostępne i dla niego samego, i dla jego potomków. Wraz z wieloma innymi krzywdami, jakie nagromadziły się na przestrzeni pokoleń i stuleci, owo bezwzględne biologiczne rozwarstwienie w wielu (choć w żadnym razie nie wszystkich) arystokratach i plebejuszach wytworzyło przekonanie, że nie są ulepieni z tej samej gliny.

W ostatecznym rozrachunku, jeśli uczciwie, bez wyolbrzymiania czegokolwiek, podsumuje się wady i niedostatki francuskiego systemu politycznego i społecznego z roku 1789, sprawiedliwie oceni ówczesne problemy gospodarcze kraju i starannie oszacuje wpływ, jaki wywarł nań destruktywny krytycyzm i rozpowszechniona moda na *filozofię* Woltera, Rousseau, Diderota oraz jej wyznawcy i zwolennicy, ostateczny wynik takiego równania w najmniejszy sposób nie usprawiedliwia wydarzeń z 10 sierpnia 1792 r., nie mówiąc już o makabrycznych potwornościach, które miały dopiero nastąpić. Pozostałe kraje Zachodniej Europy doświadczyły i miały jeszcze doświadczyć znacznie poważniejszych trudności niż te, które w 1789 roku były udziałem Francji, tam jednak obyło się bez wybuchu, uwalniającego źródła wielkiej otchłani[30]. Francja znała już, bądź miała dopiero

[30] Autor nawiązuje do *Księgi Rodzaju*; 7:11. (przyp. tłum.).

Moda damska, Francja, druga połowa XVIII w.

poznać o wiele większe nieszczęścia i zagrożenia, a mimo to żadna inna rewolucja nigdy tam nie wybuchła. Rewolucja Francuska pozostała wydarzeniem bez precedensu. Jest wyjątkowym zjawiskiem. Można ją porównać jedynie z rewolucją komunistyczną 1917 r. w Rosji. Tam jednak pojawiły się wszystkie czynniki przyspieszające społeczne niepokoje: wojna, głód, zaraza oraz dobrze zorganizowana opozycja polityczna. W roku 1789 we Francji nie występował żaden z nich, przede wszystkim zaś nie można było odwoływać się do jakiejkolwiek utrwalonej w pamięci narodu analogii, tak jak to czynił Lenin, który często nawiązywał do Rewolucji Francuskiej.

Dlaczego zatem do niej doszło? Uczciwa historia na ten temat milczy. Odpowiedzi ideologów, formułowane z perspektywy naszej epoki, zakłamują rzeczywistość i czas, który wszak biegnie tylko do przodu, podczas gdy oni, dokonując swych ocen, poruszają się wstecz. Nasz świat i rzeczywistość nie udzielą nam odpowiedzi, wszak Rewolucji Francuskiej nie przewidział nikt.

Były jednak jej zapowiedzi. Pozostały jednak niezauważone przez nikogo z wyjątkiem rewolucjonistów i ich prekursorów. Przyjrzyjmy się dwóm z nich. Pierwszy był wówczas starcem, drugi zaś bardzo młodym człowiekiem.

Starzec to Francois-Marie Arouet, który publikował pod pseudonimem Wolter. W roku 1773, kiedy miał siedemdziesiąt lat, pod ogromnym naciskiem premiera Portugalii, hiszpańskiego króla Ka-

rola III oraz wpływowych postaci francuskiego dworu, papież Klemens XIV rozwiązał zakon jezuitów. Wolterowi nie podobały się rządy królów, ale o wiele bardziej nie lubił Kościoła katolickiego. Nazywał go *l'infame* (nędznikiem). Wiedział, że jezuici w tamtych czasach byli najpotężniejszym i najskuteczniejszym organem Kościoła. Powiedział: *Kiedy zniszczymy jezuitów, rozprawimy się z nędznikiem po swojemu*"[31]. Rozwiązanie zakonu powitał z największą satysfakcją, mówiąc: *W ciągu dwudziestu lat z Kościoła nic nie zostanie*[32]. Dwadzieścia lat później nadszedł rok 1793 – rok Terroru, rok, w którym Rewolucja Francuska najpierw zniosła chrześcijański kalendarz, a następnie zabroniła oddawania czci Bogu.

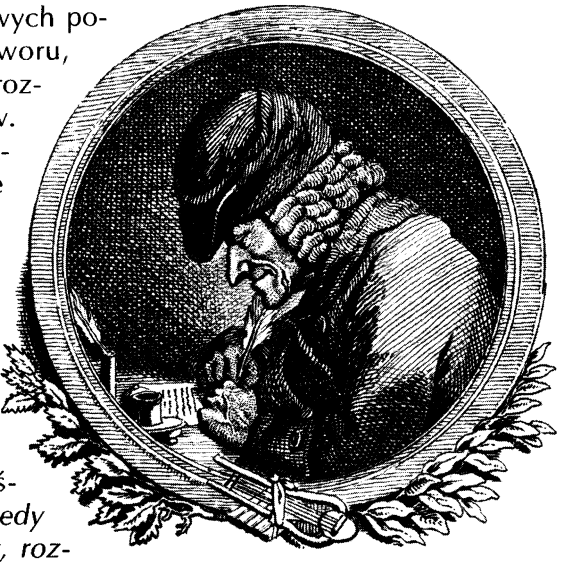

Francois-Marie Arouet (Wolter)

Młody człowiek, o którym wspomniałem wcześniej, to Louis Antoine Saint-Just. W 1789 r., kiedy zwołano Stany Generalne, liczył sobie 22 lata. Pochodził z Nivernais w środkowej Francji. Był piękny niczym anioł, miał ciemne włosy i bardzo jasną karnację. Tamtego roku opublikował poemat satyryczny zatytułowany *Organt au Vatican*. Większa część tekstu była zjadliwym, skatologicznym atakiem wymierzonym w Kościół, jego biskupów, księży, mnichów i zakonnice. Zawierał także lekko tylko zawoalowaną, ostrą krytykę Ludwika XVI i Marii Antoniny. O człowieku jako takim Sain-Just napisał te oto słowa: *Człowiek jest zwierzęciem tak jak niedźwiedź, czy lew, jego cechy to popełnianie błędów i głupota, złośliwość, pycha*

[31] Martin P. Harney, *The Jesuits in History*, New York 1941, str. 298.

[32] Cronin, str. 225.

i ambicja... Jego serce składa się z pychy i interesowności; lęka się, czego nienawidzi, i gardzi tym, co kocha[33]. Jeśli tak, człowiek może uzyskać pomoc od Szatana. W najbardziej odkrywczym fragmencie poematu Saint-Just opisuje, jak diabły dokonują inwazji Nieba i umacniają się w nim.

Jest to największe, choć niemożliwe do zrealizowania marzenie Piekieł, od czasu, gdy Chrystusowa ofiara na Kalwarii otworzyła Niebiosa. W okresie Rewolucji Francuskiej Louis Antoine Saint-Just stał się najważniejszym po Robespierze architektem Terroru. Jego lodowatej pewności siebie nie naruszyło morze rozlanej krwi. Ludzie nazywali go „Aniołem Śmierci". W tamtych dniach maja 1789 roku, kiedy zwoływano obrady Stanów Generalnych, rozgrywały się sceny bez precedensu, których pamięć ludzka dotąd nie znała. Prawnicy i dziennikarze, którzy zdominowali największą izbę, jaką był Trzeci Stan, w zgiełku i chaosie zgłaszali podburzające żądania fundamentalnych zmian. W rezultacie w trakcie posiedzeń przechodzono od jednego kryzysu do następnego. Oszołomiony Ludwik XVI nie miał pojęcia, w jaki sposób przywrócić spokój. Kiedy na rozkaz króla zamknięto salę w pałacu wersalskim, w której dotychczas zbierali się przedstawiciele Trzeciego Stanu, cała Izba oraz jej zwolennicy z dwóch pozostałych Stanów zgromadzili się w sali do gry w piłkę i ogłosili Zgromadzeniem Narodowym, które się nie rozwiąże dopóki Francja nie będzie miała konstytucji.

Louis Antoine Saint-Just

Hrabia Artois, młodszy brat króla i bardziej od niego operatywny, uznał, że wie, co należy z tym zrobić. Nazajutrz zarezerwował salę dla siebie.

[33] *Ibid.*, str. 234.

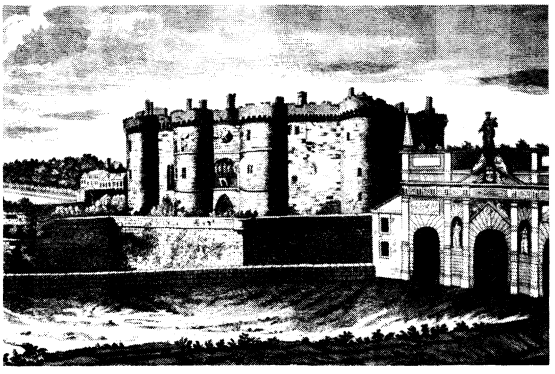

Bastylia

Działo się to pod koniec czerwca roku 1789. 14 lipca podburzone oracjami Kamila Desmoulins pospólstwo ruszyło do szturmu na Bastylię – starą paryską twierdzę i więzienie. Poprowadził je groźny Stanislas Maillard – wysoki, ciemnowłosy, posępny gruźlik. W Bastylii znaleziono siedmiu zaledwie więźniów – czterech fałszerzy, pewnego hrabiego oskarżonego o kazirodztwo oraz dwóch szaleńców. Jednym z nich był Irlandczyk o długiej na metr brodzie, który uważał, że jest Bogiem. Nim jednak dzień dobiegł końca, motłoch rozdarł na sztuki gubernatora Bastylii de Launaya oraz burmistrza Paryża Flesselles'a i paradował po mieście z ich głowami nadzianymi na piki. Niecałe trzy miesiące później podobny motłoch, ponownie pod przywództwem Maillarda, omal nie zabił w Wersalu królowej i siłą sprowadził rodzinę królewską do Tuileries (gdzie przetrzymywano ich do 10 sierpnia 1792 r.). Tym razem również na czele pochodu niesiono ludzkie głowy zatknięte na pikach.

W czasie, gdy król przebywał w areszcie, rewolucjoniści rozmontowali dosłownie całą strukturę polityczną i społeczną Francji. Konstytucja, która – jak twierdzili – była ich pierwszym i najważniejszym celem, została uchwalona w roku 1791. Miejsce Zgromadzenia Narodowego zajęło Zgromadzenie Ustawodawcze, ale konstytucja przepadła w płomieniach owego dnia, kiedy uderzono w dzwony. Rzeczywistym i ważnym dorobkiem Rewolucji było dzieło destrukcji państwa – przedsięwzięcia takie jak to, kiedy jednym pociągnięciem pióra zlikwidowano wszystkie historyczne prowincje Francji, głęboko zakorzenione w przeszłości i bogate w tradycje, które każdemu Francuzowi nadawały nazwisko od miejsca zamieszkania. Zastąpiono je dwukrotnie większą liczbą „departamentów", których granice wytyczono nie zważając na położenie prowincji.

Najważniejszy jednak był demontaż francuskiego Kościoła. Już w listopadzie 1789 r., niecały miesiąc po tym, jak rodzinę królewską przemocą uprowadzono z Wersalu, rząd narodowy przejął całość kościelnego majątku. W sierpniu 1790 r. Konstytucja Cywilna Kleru stała się prawem. Ludwik XVI posłuchał złej rady i niechętnie ją zaakceptował. To pociągnęło za sobą całkowitą reorganizację francuskiego Kościoła. Diecezje dostosowano do granic departamentów, nakazano nowy sposób wybierania biskupów i proboszczów, który odbierał te uprawnienia papieżowi i istniejącym władzom kościelnym. Kiedy papież Pius VI odrzucił Cywilną Konstytucję Kleru (choć nie ogłosił tego publicznie), Zgromadzenie zażądało od wszystkich francuskich duchownych złożenia przysięgi jej przestrzegania. 26 grudnia 1790 roku, w chwili tragicznej słabości, za co nigdy nie przestał siebie potępiać, Ludwik XVI podpisał tę ustawę w przekonaniu, że większość księży tak czy owak ową przysięgę złoży.

Charles Maurice Talleyrand

Nie uczynili tego. Ogromna większość z heroizmem ją odrzuciła, mimo że owa decyzja kosztowała ich utratę stanowisk, a wielu także i życia. W samym Zgromadzeniu, które wydało zarówno Konstytucję Cywilną Kleru, jak i ustawę o konieczności przysięgi, złożyło ją zaledwie dwóch na czterdziestu dziewięciu zasiadających w nim biskupów i tylko jedna trzecia księży. W całym kraju przysięgę złożyło ledwie 45 procent duchownych, a wielu publicznie ją odwołało, gdy tylko w marcu 1791 roku papież Pius VI Cywilną Konstytucję Kleru uroczyście potępił, jako schizmatycką. Jedynie sześciu z ogólnej liczby 134 biskupów złożyło ślubowanie (Cóż za uderzający kontrast w porównaniu z biskupami Anglii z czasów Henryka VIII!). Na czele owej szóstki stał Charles Maurice Talleyrand, który przeszedł do legendy jako ten, który zawsze na czas potrafił opowiedzieć się po stronie zwycięzcy. Ponadto należeli do niej

Loménie de Brienne, któremu Ludwik XVI odmówił rekomendacji na arcybiskupa Paryża, ponieważ *arcybiskup Paryża musi przynajmniej wierzyć w Boga*[34], „zbir" Savine, „szaleniec" Gobel, do którego miało przylgnąć miano „konstytucyjnego" arcybiskupa Paryża i który w owym strasznym miesiącu – listopadzie 1793 roku, kiedy we Francji zniesiono chrześcijaństwo, wyparł się kapłaństwa przed Konwentem, oraz Miroudot, który jakże adekwatnie do sytuacji, był tytularnym biskupem Babilonu. Pozostałych 128 powiedziało „nie". 11 stycznia 1791 roku w ich imieniu przemówił do Zgromadzenia sędziwy biskup Poitiers: – Od trzydziestu pięciu lat jestem biskupem. Choć przygiął mnie wiek oraz praca, nie zhańbię swoich siwych włosów. Odmawiam złożenia przysięgi[35].

Przed 10 sierpnia jedyną karą przewidzianą dla duchownych, którzy odmówili ślubowania, było usunięcie z parafii lub diecezji. Rzecz dość dotkliwa, szczególnie dla zwykłych proboszczów, ponieważ w większości przypadków było to ich jedyne źródło utrzymania. Zakony religijne zdelegalizowano już wcześniej, a ich majątek w majestacie prawa przekazano rządowi. Mimo to przed 10 sierpnia owe przepisy nie były egzekwowane powszechnie. Teraz jednak atmosfera uległa zmianie i duchowni ci zaczęli być postrzegani jako zdrajcy. Wielu z tych, którzy mieszkali w Paryżu, jako pierwsi padło ofiarą prawa wydanego przez Zgromadzenie 11 sierpnia, dokładnie dzień po detronizacji króla. Uznawało ono faktyczne rządy powstańczej Komuny w stolicy, upoważniając ją do prowadzenia dochodzeń w sprawach *przestępstw wymierzonych w bezpieczeństwo państwa*[36] oraz aresztowania podejrzanych i stawiania ich w stan oskarżenia. Duchowni, którzy nie złożyli przysięgi, zajmowali czołowe miejsce na jej liście. Zaczęto ich aresztować około 15 sierpnia, tuż przed dniem Wniebowstąpienia, który był oficjalnym świętem państwowym.

Tamtego dnia Nicolas LeClercq z Boulogne, duchowny, który od dwudziestu czterech lat był członkiem Chrześcijańskich Braci, nosił w zakonie imię Salomon i zajmował się bezpłatnym naucza-

---

[34] *Ibid.*, str. 263.

[35] J.M. Thompson, *The French Revolution*, New York 1945, str. 165.

[36] *The Cambridge Modern History* (first edition), tom VIII, *The French Revolution*, New York 1908, str. 240.

niem dzieci, siedział w jednej z paryskich szkół należących do jego zakonu i pisał list do swojej siostry Marie-Barbe, która mieszkała w Boulogne. Zasugerował jej w nim, że jeśli nie będzie już dłużej możliwe uczestniczenie we mszy odprawianej przez księdza, który nie zaparł się Rzymu, ona i jej rodzina powinni nadal codziennie odmawiać modlitwy mszalne.

Pisał dalej:

Jeśli Bóg pozwoli, przyjadę, dołączę do was i zmieszam moje łzy z waszymi. Lecz nie! Cóż ja mówię? Czemuż mamy płakać, skoro Ewangelia mówi nam, abyśmy radowali się, kiedy w imię Chrystusa przychodzi nam cierpieć? Znośmy je zatem radośnie, dziękując Mu za krzyż i nieszczęścia, jakie może nam zesłać[37].

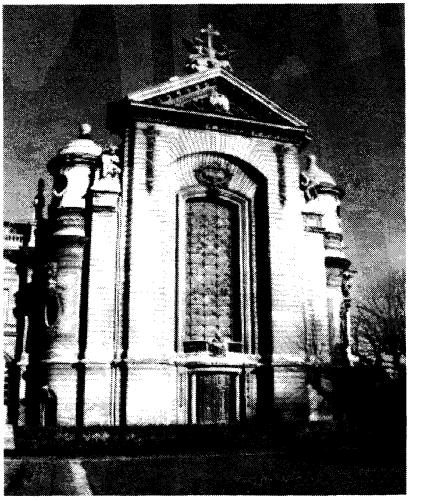

Seminarium Saint-Sulpice

Wieczorem, niedługo po wysłaniu listu, brat Salomon zorientował się, że budynek szkoły jest otoczony przez pięćdziesięciu członków Gwardii Narodowej (tych samych, którzy pięć dni wcześniej odmówili obrony swego króla). Przeszukali pomieszczenia i zaprowadzili go do pobliskiego seminarium duchownego Saint-Sulpice, które teraz zajmowała Komuna. Tam odbyło się przesłuchanie. Nie trwało długo.

– Nazwisko?

– Nicolas LeClercq.

– Jesteś księdzem?

– Nie.

– Należysz do jakiegoś zakonu religijnego?

– Tak, do Braci Szkół Chrześcijańskich.

– Jakie zajmowałeś w nim stanowisko?

[37] W.J. Battersby, *Brother Solomon, Martyr of The French Revolution*, London, 1960, str. 7.

– Sekretarza Superiora Generalnego.

– Złożyłeś przysięgę? – Przesłuchujący miał oczywiście na myśli przysięgę przestrzegania i akceptacji Konstytucji Cywilnej Kleru, która oznaczała odrzucenie władzy Papieża i Kościoła katolickiego.

– Nie.

– Umieśćcie go u Karmelitów[38].

Chodziło o wielki klasztor karmelitów. Kamień węgielny pod jego budowę położono 180 lat wcześniej, zaledwie trzydzieści lat po śmierci świętej Teresy z Avila. Teraz przejęła go Komuna i wykorzystywała jako więzienie. Rewolucja zwróciła się przede wszystkim przeciwko zakonom kontemplacyjnym, ponieważ rewolucjoniści uważali, że są całkowicie bezużyteczne i pasożytują na „rzeczywistym świecie". Więzienie jest rzeczą o wiele praktyczniejszą aniżeli zakon kontemplacyjny! W ciągu zaledwie kilku dni zamknięto tam setki innych duchownych, głównie tych, którzy nie złożyli przysięgi. Był pośród nich John de Lau, arcybiskup Arles – miejscowości na południu Francji, która już w czasach rzymskich była siedzibą biskupstwa.

13 sierpnia Komuna zażądała od Zgromadzenia utworzenia nadzwyczajnego trybunału dla osądzenia *zbrodni 10 sierpnia*[39] (Rozumieli przez to przeciwstawianie się napaściom, dokonywanym tamtego dnia, planowanie lub sam tylko zamiar obrony króla, a zwłaszcza przejawy braku poparcia dla tego, co zaszło). Zgromadzenie zdążyło już przekazać zdetronizowanego władcę i jego rodzinę Komunie, która umieściła ich w wieży Temple – jednym z najcięższych paryskich więzień, a 11 sierpnia upoważniło Komunę do ich aresztowania. Tym razem poproszono parlament, aby przyznał Komunie uprawnienia sądu, ławy przysięgłych i kata oraz zaakceptował jej wyroki jako ostateczne i nie podlegające żadnej apelacji. Zgromadzenie wahało się, ale jego pozycja została nieodwracalnie osłabiona, bo 10 sierpnia przegłosowało własne samorozwiązanie. Było to konsekwencją zaakceptowanego przez nie zawieszenia konstytucji i likwidacji monarchii. 15 sierpnia, a więc w dniu aresztowania brata Salomona, przed Zgromadzeniem wystąpił Robespierre i w ostrych słowach nakłaniał je do pośpiechu:

---

[38] *Ibid.*, str. 10.

[39] Bowers, str. 237.

Od dziesiątego (sierpnia) *słuszne pragnienie narodu, który domaga się pomsty, nie zostało zaspokojone. Nie mogę pojąć, jakież to nieprzezwyciężone przeszkody faktycznie stoją temu na przeszkodzie (...) Nadal wszak chodzi wyłącznie o zbrodnie popełnione podczas powstania 10 sierpnia, co i tak nadmiernie ogranicza zemstę ludu, gdyż zbrodnie owe sięgają okresu znacznie wcześniejszego... Domagamy się, aby winnego sądzili komisarze delegowani z każdej sekcji* (Paryża), *jako sąd najwyższej instancji* (Aplauz)[40].

Deputowany Chabot, były ksiądz, który 10 sierpnia zmusił rodzinę królewską do wejścia do kabiny dla stenografa, natychmiast zaczął optować za tym, aby życzenie Robespierre'a stało się prawem, na to jednak ciągle nie zgadzał się Brissot, przywódca żyrondystów. Dlatego też 17 sierpnia tymczasowa reprezentacja Komuny stawiła się w Zgromadzeniu, aby przypomnieć mu, w czyich rękach znajdują się piki i strzelby.

Przyszedłem, aby jako obywatel i ludowy urzędnik sądowy powiedzieć wam, że dziś o północy uderzą na trwogę dzwony i odezwą się bębny. Lud jest zmęczony czekaniem na pomstę. Baczcie, aby sam nie wymierzył sprawiedliwości. Żądam, żebyście natychmiast zarządzili, by z każdej sekcji oddelegowano jednego obywatela dla utworzenia trybunału karnego. Żądam, aby ustanowiono go w Tuileries; niech Ludwik XVI i Maria Antonina zaspokajają swą nienasyconą żądzę krwi ludu, przyglądając się tej, która krąży w ich łajdackich sługusach.

Zgromadzenie skapitulowało natychmiast i wydało ustawę dokładnie w takiej formie, jakiej Robespierre zażądał. Po raz kolejny dano jasno do zrozumienia, kto rzeczywiście rządzi Francją.

Nowy trybunał szybko wziął się do pracy. Rankiem 21 sierpnia wysłuchał sprawy Louisa Conolot d'Angremonta, oskarżonego o próbę zorganizowania grupy zbrojnych w celu obrony króla. Zanim dzwony wybiły południe, był już osądzony i skazany na śmierć za wierność suwerenowi i klauzuli konstytucji, która gwarantowała królowi nietykalność osobistą. Ponieważ przewidywano, że Conolot d'Angremont będzie pierwszym z wielu skazańców, Komuna przygotowała się do nadciągającej fali egzekucji. Na placu Carrousel,

[40] Louis-Philippe, *Memoirs, 1773-1793*, ed. John Hardman, New York 1977, str. 256.

naprzeciw pałacu Tuileries, gdzie 10 sierpnia pospólstwo gromadziło się przed atakiem, ustawiono najnowsze narzędzie do zabijania – przerażający wynalazek budowniczego fortepianów o nazwisku Schmidt, powszechnie jednak kojarzone z doktorem Guillotin, który zalecał jego używanie, widząc w nim bardziej humanitarny sposób zabijania niż powieszenie. Był to czarny, wysoki przedmiot z dwiema długimi prowadnicami, pomiędzy którymi z ogromną siłą opada-

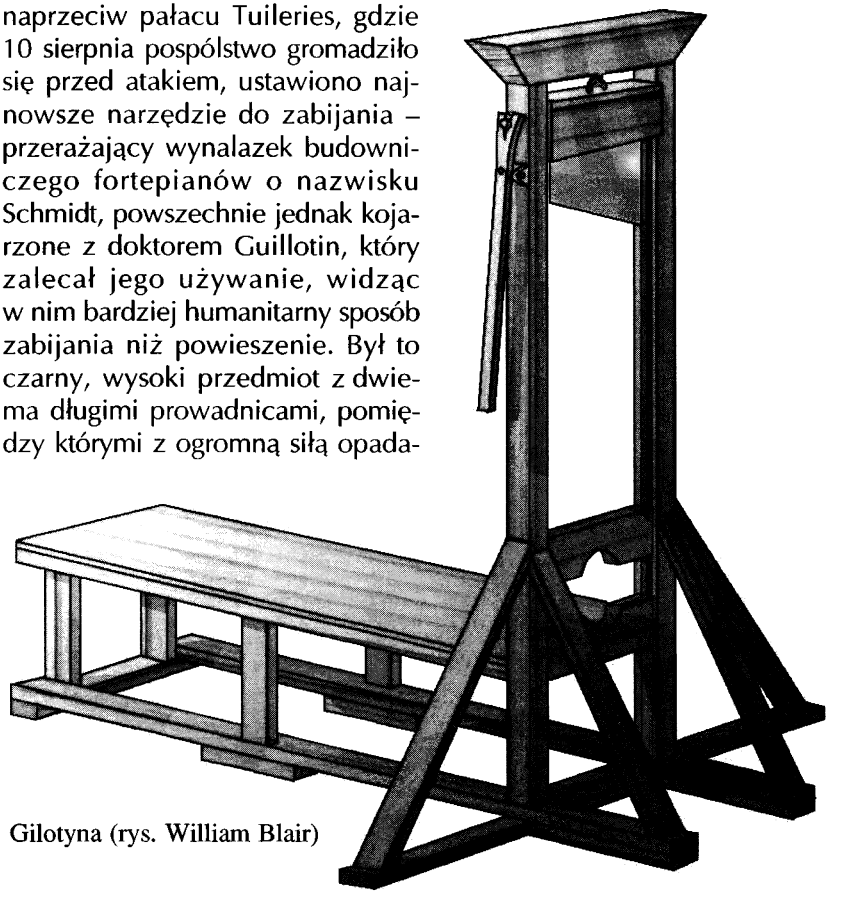

Gilotyna (rys. William Blair)

ło potężne ostrze. Poniżej, tam gdzie uderzało, umieszczano szyję skazańca. Odcięta głowa ofiary wpadała do skórzanej torby. Gilotyna weszła do użytku właśnie tamtego roku i zdążono już stracić nią kilku zwykłych przestępców. Owego dnia, w przyjemne i ciepłe popołudnie upomniała się o Louisa Conolot d'Angremonta, swą pierwszą polityczną ofiarę.

24 sierpnia sięgnęła po kolejną. Był nią Arnaud Laporte, sekretarz Listy Cywilnej. 25 VIII jako trzeci wstąpił na szafot Durozoy, dziennikarz „Gazety Paryskiej". Zagorzali adoratorzy i obrońcy Rewolucji Francuskiej nieczęsto o tym pamiętają. Zaiste dziwnie to

świadczy o oddaniu dla idei demokratycznych swobód, jeśli trzecią z tysięcy politycznych ofiar tej rewolucji był reporter gazety.

Minister Sprawiedliwości Danton nie był jednak zadowolony z tempa pracy nadzwyczajnego trybunału. Uważał, że nie zabija dość szybko. Znał odpowiedniego człowieka, który miał je przyspieszyć. Pod koniec sierpnia dokooptował do trybunału swego jakże użytecznego zausznika Antoine'a Quentina Fouquier-Tinville'a. W ciągu kolejnych dwóch lat Tinville świetnie zaznajomi się z gilotyną.

26 sierpnia, dzień po tym, jak Durozoya posłano na gilotynę, do Paryża dotarły wieści, że połączone armie Prus, Austrii oraz wypędzonych arystokratów najechały kraj i zajęły przygraniczną fortecę w Longwy.

W kwietniu tego samego roku rząd rewolucyjny, przy bardzo niechętnej aprobacie uwięzionego króla, wypowiedział wojnę Prusom i Austrii. Władze tych krajów bardzo krytycznie odnosiły się do Rewolucji. Interesy Francji kolidowały z austriackimi w Belgii (rządziła nią Austria, ale większość ludności mówiła po francusku) i Alzacji (władała nią Francja, ale większość mieszkańców była niemieckojęzyczna). Mimo to, nie istniał żaden poważny powód, a już na pewno nie konieczność, aby prowadzić wojnę. Żyrondyści, którzy w tamtym czasie dominowali w Zgromadzeniu, poparli ją, ale była to rozpaczliwa próba zjednoczenia rozpadającego się narodu poprzez odwołanie się do patriotyzmu w obliczu zewnętrznego wroga. Wielu rojalistów również opowiedziało się za wojną, łudząc się, że przywróci ona poparcie dla monarchii. Jedni i drudzy fatalnie się pomylili, a większość ich przywódców miała ów błąd przypłacić życiem. Wojna ta w żadnym razie nie może tłumaczyć źródeł Rewolucji, rozpoczęli ją bowiem jej liderzy. Rychło zresztą jęli odcinać się od własnego dzieła w płonnej nadziei, że uda się jeszcze zmienić kurs wydarzeń.

Maria Józef Lafayette

Rewolucja w znacznym stopniu zdezorganizowała wszystkie instytucje państwa. Nie ominęło to również francuskiej armii, która znajdowała się w stanie bliskim całkowitego chao-

su. Lafayette – jedyny kompetentny generał, który 10 sierpnia nadal był w czynnej służbie, dziewięć dni później wolał oddać się do niewoli Austriakom, niż walczyć w obronie reżimu, który obalił króla. Oficerowie, którzy pozostali w armii, a służyli jeszcze poprzedniej władzy, byli ludźmi małego ducha i niewielkich umiejętności. Kierowała nimi już to zwykła inercja, już to ogromne możliwości awansu, jakie otworzyło przed nimi odejście ze służby bądź zdymisjonowanie dużej liczby oficerów, którzy pozostali lojalni wobec monarchy. Inną grupą byli oficerowie znacznie od nich młodsi, którym rząd rewolucyjny w przyspieszonym tempie rozdawał awanse, ale w ich przypadku żadne, nawet największe uzdolnienia nie mogły zrekompensować braku doświadczenia. Czas najmłodszych, którzy dopiero co wstąpili do armii, jeszcze nie nadszedł (Często przypomina się, że wśród ochotników, którzy wstąpili do wojska w 1791 r., było siedmiu przyszłych marszałków Napoleona, w żaden sposób nie mogło to jednak pomóc armii w roku 1792 r., ponieważ wszyscy oni byli wtedy o wiele za młodzi, aby mieć na nią jakikolwiek wpływ). Połączone siły Austrii i Prus pod dowództwem księcia Brunszwiku, które stanęły na wschodniej granicy Francji, były mniej więcej równe liczebnie wojskom francuskim, ale znacznie przewyższały je zdyscyplinowaniem i kwalifikacjami dowódców. Siły ognia, a może także spójności, przydawało armii księcia Brunszwiku około pięć tysięcy rozwścieczonych francuskich arystokratów, których Rewolucja wygnała z kraju. Każdy z nich był dzielny i gotowy na wszystko, ale nie byli przyzwyczajeni, by walczyć jako regularny oddział. Stanowiło to pewien problem, podobnie jak ustawiczne trudności pojawiające się we współpracy pomiędzy Prusakami i Austriakami. Mimo to jednak w Europie powszechne było przekonanie, że siły inwazyjne odniosą zwycięstwo. Longwy poddała się niemal bez żadnego oporu, a 30 sierpnia książę Brunszwiku rozpoczął oblężenie znacznie większej twierdzy w Verdun.

Zaniepokojenie inwazją było znaczne, ale bynajmniej nie powszechne. Komuna niezwłocznie postanowiła to wykorzystać do umocnienia swojej władzy i zyskania jeszcze bardziej napawającego lękiem wizerunku. Wieczorem 28 sierpnia Danton stanął przed Zgromadzeniem, aby oświadczyć, że Komuna zamierza przeszukać każdy paryski dom, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim broni lub ludzi podejrzewanych o zdradę.

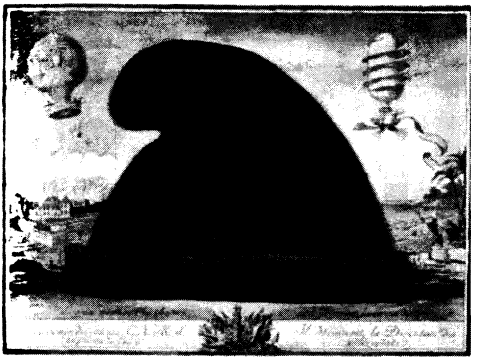

Czapka frygijska – symbol rewolucyjnego radykalizmu

– Kiedy statek tonie – grzmiał stentorowym głosem – załoga wyrzuca za burtę wszystko, co może narazić jej życie na niebezpieczeństwo. Podobnie z łona narodu muszą być usunięte wszystkie potencjalne zagrożenia.

Biorąc pod uwagę, że Zgromadzenie zezwoliło wcześniej Komunie na osądzanie podejrzanych, oraz fakt, że tylko ona dysponowała w Paryżu rzeczywistą władzą, Danton nie potrzebował już jego przyzwolenia na tę akcję, ale czuł, że jeśli ją otrzyma, dodatkowo umocni swoją pozycję. Dostał je bez trudności. Wyszedł ze Zgromadzenia o północy, wspiął się do powozu (Minister Sprawiedliwości jeździł z wielką pompą) i rozkazał woźnicy popędzić konie do galopu. Powóz z turkotem pomknął ulicami w stronę Ratusza (czy Danton rzucił choćby okiem na schody, gdzie na jego rozkaz, zaledwie dziewiętnaście dni wcześniej z zimną krwią zastrzelono markiza de Mandat?). W magistracie Danton wręczył dekret o przeszukaniu wyznaczonym komisarzom Komuny.

Inspekcje w domach oznajmiane będą biciem w bębny. Inspekcji dokonają komisarze sekcji, którym towarzyszyć będzie stosowna liczba zbrojnych. W imieniu narodu zażądają od każdego złożenia dokładnej deklaracji na temat ilości posiadanej broni. Po jej złożeniu, jeżeli ktoś okaże się podejrzany, jego dom zostanie dokładnie przeszukany. Jeśli deklaracja będzie nieprawdziwa, osoba, która ją złożyła, zostanie niezwłocznie aresztowana. Jeżeli w trakcie trwania inspekcji w domach osoba mająca w Paryżu miejsce stałego zamieszkania, zostanie znaleziona w domu kogoś innego, zostanie uznana za podejrzaną i jako taka aresztowana. Komisarze sekcji będą wyposażeni w rejestr, w którym dokładnie odnotują nazwiska wizytowanych osób i liczbę znalezionej broni. Z taką samą starannością zapiszą nazwiska osób nieobecnych w domach i zapieczętują drzwi

do ich mieszkań. Domy całkowicie opustoszałe, i do których komisarze nie zdołają się dostać, zostaną zamknięte na kłódki.

Przeszukania przeprowadzono 29 sierpnia wieczorem. Zajęło to dwie godziny. Akcją dowodził piwowar Santerre, następca Mandata na stanowisku dowódcy Gwardii Narodowej. Znaleziono zaledwie dwa tysiące muszkietów (Danton mówił, że spodziewa się osiemdziesięciu tysięcy). Rzeczywistym celem rewizji nie było poszukiwanie broni, lecz ludzi podejrzewanych lub znanych z wrogiego nastawienia do rewolucyjnych władz. Aresztowano i uwięziono około cztery tysiące osób. Istnieją dowody, że, co prawda, Danton zaakceptował plan akcji i oficjalnie przewodził jego realizacji, ale pomysł zrodził się w owładniętym gorączką i prawdopodobnie chorym umyśle Jeana-Paula Marata. Od samego początku plan ów zakładał wymordowanie wielu tych, którzy zostaną zatrzymani.

Jean-Paul Marat

Marat należy do owej, na całe szczęście nielicznej, grupy postaci historycznych, o których chrześcijanin może szczerze i z miłosierdziem powiedzieć, że żywi nadzieję, iż byli po prostu szaleńcami. Dzisiaj nawet najzagorzalsi zwolennicy Rewolucji Francuskiej z obrzydzeniem odwracają się od Marata; podobnie uczyniło wielu mu współczesnych. Podawał się za lekarza i naukowca, ale był szarlatanem: dyplom medyka kupił sobie na szkockim Uniwersytecie św. Andrzeja. Utrzymywał, że stworzył teorię elektryczności, która lepiej niż newtonowska wyjaśnia funkcjonowanie fizycznego wszechświata. Wściekł się, kiedy Francuska Akademia Nauk, na której nie wywarła ona większego wrażenia, odmówiła przyjęcia go w szeregi swoich członków. Początkowo jego nazwisko brzmiało Mara. Ojciec Jeana-Paula był katolikiem-odszczepień-

cem z Cagliari na Sardynii, matka zaś kalwinistką z Genewy. Rodzice osierocili go, kiedy był nastolatkiem. Jako wagabunda przemierzał Europę, aż trafił do Londynu, gdzie najprawdopodobniej wiódł żywot przestępcy. J.M. Thompson pisze, że:

Istnieją właściwie dostateczne podstawy, aby twierdzić, że Jean-Paul Marat i John Peter Le Maitre, alias Mara, który uczył francuskiego w Warrington Academy, a następnie w Oxfordzie, gdzie zamieszkiwał wraz z żoną w domu na rogu Broad i Turi, i którego dziecko ochrzczono w kościele św. Michała w Horn, to jedna i ta sama osoba. Wyjaśniałoby to niewytłumaczalne luki w jego życiorysie z okresu pobytu w Anglii. Osobnik ów zrabował kolekcję cennych medali z oksfordzkiego muzeum Ashmolean. Sir John Fielding wysłał za nim pogoń, przed którą Mara uciekał do Londynu, Norwich i Lichfield. Został aresztowany w Dublinie, osadzony w Oxford Castle, a sąd kanclerski skazał go na więzienie[41].

Nie wiemy, czy Maratowi udało się uciec ze statku-więzienia, czy został zwolniony. W roku 1777 ponownie zjawia się w Paryżu i udaje mu się zatrudnić w charakterze lekarza w gwardii przybocznej brata monarchy, księcia Artois (tego samego, który w odpowiedzi na przysięgę Zgromadzenia złożoną w sali do gry w piłkę, następnego dnia po prostu zarezerwował ją dla siebie). Marat prowadził także rozbudowaną praktykę prywatną, obracającą się wokół rozprowadzania „sztucznej wody antygruźliczej" – mikstury, która składała się głównie z wody i kredy. Kiedy nadeszła Rewolucja, powitał ją z wielkim entuzjazmem. Krewkość jego języka była nieomal nie do uwierzenia i znacznie wyprzedzała czasy, w których żył. W czasie kilku pierwszych tygodni Rewolucji napisał: *Kiedy człowiek potrzebuje wszystkiego, ma prawo odebrać innemu nadmiar, w którym tamten się pławi: ba, ma prawo poderżnąć mu gardło i pożreć jeszcze żywe ciało*[42]. We wrześniu zaczął wydawać własną gazetę „Przyjaciel Ludu", która szybko zyskała szerokie grono czytelników, głównie dzięki szokującym tekstom. Oto typowy fragment: *Powstańcie, wy nieszczęśnicy tego miasta, robotnicy bez pracy, uliczni włóczędzy śpiący pod mostami, przydrożne rzezimieszki, żebracy bez strawy i schronienia, wagabundy, kaleki i kloszardzi.... Obe-*

[41] W oryg. *hulks*, czyli „statek-więzienie". W czasach napoleońskich w Anglii były 44 takie więzienia. (przy. tłum.).

[42] Bowers, str. 241.

tnijcie kciuki spiskującym przeciw wam arystokratom, odrąbcie języki głoszącym niewolę księżom[43].

Marata, jako człowieka, trudno było nie zauważać. Już przed rokiem 1792 ludzie nazywali go potworem. Był bardzo niski, miał tylko pięć stóp wzrostu, czarne włosy, wypukłe zielonożółte oczy i oliwkową cerę. Szczupły, lecz silny i muskularny, cierpiał na złośliwą postać choroby skóry oraz straszliwe bóle głowy. Dlatego obwiązywał ją sobie czerwoną chustą nasączoną octem. Na szczególnie uroczyste okazje przywdziewał koszule rozpięte pod szyją, za pasem zwykle nosił pistolety. Współczesnych Marata najbardziej jednak uderzało w jego wyglądzie to, że był w ustawicznym ruchu. Nigdy nie usiedział spokojnie. Kiedy szedł, jego twarz i całe ciało drgały; ktoś powiedział o nim: *on nie chodzi, on podskakuje*[44]. Szerokie usta nawiedzał nerwowy tik. Wykrzywiał wargi. Toczył wokół oczyma, nieustannie gestykulował rękami i dłońmi. Dzień po dniu tarzał się w nienawiści.

19 sierpnia 1792 roku Marat napisał w „Przyjacielu Ludu": *Najmądrzejszym i najlepszym, co można uczynić, to pójść uzbrojonym do Abbaye* [opactwa St. Germain des Prés – kolejnego kościelnego budynku, który Komuna przerobiła na więzienie], *wyciągnąć zdrajców, a zwłaszcza szwajcarskich oficerów oraz ich wspólników, i wyciąć ich w pień. Cóż to za szaleństwo, żeby zapewniać im proces!*[45]

Sam uczynił się głową czegoś, czemu nadał nazwę Komitetu Bezpieczeństwa. Podlegał on Komunie i wyznaczył Marata na oficjalnego sprawozdawcę wszystkich swoich poczynań. Komitet ów sporządził długą listę podejrzanych. Ich nazwiska przekazano ludziom, którzy 29 sierpnia przeszukiwali domy, wraz z bezwzględnym nakazem aresztowania.

W skład Komitetu Bezpieczeństwa pod przewodnictwem Marata wchodzili Jean-Nicolas Billaud-Varenne i Jean-Marie Collot d'Herbois, dwaj późniejsi członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego w okresie Terroru. Billaud-Varenne – *źle wychowany przez słabego ojca, matkę, która godziła niemoralność z religią i liber-*

---

[43] Stanley Loomis, *Paris in the Terror*, Philadelphia 1964, str. 90.

[44] *Ibid.*, str. 92.

[45] Hippolyte Taine, *The French Revolution*, tr. John Durand, New York 1881, 1962, t. II, str. 211.

tyńskiego opata, pochodził z La Rochelle – starego bastionu kalwinistów. Nieudany prawnik i niespełniony pisarz, przed Rewolucją był *nieudacznikiem, który nigdzie nie zagrzał miejsca*[46]. W 1789 roku opublikował gwałtowną napaść na Kościół katolicki pt. „Ostatni cios w uprzedzenie i przesąd". Nawoływał rząd, aby przejął kościelny majątek i nadzorował duchowieństwo. Większość katolickiej doktryny należy odrzucić, zabronić religijnych przysiąg i celibatu duchownych, zlikwidować stanowiska biskupów i uprościć liturgię mszy. Wszystkim katolikom, którzy mogli nie zgadzać się na te zmiany, dawał odpór jednym krótkim zdaniem: *Bez wątpienia możliwe jest, że haniebna interesowność wspierana przez głupią ignorancję mogą ośmielić się przeciwstawić tak postępowej reformie, ale motywy, które nimi kierują będą nazbyt godne pogardy, aby dać ucha ich wrzaskom*[47].

Co do Collota d'Herbois, był on rodowitym paryżaninem, aktorem i niewydarzonym kierownikiem teatru, rozgoryczonym powszechnym brakiem społecznego szacunku dla teatralnej profesji, pobudliwym i owładniętym łagodną paranoją.

Oczywiste jest, że ścisłe grono przywódców Komuny jeszcze zanim nadeszła noc aresztowań, najprawdopodobniej kilka dni wcześniej, postanowiło uśmiercić pokaźną liczbę uwięzionych. Proudhomme był świadkiem dyskusji pomiędzy członkami Komitetu Bezpieczeństwa, którzy rozprawiali, w jaki sposób najlepiej się ich pozbyć:

Jean-Marie Collot d'Herbois

[46] R.R. Palmer, *Twelve Who Ruled; The Year of Terror in the French Revolution*, Princeton 1941,1969, str. 12.

[47] *Ibid.*, str. 13.

Marat rzucił pomysł, aby podpalić więzienia, ale wytknięto mu, że zagroziłoby to okolicznym domom, ktoś inny doradził, żeby je zatopić. Billaud-Varenne zaproponował wymordowanie więźniów. „Powiadasz, żeby ich wyrżnąć – powiedział jeden z uczestników zebrania – ale nie znajdziesz dostatecznej liczby zabójców". Billaud-Varenne serdecznym tonem odparł: „Znajdą się". Talien okazywał, że rozmowa budzi w nim niesmak, ale nie wystarczyło mu odwagi, aby zaoponować"[48].

Danton, odnosząc się do podjętej wówczas decyzji, miał później powiedzieć: *Niewzruszenie spojrzałem w twarz własnej zbrodni i uczyniłem to*[49].

30 sierpnia za poduszczeniem Jacquesa Brissota, który dzięki sześciomiesięcznemu pobytowi w Stanach Zjednoczonych w 1778 roku, doskonale rozumiał, czym różni się praworządna republika od republiki rewolucyjnej, Zgromadzenie podjęło ostatni rozpaczliwy wysiłek ograniczenia władzy Komuny Paryża. Brissota rozwścieczyło i głęboko zaniepokoiło dokonane tamtego dnia aresztowanie Gireya-Dupré, wydawcy „Francuskiego Patrioty" – najważniejszej paryskiej gazety żyrondystów. Udało mu się nakłonić Zgromadzenie nie tylko do podjęcia uchwały domagającej się natychmiastowego uwolnienia Gireya-Dupré; wymógł na nim również polecenie rozwiązania Komuny. Przemawiając do Zgromadzenia, dał wyraz optymizmowi, który, jak pokazała historia, był całkowicie nieuzasadniony: *Nareszcie dobrym obywatelom otworzyły się oczy i uświadomili sobie, iż nie po to dwukrotnie bili się o wolność, aby złożyć ją w ręce intrygantów; zrozumieli też, że nie powinni na gruzach wszechwładzy króla i arystokratów budować nowego despotyzmu, jeszcze bardziej opresywnego i znienawidzonego*[50].

Ten nagły przypływ odwagi zaskoczył Komunę, ale był z góry skazany na porażkę za sprawą wydarzeń 10 sierpnia. Gdybyśmy posłużyli się bardzo współczesnym określeniem, powiedzielibyśmy, że Zgromadzenie Legislacyjne było politycznym bankrutem. Wyborcy zbierali się już, aby wybrać elektorów. Ci z kolei wyłonią spo-

[48] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 90.

[49] Bowers, str. 244.

[50] Eloise Ellery, *Brissot de Warville, a Study in the History of the French Revolution*, Boston 1915, str. 299.

śród siebie delegatów do Konwencji Narodowej, która zastąpi Zgromadzenie. Parlament własnoręcznie zniszczył podstawy swojej władzy, kiedy 10 sierpnia zniósł konstytucję i monarchię. Pozostał mu tylko prestiż, ale i ten gwałtownie malał. Większym szacunkiem darzono go na prowincji, która w większości nie nadążała za niewiarygodnie szybkim rozwojem wydarzeń w Paryżu, ale w stolicy był on mniejszy i nieustannie spadał. Komuna zareagowała szybko.

Burmistrza Pétiona, człowieka łatwo ulegającego wpływom, który od 10 sierpnia był prawie niewidoczny, wyznaczono na przewodniczącego delegacji domagającej się, aby Zgromadzenie wycofało się z już podjętych decyzji. Robespierre sporządził wstępną wersję rozwlekłego memorandum, dowodząc w nim, że istnienie Komuny stało się bezwzględną koniecznością. I deputacja, i memorandum dotarły do Zgromadzenia pod koniec dnia, 30 sierpnia. Parlament czekał przez cały kolejny dzień, a 1 września Thuriot, który bez wątpienia dostał od Dantona ostrą reprymendę, zaczął nalegać, aby unieważnić podjęte uchwały i „przywrócić" Komunę (która wszak ani na chwilę nie zaprzestała działalności). Niezwłocznie tak właśnie uczyniono.

Tego samego dnia, czyli 1 września, w Paryżu zaczęto rozprowadzać pamflet pod sensacyjnym tytułem: „Wielka zdrada Ludwika Kapeta[51]. Odkrycie spisku w celu wymordowania wszystkich dobrych obywateli w nocy z 2 na 3 tego miesiąca". Historykom nie udało się ustalić autora owego elaboratu, ale przywódcy Komuny na pewno znali tę publikację, ponieważ najprawdopodobniej powstała na ich zamówienie. Nie sposób było posunąć się dalej w kłamstwie i cynizmie, jako że spisek w celu wymordowania wielu dobrych obywateli w nocy z 2 na 3 września rzeczywiście istniał, ale jego autorem nie był Ludwik Kapet, lecz Komuna, która nadzorowała rozpowszechnianie pamfletu.

2 września twierdza w Verdun poddała się Austriakom, a jej dowódca, komendant Beaurepaire palnął sobie w łeb. Wiadomość o tym dotarła do Paryża dwa dni później, ale rewolucjoniści już się

[51] Rodowe nazwisko Ludwika to Bourbon, a nie Kapet. Słowo „Kapet" nigdy nie było nazwiskiem, ale przydomkiem Hugona, pierwszego króla Francji z nowej dynastii Kapetyngów, która w roku 987 objęła tron po Karolingach i z którą byli spokrewnieni (choć pokrewieństwo owe było dalekie) wszyscy późniejsi władcy Francji. *Kapet* znaczy „głowa", albo „zarozumialec".

jej spodziewali. 2 września przypadał w niedzielę; pracowali tylko nieliczni, więc nie zabrakło sposobności do wygłaszania podżegających mów, i to nie tylko w Zgromadzeniu i na zapowiedzianych wcześniej wiecach w siedzibach Komuny, ale w całym mieście: na rogach ulic oraz w parkach. O świcie Komuna wydała proklamację, którą rozwieszono w każdym zakątku Paryża: „DO BRONI, OBYWATELE, DO BRONI, WRÓG STOI U BRAM!"[52] (W rzeczywistości, wróg był na tyle daleko, że aby dotrzeć spod zdobytej fortecy do Paryża, potrzebowałby dwóch dni wytężonej jazdy. W ciągu następnych dwunastu dni książę Brunszwiku posunął się zaledwie o dwadzieścia mil). Mówcy rozbudzali w słuchaczach uczucie gniewu pomieszanego z lękiem.

Danton przywdział szkarłatny płaszcz i poszedł do Zgromadzenia. Upierał się, aby żona Gabrielle (która nie znosiła tłumów i publicznych debat), poszła z nim na galerię. Zasiadła tam w sukni z tafty oraz koronkowym czepku i przyglądała się poczynaniom męża. Danton wyjaśnił, jakie środki podjęto w celu obrony miasta. Wytłumaczył też, dlaczego wszyscy obywatele powinni być gotowi do walki. Oświadczył, że dzwony niebawem odezwą się znowu:

Ktokolwiek odmówi osobistej służby lub złoży broń, poniesie karę śmierci. Gdy zabrzmią dzwony, nie będzie to alarm na trwogę, ale wyzwanie rzucone wrogom naszego kraju. Żeby ich pokonać, panowie, trzeba nam śmiałości, jeszcze raz śmiałości i zawsze śmiałości, a Francja będzie ocalona!"[53]

Gigantyczna owacja zaczęła się w ławkach na galerii i spłynęła na parter – pisze współczesny Dantonowi biograf. – *Oklaskiwali go nawet najzagorzalsi wrogowie. Jeden z nich napisał później: „Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, ów szkaradny mężczyzna był piękny"*[54]. *Toujours de l'audace* Dantona, jest w historii Francji równie sławnym i popularnym powiedzeniem, jak w Ameryce słowa Patricka

---

[52] Louis-Philippe, str. 259.

[53] Christophne, str. 254. Polskie tłumaczenie zdania Dantona, które zwykle spotykamy w literaturze przedmiotu to: *Odwagi, odwagi jeszcze raz odwagi!*, jednak nie oddaje ono dokładnie intencji mówcy, który wszak mógł się posłużyć słowem *courage*. „Śmiałość" wydaje się lepiej oddawać rewolucyjną atmosferę, sens oraz nastrój tamtych dni (dop. tłum.).

[54] Christophne, str. 255.

Henry'ego[55]: *Dajcie mi wolność albo śmierć!* Rzadko, a może nawet nigdy, nie zdarzyło się już, aby tak krasomówcze i porywające wezwanie ziściło się w równie kuriozalny i makabryczny sposób.

I tak o drugiej po południu w niedzielę 2 września 1792 roku w Paryżu rozległo się niemilknące ding-dong wszystkich dzwonów. Zagrzmiały działa sygnałowe, odezwały się bębny, zebrała milicja, a nad ratuszem załopotała czerwona flaga. Około trzydziestu minut później z magistratu wyruszyły cztery powozy i budząc echo w opustoszałych ulicach, pomknęły do opactwa St. Germain des Prés, które pełniło teraz rolę więzienia. Wiozły księży i zakonników, którzy odmówili złożenia przysięgi na Cywilną Konstytucję Kleru, i co za tym idzie, zgody na schizmatyczny i wrogi papieżowi kościół, jaki ustanowiła we Francji Rewolucja. Kiedy docierali już do opactwa, na stopień jednego z powozów wskoczył jakiś człowiek i dźgnął mieczem przez otwarte okno do wnętrza pojazdu. Po chwili wyciągnął ostrze ociekające krwią, wywinął nim młyńca w powietrzu i wrzasnął do przypadkowych świadków: – Więc to was przeraża, tchórze? Musicie przyzwyczaić się do widoku śmierci![56] – Potem zaczął na oślep masakrować siedzących w powozie ludzi. Po chwili dołączyli do niego inni, wśród nich również kilku z tych, którzy mieli strzec więźniów. Przerażone konie próbowały uciec. Zaciągnęły powozy wypełnione umierającymi i poćwiartowanymi duchownymi oraz ich zabójcami aż pod same bramy opactwa. Ci, którzy ocaleli, wyskoczyli i rzucili się do ucieczki. Dwóch zabito na miejscu, ledwie zdążyli postawić stopę na ziemi. Pozostałych zagoniono na podwórzec i tam polowano na nich jak na króliki. Z 24 osób, które jechały w powozach, ocalał jedynie ojciec Sicard, który opisał to wydarzenie w swoich pamiętnikach.

Jacques Nicolas Billaud-Varenne

W chwili, gdy dobijano ostatnie ofiary, na zaścielony zwłokami podwórzec wyszło energicznym krokiem dwóch mężczyzn. Billaud-Varenne z maratowskiego

[55] Patrick Henry, (1736-1799) – jeden z przywódców Amerykańskiej Rewolucji i sławny mówca. Powyższe zdanie wypowiedział w 1775 roku w Filadelfii (przyp. tłum.).

[56] Hibbert, str. 170.

Komitetu Bezpieczeństwa miał na sobie czerwoną kurtkę, był przepasany szarfą, a na głowie nosił ogromną perukę. Obok niego, z długim mieczem u boku, który obijał mu się o kolana, szedł Stanislas Maillard, człowiek o aparycji trupa – herold śmierci, człowiek, który poprowadził atak na Bastylię i dwukrotnie przewodził napaści na króla i królową: po raz pierwszy w Wersalu, a potem w Tuileries. Obaj nie mieli nic przeciwko ćwiartowaniu bezbronnych ofiar. Billaud-Varenne wygłosił krótkie przemówienie, które zakończył słowami: – Obywatele, składając ofiarę z wrogów, wypełniacie swój obowiązek!

Maillard warknął: – Nie ma tu już nic do roboty, chodźmy do Karmelitów.

– Do Karmelitów! – odwrzasnęli wynajęci zabójcy (niektórzy byli zatwardziałymi zbrodniarzami, dopiero co zwolnionymi z więzienia, aby mogli wypełnić swój „obowiązek") i pospiesznie opuścili opactwo. W tym samym czasie, pierwsze ciała ofiar wywlekano za nogi poza teren podwórza[57].

Tuż po trzeciej po południu zabójcy, uzbrojeni tym razem w pistolety, miecze i piki, wkroczyli do klasztoru, z wrzaskiem domagając się wydania umieszczonego tutaj arcybiskupa Arles. Księża i zakonnicy uwięzieni w klasztorze karmelitów zaprzątnięci byli codziennymi zajęciami w ogrodzie. Obok biskupa Arles stał opat Hébert, Superior Generalny Kongregacji Eudystów[58]. Wystąpił naprzód i poprosił, żeby osądzono ich, zanim zostaną straceni – natychmiast otrzymał postrzał w ramię. Arcybiskup ukląkł, by się pomodlić, potem wstał i powtórzył słowa Pana wypowiedziane w Getsemani: *Ja jestem tym, którego szukacie*[59]. W tej samej chwili miecz rozpłatał mu twarz, a pika pogrążyła się w piersi. Niemal równocześnie ten sam los spotkał biskupa Beauvais – innego członka episkopatu, więzionego w klasztorze karmelitów. Odrzwia klasztornego kościoła wychodziły na ogród. Księża, którym udało się dostać do świątyni, uklękli przed tabernakulum i udzielali sobie ostatniego rozgrzeszenia.

---

[57] Battersby, str. 22.

[58] Św. Jan Eudes (1601-80), kapłan normandzki. Założyciel Kongregacji pod wezwaniem Jezusa i Maryi oraz Kongregacji Sióstr Nôtre Dame de Chart (przyp. tłum.).

[59] Hibbert, str. 170.

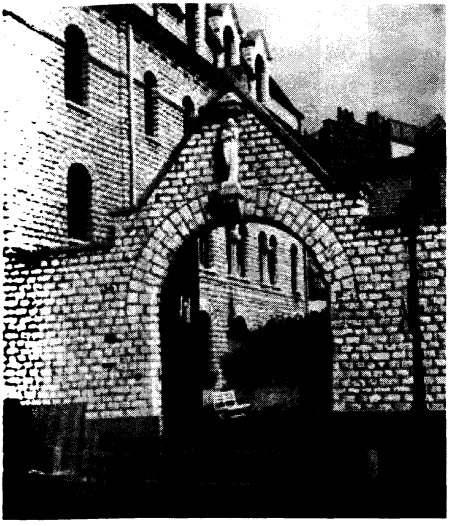

Klasztor karmelitów – rewolucyjne więzienie

Wtedy pojawił się Maillard z listą wszystkich więźniów. – Nie zabijajcie ich tak szybko. Chcemy ich wypróbować[60].

Na korytarzu postawił stół, zasiadł za nim jako sędzia, a grupę zabójców uczynił ławą przysięgłych. Korytarz był słabo oświetlony, na blacie stała jedna świeca, a wokół niej leżały fajki i butelki, które rzucały na ścianę upiorne cienie. Ocalałych więźniów doprowadzano parami, każdego z nich eskortowało trzech mężczyzn z mieczami skrzyżowanymi na wysokości jego piersi. Dwóch drabów w zakrwawionych koszulach strzegło drzwi. W migotliwym świetle Maillard wpatrywał się w listę przez okulary w srebrnych ramkach (starannie potem przechowywane przez jego potomków) i sprawdzał czas trwania „rozprawy" na szczerozłotym zegarku. Do każdego z więźniów zwracał się w taki sam sposób: – Twoje nazwisko i zawód. Uważaj, kłamstwo oznacza zgubę[61].

Następnie pytano ich, czy złożyli przysięgę na wierność Cywilnej Konstytucji Kleru. Za każdym razem słyszeli odpowiedź negatywną, wówczas padało pytanie, czy są gotowi złożyć ją teraz.

Nie odnotowano, aby ktokolwiek ją złożył. Ponieważ nie uczynili tego, mimo że Maillard dał im jasno do zrozumienia, iż jeśli zaprzysięgną posłuszeństwo schizmatycznemu kościołowi mogą ocalić życie, Kościół katolicki beatyfikował tych 191 ludzi jako męczenników[62].

---

[60] *Ibid.*, str.171.

[61] E.L. Higgins, *The French Revolution as Told by Contemporaries*, Boston 1938, str. 249.

[62] Beatyfikacji dokonał papież Pius XI w roku 1926 (przyp. tłum.).

Po wydaniu wyroku, każdą parę duchownych pędzono korytarzem do schodów, które wychodziły na ogród. U podnóża schodów, przy akompaniamencie okrzyków *Niech żyje naród!*, sztyletowano ich lub bito, póki nie wyzionęli ducha. Wydanie każdego wyroku oraz egzekucji trwało nie dłużej niż dwie, trzy minuty. Maillard mierzył czas. Niektóre ze 191 ciał wywieziono, ale większość porzucono w klasztorze, gdzie spoczywały zarzucone warstwami butelek, mioteł, skrzynek i naczyń. Siedemdziesiąt lat później archeolodzy odnaleźli tam ich zmaltretowane szczątki. Kiedy już wszyscy więźniowie karmelitańskiego klasztoru (z wyjątkiem garstki duchownych, którym w zamieszaniu udało się uciec) byli martwi, Maillard i jego wataha zabójców wrócili do opactwa. Wszak wymordowali tam tylko więźniów z powozów, w całym budynku zaś osadzono ponad 300 osób i te nadal żyły. Maillard ponownie zorganizował własny sąd.

Była już noc, na podwórcu opactwa rozpalono dwa wielkie ogniska i rozpoczęła się rzeź. Nie wszyscy więźniowie byli duchownymi albo zakonnikami, więc Maillard dla zabawy pozwolił kilku świeckim odejść wolno. Skazanych szlachtowano na dziedzińcu. Masakra trwała całą noc. Przypadkowy przechodzień, Philip Morice, widział, jak krew spływała rynsztokami rue de Seine – ulicy przy której stoi opactwo.

Owej piekielnej nocy zdarzyło się, że zrozpaczona ofiara próbowała uciec kominem. Strażnik zawiadomił o tym Maillarda, który kazał mu strzelać w głąb komina i jednocześnie ostrzegł, że jeżeli więźniowi uda się zbiec, strażnik przypłaci to życiem. Gdy okazało się, że strzelanina nie przynosi efektu, przyniesiono słomę i podpalono ją pod nieszczęśnikiem. Kiedy spadł, prawie nieprzytomny od dymu, zabito go leżącego na palenisku.

Około pierwszej nad ranem, angielski lekarz John Moore siedział w pokoju paryskiego hotelu i opisywał w swoim dzienniku przekraczające niemal ludzką wyobraźnię wydarzenia, które zaczęły się minionego dnia, ale wciąż trwały:

Czy jest to dziełem zwiedzionego i rozwścieczonego motłochu? Jakim sposobem obywatele tej ludnej metropolii mogli pozostać biernymi obserwatorami równie przerażającej zbrodni? Czy to możliwe, że jest ona wypełnieniem planu ułożonego dwa albo trzy

tygodnie wcześniej; że owe arbitralne aresztowania były przeprowadzone z myślą o niej; że pogłoski o zdradzie, planowanym powstaniu i mordach rozpowszechniano, by wzburzyć lud; że wykorzystując złe wieści znad granicy nakazano strzelać z dział i uderzyć w dzwony, żeby zwiększyć niepokój i przerażenie ludności do tego stopnia, by dała na to przyzwolenie, a w międzyczasie wynajęto bandę zbirów, żeby wymordowali tych, którym nienawiść, zemsta lub gniew przeznaczyły zagładę, a których nie mogły unicestwić prawo i sprawiedliwość?

Jest teraz dwadzieścia minut po północy, a krwawe dzieło trwa! Wszechmocny Boże![63]

Armand-Marc Montmorin

Nie zapomniano też o Zgromadzeniu, które właśnie ulegało rozwiązaniu. Kiedy Maillard odnalazł w opactwie St. Germain hrabiego Montmorin, byłego ministra spraw zagranicznych Ludwika XVI, okazał mu szczególne względy. Wniesiono go do Sali Zgromadzenia nabitego na pikę i skręcającego się z bólu. Gdy któryś z posłów ośmielił się złożyć łagodny protest na ręce ministra sprawiedliwości, Danton odpowiedział: – Mam w nosie więźniów! Muszą sami o siebie zadbać[64].

Nieprawdopodobne to, ale kiedy wschód słońca położył wreszcie kres nocy długich noży z 2 na 3 września, koszmar się jeszcze nie skończył. Masakra trwała przez cztery kolejne dni. Istnieje dokumentacja stanowiąca niepodważalny dowód, że zabójców opłacano z miejskiej kasy Paryża, którą zarządzała Komuna[65].

---

[63] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 81-82.

[64] Cronin, str. 358.

[65] Thompson, t. II, str. 221-222.

3 września niegdysiejsza rodzina królewska, która także znajdowała się wśród uwięzionych, o włos uniknęła śmierci dzięki refleksowi i elokwencji Jeana-Pierre André Daujona. Był on członkiem Komuny odpowiedzialnym za jej bezpieczeństwo. Przekonał morderców, którzy przyszli do Temple, że królowa oraz jej dzieci są wyjątkowo cennymi zakładnikami państwa, król zaś w efekcie procesu sądowego rychło zostanie stracony. Księżniczka de Lamballe, najukochańsza przyjaciółka królowej, nie miała tyle szczęścia. Działy się rzeczy przerażające, ale teraz docieramy do najgorszego. Wbrew temu, co głosi legenda, ofiarami wrześniowej masakry padli bardzo nieliczni arystokraci – wśród 1400 zabitych było ich tylko trzydziestu[66]. Najwyżej postawioną i najbardziej znaną spośród nich była księżniczka de Lamballe. Osadzono ją w więzieniu La Force. Największa grupa zabójców, która spędziła popołudnie w klasztorze karmelitów, noc zaś w opactwie St. Germain des Prés, przybyła do La Force rankiem trzeciego września. Byli bliscy całkowitego wyczerpania, bez reszty zdeprawowani szesnastoma godzinami nieustającej rzezi; wielu opętał alkoholowy szał. Kiedy zjawili się w więzieniu, z trudem można było rozpoznać w nich ludzkie istoty. W dalszym ciągu dowodził nimi Maillard. Do zwykłych już dla nich potworności dodali teraz tortury, gwałty i kanibalizm. Księżniczkę de Lamballe wprowadzono do wypełnionej zwłokami sali i postawiono przed obliczem Maillarda. Kazano jej zaprzysiąc nienawiść dla Króla i Królowej. Odmówiła, więc zakłuto ją pikami, rozsieczono mieczami i obcięto jej głowę. Następnie, jak opowiada Stanley Loomis, *jeszcze bijące serce wypruto z ciała i pożarto; odcięto ramiona i nogi, załadowano je do armaty i wystrzelono. Okropieństw, jakich*

Więzienie La Force

[66] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 82

dopuszczono się na wypatroszonym korpusie, opisywać nie sposób; tradycyjnie skrywają je mało zrozumiałe łacińskie terminy medyczne[67].

W Gwatemala City w Ameryce Środkowej, dwieście jedenaście lat wcześniej zmarł pewien starzec. Nazywał się Berna Diaz Castillo, był ostatnim z konkwistadorów, którzy podbili Meksyk, a zarazem ich dziejopisem. On lepiej niż jakikolwiek żyjący po nim człowiek zrozumiałby, co spotkało księżniczkę de Lamballe, ponieważ podobne sceny widywał codziennie na ołtarzach diabelskiego imperium Azteków, które on sam, jego towarzysze oraz ich dowódca, wielki Hernan Cortez, starli z powierzchni ziemi[68].

Głowę księżniczki osadzono na pice i poniesiono ulicami Paryża. Na Placu Bastylii przekazano ją fryzjerowi, by ją oczyścił i uczynił łatwiej rozpoznawalną, a następnie zaniesiono do Temple, śpiewając po drodze Marsyliankę oraz *Ça Ira*. Tłum zamierzał pokazać głowę Marii Antoninie.

Zaalarmowana panicznym krzykiem jednej z dam dworu, była królowa odmówiła podejścia do okna. Do pokoju wszedł oficer Gwardii Narodowej i oświadczył, że lud przyniósł coś, by jej pokazać *jak mści się na tyranach*. Co przynieśli? – Głowę kobiety Lamballe[69].

Maria Antonina upadła i straciła przytomność, nie reagowała nawet na pieszczoty dzieci. Komisarz Komuny, w którym tliły się jeszcze resztki ludzkich uczuć, litościwie zasunął żaluzje. Królowa nigdy nie zobaczyła odciętej głowy przyjaciółki. Kiedy później opowiedziano o tym Collotowi d'Herbois z maratowskiego Komitetu Bezpieczeństwa, ten wyraził swój żal, mówiąc, że: *jeśliby skonsultowano to z nim, kazałby włożyć głowę księżniczki do zamkniętego naczynia i posłał ją królowej na kolację*[70].

Nie było jeszcze wówczas człowieka zdolnego sięgnąć po miecz Hernana Corteza.

Wrześniowe masakry pochłonęły ponad 1400 ofiar, lecz Marat nie był zadowolony. Uważał, że to o wiele za mało. 10 września

---

[67] *Ibid.*

[68] Patrz W.H.Carrol, *Our Lady of Guadalupe and the Conquest of Darkness*, Front Royal, VA 1983.

[69] Cronin, str. 359.

[70] Taine, t. II, 216 n.

jeden z członków Komitetu Bezpieczeństwa zanotował: *Marat stwierdza otwarcie, że aby zapewnić sukces Rewolucji, trzeba ściąć 40000 głów*[71]. 3 września Komuna wysłała do wszystkich departamentów obwieszczenie, pod którym widniał podpis Marata. Stwierdzało ono, że: *naród zgładził wielu okrutnych spiskowców przetrzymywanych w więzieniach – był to akt sprawiedliwości, który wydawał się konieczny, aby zastraszyć zdrajców ukrywających się w więziennych murach, w chwili kiedy mamy wyruszyć na wroga. Cały kraj bez wątpienia szybko zaakceptuje ów krok, tak nieodzowny dla publicznego bezpieczeństwa*[72].

Dokument ów rozesłało Ministerstwo Sprawiedliwości.

W owe koszmarne dni Komuna Paryża nie mogła jednak zajmować się tylko zabijaniem, miała na głowie coś jeszcze. Musiała dopilnować wyborów. Wybierano właśnie do Konwencji Narodowej nowych deputowanych z Paryża. 3 września, dokładnie tego samego dnia, kiedy w potworny sposób zbezczeszczono ciało księżniczki de Lamballe, a jej głowę obnoszono po ulicach stolicy, elektorzy zebrali się na neutralnym terenie Klubu Jakobinów, uprzednio pozbywszy się wszystkich, którzy nie dość wyraźnie deklarowali poparcie dla wydarzeń 10 sierpnia. Poprzedniego dnia spotkali się w dawnym pałacu arcybiskupa Paryża i tam także zebrali się 3 września. Następnie wyruszyli z pałacu do Klubu Jakobinów. Przeszli na drugą stronę Sekwany po moście Pont-au-Change. Idąc nim, stąpali pomiędzy podwójnymi stertami okaleczonych ciał ofiar masakry w pobliskim więzieniu Châtelet. 5 września rozpoczęły się wybory deputowanych. Nie było tajnego głosowania.

Nie sposób ocenić natury Narodowej Konwencji, która odegrała kluczową rolę we wszystkim, co wydarzyło się we Francji w okresie Rządów Terroru, nie pamiętając o okolicznościach, w jakich zostali wybrani deputowani z Paryża.

Jako pierwszego, 338 głosami, przeciwko 136 oddanym na burmistrza Pétiona, wybrano Robespierre'a. Następnie, 6 września, przyszła kolej na Dantona, na którego oddano 638 spośród 700 głosów. Razem z nim przeszedł Collot d'Herbois, który chciał na pół-

[71] *Ibid.*, 218 n.

[72] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 96.

misku posłać Marii Antoninie głowę księżniczki de Lamballe. Nazajutrz wybrano Billauda-Varenne'a (*Obywatele, składając ofiarę z wrogów, wypełniacie swój obowiązek!*) oraz Louisa-Pierre'a Manuela, oskarżyciela publicznego z ramienia Komuny, który oświadczył: *Nadeszła chwila, aby zdjąć z krzyża Jezusa Chrystusa!*[73] Deputowanymi zostali również Kamil Desmoulins, rzeźnik Legendre – aktywny uczestnik rzezi, a także dwóch innych kandydatów, którym nie sposób odmówić pewnej dozy kultury: malarz David i poeta Fabre d'Eglantine. Oprócz nich wybrano byłego księcia Orleanu, który odziedziczyłby tron w przypadku śmierci Ludwika XVI, jego braci i syna. Pragnąc zapewnić sobie ocalenie, książę nazwał się Filipem Egalité (Równość). Jako ostatniego, 9 września wybrano Marata, który stosunkiem głosów 420 do 101 wygrał z wybitnym uczonym Josephem Priestleyem. Wcześniej ochroniarz Robespierre'a zastraszył Louveta, który próbował przemówić przeciwko kandydaturze Marata, lecz po tej rozmowie zrezygnował.

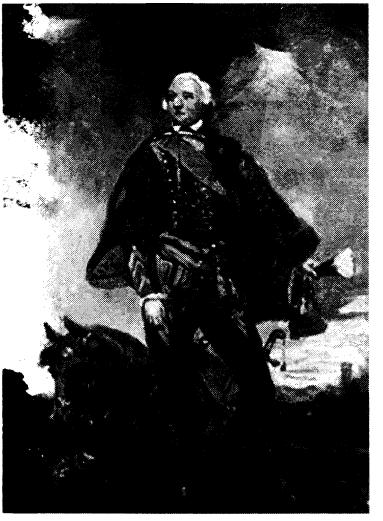

Filip Egalité

Tego samego dnia, na żądanie Komuny, Fourier zwany „Amerykaninem", agent maratowskiego Komitetu Bezpieczeństwa, zawrócił z drogi i co do jednego wymordował w Wersalu 43 więźniów stanu, których Zgromadzenie wysłało do Orleanu, próbując ocalić im życie.

Ostatnie słowo należało do Georgesa-Jacquesa Dantona. Kilka dni później przeprowadził rozmowę z Ludwikiem Filipem, synem Filipa Egalité, późniejszym królem Francji. Młodzieniec, wówczas oficer armii, zachował ją w żywej pamięci i w przyszłości często miał o niej wspominać. Ludwik Filip dał wyraz swemu przerażeniu masakrą, na co Danton odparł: – Wiesz, kto wydał rozkaz dokonania owych wrześniowych rzezi, które tak żywiołowo i nieodpowie-

[73] Madelin, str. 301.

dzialnie potępiasz? Ja!... Nie chciałem, żeby wszyscy ci młodzi paryżanie jechali do Szampanii, zanim nie zbrukają się krwią, która dla nas stanowić będzie gwarancję ich lojalności. Chciałem, aby od emigrantów oddzieliła ich rzeka krwi... Nie zależy nam na twej aprobacie; wszystko, czego od ciebie chcemy, to żebyś siedział cicho, zamiast niczym echo powtarzać opinie naszych i twoich wrogów[74].

Gabrielle, żona Dantona, pobożna katoliczka, która w sukni z tafty i koronkowym czepku z taką dumą przysłuchiwała się, jak okryty szkarłatnym płaszczem mąż krzyczy do francuskiego Zgromadzenia *śmiałości, jeszcze raz śmiałości i zawsze śmiałości, a Francja będzie ocalona!*, wiedziała już, że ten, którego podziwiała, ma na rękach krew 1400 ofiar najpotworniejszych morderstw w historii. Zdawała też sobie sprawę, że on i jego towarzysze byli bezpośrednio odpowiedzialni za męczeństwo ponad dwustu księży i zakonników Jezusa Chrystusa, którzy nie chcieli się zaprzeć Jego ziemskiego następcy. Danton prawdopodobnie czuł, jak Gabrielle się od niego odsuwa, wyczuwał, że tam, gdzie dotąd było tyle miłości, pojawił się cień odrazy. Jej modlitwy nie mogły jednak jeszcze do niego dotrzeć. Książę Brunszwiku w końcu wyruszył i teraz Danton musiał z nim się uporać.

[74] Louis-Philippe, str. 308

III

Dziwne zwycięstwo

(10 września – 30 listopada 1792 r.)

Książę Brunszwiku Karol Wilhelm Ferdynand chlubił się, że jest oświeconym despotą. Jego dziedziczne włości rozpościerały się na pofałdowanych terenach Harzu w środkowych Niemczech, pomiędzy Magdeburgiem a Hanowerem. W mozaice niewielkich niemieckich państewek, które niegdyś (choć niezbyt długo) wchodziły w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego, nie wyróżniały się one ani pod względem wielkości, ani historycznego znaczenia. Książę jednak był bardzo bogatym człowiekiem i jako generał cieszył się w całej Europie znakomitą reputacją. Mimo że nie był obywatelem Prus, wyróżnił się w Wojnie Siedmioletniej, w trakcie której walczył pod dowództwem Fryderyka Wielkiego (swego bratanka/siostrzeńca?), dzięki czemu otrzymał stopień marszałka polnego pruskiej armii. Poślubił córkę księcia Walii. Stało się to w okresie, gdy na tronie brytyjskim zasiadali przedstawiciele dynastii hanowerskiej, którzy prawie nie znali języka własnych poddanych. Po zakończeniu Wojny Siedmioletniej (1763) dużo podróżował po Europie, sporo czasu spędził we Francji, u schyłku życia Woltera spotkał się z nim w Szwajcarii. W roku 1780, w wieku czterdziestu pięciu lat, odziedziczył po ojcu tytuł księcia, a w 1787 r. dowodził pruską armią, która zaatakowała Holandię szybko, łatwo i całkowicie realizując założone cele. W chwili

wybuchu Rewolucji Francuskiej reputacja księcia Brunszwiku, jako liberała a zarazem łaskawego arystokraty, była na tyle ugruntowana, że w roku 1792 znalazł się w bardzo niecodziennej sytuacji: z jednej strony gościł u siebie uciekiniera – brata Ludwika XVI, który w przyszłości miał objąć tron jako Ludwik XVIII, jednocześnie zaś zaproponowano mu dowodzenie francuską armią rewolucyjną. Propozycję tę jednak odrzucił.

Karol Wilhelm Ferdynand, książę Brunszwiku

W życiu osobistym ogromne bogactwo księcia dawało mu wszelkie możliwości pełnego zaspokajania prywatnych upodobań. Otaczał się osobliwą kombinacją liberalnych intelektualistów i spirytystycznych mediów. Książęcy pałac przyozdobił z ostentacyjnym zbytkiem. Były tam drzwi wykonane z malachitu i kości słoniowej oraz tzw. babilońskie schody. Największą pasją księcia była jednak jego kolekcja diamentów. W 1806 r. Karol Wilhelm poległ w bitwie pod Jeną w starciu z Davoutem, marszałkiem polnym Napoleona. Sporządzony po śmierci księcia spis dóbr, które były jego własnością, ujawnił, że posiadał około 2400 diamentów *wszystkich rozmiarów, rozmaicie ciętych: rozety, brylanty, brioletty*[75].

Ponieważ w roku 1792 książę odrzucił francuską propozycję, cieszył się doskonałą opinią i nikt nie przeciwstawiał się temu, aby Karol Wilhelm objął dowództwo nad sprzymierzonymi armiami, które miały pomaszerować na Paryż i uratować monarchię. Na dworach króla Prus Fryderyka Wilhelma II oraz cesarza Austrii Leopolda II miano bardzo mgliste pojęcie o potędze i naturze sił, które doszły do głosu we Francji po roku 1789, a o wydarzeniach 10 sierpnia nie wiedziano zgoła zupełnie nic – do połowy września mało kto o nich

[75] Christophne, str. 280.

słyszał. Charakterystyczną cechą całego osiemnastego stulecia był wszechobecny i ślepy nacjonalizm. Praktycznie nie istniała żadna idea przedsięwzięcia, które miałoby prawdziwie międzynarodowy charakter. W latach 1517–1648, kiedy protestanci i katolicy toczyli długotrwałą walkę o przyszłe oblicze chrześcijaństwa, była ona jednak bliska każdemu mieszkańcowi Europy. Kres temu stanowi rzeczy, przynajmniej w wymiarze politycznym, położyło zawarcie w 1648 r. pokoju westfalskiego oraz przyjęta w nim zasada, że: *religia kraju będzie religią władcy* (tzn. władców panujących w roku 1648 – traktat nie dopuszczał zmiany wyznania w przyszłości). Ostatnim rzeczywiście międzynarodowym wysiłkiem było powstrzymanie tureckiego najazdu z roku 1683. Wówczas to spod samych bram Wiednia przegnał Turków wielki król Polski Jan III Sobieski. W 1792 r. nie żył już jednak nikt, kto pamiętałby tamte wydarzenia, a w Polsce trwał proces rozbioru tego państwa. Dokonywały go te same mocarstwa, które wyruszały przeciwko Francji. *Émigrés,* czyli ci, którzy uciekli przed rewolucją, nie ustawali w wysiłkach, aby uzmysłowić przywódcom Austrii i Prus, o co toczy się gra. W jakimś stopniu im się powiodło, w przeciwnym razie nie byłoby przeciwko Francji żadnej ekspedycji, którą dowodzić miał książę Brunszwiku. Jednak ani przywódcy Prus, ani przywódcy Austrii nie traktowali tej sprawy nazbyt serio. Byli za położeniem kresu okrucieństwom rewolucji, ocaleniem francuskiej rodziny królewskiej i umożliwieniem *émigrés powrotu do ojczyzny,* ale co najmniej w takim samym stopniu pociągało ich wykorzystanie trudnej sytuacji Francji; łowiąc w mętnej wodzie starali się zyskać jak najwięcej korzyści dla własnych interesów narodowych, dynastycznych i terytorialnych. *Émigrés* pod bronią było zaledwie pięć tysięcy, bez zagranicznej pomocy niczego by nie zdziałali.

Książę Brunszwiku dowodził jednak trzydziestoma sześcioma tysiącami najlepszych żołnierzy świata.

Jakość pruskiego wyszkolenia wojskowego przeszła do legendy, ale miała ona solidne oparcie w faktach i sukcesach odnotowanych przez historię. W okresie Wojny Siedmioletniej król Fryderyk Wielki, dysponując stosunkowo niewielką liczbą żołnierzy, pokonał najlepsze armie Europy, które znacznie przewyższały liczebnie jego własną. Wielu pruskich wojaków z armii księcia Brunszwiku było synami weteranów Fryderyka i dziedzicami militarnej tradycji, która

za rządów tego władcy święciła swoje największe tryumfy. Malutkie królestwo Prus, które jeszcze niecałe sto lat wcześniej było księstewkiem położonym wokół Berlina, oni i im podobni przekształcili w jedno z najpotężniejszych światowych mocarstw. Teraz stanęli pod Lorraine naprzeciw zdezorientowanej i zdezorganizowanej francuskiej armii, która straciła swych najlepszych i najbardziej doświadczonych dowódców. Jej liniowe regimenty odarto z barw i tożsamości (podajmy jeden tylko przykład: Regiment Navarry był spadkobiercą tradycji oddziału wojowników sformowanego ok. roku 1500 przez opiewanego w pieśniach i opowieściach Pierre'a du Terrail de Bayarda – „rycerza bez lęku i skazy". Zgromadzenie Narodowe zmieniło nazwę jednostki na przaśny „Piąty Liniowy"). Wielu ostatnio zwerbowanych francuskich rekrutów było w równej mierze skłonnych do zabijania wroga, jak i własnych dowódców. Prawie nikt nie wątpił, że książę Brunszwiku i jego Prusacy z łatwością przebiją się przez zdemoralizowane siły i uwolnią Paryż od „wrześniowych morderców".

Ci, którzy tak uważali, nie uwzględnili w swoich rachubach Georgesa-Jacquesa Dantona. Olbrzym z Arcis-sur-l'Aube, o twarzy stratowanej przez świnie, głosie jak grzmot i żelaznej woli, był doskonałym przeciwieństwem księcia Brunszwiku z jego malachitowymi drzwiami, spirytystami i kolekcją diamentów.

Danton krzyknął kiedyś: *Toujours l'audace!* (zawsze śmiałość!) i nie była to tylko pusta retoryka. Miał na myśli dokładnie to, co powiedział, a nie chodziło mu tylko o brawurowe męstwo na polu bitwy.

Danton nade wszystko był realistą. Dokładnie wiedział, w jakim stanie znajduje się armia. We wrześniu, który wstrząsnął ówczesnym światem, z lodowatym spokojem powiedział młodemu Ludwikowi Filipowi Orleańskiemu: – Nie myśl, że dałem się oszukać tym zrywom patriotycznych uniesień... Nie, ja wiem, na ile ufać ich niestałości, tym gwałtownym zmianom stanowiska, które tak często grożą nam paniką, ucieczką, krzykami „ratuj się kto może!", a nawet zdradą[76].

Danton, być może, wątpił nieco, że księciu Brunszwiku i jego Prusakom nie zbywa na zdecydowaniu i sile, by zgnieść każdy opór francuskich oddziałów, a potem z pełnym poświęceniem przema-

[76] Louis-Philippe, str. 308.

szerować około stu mil, jakie dzieliły ich od Paryża. *Toujours l'audace!* miało głębszy sens i nie oznaczało bynajmniej samobójczego aktu rzucenia się pod koła nadciągającej machiny wojennej.

Co zatem uczynił Danton?

Historycy nigdy nie mieli co do tego całkowitej pewności. Naukowcy akademiccy starali się unikać nienaukowych, ich zdaniem, spekulacji; historycy, którzy gotowi są kruszyć kopie za każdego z kombatantów września 1792 r., mieliby wiele do stracenia, nawet gdyby zgodzili się tylko na to, że istnieje możliwość, iż najwytrwalej podtrzymywana legenda o wydarzeniach, jakie nastąpiły po zdobyciu Verdun przez Karola Wilhelma, może być prawdą. Legenda ta jednak żyje nadal. I choć uraża narodową dumę Francuzów i Prusaków, pasuje do faktów. Co więcej, odpowiada też charakterom dwóch głównych postaci – mężów opatrznościowych, których los zetknął ze sobą w zwrotnym punkcie dziejów, choć stanowili osobliwie niedobraną parę. Z jednej strony Danton: potężnie zbudowany mówca o stentorowym głosie, sprytny, pozbawiony skrupułów strateg i zuchwały zabójca, z drugiej zaś książę Brunszwiku – wymuskany, uprzejmy, „oświecony" kolekcjoner diamentów, który z niejaką dozą hipokryzji sympatyzował po trosze z obiema stronami konfliktu.

Gen. Charles-François Dumouriez

Spójrzmy zatem, jakim torem potoczyły się istotne dla sprawy wydarzenia, których prawdziwość jest dobrze udokumentowana historycznie.

Verdun kapituluje 2 września. Przez kolejne dwanaście dni armia książęca bardzo powoli posuwa się w głąb Lasu Argońskiego. Oddziela on Mozę, nad którą leży Verdun, od rzeki Aisne na zachodzie. Marsz odbywał się w iście ślimaczym tempie; gubernator Morris, amerykański ambasador we Francji pod datą 13 września zanotował w dzienniku: *Bezczynność wroga jest tak niezwykła, że musi mieć jakąś nieznaną przyczy-*

nę[77]. 14 września książę zaatakował francuskie pozycje w lasku Croix-aux-Bois. Armia francuska, którą dowodził generał Dumouriez, natychmiast poszła w rozsypkę, zmusiło to Dumourieza, aby nazajutrz wycofał się do miasteczka Sainte-Ménéhould nad rzeką Aisne[78].

Tymczasem w Paryżu działy się bardzo dziwne rzeczy. Kiedy w październiku 1789 roku rewolucyjny motłoch przemocą uprowadzał z Wersalu Ludwika XVI oraz jego rodzinę, aby osadzić ich w Tuileries, Burboni nie zabrali ze sobą prawie niczego oprócz ubrań, które mieli na sobie. Wszystko, co znajdowało się wewnątrz ogromnego luksusowego pałacu, wpadło w ręce powstańców. W tym także francuskie klejnoty koronne. Do roku 1791 przechowywano je w zamknięciu i pod strażą w Wersalu. Potem pod pretekstem, że pozostają one własnością króla, który tamtego roku zgodnie z konstytucją teoretycznie nadal sprawował władzę, przeniesiono je do budynku Archiwum Narodowego przy placu Ludwika XV w Paryżu. Pieczę nad nimi sprawował królewski archiwista Lemoine-Crécy, który dokonał inwentaryzacji zbioru klejnotów koronnych. Lista kosztowności liczyła pięćdziesiąt stron, obejmowała także największe diamenty świata – tak duże i sławne, że miały własne nazwy. Wśród nich znalazły się m.in. brylant Regent – 137 karatów, Sancy – „tylko" 53 karaty, Tavernier, Smok i ulubiony kamień Ludwika XVI Błękitny Diament Złotego Runa, który ważył 115 karatów. 10 sierpnia, po obaleniu monarchii, tymczasowy rząd rewolucyjny z Dantonem jako ministrem sprawiedliwości, przejął nadzór nad klejnotami i wyznaczył nowego ich opiekuna w osobie obywatela Restoula, który zastąpił na tym stanowisku Lemoine-Crécy'ego. Ponieważ budynek Archiwum Narodowego leżał na terenie Paryża, a w tamtym okresie jedyną rzeczywistą władzą w stolicy była Komuna, obowiązek ochrony klejnotów spoczął na Gwardii Narodowej,

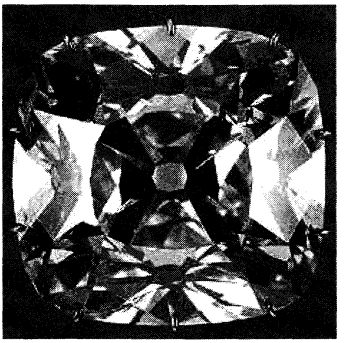

Brylant Regent

[77] Gouverneur Morris, *A Diary of the French Revolution*, wyd. Beatrix Davenport, Boston 1939, t. II, str. 541.

[78] Louis-Philippe, str. 276-279; *The Cambridge Modern History*, Vol. VIII, str. 409-410.

pod dowództwem piwowara Santerre'a – następcy zamordowanego Mandata[79].

W drugim tygodniu posuwającego się w ślimaczym tempie przemarszu wojsk księcia Brunszwiku przez Las Aragoński, obecność strażników pilnujących bajecznej kolekcji klejnotów niespecjalnie rzucała się w oczy. Wydaje się, że ci nieliczni, którzy pełnili służbę, większość nocnych dyżurów po prostu smacznie przesypiali. Była noc 16 sierpnia, dzień po panicznej ucieczce francuskiej armii przed Karolem Wilhelmem. Placem Ludwika XV, przemianowanym teraz na Plac Rewolucji, na którym w okresie Terroru miała stanąć gilotyna, przechodził patrol. W migotliwym świetle latarni na rogu ulicy Saint Florentin żołnierze dostrzegli zdumiewającą scenę. Z okna na drugim piętrze budynku Archiwum Narodowego jakiś mężczyzna wyrzucał niewielkie przedmioty. Jego wspólnik starannie zbierał je z bruku i upychał w kieszeniach. Trzeci mężczyzna wspinał się właśnie w kierunku okna na drugim piętrze. W ręce niósł koszyk, prawdopodobnie, aby włożyć do niego podobne, ale większe albo cenniejsze przedmioty (Z ciężkim sercem wyrzuca się na ulicę 137-karatowy diament, nawet jeśli jest oprawiony. A nuż wpadnie w jakąś dziurę?). W zamieszaniu, jakie powstało, wszyscy złodzieje zdołali uciec, ale gdy dzięki wskazówkom informatorów niektórych sprawców aresztowano, szybko wyszło na jaw, że było to ostatnie z serii czterech włamań. Pierwszych trzech dokonano 10, 11 i 14 września. Za przedostatnim razem złodzieje urządzili sobie piknik przy świecach w salonie Archiwum Narodowego, zjedli kolację i popijali wino. Musieli czuć się wyjątkowo bezpiecznie.

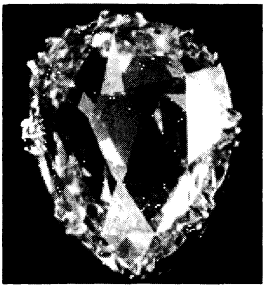

Sancy

Skradziono niemal wszystkie kosztowności. Wartość wszystkich klejnotów przekraczała 24 miliony funtów. Te, które ocalały, były warte około 600.000 funtów. Reszta precjozów zniknęła, wśród nich Regent, Sancy, Tavernier, Smok, a także Błękitny Diament Złotego Runa. Przeprowadzono dochodzenie, które ujawniło opisane powyżej dziwne okoliczności wydarzeń. Zdołano odzyskać część

[79] Christophne, str. 266-267; Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 262

zrabowanych klejnotów, w tym także diamenty Regent i Sancy, ale relacje co do miejsca ich znalezienia są sprzeczne. Błękitny Diament Złotego Runa przepadł bez śladu. Informatorzy wskazali ostatecznie aż 51 osób, które mogły być zleceniodawcami lub bezpośrednimi sprawcami serii włamań. Aresztowano jednak tylko siedemnastu podejrzanych. Pięciu z nich uniewinniono, siedmiu otrzymało krótkie wyroki więzienia, a niektórym pozwolono nawet zatrzymać ukradzione klejnoty. Z grupy 51 zamieszanych w tę sprawę osób na gilotynę poszło tylko pięć. Bezlitosna Rewolucja okazała się nadzwyczajnie łaskawa dla złodziei swoich kosztowności. Wszystko to działo się pod kontrolą i z upoważnienia ministra sprawiedliwości Georgesa-Jacquesa Dantona[80].

Jednym z najaktywniejszych członków paryskiego Klubu Jakobinów – owego matecznika Rewolucji – był niejaki Carra. Kilka lat życia spędził w Niemczech, gdzie dane mu było poznać osobiście księcia Brunszwiku. Być może, zdecydował o tym fakt, że obaj byli masonami. Carra był również bliskim przyjacielem i współpracownikiem Dantona. 25 lipca opublikował artykuł zamieszczony na łamach periodyku „Les Annales Politiques", w którym wyrażał swój, dość niezwykły jak na rewolucjonistę, sentyment do Karola Wilhelma:

Książę Brunszwiku jest największym żołnierzem i mężem stanu w Europie. Być może brakuje mu już tylko korony, która uczyni go, nie powiem, że największym królem w Europie, ale z pewnością prawdziwym zbawcą europejskiej wolności. Jeżeli dotrze do Paryża, pójdę o zakład, że pierwszą rzeczą, jaką uczyni, będzie złożenie wizyty w Klubie Jakobinów oraz przywdzianie czerwonej czapki wolności[81].

17 września, dzień po odkryciu kradzieży klejnotów koronnych z budynku Archiwum Narodowego, Komuna Paryża uczyniła Carrę jednym z dwóch delegatów, którzy mieli się udać do kwatery Dumourieza w Sainte-Ménéhould, gdzie generał stawiał czoła nacierającej armii księcia Brunszwiku. Książę i Dumouriez dobrze się znali; korespondowali już ze sobą za pośrednictwem parlamentariuszy. Nie ulega wątpliwości, że Carra widział się i rozmawiał z Dumou-

[80] *Ibid.*, str. 265, 274-275, 283-285.

[81] *Ibid.*, str.276.

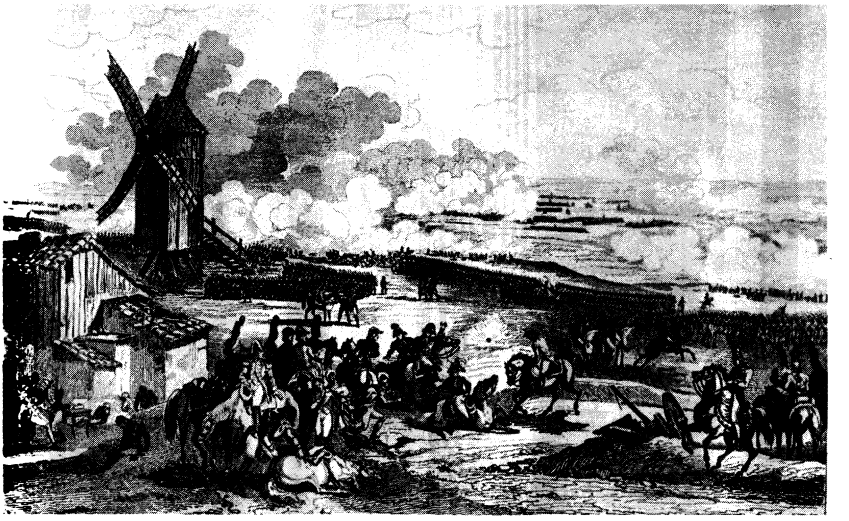

Bitwa pod Valmy

riezem, nie wiadomo natomiast, czy spotkał się i przeprowadził rozmowę z księciem Brunszwiku.

20 sierpnia, czyli trzy dni później, stoczono bitwę pod Valmy. Miała ona dość niecodzienny przebieg. Do starcia doszło w pobliżu młyna, stojącego przy drodze wiodącej bezpośrednio z Lasu Argońskiego do Paryża. Dumouriez, który został zepchnięty do Sainte-Ménéhould, nie był już w stanie jej blokować. Valmy zalicza się często do decydujących bitew w historii. Przez większą część mglistego poranka obie armie ostrzeliwały się z dział. Wrzesień tamtego roku był bardzo deszczowy. Skutkiem opadów było błoto i choroby, które szerzyły się wśród żołnierzy. Oba te czynniki często uważa się za główną przyczynę powolnego posuwania się pruskiej armii. Ocenia się, że w wyniku ostrzału artyleryjskiego poległo łącznie siedmiuset, a może nawet dwa tysiące żołnierzy. Liczba zabitych nie przekraczała jednak pięciu procent stanu oddziałów, które brały udział w bitwie. O drugiej po południu książę Brunszwiku ustawił w końcu swoje wojska w szyku bojowym. Widząc to, wielu francuskich żołnierzy zakrzyknęło butnie: *Niech żyje naród!* Generał Kellerman, zastępca Dumourieza, założył na koniec szpady swój trój-

graniasty kapelusz i zakręcił nim w powietrzu. Książę Brunszwiku jednak nie atakował. Kolumny ustawione w szyku bojowym stały bez ruchu. Później przeformowały się, ale i tym razem nie zaatakowały. Potem przeformowały się po raz trzeci. Atak znów nie nastąpił. Niezbyt błyskotliwy król Prus, obecny pod Valmy, rozbawiony zapytał księcia, co ten u licha wyprawia. Karol Wilhelm odkrzyknął: – W żadnym wypadku nie stoczymy tu bitwy![82]

Dzień się skończył, a decydująca bitwa, która powinna położyć kres Rewolucji, w istocie nie została stoczona. Po obu stronach pojawiło się nagle powszechne przeświadczenie, że taka już pozostanie. Sławny niemiecki pisarz i intelektualista, Wolfgang Goethe, autor „Fausta", który był z armią pruską pod Valmy, powiedział: *W tym miejscu i tego dnia rozpoczyna się nowa era w historii świata; wszyscy obecni tu dzisiaj, mogą powiedzieć, że byli przy jej narodzinach*"[83]. 22 września książę zawarł rozejm z Dumouriezem. W obozie pruskim gwałtownie szerzyła się dyzenteria i nocą 29 września Prusacy rozpoczęli odwrót, powoli wycofując się z Francji. 4 października Danton pojawił się przed nowo wybranym Konwentem, aby oznajmić, że Paryżowi nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. 22 października wojska księcia Brunszwiku znalazły się poza granicami Francji, za to armia francuska pod dowództwem generała Custine'a, odnosząc znaczące sukcesy, operowała już na terytorium niemieckim i zajęła Moguncję, duże nadreńskie miasto. Inwazja sprzymierzonych, której powodzenie uważano za pewne, odbyła się i zakończyła bez stoczenia choć jednej prawdziwej bitwy.

Kiedy książę Brunszwiku zmarł w 1806 roku w następstwie ran odniesionych w bitwie pod Jeną, inwentaryzacja jego majątku ujawniła, że posiadał ponad 2400 diamentów, o których wspomnieliśmy przedtem, ale pośród nich był także Błękitny Diament Złotego Runa, któremu brakowało jednak 40-karatowego fragmentu. Wcześniej, w roku 1795 – zaledwie trzy lata po bitwie pod Valmy – córka księcia, Karolina poślubiła Jerzego, księcia Walii, syna angielskiego króla Jerzego III. Małżeństwo nie należało do udanych, ale dla zachowania pozorów podtrzymywano je do chwili, gdy w roku 1820 książę

[82] *Ibid.*, str. 279; Louis-Philippe, str.284-285

[83] Loomis, *Fatal Friendship*, str. 260.

Król Jerzy IV

koronował się i przybrał imię Jerzego IV. Jako książę regent od wielu lat sprawował rzeczywistą władzę w kraju, ponieważ jego ojciec był nieuleczalnie chory umysłowo. W koronie, którą założono na głowę Jerzego IV, osadzono 40-karatową część zaginionego Błękitnego Diamentu Złotego Runa. Już jako król Jerzy IV zażądał, by uwolniono go od małżonki, której szczerze nie znosił, a Izba Lordów wyświadczyła mu tę uprzejmość. Ponieważ jednak angielska ludność uważała powszechnie, że Karolina została pokrzywdzona, pozwolono jej zabrać do Niemiec „osobiste klejnoty". Lordowie zgodzili się zaliczyć do tej kategorii 40-karatowy fragment Błękitnego Diamentu Złotego Runa. Po śmierci Karoliny, na mocy jej testamentu, kamień przekazano pewnemu Włochowi, a ten z kolei sprzedał go amerykańskiemu milionerowi o nazwisku Hope. Obecnie czterdziestokaratowa część Błękitnego Diamentu Złotego Runa znana jest jako diament Hope. Stanowi on własność Smithsonian Institution i rzekomo ciąży na nim klątwa. Większy, 75-karatowy fragment odziedziczył starszy syn Księcia Brunszwiku. Kiedy rewolucja w Niemczech pozbawiła go tronu, tułał się po Europie z walizką pełną diamentów, aby ostatecznie osiąść w Genewie, gdzie zmarł w roku 1871, zapisując miastu cały swój majątek. Kilka lat później władze Genewy sprzedały Błękitny Diament bankierowi Wiktorowi Lyonowi. Gdy w roku 1963 osiemdziesięciopięcioletni Lyon umierał, kamień nadal znajdował się w jego posiadaniu[84].

Czy Danton ocalił Rewolucję, płacąc księciu Brunszwiku za zwycięstwo pod Valmy Błękitnym Diamentem Złotego Runa? Legenda od dwustu lat głosi, że tak właśnie się stało. Czy jakikolwiek inny histo-

[84] *Ibid.*, str. 263; Christophne, str. 283, 285.

ryczny przywódca oprócz Georgesa-Jacquesa Dantona potrafiłby przekonać dowódcę wrogich sił, aby „odpuścił" jedną z najważniejszych bitew, jakie decydowały o losach świata? *Toujours l'audace!*

Dzień po „bitwie" pod Valmy w Paryżu odbyła się pierwsza sesja obrad nowo wybranej Narodowej Konwencji. Zatrzymajmy się chwilę, aby uważnie przyjrzeć się deputowanym oraz miejscu, w którym się spotykali, i gdzie kształtowała się jakże ważna część naszej historii.

W Konwencie zasiadało 749 deputowanych. W trakcie wyborów żaden z nich nie określał siebie jako rojalisty. Jedna trzecia posłów zasiadała wcześniej bądź to w Zgromadzeniu Narodowym (83), bądź to w Konstytuancie (194). Niemal połowa z nich była prawnikami – żadna inna grupa zawodowa w parlamencie nie dorównywała im liczebnością. Wśród deputowanych przeważali młodzi mężczyźni; trudno o inne zestawienie statystyczne, które wyraźniej niż wiek delegatów do Narodowej Konwencji odzwierciedlałoby destrukcyjne zamiłowanie Rewolucji do odrzucania wszystkiego, co starsze i tradycjonalistyczne. 85% posłów liczyło sobie mniej niż pięćdziesiąt lat. Mądrość, jaką niesie ze sobą wiek, nie była rzeczą pożądaną w owym zgromadzeniu[85].

Deputowani zebrali się i podobnie jak ich poprzednicy, zgodnie ze zwyczajem, który nawiązywał do usunięcia przedstawicieli Trzeciego Stanu, z sali obrad w Wersalu przemaszerowali do sali gry w piłkę, położonej w charakterystycznym budynku królewskiej szkoły jeździeckiej. Była to długa prostokątna budowla, zaprojektowana tak, aby pomieścić w niej owalny tor do wyścigów oraz rzędy ławek dla publiczności konkursów jeździeckich. Nad nimi, wzdłuż wszystkich czterech ścian, znajdowały się wysunięte galerie. Ponieważ nie planowano, że codziennie będą z niego korzystały setki ludzi, budynek miał w kiepską cyrkulację powietrza, a światło dzienne z trudem tam docierało. Okna były małe i nieliczne, umieszczone wysoko pod sufitem. Zimą jedynym źródłem ogrzewania był pojedynczy porcelanowy piec w kształcie Bastylii (jeden z licznych dziwacznych paradoksów okresu Rewolucji). Podłogę stanowił dawny tor wyścigów, który w jakiś sposób dostosowano tak, aby pomieścić na

[85] Jordan, str. 46-47.

Obraz Davida ukazuje salę do gry w piłkę w dniach bezpośrednio poprzedzających rewolucję.

nim możliwie jak największą liczbę ławek. Przewodniczący zasiadał w fotelu na podwyższeniu. Tuż za nim ustawiono stoły dla protokolantów. Dokładnie na wprost fotela przewodniczącego stało podium, czyli tak zwana trybuna, z której delegaci zwracali się lub przemawiali do Konwentu. Owalna podłoga zastawiona była ławami deputowanych. Widzowie mieli wstęp wyłącznie na galerie, które nie miały żadnego połączenia z parterem. W środkowej części, wzdłuż obu dłuższych ścian budynku, ławy były niższe, lecz bardziej porozsuwane na boki. Na odcinku pomiędzy krótszymi ścianami a wierzchołkami owalnej podłogi ławy wypiętrzały się na dosyć znaczną wysokość. Za czasów Legislatywy – początkowo zupełnie przypadkowo – najzagorzalsi rewolucjoniści gromadzili się w wyższych rzędach, po lewej stronie przewodniczącego. Dlatego zaczęto ich nazywać „lewicą" albo „góralami" (Określenie to przetrwało do naszych czasów, podobnie zresztą jak termin „prawica", którym ochrzczono przeciwników „górali". Fakt ten świadczy dobitnie, że dziedzictwo Rewolucji Francuskiej nadal obecne jest w naszym życiu). Kiedy Konwent się zebrał, fotel przewodniczącego prze-

stawiono na przeciwległą stronę budynku, tak więc ławy radykałów znalazły się teraz po jego prawej ręce. Prawdopodobnie była to nieudolna próba załagodzenia politycznych nienawiści i podziałów. Radykałowie jednak z determinacją trzymali się swoich miejsc, a polityczna konotacja słowa „lewica" była na tyle ugruntowana, że dla nikogo nie miało już najmniejszego znaczenia, czy lewica Konwentu fizycznie rzeczywiście zasiada po lewej stronie przewodniczącego. Naprzeciwko radykałów usadowili się żyrondyści, którzy początkowo byli radykałami, a teraz, jako konserwatyści, niezbyt wygodnie czuli się w nowej roli. Deputowanych zasiadających pomiędzy żyrondystami a „góralami" nazywano „równiną", ponieważ ich ławy były znacznie niższe. Znaleźli się jednak kpiarze, którzy zaczęli mówić o nich „bagno", gdyż wraz z upływem miesięcy „równina" siadywała w coraz to niższych rzędach, rozpaczliwie próbując trzymać się na uboczu, z dala od wszelkich kłopotów. Ostatnie i najdokładniejsze badania nad składem politycznym izby, jaki istniał na początku kadencji Konwentu, wykazały, że zasiadało w nim 178 żyrondystów, 215 jakobinów i innych „kordelierów" oraz 250 deputowanych z „równiny" (wielu z nich nader rzadko uczestniczyło w sesjach)[86].

21 września na pierwszą roboczą sesję Konwentu przybyło 371 deputowanych. Pierwszym punktem obrad było głosowanie nad wnioskiem o zniesieniu monarchii. Ponieważ do Konwentu nie wybrano ani jednego rojalisty, jego wynik można było uznać za z góry przesądzony. Bardzo interesujący jest za to napastliwy język i styl, w jakim ów wniosek sformułowano. Postulat zniesienia monarchii wyszedł od księdza Hen-

Henri Grégoire (detal obrazu z poprzedniej strony)

[86] Alison Patrick, *The Men of The First French Republic*, Baltimore, 1972, str. 30.

riego Grégoire, który piastował stanowisko biskupa w schizmatycznym kościele „konstytucyjnym". Grégoire od samego początku był aktywnym członkiem wszystkich dotychczasowych rewolucyjnych zgromadzeń ustawodawczych. W pierwszym z nich przewodniczył obradom w dniu zdobycia Bastylii. Często podawano go jako przykład tego, że prawdziwi chrześcijanie i duchowni również wspierają Rewolucję. Prawdą jest, że Grégoire nigdy nie zaparł się chrześcijaństwa, wyparł się jednak papieża i Kościoła katolickiego. 21 września 1792 roku, kiedy zgłaszał pod głosowanie wniosek o zniesienie monarchii, język, jakim się posługiwał, ociekał nienawiścią. Pod koniec przemówienia ocierał się wręcz o bluźnierstwo:

– Królowie są w porządku społecznym tym, czym potwory w naturze. Dwory są wylęgarniami zbrodni i legowiskami tyranów. Historia monarchów jest martyrologią narodów. Z pewnością nikt z nas nigdy nie zaproponuje, aby we Francji zachować zgubną rasę królów.

Wiemy aż nazbyt dobrze, że wszystkie dynastie były zawsze nienasyconym pasożytniczym gatunkiem, który tuczy się ludzkim ciałem. My jednak, przyjaciele wolności, musimy skończyć z tym raz na zawsze! Musimy zniszczyć ów magiczny talizman, którego moc może nadal zniewalać wielu swym urokiem. Dlatego domagam się, abyście powagą prawa konsekrowali obalenie monarchii[87].

Chrześcijanie nie „konsekrują" przewrotów ani zniszczenia.

Nad wnioskiem Grégoire'a nie przeprowadzono żadnej debaty. Przeszedł jednomyślnie. Konwent, jedyny organ narodowej władzy ówczesnej Francji, na tyle, na ile leżało to w jego możliwościach, unicestwił tysiącletnią francuską monarchię.

29 września, czyli osiem dni później, uznano, że chociaż wciąż trwa malowanie i tapetowanie ścian, dwa piętra Wielkiej Wieży więzienia Temple są gotowe na przyjęcie królewskiej rodziny. Owa posępna budowla była odpowiednikiem londyńskiej Tower. W trzynastym wieku wznieśli ją rycerze zakonu templariuszy i od tamtej pory przez pięć stuleci nic się w niej nie zmieniło. Był to mroczny, kwadratowy donżon o wysokości 50 metrów i murach grubych na 2,70 m, wokół którego wznosił się obronny wał z wieżyczkami. Grube na 20 cm zewnętrzne drzwi wzmacniały żelazne sztaby oraz

[87] Louis-Philippe, str. 310.

cztery olbrzymie bolce. Maleńkie okna w potężnym murze, niewiele większe od judasza, zabezpieczały żelazne kraty i okiennice – przenikało przez nie bardzo mało światła i jeszcze mniej powietrza. Kompleksu strzegło nieustannie 250 strażników, rozlokowanych na pierwszym i drugim piętrze oraz wokół całego budynku. Aby wyjść do ogrodu na codzienny spacer, więźniowie musieli przechodzić przez siedem punktów kontroli. W trakcie całego pobytu w Temple owej głęboko katolickiej rodzinie nie pozwolono uczestniczyć w mszy ani zobaczyć się z księdzem. Wyjątkiem od tej reguły była wigilia egzekucji Ludwika XVI. Byłego króla umieszczono na drugim piętrze, Marię Antoninę i dzieci na trzecim. Pierwszego dnia, jaki spędzili w Wielkiej Wieży, nie pozwolono im się nawet widywać. Dyżur w Temple pełnił wówczas komisarz Komuny Antoine Simon, szewc z zawodu. Maria Antonina, szlochając, błagała go, aby przynajmniej pozwolił jej i dzieciom zjeść z byłym królem kolację. Komisarz niechętnie, ale jednak się zgodził. Przez chwilę niemal się wzruszył, bo zwrócił się do swych towarzyszy mówiąc: – Coś mi się zdaje, że przez tę przeklętą kobietę zaraz się rozpłaczę. – Natychmiast jednak zwalczył pokusę okazania współczucia, mówiąc do Marii Antoniny: – Nie płakałaś 10 sierpnia, gdy mordowałaś lud[88].

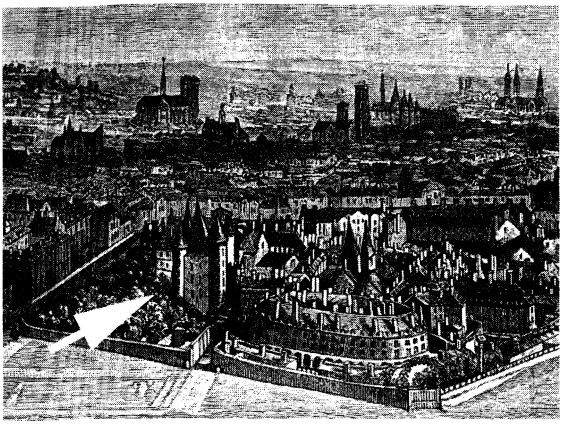

Strzałka wskazuje Temple

4 października w Konwencie po raz pierwszy wystąpił Marat (Nie był uprzednio członkiem żadnego ciała ustawodawczego, nie zasiadał ani w Zgromadzeniu Narodowym, ani w Legislatywie – bezpośredniej poprzedniczce Konwentu). Pod koniec września żyrondyści przypuścili zmasowany werbalny atak na Komunę Paryża, obwinia-

[88] Furneaux, str. 93.

jąc ją o wrześniowe masakry. Mieli przy tym świadomość, że niektórzy z nich mogli również paść ich ofiarą – takie było pragnienie Marata i Robespierre'a, ale zapobiegł temu Danton. Powołano komisje śledcze, lecz żadnych konkretnych działań nie podjęto. Kiedy Marat zbliżał się do trybuny, skąd miał wygłosić przemówienie, powitała go wściekła demonstracja niechęci: delegaci zasiadający w środkowej oraz lewej części prostokątnej sali krzyczeli, że jest potworem i hańbą Konwentu i że nie powinno się go dopuścić do głosu.

– Dajcie mu szklankę krwi! – krzyknął któryś z deputowanych, a inni zawtórowali: – Krew! Dajcie mu krwi![89]

Ostatecznie Konwent uznał, że skoro Marat zgodnie z prawem został wybrany na członka tego zgromadzenia, trzeba go jednak wysłuchać. Marat otwarcie nawoływał do ustanowienia dyktatury (nie podając jednak nazwiska przyszłego dyktatora) i potępił przywódców żyrondystów (nazywał ich brissotczykami, od nazwiska jednego z liderów żyrondystów, Brissota). W pewnej chwili melodramatycznym gestem przystawił sobie do skroni pistolet i przysiągł, że się zastrzeli, jeżeli Konwent wyda uchwałę wymierzoną przeciwko niemu. Pistolet nie był nabity. W końcu usiadł przy akompaniamencie okrzyków: *potwór!*, *łajdak!* i: *Do Abbaye!* (więzienie, w którym z poduszczenia Marata zaczęła się masakra)[90].

Nazajutrz po wystąpieniu Marata Dumouriez, będąc już prawie pewny, że książę Brunszwiku wycofuje się z Francji, opuścił na pewien czas armię i przybył do Paryża, aby nakłonić Konwent do wyrażenia zgody na zaatakowanie Belgii. Miał w tej sprawie silne poparcie Dantona. Okoliczności układały się wyjątkowo pomyślnie. Połowa ludności Belgii była francuskojęzyczna, ale krajem rządzili Austriacy, których powszechnie tam nie lubiano. Istotną tego przyczyną był fakt, że kilka lat wcześniej Józef II (jedyny cesarz z dynastii Habsburgów, który okazał się nielojalny wobec Kościoła katolickiego) próbował podporządkować sobie belgijski Kościół. W kraju tym istniały dwie partie: prawicowa, a zarazem katolicka, oraz rewolucyjna. Obie, choć z różnych powodów, były wrogo nastawione do Austriaków i opowiadały się za tym, aby rządy w kraju

[89] Louis-Philippe, str. 312.

[90] Bowers, str. 271.

przejęli Francuzi. Książę Brunszwiku wracał do domu i było niezwykle mało prawdopodobne, że przyjdzie na pomoc Austriakom, których oddziały stacjonowały w Belgii i były znacznie mniej liczne niż francuskie. 12 października Dumouriez postawił na swoim. Cztery francuskie kolumny uderzeniowe pomaszerowały w kierunku Belgii. 26 października w pobliżu przygranicznego miasteczka Valenciennes Dumouriez przejął nad nimi dowództwo i wkroczył do Belgii na czele 78000 ludzi.

Następnego dnia Maksymilian Robespierre został wezwany do złożenia Konwentowi wyjaśnień w sprawie wrześniowych rzezi.

W istocie nie istnieje żaden niezbity dowód, że Robespierre odegrał wiodącą rolę w ich zaplanowaniu, a tym bardziej w realizacji. Z pewnością nie wywarły na nim większego wrażenia, ale gotów był je skwapliwie wykorzystać dla uzyskania politycznych i osobistych korzyści. Żyrondyści wiedzieli, że Robespierre jest ich nieprzejednanym wrogiem, ale nadal mieli nadzieję na zawarcie taktycznego sojuszu z Dantonem, z którym w przeszłości często współpracowali. Roland, jeden z przywódców żyrondystów a zarazem minister spraw wewnętrznych, 29 października potępił Komunę Paryża za uzurpację władzy i terroryzm. Odczytał również list od byłego wiceprezesa paryskiego Trybunału Karnego, w którym autor oświadczał, że Robespierre chciał doprowadzić do kolejnych rzezi w więzieniach, podobnych do tych z września, oraz oskarżał go o dążenie do dyktatury. Na parkiecie Szkoły Jeździeckiej podniósł się tumult – najgłośniej krzyczeli wrogowie Robespierre'a. On sam pospiesznie wszedł na trybunę, ale jego wątły głos ginął w zgiełku. Wtedy z ławy podniósł się Danton i w jednej chwili zapanował nad salą głosem potężnym niczym młot Thora.

– Pozwólcie wypowiedzieć się mówcy – zagrzmiał. – Żądam, by udzielono mi głosu zaraz po nim – czas zrobić z tym wszystkim porządek[91].

Robespierre nie do końca był tchórzem, nie znosił jednak politycznej bijatyki. Z rozbieganymi oczyma kurczowo uchwycił się drewnianej barierki trybuny. Udało mu się jednak zachować zwyczajny, wyniosły sposób bycia.

---

[91] Jean Matrat, *Robespierre*, New York 1971, str.177.

– Prowadzi się tutaj kampanię oszczerstw – powiedział afektowanym tonem – a przeciwko komu jest wymierzona? Przeciwko żarliwemu patriocie. Kto z was odważy się powstać i rzucić mi oskarżenie w twarz?

– Ja! – krzyknął ktoś z przeciwległego krańca sali.

Zapadła grobowa cisza, chudy, tyczkowaty mężczyzna o bladej twarzy szedł pośród niej niczym widmo, a kiedy znalazł się dokładnie na wprost mównicy, wskazał palcem na Robespierre'a: – Tak, Robespierre, to ja cię oskarżam.

Rewolucyjna propaganda głosiła: *Wolność, Równość, Braterstwo albo śmierć.*

Człowiekiem tym był Jean-Baptiste Lovuet.

Robespierre zmieszał się: stał w bezruchu i pobladł jak ściana. Sprawiał wrażenie, że bardziej przerażony nie byłby nawet wtedy, gdyby owo oskarżenie rzuciła odcięta i jeszcze krwawiąca głowa, którą ktoś położył na półmisku...

Danton, widząc ogromne skonfundowanie przyjaciela, krzyknął: – Mów dalej Robespierre, słucha cię wielu dobrych obywateli[92].

Owo dramatyczne wystąpienie obezwładniło jednak Robespierre'a do tego stopnia, że zszedł z mównicy. Louvet należał do ścisłego przywództwa żyrondystów i był bliskim współpracownikiem Rolanda. Od dawna przygotowywał się do tego ataku i przystąpił do niego bez chwili zwłoki:

– Dlaczego nie zapobieżono masakrom? Bo Roland mówił na próżno, bo minister sprawiedliwości Danton milczał. Bo Santerre,

[92] Higgins, str. 262-263 (z dziennika dr Johna Moore'a).

który dowodził Sekcjami, czekał; bo funkcjonariusze miejscy nadzorowali te egzekucje. Bo Legislatywa była zastraszona, a bezczelny demagog [Robespierre] zjawił się w Izbie, aby narzucić jej dekrety Komuny, i zagroził, że jeśli nie posłucha, odezwą się dzwony...

Robespierre, oskarżam cię, że nieustannie rzucasz oszczerstwa na nieposzlakowanych patriotów. Oskarżam cię o to, że rozpowszechniałeś owe oszczerstwa w pierwszym tygodniu września, czyli wtedy, gdy skutkowały one ciosami sztyletów. Oskarżam cię o poniżanie i odbieranie reprezentantom narodu ich praw. Oskarżam cię o to, że nieustannie podsycasz kult własnej osoby; że pozwalasz ludziom, aby w twojej obecności nazywali cię jedynym człowiekiem we Francji, który może ocalić naród, i o to, że sam także to mówisz. Oskarżam cię, że w oczywisty sposób dążysz do zdobycia najwyższej władzy.

Nie wszystkie te oskarżenia były wówczas do końca uzasadnione, ale rychło miały okazać się prawdą.

Na razie jednak ster władzy dzierżył Danton. Nazajutrz przemówił we własnej obronie i odniósł pełen sukces. Wyraził żal z powodu wrześniowych rzezi, ale przedstawił je jako nieuchronne.

– Nigdy nie udało się strzaskać tronu i nie poranić przy tym odłamkami paru wartościowych obywateli – oświadczył[93].

W mowie, którą Robespierre wygłosił 5 listopada do galerii zapełnionej swoimi zwolennikami, pojawił się podobny akcent.

– Obywatele – krzyczał – czy chcecie Rewolucji bez rewolucji?[94]

Louvetovi nie zezwolono na polemikę – „górale" ponownie zwyciężyli.

Nazajutrz, 6 listopada, siedemdziesięcioośmiotysięczna armia inwazyjna Dumourieza, mimo rozprzężenia i braku dyscypliny, dzięki przytłaczającej przewadze liczebnej zmiażdżyła trzynastotysięczną armię austriacką. Bitwa rozegrała się w pobliżu miasteczka Jemappes, położonego dziesięć mil od granicy, przy trakcie prowadzącym do stolicy Belgii, Brukseli. Austriackie władze natychmiast wyzbyły się zbytniej pewności siebie, która kazała im odesłać armię na zimowe kwatery właśnie wtedy, gdy ciągnął na nich Dumouriez. Zdawa-

[93] Madelin, str. 309.

[94] Jordan, str. 54.

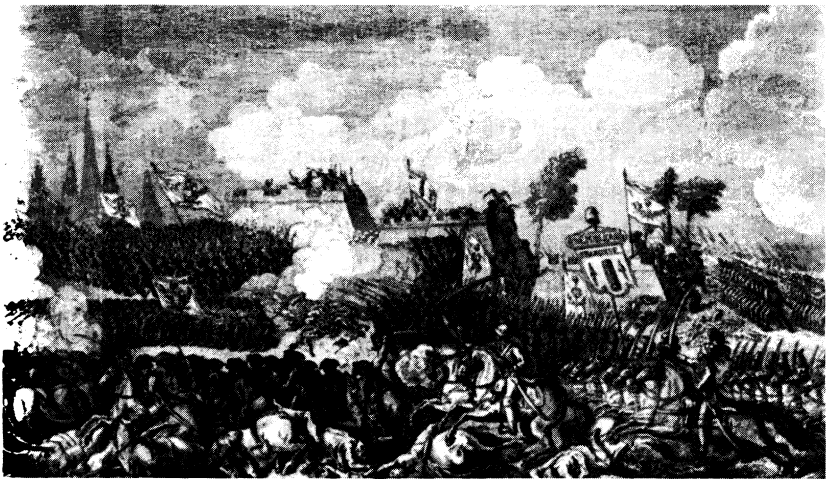

Gen. Dumuoriez wkracza do Mons, 17 XI 1792 r.

ło się, że szok wywołany klęską sparaliżował ich zdolność podejmowania decyzji. Natychmiast opuścili Brukselę. W mieście wybuchła panika. W stolicy było mnóstwo francuskich emigrantów. Na wielu z nich Rewolucja wydała wyroki śmierci. Dla *émigrés* pojmanie było równoznaczne z pójściem na gilotynę. *Nie mając pieniędzy ani wpływów u wysoko postawionych osób, musieli pieszo uciekać z miasta, unosząc nieliczne co cenniejsze rzeczy w tobołkach przymocowanych do kijów, które dźwigali na ramieniu*[95].

Dumouriez wkroczył do Brukseli 14 listopada. Zaczęły się grabieże, gwałty i rzeź. Spustoszono kościoły: bogato zdobione krucyfiksy, relikwiarze i kandelabry skonfiskowano albo zniszczono. Podarto nawet kilka obrazów van Eycka. Przeprowadzono wybory, które odbyły się wedle „najlepszych" paryskich wzorców i ogłoszono wszem i wobec, że nowa rewolucyjna francuska władza *uzna za wrogów* wszystkich Belgów, *którzy odrzucili wolność i równość*[96].

19 listopada Konwent wydał dekret, który uczynił to stwierdzenie podstawą oficjalnej polityki Francji w stosunku do całej Europy. Rewolucyjny reżim wspierał każdego, kto walczył z monarchią.

---

[95] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 266.

[96] *Ibid.*, str. 267.

Wieści o zwycięstwie pod Jemappes zastały Dantona na wsi, gdzie właśnie spędzał kilka dni z żoną. Gabrielle była w ciąży. Być może, próbował przywrócić stosunki, jakie panowały między małżonkami przed wrześniowymi masakrami (9 października Danton zrezygnował ze stanowiska ministra sprawiedliwości, aby skupić się na umacnianiu swojej władzy i wpływów w Konwencie, który był teraz głównym ośrodkiem władzy). Kiedy usłyszał, co się stało, niezwłocznie wrócił do Paryża. Tam głównym tematem dyskusji była kwestia procesu eks-króla, ale Danton nie zabrał w niej głosu. Kiedy Georges-Jacques przebywał w swoim wiejskim azylu, odwiedził go Théodore de Lameth, który latem 1791 wystąpił z Klubu Jakobinów, ponieważ nie zgadzał się z coraz agresywniejszym i destrukcyjnym kursem obranym przez „górali". Teraz figurował na liście śmierci. Lameth błagał Dantona, aby ratował Ludwika – nie dopuścił do procesu albo zorganizował ucieczkę. Georges-Jacques odparł:

– Posłuchaj, co ci powiem. Będę z tobą szczery na tyle, na ile mogę. Choć nie uważam, że król jest całkowicie bez winy, sprawiedliwość i czysto praktyczne względy wymagają, żeby wyciągnąć go z sytuacji, w jakiej się znalazł. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by go ocalić, ale w granicach zwykłej roztropności. Jeżeli uznam, że może mi się udać, jestem gotów zaryzykować głową. Jeśli jednak utracę wszelką nadzieję, nie licz na mnie. Otwarcie przyznaję, że w takiej sytuacji będę głosował tak samo jak ci, którzy go skarżą. Kiedy potoczy się jego głowa, nie chcę, aby moją spotkało to samo[97].

Gaston Camus

30 listopada Konwent wybrał Dantona na przewodniczącego specjalnej komisji, która miała pojechać do Belgii, aby skontrolować administrację i przebieg okupacji wojskowej. Dziwnym przypadkiem jednym z dwóch pozostałych członków owej komisji był Gaston Camus. To właśnie on dowodził patrolem, który nocą 16 września zauważył kradzież klejnotów koronnych z budynku Archiwum Narodowego.

[97] Christophne, str. 310.

W Konwencie od 13 listopada toczyła się burzliwa debata nad tym, czy i jak sądzić króla. Nawet ta Izba, wybrana wszak w cieniu mieczy, kijów i zakrwawionych zwłok, początkowo wahała się i żywiła wątpliwości, czy można posunąć się tak daleko. Sprawa była poważna: czy, aby zniszczyć monarchię, trzeba zabić króla? Od czasu upadku Imperium Rzymskiego w całej historii Europy pokusił się o to jeden tylko człowiek. Był nim Oliver Cromwell, jednakowo pogardzany przez rojalistów i rewolucjonistów, jako fanatyczny dyktator.

Nadszedł czas, aby na trybunę Konwentu wszedł Louis Antoine Saint-Just – „Anioł Śmierci" i autor poematu „Organt", opowiadającego o tym, jak Piekło okupuje Niebo. Uczynił to 13 listopada, pierwszego dnia debaty o przyszłym losie Ludwika XVI. Saint-Just był ubrany na czarno, nosił biały szeroki krawat, w uchu miał złoty kolczyk. Nie uśmiechał się. Zmarszczył czoło i jego czarne brwi zetknęły się z sobą. Głos, jakim zwrócił się do delegatów, był niczym smagnięcie lodowatym biczem:

– Podejmuję się, obywatele, udowodnić, że król może być osądzony, a opinie i Morissona, który broni nietykalności, i komisji, która chce sądzić go jako obywatela, są jednakowo fałszywe. Wykażę, że król musi być sądzony wedle zasad, których nie sposób wywieść ani z jednego, ani z drugiego stanowiska... Mówię wam, że król powinien być sądzony jak wróg, którego nie tyle powinniśmy sądzić, co go zwalczać. Ponieważ zaś nie obowiązuje już żadna umowa jednocząca nas jako Francuzów, procedury postępowania w tej sprawie nie wynikają z prawa cywilnego, lecz prawa narodów... Kiedyś ludzie będą się dziwili, że w osiemnastym wieku jesteśmy bardziej zacofani niż w czasach Juliusza Cezara; wtedy tyran został złożony w ofierze w samym środku Senatu; jedynymi formalnościami, jakich dotrzymano, były dwadzieścia trzy ciosy sztyletem... Nie widzę pośredniego rozwiązania: ten człowiek musi władać lub zginąć (...) nie można rządzić i pozostać niewinnym [*On ne peut pas régner innocemment*]; to jawna głupota. Każdy król jest buntownikiem i uzurpatorem.

„Nie można rządzić i pozostać niewinnym"! Rewolucja Francuska przyswoiła sobie słowa Saint-Justa i uczyniła z nich swój bitewny okrzyk, który za jednym zamachem potępiał i okrywał niesławą tysiąc lat historii państwa; wielu jego najbardziej szanowanych przywódców i kilku kanonizowanych świętych.

IV

Egzekucja katolickiego króla

(1 grudnia 1792 - 21 stycznia 1793)

Przemówienie, jakie Saint-Just wygłosił przeciwko królowi 13 listopada, nadało ton wszystkim wydarzeniom, które złożyły się na wielki dramat królewskiego procesu i egzekucji monarchy. Kordelierzy nie odstąpili ani na krok od stanowiska wyznaczonego przez Saint-Justa i Robespierre'a i konsekwentnie przy nim obstając, w ciągu dwóch miesięcy odnieśli bezapelacyjne polityczne zwycięstwo w kwestii przyszłego losu króla, a to z kolei umożliwiło im przejęcie pełnej kontroli nad Francją i Rewolucją. Jacques Roux, przywódca Komuny a zarazem ksiądz, któremu biskup odebrał prawo wykonywania posługi kapłańskiej za uczestnictwo w splądrowaniu kilku szlacheckich domów w 1790 r., przemawiał na spotkaniu sekcji paryskiej 1 grudnia. Otwarcie domagał się śmierci Ludwika, żądając *głowy zabójcy Francuzów. Wolność ludu* powinno *umacniać się poprzez zgodne z prawem przelanie nieczystej krwi królów*[98]. Roux miał później stać na szafocie obok Ludwika i przyglądać się, jak ogromne ostrze spada na szyję władcy.

Nazajutrz Komuna Paryża wysłała deputację do Konwentu z oświadczeniem, że brak działań w celu ukarania Ludwika (jego

[98] Jordan, str. 70-71.

winę z góry uznano za oczywistą) byłby *politycznym bluźnierstwem*, które, jeśli szybko się temu nie zaradzi, grozi powtórką wydarzeń z 10 sierpnia.

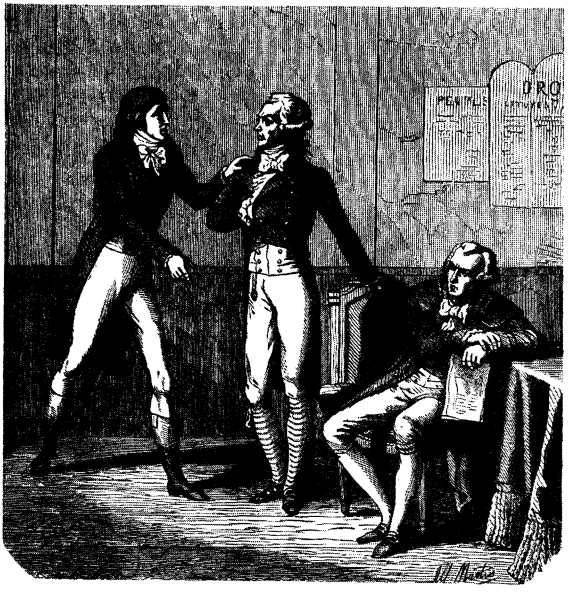

Robespierre, Sant-Just i Couthon

Była to oczywista groźba i Konwent zareagował natychmiast. Już następnego dnia, czyli 3 grudnia, ogromną większością głosów uchwalono postawienie Ludwika przed sądem. Nawet Robespierre dostrzegł w tym zbyt daleko idącą gorliwość. – Ludwik nie jest oskarżonym, wy zaś nie jesteście sędziami. Jesteście, możecie być, wyłącznie mężami stanu, przedstawicielami narodu.

Gdyby Ludwik był oskarżony przez jakąkolwiek instytucję, która choć trochę przypominałaby sąd, musiałby zostać uznany za niewinnego do czasu udowodnienia mu winy. On jednak za niewinnego uznany być nie mógł. Saint-Just oświadczył już wszak, że nie można rządzić i pozostać niewinnym. Robespierre powiedział z bezlitosną szczerością: – Jeżeli Ludwik może zostać uznany za niewinnego, co stanie się z Rewolucją?[99]

Na tym polegało sedno i sens wszelkich działań wymierzonych w byłego króla Francji. Choć większość Konwentu odrzuciła tym razem radę Robespierre'a i uchwaliła, że proces musi się odbyć, gros deputowanych wyznawało pogląd, iż Ludwik jest winien nie z racji popełnienia jakiegoś konkretnego czynu, ale dlatego, że taka

[99] *Ibid*, str. 74.

jest polityczna konieczność. Jedynym rzeczywistym pytaniem było, czy karą dla niego musi być śmierć. Człowiek Ludwik Bourbon zniknął, ustępując miejsca symbolowi, jakim pozostawał Król Francji. Nie miało najmniejszego znaczenia, że nie był już królem, że 21 września Konwent przegłosował zniesienie monarchii, że Ludwik miał dwóch braci i wielu krewnych, gotowych natychmiast po jego śmierci zgłaszać pretensje do tronu i szukać pomocy u każdego, kto zechce je uznać.

Niesprawiedliwość, z jaką potraktowano króla, była tak rażąca, że trudno uwierzyć, aby w jej obronie stawał jakikolwiek historyk, którego nie zaślepia rewolucyjny zapał i polityczna stronniczość. Wielu to jednak czyni i nie przeszkadza im fakt, że im wnikliwiej bada się ową niesprawiedliwość, tym większa się okazuje. Domniemanie, że Ludwik musiał czymś poważnie zawinić, było najprawdopodobniej bardzo rozpowszechnione, ponieważ ani jeden deputowany Konwentu nie głosował za jego uniewinnieniem.

Przyjrzyjmy się teraz zarzutom stawianym królowi, pamiętając o sytuacji, w jakiej znajdował się przez ostatnie trzy lata. Oficjalny akt oskarżenia sporządziła specjalnie powołana komisja Konwentu, tzw. Komisja Dwudziestu Jeden. 10 grudnia 1792 na sesji plenarnej Konwentu odczytywał go Robert Lindet, późniejszy członek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego w okresie rządów Terroru.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą, o której nie wolno zapominać, a czego prawie nigdy nie podnosi się w kontekście zarzutów przedstawionych Ludwikowi, jest prosty fakt (co ciekawe nie wspominają o tym nawet pisarze i historycy przychylni królowi), że od 6 października 1789 r. do rozpoczęcia procesu, gdzie stawką było jego życie, Ludwik i cała jego rodzina – żona, córka i synek byli więźniami w Tuileries. Więźniami niedostatecznie chronionymi, których życie znajdowało się w ciągłym niebezpieczeństwie. Uwięziono ich, nie dbając o jakiekolwiek pozory legalności, bez postawienia zarzutów, bez procesu i bez wyroku. Jak ktoś, kto w tamtych czasach i później oceniał postępowanie Ludwika, mógł o tym zapomnieć lub zignorować tak doniosły i szokujący fakt? Oto mężczyznę i jego rodzinę zbrodniczy motłoch wyciąga z domu w środku nocy i każe im maszerować do twierdzy wroga tuż za odciętymi i nabitymi na piki głowami ich własnych gwardzistów (to właśnie spotkało Ludwika oraz jego rodzinę 6 października 1789 r.). Następnie przez

Rodzina królewska w Temple

dwa lata trzyma się ich w zamknięciu i pod nieustannym nadzorem straży. Gdy podejmują jedyną i daremną próbę ucieczki, zostają sprowadzeni w pochodzie podobnym do tego, który wcześniej ich uprowadził. Przez cały kolejny rok przetrzymywani są w jeszcze ściślejszym odosobnieniu. Tam zostają zaatakowani przez tysiące zbrojnych. Wówczas wtrąca się ich do pięćsetletniej wieży, której mury mają 2,70 m grubości. Chyba nikt zdrowy na umyśle nie może wyciągnąć z tego innego wniosku, jak tylko ten, że człowiek ów działał pod przymusem. Jeśli tak, to nie ulega wątpliwości, że pierwszym i najważniejszym obowiązkiem Ludwika XVI względem kraju, rodziny oraz samego siebie była ucieczka. Wobec porywaczy nie miał absolutnie żadnych zobowiązań.

Można wysunąć argument, że jeśli porywacze, jak sami twierdzili, rzeczywiście byli reprezentantami narodu, mieli prawo obalić monarchię i ustanowić republikę. Teoretycznie można im owo prawo przyznać, pod warunkiem, że w istocie byli wyrazicielami woli francuskiego narodu. Jednakże większość odpowiedzialnych za uprowadzenie króla nie głosiła otwarcie poparcia dla republiki. Sytuacja uległa zmianie dopiero w trzecim roku przetrzymywania władcy w areszcie, co wyraźnie wskazuje na to, że przynajmniej do tamtej chwili ich postępowanie nie cieszyło się żadnym znaczącym poparciem. Brak entuzjastycznej reakcji prowincji na proklamowanie 21 września Republiki Francuskiej świadczy, że nie było go także i wtedy. Ale nawet gdybyśmy założyli, że obalenie monarchii miało powszechną akceptację, nie usprawiedliwia to chyba uwięzienia króla i jego rodziny, przetrzymywania w więzieniu do czasu detronizacji i odebrania im życia. Możliwe do zaakceptowania byłoby skazanie rodziny królewskiej na wygnanie z kraju – takie rozwiązanie stosowano później w Europie wielokrotnie, gdy jakiś kraj zmie-

niał ustrój z monarchii na republikę. Proponowała je zresztą niemała liczba deputowanych Konwentu. W końcowym głosowaniu nad przyszłym losem Ludwika (po jednogłośnym uznaniu go winnym, co fatalnie świadczy o ich poczuciu moralności) ponad trzystu posłów głosowało za skazaniem go na wygnanie po zakończeniu wojny z Prusami i Austrią (wiosną 1792 r. nie kto inny, lecz właśnie Zgromadzenie Narodowe zmusiło Ludwika do jej wypowiedzenia). Mimo to paryskie przywództwo Rewolucji nigdy nie rozważało poważnie takiej ewentualności.

Innym możliwym rozwiązaniem była abdykacja – albo z woli samego króla, albo pod naciskiem rewolucjonistów. Nikt jednak nie opowiadał się za nim, gdyż wedle francuskiego prawa sukcesji po abdykacji Ludwika królem automatycznie zostawał jego nieletni syn (również zamknięty w więzieniu), a gdyby ojciec uwzględnił go w ustawie o abdykacji, prawo do tronu przechodziło na brata monarchy, który uciekł z Francji i był znacznie bardziej nieprzejednanym wrogiem Rewolucji niż Ludwik XVI.

Trzydzieści trzy punkty aktu oskarżenia przeciwko Ludwikowi XVI były w znakomitej większości swoistym melanżem politycznych pretensji rewolucjonistów. Nawiązywały głównie do okresu pomiędzy październikiem 1789 r. a wrześniem 1791 r., kiedy to zgodnie z obowiązującym wówczas prawem, Ludwik, mimo że nielegalnie uwięziony, w dalszym ciągu pozostawał monarchą absolutnym (pierwsza konstytucja z roku 1791 została przyjęta i zaczęła obowiązywać dopiero we wrześniu). Przestępstwa, jakie rzekomo popełnił w tamtym czasie, wiązały się przede wszystkim z podejmowanymi przez niego próbami odzyskania wolności, znalezienia i opłacenia ludzi, którzy broniliby jego interesów, oraz udzielaniem przez króla pomocy finansowej niektórym poddanym, m.in. kilku osobom, które służyły mu osobiście, a które rewolucjoniści zmusili do ucieczki z kraju. Jednym z dokumentów zaliczonych w poczet dowodów przeciwko niemu był list, jaki w kwietniu 1791 roku napisał do biskupa Clermont. Obiecywał w nim, że jeśli odzyska władzę, przywróci dawne swobody francuskiego Kościoła katolickiego i uwolni go od podległości wobec państwa.

Inne zarzuty odnosiły się do okresu niecałego roku: od września 1791 do sierpnia 1792, czyli czasu obowiązywania ustawy za-

sadniczej. Ludwika oskarżono ni mniej, ni więcej tylko o to, że korzystał z prawa wetowania ustaw, które dawała mu konstytucja. Zarzucono mu również, że konstytucja mu się nie podobała, bo nazwał ją *absurdalną i wstrętną* (ponieważ więziono go w czasie jej obowiązywania, trudno oczekiwać, żeby pałał do niej sympatią!). Pod rządami Rewolucji doszło do tego, że zarówno przestrzeganie konstytucji, jak i jej krytyka stały się kryminalnym przestępstwem. Ustawa zasadnicza w co najmniej czterech różnych artykułach zagwarantowała królowi nietykalność osobistą. Konwent ominął ową regulację, stwierdzając, że nie ma konieczności jej przestrzegania, bo to, co naród jako suweren darował za pośrednictwem wybranych przez siebie przedstawicieli, może także odebrać. Teoretycznie nic temu stwierdzeniu zarzucić nie sposób. Czy jednak suweren lub jakakolwiek inna władza na tym świecie może zagwarantować władcy nietykalność, następnie mu ją odebrać, a w końcu skazać na śmierć za to, co uczynił i powiedział w okresie, kiedy owe gwarancje obowiązywały? Nikt w Konwencie nie kwapił się, by na to pytanie odpowiedzieć. Jedynym człowiekiem, który w obliczu tych bezprawnych zabiegów odważył się podnieść ową kwestię, był obrońca Ludwika, nieustraszony Romain Deséze – osamotniony bohater tamtych dwóch strasznych miesięcy, w ciągu których morale Francji spadło do poziomu, jakiego świat miał stać się świadkiem ponownie dopiero w czasach Adolfa Hitlera.

Jakby i tego było mało, akt oskarżenia Ludwika wspominał również o ludziach zabitych 10 sierpnia. Tutaj bezczelność i tupet ocierały się wręcz o szaleństwo. Ludwikowi zarzucano, że był za to odpowiedzialny! On, który nikogo nie zabił – próbował jedynie bronić siebie i swojej rodziny. On, który w końcu stracił nadzieję na owej obrony skuteczność i rozkazał swoim ludziom złożyć broń, pozwalając w ten sposób napastnikom, by ich wymordowali! Nie jest bynajmniej tak, że owe fakty nie były wówczas znane, a wiedzę o nich zawdzięczamy późniejszym badaniom historycznym. Każdy, kto 10 sierpnia znalazł się w okolicach Tuileries lub uczestniczył w spotkaniach organizowanych przez Komunę Paryża oraz poszczególne sekcje, dobrze je znał. Deséze zjadliwie wytknął to deputowanym we wspaniałej mowie obrończej wygłoszonej przed Konwentem 26 grudnia: – W tej właśnie sali, gdzie teraz przemawiam,

deputowani kwestionowali cnotę zaplanowania powstania dziesiątego sierpnia[100].

Rzeczywista wina Ludwika, jeżeli taka istniała, nie polegała na popełnieniu czynów zarzucanych mu w akcie oskarżenia, ale na tym, że nie popełnił ich więcej i nie okazał się skuteczniejszy – mogłoby to umożliwić mu ocalenie kraju, rodziny i samego siebie przed doświadczanym teraz horrorem. Robespierre miał absolutną rację, mówiąc, że jeśli istnieje możliwość, że król jest niewinny, winę musi ponosić Rewolucja. Rewolucja była winna. Ale w Paryżu u schyłku roku 1792 powiedzenie tego na głos równało się śmierci.

W takiej sytuacji istnieją tylko dwie moralnie usprawiedliwione postawy. Jeżeli istnieje realna szansa na zwycięstwo, można zebrać grupę śmiałków i walczyć. Jeśli takiej szansy nie ma, można milczeć, tak jak milczał angielski męczennik św. Thomas More, kiedy przeciwstawił się Henrykowi VIII. Nie wolno jednak głosować za skazaniem człowieka – czy to króla, czy to nędzarza – z lęku przed powiedzeniem prawdy o jego niewinności.

Kiedy nadszedł czas głosowania nad winą Ludwika, czternastu delegatów wstrzymało się od głosu. Miejmy nadzieję, że przynajmniej kilku z nich kierowało się identycznymi motywacjami co Thomas More. Pozostali posłowie, a było ich aż 707, uznało Ludwika winnym[101].

Romain Deséze

Romain Deséze zwrócił się do nich w te oto słowa: – Dziś nie ma innej władzy równej waszej, ale jest władza, której nie posiadacie: nie macie władzy czynienia niesprawiedliwości (...) Obywatele, będę zwracał się do was

[100] Cronin, str. 362

[101] Patrick, str. 88-91.

z tego miejsca ze szczerością wolnego człowieka. Szukam pośród was sędziów, ale widzę tylko oskarżycieli. Chcę mówić tu o losie Ludwika, a przecież to wy go oskarżacie! Na koniec stwierdził: Poddaję się wyrokowi Historii. Pomyślcie, jak ona osądzi wasze orzeczenie i że wyrok na niego (króla) będzie osądzany przez stulecia[102].

Historia nie okazała się godna człowieka miary Romain Deséze'a.

Tyle uwagi poświęca się wyrównanemu i pełnemu dramatyzmu głosowaniu nad egzekucją Ludwika, że wielu autorów traci z pola widzenia sprawę o jeszcze większej doniosłości. Chodzi mianowicie o niemal całkowitą jednomyślność w skazaniu króla za prawnie absurdalne „zbrodnie", o które go oskarżono. Wielu deputowanych Konwentu wiedziało w głębi serca, że Ludwik jest niewinny, ale zabrakło im odwagi, aby dać wyraz temu przeświadczeniu w głosowaniu; najpewniej uspokajali sumienie, wmawiając sobie, że dzięki temu uratują przynajmniej własne życie. Pierwsze głosowanie nad winą Ludwika odbyło się 15 stycznia 1793 roku. Owego miesiąca, który był początkiem strasznego roku Terroru, w Paryżu wiały lodowate wiatry, niebo było szare, wszędzie zalegał połyskliwy lód. Od 27 grudnia do 4 stycznia między żyrondystami a kordelierami toczyła się długa polemika, czy decyzję o ukaraniu Ludwika ma podjąć Konwent, czy należy w tej sprawie odwołać się do *narodu* (chodziło o 44 000 *zgromadzeń podstawowych*, które wybierały elektorów, a ci z kolei wybierali delegatów do Narodowej Konwencji). Po obu stronach panowało powszechne i najprawdopodobniej słuszne przekonanie, że owa przedłużająca się, trudna i bezprecedensowa procedura uchroni Ludwika przed wyrokiem śmierci. 31 grudnia Pierre Vergniaud, największy mówca żyrondystów, nie szczędził oratorskiego talentu i błyskotliwymi filipikami wspierał wniosek o odwołaniu się do zdania narodu. Jak większość jego przemówień, także i to wzbudziło na sali głośny zachwyt, ale niewiele zmieniło w wynikach głosowania.

O wiele ważniejszym pod względem politycznym było wystąpienie Bertranda Barére z tzw. *Równiny*, które wygłosił 4 stycznia. Barère był jedynym wybitnym mówcą pośród tej części deputowanych. Należał do tego pokroju ludzi, o których ani najlepsi przyjaciele, ani wrogowie nie powiedzieliby, że kierują się jakimikolwiek

[102] Jordan, str. 183.

Bertrand Barère

zasadami. Zawsze starał się opowiadać po stronie zwycięzcy, a jednocześnie zachować odpowiedni dystans, tak aby kiedy nadejdzie właściwy moment, ponownie zmienić front. W okresie Terroru był *mało entuzjastycznym terrorystą*. Należał do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i jako jedyny z jego członków przeżył. Był także tajnym agentem Napoleona. Barère świętoszkowato oświadczył Konwentowi, że stanęli w obliczu *tragicznej konieczności usunięcia tyrana, aby zniszczyć jakąkolwiek nadzieję na powrót tyranii*[103]. Król musi umrzeć, a Konwent musi zadekretować jego śmierć. *Drzewo wolności nie mogłoby się rozrastać, gdyby nie podlewano go krwią monarchów*[104]. Przemówienie Barère'a było dla *Równiny* sygnałem, że szala władzy i wpływów w Konwencie przechyla się na stronę „górali", którzy po 10 sierpnia przejęli rządy w Paryżu. Wieczorem 15 stycznia poddano pod głosowanie wniosek o odwołaniu się do *zgromadzeń podstawowych*, który przepadł stosunkiem głosów 424 do 284, co i tak stanowiło o wiele lepszy wynik, niż spodziewała się większość deputowanych.

16 stycznia Konwent wznowił obrady o 10.30. Sesja miała być poświęcona głosowaniu nad egzekucją króla. Trwała bite trzydzieści sześć godzin. Danton był na niej obecny. Konwent wezwał go z Belgii kilka dni wcześniej, aby spotkał się z generałem Dumouriezem, który 6 stycznia powrócił do Paryża z wieloma skargami na francuskie władze rewolucyjne w Belgii, w szybkim tempie zrażające do siebie ludność. W stosie korespondencji, która czekała na Dantona, leżał list od Bertranda de Molleville'a, byłego ministra francuskiego rządu, teraz na wygnaniu w Londynie. Molleville próbował szantażem zmusić Dantona do podjęcia działań zmierzających do ocalenia życia Ludwika XVI, grożąc ujawnieniem posiadanego przez siebie dowodu, że Danton przyjął niegdyś pieniądze od króla (Oczywiście, że przyjął. Wziąłby je od każdego, dostatecznie głu-

[103] *Ibid.*, str. 186.

piego, by je mu dawać, a potem i tak postąpiłby po swojemu). Dantonowi udało się przekonać odbiorcę listu de Molleville'a, że ma do czynienia z oszustwem, i nakłonić go, aby list zniszczył. Na wszelki wypadek jednak, gdyby jakieś pogłoski o tym miały wyciec na zewnątrz, najważniejsze dla przyszłości politycznej Dantona było teraz przedstawianie siebie jako bezkompromisowego zwolennika egzekucji monarchy. Dlatego już na początku debaty 16 stycznia, Danton wytoczył działa swego oratorskiego talentu przeciwko wnioskowi deputowanego Lanjuinaisa – jednego z najzagorzalszych obrońców Ludwika, który proponował, aby zatwierdzenie egzekucji króla wymagało większości dwóch trzecich głosów – i doprowadził do jego odrzucenia.

O ósmej wieczorem Konwent zgromadzony w Szkole Jeździeckiej przystąpił do głosowania za życiem lub śmiercią Ludwika de Bourbon. Dzień był bardzo pochmurny, noc zaś wyjątkowo mroczna. Galerie pękały w szwach, bo spektakl, który za chwilę miał się rozegrać przed oczami widzów, łączył w sobie polityczny dramat najwyższej próby z dawnym, okrutnym i magnetycznym urokiem rzymskiego cyrku. Stawką było życie ekskróla Francji. Głosowanie nad wnioskiem miało ciągnąć się całą noc, a rozpoczęcia debaty spodziewano się lada chwila. Na galeriach dla publiczności skąpo odziane kobiety sączyły likier oraz napoje z pomarańczy, a barczyści sankiuloci[105] (którymi tak bardzo szczycili się kordelierzy) przekazywali sobie z rąk do rąk flaszki wina. Jedyny piec (w kształcie Bastylii) kopcił. Sala była źle oświetlona. Brak wentylacji i ogromny tłok powodowały, że panował w niej przeraźliwy smród.

Przewodniczył żyrondystowski mówca Pierre Vergniaud (Czy myślał wówczas o tym, że 10 sierpnia, kiedy przewodniczył obradom Legislatywy, król wraz z rodziną, uchodząc z obszaru śmierci, zjawił się na tej sali, prosząc go o obronę, on odrzekł mu wtedy: – Możesz liczyć na stałość Zgromadzenia Narodowego. Zna ono swoje obowiązki, a jego członkowie przysięgali przestrzegać posza-

[104] *Encyclopedia Britannica*, 11th edition, „Barére Bertrand".

[105] Sankiuloci – od 1792 r. nazwa nadawana zagorzałym stronnikom Rewolucji Francuskiej. W znaczeniu przenośnym: radykałowie, ekstremiści. Słowo pochodzi od fr. *sans-culotte* – dosł. „bez krótkich spodni"; *culotte* – spodnie do kolan (moda warstw wyższych); republikanie nosili długie pantalony (przyp. tłum.).

nowania praw narodu i konstytucyjnych władz?)[106]. Vergniaud wypracował sobie jedyną w swoim rodzaju metodę zaprowadzania porządku w trakcie często bardzo burzliwych i hałaśliwych obrad Konwentu (pewnego dnia przewodniczący połamał trzy dzwonki, którymi bezskutecznie potrząsał, próbując uspokoić deputowanych). Kiedy zachowanie delegatów całkowicie wymykało się spod kontroli, Vergniaud zakładał kapelusz i podnosił się z miejsca. Ponieważ nikomu nie zależało na gwałtownym przerwaniu obrad, sygnał dawany kapeluszem zawsze skutecznie przywracał dobre obyczaje, dzięki czemu można było kontynuować sesję.

Wcześniej ustalono, że każdy z obecnych na sali deputowanych (ostatecznie oddano 721 głosów), będzie indywidualnie wywoływany do głosowania, zgodnie z porządkiem alfabetycznym departamentów oraz według daty uzyskania mandatu (najpopularniejsi i najlepiej znani delegaci zwykle byli wybierani jako pierwsi). Każdy deputowany będzie mógł wytłumaczyć, dlaczego głosował tak, a nie inaczej (większość skwapliwie skorzystała z owego niezwyczajnego przywileju). Sesja okazała się długa i wyczerpująca, głosowanie i mowy wyjaśniające zajęły czternaście godzin. Trwały dosłownie przez całą noc, zakończyły się dopiero następnego, ponurego i zimowego dnia. Wiele wskazuje na to, że żyrondyści celowo tak zaaranżowali przebieg wydarzeń, aby pierwszym głosującym był Jean-Baptiste Mailhe z departamentu Haute-Garonne. Przewodniczył on pierwszej komisji, która zaleciła przeprowadzenie procesu byłego króla przed obliczem Konwentu. Mailhe tak oto wytłumaczył swą decyzję:

– Z konsekwencją, która wydaje mi się naturalna jako skutek odpowiedzi, której udzieliłem już na pierwsze pytanie [w sprawie winy byłego króla], głosuję za śmiercią. Poczynię proste spostrzeżenie: jeżeli większość będzie za śmiercią, uważam, że warto, aby Konwent zastanowił się, czy nie byłoby rzeczą korzystną odroczyć termin egzekucji. Powracam do odpowiedzi na pytanie i głosuję za śmiercią.

Jeżeli pozbawić tę wypowiedź pokrętnej stylistyki, jest ona oczywistym – Mailhe powtórzył to dwukrotnie – opowiedzeniem się za śmiercią króla, ale wyraża również nikłą nadzieję, że Konwent *mógłby...*

[106] Bowers, str. 227.

odroczyć termin egzekucji. Zdanie to trudno określać mianem poprawki, jego sens jest nazbyt mało konkretny, mimo to jednak zapisało się ono w historii jako „poprawka Mailhe'a". W najlepszym razie można je nazwać głosem za karą śmierci z możliwością jej odroczenia.

Wywoływanie deputowanych według departamentów trwało. Zgodnie z francuskim układem alfabetycznym departamentów, Haute-Garonne umieszczono pod „G". Następne w kolejności były Gers i Gironde. W trakcie całego procesu adwokaci Ludwika (było ich trzech: François-Denis Tronchet i Lamoignon de Malesherbes – dwaj wybitni, lecz starsi prawnicy, oraz młodszy i energiczniejszy od nich Deséze) z konieczności wiązali nadzieje na ocalenie swojego klienta z żyrondystami, których bastionem był właśnie departament Gironde. Żyrondyści tuż po utworzeniu Legislatywy należeli do radykałów, wszyscy byli republikanami i niewątpliwie także rewolucjonistami, ale odcięli się od wrześniowych rzezi i uczynili to chyba nie tylko z lęku, że również mogli być jej ofiarami, ale po części dlatego, że budziła w nich szczere moralne oburzenie. Większość żyrondystów nie chciała egzekucji Ludwika. Kilka minionych miesięcy nauczyło ich jednak, że same pretensje, okolicznościowe skrupuły i błyskotliwe krasomówstwo nie wystarczą, żeby zatrzymać albo skierować na inne tory rozpędzoną do najwyższych obrotów machinę rewolucji. Aby to uczynić, niezbędne są dwie rzeczy: prawdziwa i wyjątkowa odwaga, zarówno fizyczna, jak i moralna, oraz ładunki do muszkietów (lub *podmuch kartaczy* – określenie, które sławnym uczynił później kapitan Bonaparte). Żyrondystom brakowało jednego i drugiego, co dobitnie miał zademonstrować ich najlepszy mówca.

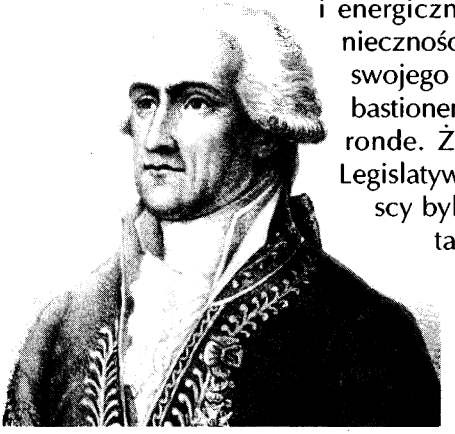

François-Denis Tronchet

– Departament Gironde – wyrecytował monotonnym głosem sekretarz odczytujący listę głosowania.

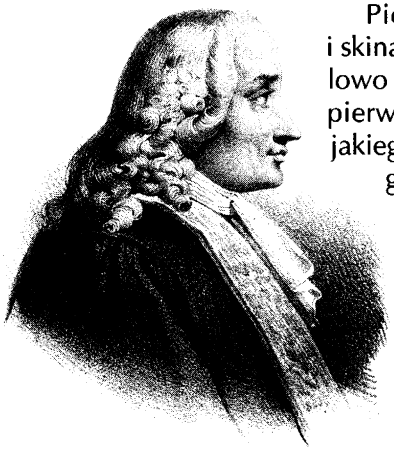

Lamoignon de Malesherbes

Pierre Vergniaud odłożył kapelusz i skinął na Bertranda Barère'a, aby chwilowo zajął jego miejsce. Ponieważ był pierwszym przedstawicielem Gironde, jakiego wybrali elektorzy, miał również głosować jako pierwszy. Adwokaci Ludwika stali na wąskich schodkach prowadzących na galerię dla publiczności, z której mieli widok na trybunę, gdzie każdy z delegatów oznajmiał, jak zagłosował. Dopiero co przybyli na salę i pytali, do jakiej litery alfabetu dotarło głosowanie. Poinformowano ich, że do „G".

– To dobrze – powiedział Deséze – kolej na Gironde. Vergniaud zagłosuje na naszą korzyść, a za jego przykładem pójdą inni[107].

Deséze mógł wiedzieć o tym, że nie dalej jak zeszłej nocy Vergniaud powiedział Jean-Baptiste Harmandowi, deputowanemu *Równiy*, że w żadnym razie nie odda głosu za śmiercią króla.

W sali, gdzie dotąd panował zgiełk, zapadła pełna napięcia cisza. Edmund Charles Genet, późniejszy ambasador francuskiego rządu rewolucyjnego w Stanach Zjednoczonych, opisał wygląd i zachowanie Vergniauda w tamtej pamiętnej chwili: *spokojny, wargi zaciśnięte, wzrok spuszczony ku ziemi, powoli i uroczyście* wkraczał na trybunę[108]. W sali rozległ się jego donośny głos:

– Prawo przemówiło i powiedziało „śmierć". Jednakże wymawiając to straszliwe słowo, niepokojąc się o los mego kraju, pamiętając o niebezpieczeństwach, jakie zagrażają wolności, o krwi, która może zostać przelana, wyrażam to samo życzenie, co Mailhe, i proszę, aby to [kara śmierci] mogło zostać przedłożone do rozpatrzenia zgromadzeniu.

Nie zważając na nic, Harmand rzucił się ku trybunie i z bezgranicznym zdumieniem patrzył na wielkiego człowieka. – Co się

[107] *Ibid.*, str. 186.

[108] Bowers, str. 308.

stało? – krzyknął, a w jego głosie słychać było zdziwienie i ból. – Jak mogłeś w tak krótkim czasie zmienić zdanie?

Pierre Vergniaud często i ze swadą wypowiadał się przeciw złu tyranii i opowiadał, w jaki sposób zamierza raz na zawsze uwolnić od niej Francję. Teraz na pytanie Harmanda dał mu odpowiedź, jakiej od wieków udzielają tyrani: – Uznałem, że dobro publiczne jest ważniejsze od życia pojedynczego człowieka.

Ostatni bohaterski obrońca Ludwika de Bourbon, który stał na schodach wiodących na galerię uświadomił sobie nagle, że to już koniec.

– Wszystko stracone – powiedział Romain Deséze.

O trzeciej nad ranem głosowanie dobrnęło do pozycji „Paryż", który był trzydziesty na liście 83 departamentów. Delegacja paryska, której elektorzy, by oddać głos na swoich przedstawicieli, musieli przechodzić obok ciał ofiar wrześniowych rzezi, stosunkiem głosów 21 do 3 opowiedziała się za karą śmierci. Pamiętne stały się zwłaszcza wypowiedzi dwóch jej reprezentantów. Jako pierwszy przemówił Danton:

– Nie zaliczam się do owego pospolitego stada polityków, którzy muszą jeszcze nauczyć się, że nie wchodzi się w żadne układy z tyranami; którzy muszą jeszcze nauczyć się, że w przypadku monarchy jedynym miejscem podatnym na cios jest przestrzeń pomiędzy głową a ramionami; którzy muszą jeszcze nauczyć się, że od Europy dostaną tylko tyle, ile da się wymusić zbrojnie. Głosuję za śmiercią tyrana.

Drugim, szczególnie dobrze zapamiętanym głosem była wypowiedź kuzyna Ludwika, byłego księcia Orleanu, znanego teraz jako Filip Egalité. Ponieważ na reprezentanta Paryża został wybrany jako ostatni, był również ostatnim członkiem delegacji, który oddawał głos. Gdy zbliżał się do trybuny zapadła taka sama cisza, jaka towarzyszyła Vergniaudowi, gdy ten zajmował miejsce na podium. Filip Egalité cichym głosem powiedział:

– Wypełniając do końca mój obowiązek, w przekonaniu, że każdy, kto kwestionuje lub będzie kwestionował władzę narodu, zasługuje na śmierć, głosuję za karą śmierci[109].

[109] Jordan, str. 187.

Deputowani, którzy zachowali w sobie dość człowieczeństwa, aby pogardzać człowiekiem głosującym za zabiciem krewnego, zaczęli gwizdać i drwić. Ludwik Filip, syn Filipa Egalité, tak oto opisuje spotkanie brata i ojca, które miało miejsce nazajutrz:

Ojciec posłał po niego po powrocie z Konwentu. Brat znalazł go siedzącego za biurkiem i zalanego łzami. Obiema dłońmi zakrywał twarz. Łkając, powiedział: „Montpensier, nie mam odwagi na ciebie spojrzeć". Brat opowiadał mi, że nie był w stanie wykrztusić ani słowa, więc chciał go objąć, ale ojciec odsunął się mówiąc: „Nie! Jestem nazbyt żałosny. Nie umiem sobie teraz wyobrazić, co mogło mnie popchnąć do tego, abym uczynił to, co uczyniłem". Trwali tak obok siebie przez dłuższy czas, nie mówiąc już ani słowa[110].

Niestety, skrucha lub odwaga byłego księcia, a może obie te cechy, miały krótki żywot. Dwa dni później ponownie opowiedział się za śmiercią kuzyna, głosując przeciwko jakiemukolwiek odroczeniu wykonania egzekucji.

Kiedy do głosowania wywołano departament Hautes-Pyrénées, który na liście zajmował czwartą pozycję po Paryżu, jego przedstawiciel, Barère, odstąpił Vergniaudowi miejsce w fotelu przewodniczącego. Nastąpiła krótka przerwa w obradach – jedyna w czasie trwania całego posiedzenia. Deputowani i widzowie porównali notatki. Sekretarze oznajmili, że nie ma jeszcze wyników. Setki ludzi prowadziło własne wyliczenia. Niektórzy przypinali je szpilkami do kart do gry. Rzecz jasna, obliczenia w wielu przypadkach były całkowicie rozbieżne. W rzeczywistości oddano już 305 głosów, nieznaczna przewaga była po stronie kary śmierci.

W końcu nadszedł zimny i szary świt. Wciąż trwało niekończące się wywoływanie deputowanych. Delegaci, mimo wyczerpania, z uwagą śledzili oddawanie każdego głosu. Wydawało się, że każdy członek Konwentu głosował: *la mort*. Powoli zaczynało stawać się oczywiste, że zadecydują głosy oddane na „poprawkę Mailhe'a". Gdyby zaliczono je do opowiadających się za śmiercią (a wszystko wskazywało, że tak właśnie będzie), dałyby przewagę karze śmierci.

Absolutna większość przy 721 oddanych głosach wynosiła 361. Nie jest pewne, ilu członków Konwentu znało dokładną liczbę gło-

[110] Louis-Philippe, str. 361.

sów, potrzebnych do zatwierdzenia wniosku, ale większość na pewno miała świadomość, że około 360 głosów jest niezbędnych do rozstrzygnięcia. Światło bladego zimowego poranka zaczęło przedzierać się przez małe i brudne okienka pod dachem Szkoły Jeździeckiej. Wywoływanie do głosowania zbliżało się ku końcowi. Ci, którzy prowadzili najdokładniejsze obliczenia, wiedzieli, że liczba głosów oddanych za karą śmierci, wraz z głosami za „poprawką Milhe'a" oscyluje wokół 350. Z ogólnej liczby 83 departamentów, głosować miało jeszcze tylko kilka. Jako ostatnie głosowały departament Côtes-du-Nord (zamieszkały przez bretońskich rybaków i chłopów, którzy należeli do najpobożniejszych katolików, jacy pozostali we Francji) oraz departament Creuse (ziemia pasterzy i wieśniaków, kryjących się przed światem w górskich dolinach i równie głęboko wierzących jak Bretończycy). W obu przypadkach za karą śmierci oddano zaledwie jeden z dziesięciu głosów. Creuse oddało też jeden głos na „poprawkę Mailhe'a".

Przyszła kolej na departament Dordogne – okręg żyznych nadrzecznych dolin centralnego podnóża Masywu Centralnego. W odległych czasach wojen religijnych zamieszkiwali go głównie hugenoci. Zgromadzenia Dordogne, wybierające delegatów do Konwentu, znajdowały się pod niemal całkowitą kontrolą kordelierów (Tragedią Francji było to, że ich władza nie ograniczała się do Paryża, choć tak właśnie zakładało życzeniowe myślenie żyrondystów). Delegacja Dordogne stosunkiem głosów dziewięć do jednego, opowiedziała się za karą śmierci[111].

Francois Buzot

Werdykt był przesądzony, ale na zakończenie widzowie mieli być świadkami jeszcze dwóch aktów hipokryzji. Nie głosowali dotąd czołowi przywódcy żyrondystów: Francois Buzot z departamentu Eure – przystojny dandys z Normandii i kochanek madame Roland – oraz Jerome Pétion, który 10 sierpnia był

[111] Pełny opis przebiegu głosowania w Konwencie z wyszczególnieniem wszystkich delegatów, którzy przyczynili się do egzekucji Ludwika XVI znajduje się w książce Alison Patrick, str. 317-339.

burmistrzem Paryża, a teraz reprezentował departament Eure-et-Loir. Obaj głosowali za śmiercią à la Mailhe. Pétion jechał z Bourbonami powozem, który w czerwcu 1791 roku odwoził rodzinę królewską do Paryża po nieudanej ucieczce i pojmaniu zbiegów w miasteczku Varennes. Antoine Barnave, towarzyszyszący mu w tamtej koszmarnej podróży, zobaczył wówczas dość, aby zrozumieć zło Rewolucji. Do samego końca starał się uratować Marię Antoninę oraz jej dzieci i zginął za to na gilotynie.

Jerome Pétion

Buzota i Pétiona czekał inny koniec. Głosowanie w Konwencie 16 i 17 stycznia 1793 r. przyczyniło się do wprowadzenia we Francji rządów Terroru. Buzot i Pétion przyłożyli do tego rękę, a później długo uciekali przed jego siepaczami. 18 czerwca 1794 roku ich ciała, częściowo już pożarte przez wilki, znaleziono na polance w lesie St. Emilion w okolicy Bordeaux. Nie wiadomo, czy sami zadali sobie śmierć, czy zostali zagryzieni przez zwierzęta.

Około dziewiątej rano Vergniaud ogłosił rezultat głosowania. Trzystu sześćdziesięciu deputowanych – do absolutnej większości brakowało jednego głosu – głosowało za bezwarunkową egzekucją. Dwudziesty sześciu także opowiedziało się za śmiercią króla, ale z zastrzeżeniem, jakie zgłosił Mailhe. Jeśliby je dodać (a taką właśnie decyzję wydał nazajutrz Konwent), ostateczny stosunek głosów wynosił 387 do 334.

– W imieniu Konwencji Narodowej ogłaszam – niskim i uroczystym głosem powiedział Vergniaud – że karą, jaką wymierzyła ona Ludwikowi Kapetowi, jest śmierć[112].

Istniała jeszcze ostatnia, nikła nadzieja, że „poprawka Mailhe'a" zostanie uwzględniona. Konwent mógł przyznać skazanemu odroczenie egzekucji i nie wykonywać wyroku natychmiast. Tom Paine,

[112] Jordan, str. 191.

jedyny deputowany Konwentu, który nie był Francuzem, przemawiał za pośrednictwem tłumacza za takim właśnie rozwiązaniem. Namawiał Konwent, aby zezwolił Ludwikowi i jego rodzinie wyjechać do Stanów Zjednoczonych Ameryki, którym król pomógł w uzyskaniu niepodległości. Vergniaud głosował przeciwko odroczeniu egzekucji, podobnie uczynił Filip Egalité. Wniosek przepadł stosunkiem głosów 380 do 310.

Ostatnie głosowanie zakończyło się 20 stycznia o drugiej w nocy. Ludwika obudzono wczesnym rankiem i zakomunikowano mu, że następnego dnia pójdzie na gilotynę. Tego samego dnia o czternastej Garat, następca Dantona na stanowisku ministra sprawiedliwości, wręczył królowi oficjalne powiadomienie o wyroku oraz czasie i miejscu jego wykonania. Ludwik poprosił Konwencję Narodową o trzy dni zwłoki, aby mógł przygotować się na *spotkanie z Bogiem*; zobaczyć się z księdzem i rodziną (Od chwili sformułowania aktu oskarżenia i pierwszego formalnego przesłuchania w Konwencie, jakie odbyło się 11 grudnia, Komuna Paryża z nigdy niewyjaśnionych powodów nakazała całkowite odizolowanie Ludwika od najbliższych). Zwrócił się również z prośbą do Konwentu, aby zaopiekował się jego rodziną.

Ks. Henry Edgeworth de Firmont

Prośba o odroczenie egzekucji została odrzucona, ale zarówno Konwent, jak i Komuna Paryża, której był więźniem, pozwoliły mu na spotkanie się z księdzem i widzenie z rodziną. Księdzem, który do niego przyszedł, był Irlandczyk, ojciec Henry Edgeworth de Firmont, konwertyta i syn anglikańskiego duchownego. Wykształcenie zdobył u jezuitów w Tuluzie, wyświęcono go we Francji. Przez wiele lat pracował wśród biedoty Paryża. Wrześniowe rzezie przeczekał w ukryciu i nigdy nie złożył przysięgi na wierność Cywilnej Konstytucji Kleru. Ludwika, który stanął w obliczu Sądu, dręczyło poczucie winy, że co prawda pod ogromną presją, ale jednak podpisał akt prawny wprowadzający w życie Cywilną Konstytucję Kleru, a później także ustawę zmu-

szającą księży i zakonników do złożenia przysięgi o jej przestrzeganiu. Ludwik był wierzącym i pobożnym katolikiem i teraz zdawał sobie sprawę, że owe prawa wbrew papieżowi ustanowiły we Francji schizmatyczny kościół. Król zagadnął ojca Edgewortha o arcybiskupa Paryża Antoine'a de Juigne, który odmówił złożenia przysięgi: – Powiedz mu, że umieram w duchowej wspólnocie z nim i że nigdy nie uznawałem żadnego innego biskupa oprócz niego[113].

Ojciec Edgeworth przebywał z Ludwikiem od popołudnia 20 stycznia aż do egzekucji, która odbyła się następnego ranka. Dwudziestego pierwszego o świcie odprawił mszę i udzielił Ludwikowi komunii świętej. Była to pierwsza msza, w jakiej pozwolono uczestniczyć królowi, i pierwsza komunia, jaką zezwolono mu przyjąć od 10 sierpnia.

20 stycznia wieczorem Ludwik po raz ostatni spotkał się z rodziną i spędził z nią ponad dwie godziny. Kiedy wszedł do pokoju, Maria Antonina rzuciła mu się w ramiona i przez dziesięć minut nie była w stanie nic powiedzieć ani nawet poruszyć się. Błagała go, żeby pozwolił im spędzić przy nim noc. Odmówił, bo wątpił, by którekolwiek z nich potrafiło znieść takie doświadczenie. Siedmioletni synek zapytał, czy może wyjść na ulicę i błagać o życie ojca. Ludwik uspokoił go i wymógł na nim przysięgę, że nie będzie szukał pomsty za śmierć ojca, malec złożył ją z podniesioną dłonią. Czternastoletnia córka króla niemal przez cały czas rozpaczliwie szlochała, a kiedy ojciec powiedział *adieu*, kompletnie się załamała. Na koniec Ludwik przyrzekł, że rano zobaczy się z nimi ponownie, ale ostatecznie poszedł za radą ojca Edgeworth, aby tego nie czynił.

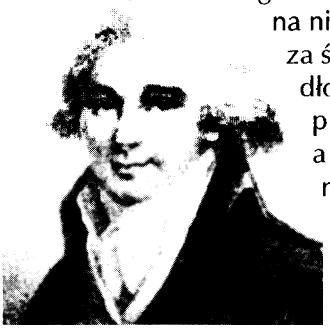

Jean-Baptiste Cléry

Ranek powitał ich gęstą mgłą i marznącym deszczem. O siódmej Ludwik wyszedł ze swego gabinetu, gdzie ojciec Edgeworth odprawił mszę i dał mu wiatyk, czyli ostatnią komunię dla umierających. Kilka szczególnych symboli miłości król

[113] Cronin, str. 370.

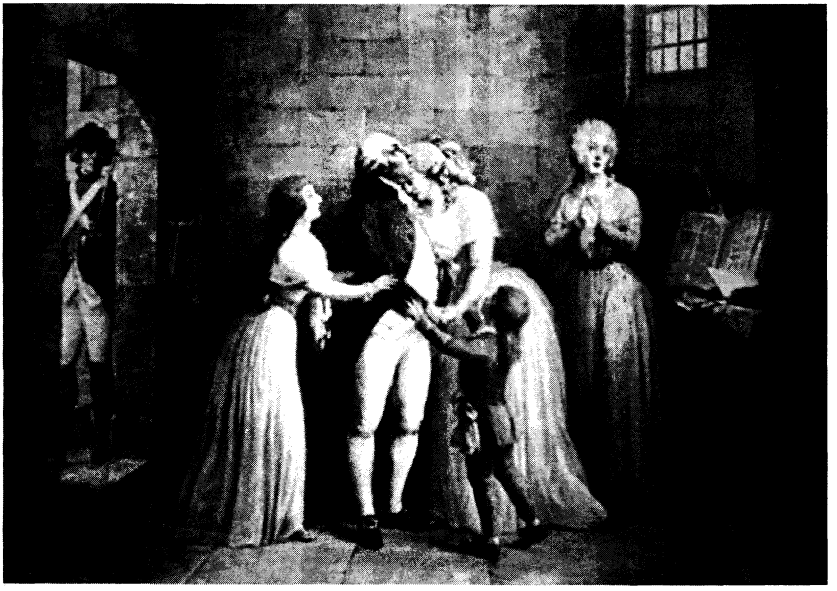

Ostatnie pożegnanie

wręczył Jean-Baptiste Cléry'emu – jedynemu osobistemu służącemu, któremu Komuna Paryża pozwoliła pozostać z Ludwikiem aż do samego końca. Podając mu je, powiedział:

– Przekażesz tę pieczęć mojemu synowi... a ten ślubny pierścień królowej. Powiedz jej, że opuszczam ją z wielkim bólem... Ta mała paczuszka zawiera kosmyki włosów całej mojej rodziny. Ją także jej przekaż. Powiedz królowej, powiedz mym ukochanym dzieciom, powiedz mojej siostrze, że obiecałem się z nimi spotkać tego ranka, ale chciałem im zaoszczędzić bólu tak okrutnego rozstania. Jakże ciężko odchodzić, nie uścisnąwszy się z nimi ostatni raz![114]

Kiedy Cléry wyszedł od króla, strażnicy skonfiskowali wszystkie pamiątki i zamknęli je w szufladzie, do której tylko oni mieli klucz.

O ósmej w Temple pojawił się Santerre, który objął swe stanowisko dzięki morderstwu, jakiego 10 sierpnia dokonano na Mandacie. Towarzyszyli mu oficjalni przedstawiciele Konwentu, którzy mieli

[114] Jordan, str. 215-216.

zaprowadzić Ludwika na gilotynę. Byli nimi suspendowani księża: Jacques Roux i Jacques-Claude Bernard. Roux był jednym z pierwszych, którzy domagali się głowy Ludwika. Co najmniej sto tysięcy zbrojnych stanęło szeregiem wzdłuż paryskich ulic, aby udaremnić jakąkolwiek próbę uratowania władcy. I nie bez powodu, jako że pewien śmiałek rzeczywiście ją podjął. Człowiekiem tym był baron Jean de Batz. Podobno zwerbował w tym celu trzystu ludzi, ale kiedy on i jego koniuszy wyskoczyli z tłumu z okrzykiem *Niech idą z nami wszyscy, którzy pragną ocalić Króla!*, na wezwanie odpowiedziały tylko dwie osoby. Ludzi tych natychmiast ścięto. Baron i jego towarzysz uciekli (w jaki sposób, tego już nie wiadomo, ale w takich okolicznościach z pewnością nie było to łatwe).

Około dwudziestu tysięcy ludzi wypełniło szczelnie każdy, najmniejszy nawet skrawek Placu Rewolucji, który znajdował się na tyłach Archiwum Narodowego, skąd ukradziono klejnoty koronne. Na jego skraju zatrzymał się powóz z zasłoniętymi oknami. Siedział w nim Filip Egalité. Gilotynę ustawiono pośrodku placu, na specjalnym podeście o wysokości około dwóch metrów. Końce dwóch wysokich drewnianych prowadnic otulała mgła. Ogromne ostrze połyskiwało lekko w szarym świetle poranka. Ludwik de Bourbon zdjął płaszcz i odpiął kołnierzyk. Początkowo zaprotestował, ale

Ludwik XVI na szafocie

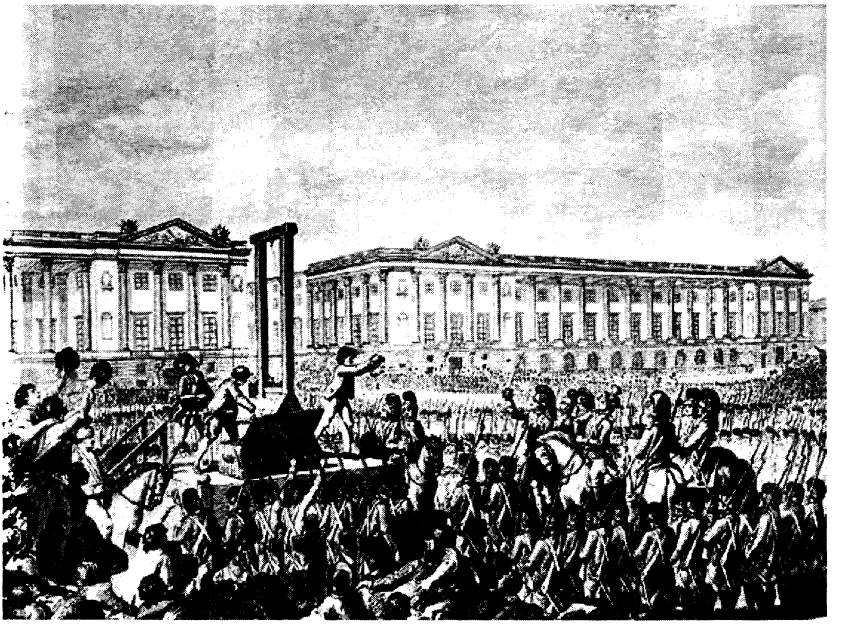

Egzekucja króla

ostatecznie pozwolił, aby skrępowano mu ręce za plecami. Z kamienną twarzą wstąpił schodami na szafot. Zawarkotały bębny. Ludwik ruchem głowy nakazał, aby umilkły. Kiedy przemówił, jego głos rozbrzmiewał silnie i wyraźnie.

– Umieram niewinny. Wybaczam mym wrogom. Mam nadzieję, że moja krew dobrze posłuży Francuzom, że ułagodzi boski gniew... – Santerre, którego najwyraźniej rozzłościła wzmianka o Bogu, nakazał ponownie uderzyć w bębny. Kat Sanson przywiązał króla do ruchomej deski i przesunął jego głowę przez „okno wdowy". Ponad warkotem bębnów przebił się okrzyk ojca Edgewortha: – Synu świętego Ludwika, wstępujesz do Nieba![115].

Ostrze gilotyny opadło. Kiedy uderzyło, rozległ się głuchy, mrożący krew w żyłach odgłos. Syn Sanson podniósł odciętą głowę, aby wszyscy ją mogli zobaczyć. Część tłumu rzuciła się, żeby nasączyć

[115] *Ibid.*, str. 220.

chusteczki krwią człowieka, który był królem Francji. Inni tańczyli wokół gilotyny; krzyczeli *Niech żyje Republika!* i śpiewali Marsyliankę. Oddano salwę z dział. Santerre rozkazał, aby ciało Ludwika przeniesiono natychmiast na cmentarz Madeleine. Tam włożono je do prostej drewnianej trumny bez wieka i zalano dwiema warstwami gaszonego wapna, które przeżarło ją niczym kwas. Kiedy dwadzieścia pięć lat później, w okresie Restauracji Bourbonów, otworzono grób króla, nie znaleziono w nim żadnych szczątków z wyjątkiem kilku niezidentyfikowanych fragmentów kości.

W Temple Maria Antonina i dzieci słyszały łoskot bębnów i salwę z dział, po której ich strażnicy zakrzyknęli *Niech żyje Republika!* Wiedzieli, co to oznacza.

Madame Elżbieta [siostra króla] *uniosła oczy jak do modlitwy i powiedziała: „Potwory! Wreszcie są zadowoleni". Delfin* [syn Ludwika] *rozpłakał się, a jego siostra zaczęła krzyczeć. Według relacji Turgy'ego, królowa nie była w stanie wyrzec ani słowa. Dłuższą chwilę stała, milcząc w bezruchu, a w oczach miała niewysłowiony żal. Potem zajęła się synem. Ludwik XVI umarł, ale Król Francji nie. Tron upadł, ale ostał się jego żyjący symbol. I tak, w czterech ścianach więzienia, trzy kobiety na czele z Marią Antoniną, złożyły tradycyjny hołd siedmioletniemu chłopcu, który był teraz Ludwikiem XVII*[116].

Przez cały czas pobytu niegdysiejszej rodziny królewskiej w więzieniu Temple w gronie strażników przydzielonych do jej pilnowania znajdował się niejaki François-Adrian Toulan. Wychował się w Tuluzie na południu Francji, do Paryża przyjechał w roku 1785 i stał się żarliwym rewolucjonistą. 10 sierpnia podczas ataku na Tuileries dowodził batalionem. Szorstki w obejściu i na pozór brutalny początkowo wydawał się więźniom najbardziej przerażający ze wszystkich strażników.

Mimo swego wyglądu i sposobu bycia François-Adrian Toulan był przyzwoitym człowiekiem, nie należał do ludzi, którzy zabijają niewinnych i manipulują politycznymi symbolami. Obserwując więźniów chyba nawet uważniej, niż oni przypatrywali się jemu, zauważył coś, czego żaden z członków Konwentu nie dostrzegał, a już na pewno nie ośmieliłby się wyrzec tego głośno. Bourbonowie rów-

[116] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 274-275.

nież byli istotami ludzkimi. Kochali się i cierpieli, ale nie było dla nich nadziei na tym świecie. Toulan już we wrześniu dał do zrozumienia więźniom, jakie są jego rzeczywiste uczucia. Jako komendant jednostki, która brała udział w ataku na Tuileries, nie potrafił jednak ckliwie okazywać współczucia. François-Adrian Toulan był człowiekiem czynu. Podobnie jak Danton, wyznawał zasadę *toujours l'audace*. Jeszcze przed końcem stycznia wyczekał moment, kiedy w pokoju strażników nie było nikogo, włamał się do zamkniętej szuflady, w której przechowywano ostatnie podarunki Ludwika dla żony i dzieci – ślubny pierścień oraz kosmyki włosów. Wyjął je stamtąd i zaniósł Marii Antoninie. Przez kilka następnych dni wyjątkowo zawzięcie psioczył w pokoju strażników na „Austriaczkę". Dowództwo uznało w końcu, że zniknięcie pierścienia i kosmyków włosów było dziełem zwykłego włamywacza.

Wtedy Toulan zaczął opracowywać plan ucieczki.

V

Powstanie katolickiego ludu

(22 stycznia – 27 maja 1793)

Jakiekolwiek byłoby zdanie późniejszych historyków, ludzie żyjący w czasach Rewolucji Francuskiej poza granicami Francji nie mieli żadnych wątpliwości, co w istocie oznacza egzekucja Ludwika XVI. Wieści o niej dotarły do Londynu 23 stycznia o piątej rano. Francuscy uciekinierzy, którzy utworzyli tam bardzo ścisłą wspólnotę, w żalu i wstydzie pozamykali się w swych mieszkaniach. Tamtego wieczoru teatry odwołały przedstawienia, a pałac Buckingham otoczyły tłumy, głośno domagające się wojny z Francją. Nazajutrz brytyjski minister spraw zagranicznych lord Grenville wysłał list do francuskiego ambasadora Chauvelina. Był on utrzymany we wręcz lodowatym tonie:

Mam obowiązek zawiadomić Pana, że ponieważ zarówno charakter, jak i funkcje Pańskiego stanowiska, jakie pełnił Pan na tutejszym dworze, zostały dziś całkowicie przekreślone poprzez śmierć Jego Chrześcijańskiej Wysokości, nie jest Pan już osobą publiczną, a Jego Królewska Mość uznał za właściwe rozkazać, aby w ciągu tygodnia opuścił Pan granice królestwa[117].

[117] Higgins, str. 274.

Zaledwie tydzień później Danton wykrzyczał z trybuny Konwentu wojenny okrzyk, który stał się niemal tak samo sławny jak *toujours l'audace!*: – Królowie i cesarze grożą nam, ale teraz rzuciliście im rękawicę. Ową rękawicą jest głowa króla! – Danton przemawiał za natychmiastowym i bezwarunkowym przyłączeniem Belgii do Francji, a kiedy to uchwalono, powiedział: – Możecie zastosować w Belgii francuskie prawo, a wtedy księża, szlachcice oraz arystokraci zostaną usunięci i pozostawią po sobie wolny kraj[118].

Tej samej nocy Danton wyruszył z Paryża w podróż powrotną do Belgii. W stolicy przebywał przez dwa i pół tygodnia. Uczestniczył we wszystkich niekończących się sesjach głosowań nad przyszłym losem Ludwika. Przemawiał w Klubach Jakobinów i Kordelierów, utrzymywał kontakty towarzyskie z aktywistami, dowcipkował z ich kobietami. Gabrielle była w zaawansowanej ciąży i najwyraźniej źle się czuła. Po Paryżu krążyły drastyczne doniesienia na temat orgii, które z udziałem Dantona odbywały się w okupowanej przez Francuzów Belgii. Słysząc je, Gabrielle nie potrafiła powstrzymać łez. Jej młoda przyjaciółka, Louise, robiła wszystko, co mogła, aby ją uspokoić. Danton jednak, choć 31 stycznia przyjechał do niej, pożegnać się przed wyruszeniem na północ, poświęcił żonie bardzo niewiele czasu. Miał jej już nigdy więcej nie ujrzeć.

William Pitt młodszy

Niemal w tym samym czasie z Londynu dotarła wyważona wypowiedź Williama Pitta młodszego, największego obok Winstona Churchilla premiera Anglii. Nie była ona bezpośrednią repliką na przemówienie Dantona, którego Pitt prawdopodobnie jeszcze nie poznał, odnosiła się jednak do wszystkiego, za czym opowiadali się Danton i Rewolucja:

[118] Christophne, str. 331-332.

W imię wolności nie zaakceptują żadnej formy rządów, z wyjątkiem tej, która odpowiada ich własnym poglądom i przekonaniom; swój system wartości propagują lufami armat i narzucają go innym ludziom... Twierdzą, że stosując zasadę dezorganizacji, uporządkują każde państwo, a potem mówią wam, że dzieje się tak z woli narodu. Nasuwa się proste pytanie: Czym jest owa wola narodu? To władza Francuzów... Zadała ona ludzkim swobodom najdotkliwszy cios ze wszystkich, jakie jej dotąd wymierzali nawet najambitniejsi władcy... Jeżeli nie chcemy stać z boku i biernie przyglądać się, jak potęga Francji obala dotychczasowy porządek w kolejnym kraju, musimy teraz skutecznie dać wyraz naszej niewzruszonej stanowczości w przeciwstawianiu się owym zasadom, wynikającym z ambicji oraz dążenia do uzyskania jak największych korzyści i chwały, a których celem jest zniszczenie Anglii, Europy i świata.

1 lutego Konwent uchwalił wypowiedzenie wojny Wielkiej Brytanii i Holandii. Tym samym wrogami Rewolucyjnej Francji stały się wszystkie większe europejskie potęgi położone na zachód od Rosji. Wyjątkiem była Hiszpania (to przeoczenie zostanie naprawione w następnym miesiącu). Aby toczyć tę wojnę, potrzebowano wielu żołnierzy. 7 lutego do Konwentu wpłynął projekt ustawy o mobilizacji 300 000 ludzi. Zgodnie z propozycją Saint-Justa, postanowiono znieść rozróżnienie pomiędzy regularnym wojskiem a ochotnikami oraz utrzymać dotychczasową praktykę, że niezależnie od swych militarnych kompetencji, oficerowie w każdej jednostce są wybierani przez żołnierzy. Każdy departament miał dostarczyć określony kontyngent wojska. Wkrótce stało się oczywiste, że dla sformowania tak wielu dodatkowych oddziałów, liczba „ochotników" jest dalece niewystarczająca. Pozostało więc tylko jedno wyjście – pobór. W dotychczasowej historii Francji nie zdarzyło się nigdy, aby rekruci wypełniali powszechny obowiązek służby wojskowej poza granicami kraju.

Tymczasem Danton powrócił do Belgii, gdzie oddał się jeszcze większej rozpuście i korupcji. Dotarł do Brukseli 3 lutego. Dowiedział się, że generał Dumouriez planuje rychłą inwazję na Holandię, ponieważ Francja wypowiedziała jej wojnę. Generał Miączyński, polski oficer w armii francuskiej, złożył później zaprzysiężone zeznanie, w którym stwierdza, że Danton założył w Liège drukarnię fałszywych weksli. O jego nocnych hulankach zaczynał już mówić

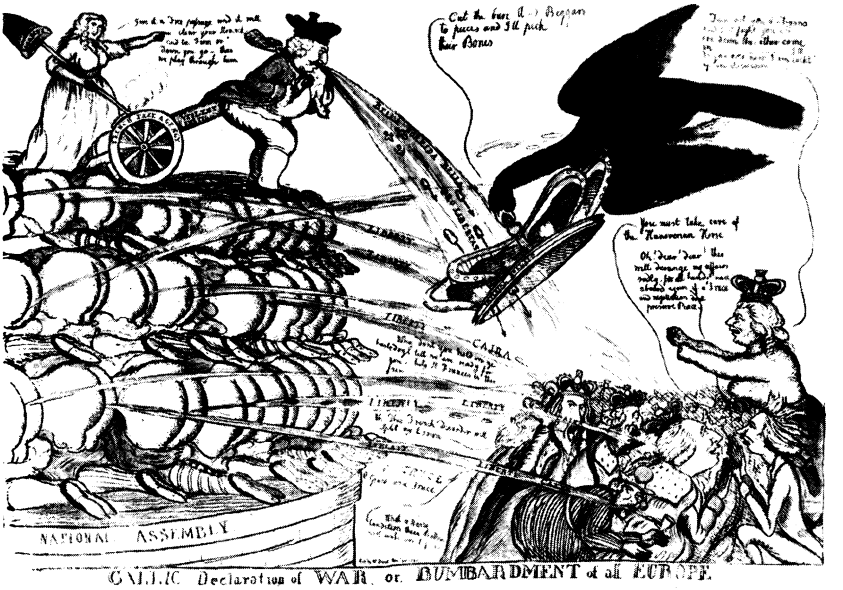

Galijskie bombardowanie Europy – angielska karykatura

cały Paryż. Dopuszczał się grzechów starych jak świat i aż nadto pospolitych, oprócz nich popełnił jednak występek wyjątkowy, właściwy jedynie Georgesowi-Jacquesowi Dantonowi. On to, bardziej niż ktokolwiek inny, ponosił odpowiedzialność za stworzenie i uruchomienie machiny śmierci, która twardą ręką rządziła Francją, wyciągała ramiona po resztę Europy, a w ogrodach starych paryskich klasztorów wymordowała setki księży i zakonników za to, że dochowali wierności Chrystusowi, Jego Kościołowi i papieżowi.

10 lutego 1793 roku przypadał w niedzielę – dzień poświęcony Bogu, którym tak bardzo pogardzał Danton. Owego dnia Gabrielle zmarła w trakcie porodu. Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Do chwili zajścia w kolejną ciążę (była dotąd trzykrotnie brzemienna) cieszyła się doskonałym zdrowiem. Zmarła w straszliwych cierpieniach, z twarzą ceglastoczerwoną od wysokiej gorączki. Louise towarzyszyła jej do samego końca.

Wieść o tym zastała Dantona na przyjęciu w Belgii. Przywołał powóz i natychmiast wyruszył do Paryża. Mimo hałasu czynionego

przez stukot końskich kopyt i skrzypienie kół, woźnica słyszał jego szloch dobiegający z wnętrza karety. 16 stycznia, gdy wreszcie dotarł do stolicy, doczesne szczątki Gabrielle spoczywały już w grobie.

Otrzymał wiele listów z kondolencjami. Jeden z nich pochodził od Robespierre'a. Zawierał takie oto zdanie: *Zapewniamy, że skutki naszego głębokiego żalu odczują tyrani, którzy ponoszą odpowiedzialność za wszelkie nasze nieszczęścia, zarówno publiczne, jak i prywatne*[119].

Danton był teraz wdowcem, a Maria Antonina wdową. Nazywano ją „wdową Kapet". Do celi królowej sprowadzono polskiego malarza o nazwisku Kocharski[120], który wykonał pastelami jej portret w żałobnej sukni i welonie. Miała teraz zupełnie siwe włosy. Królową, jej dzieci oraz Elżbietę, siostrę Ludwika, w dalszym ciągu przetrzymywano w starym, pięćsetletnim donżonie rycerzy zakonu templariuszy.

François-Adrian Toulan – *roześmiany kawaler z Gaskonii* – przystąpił już jednak do walki. Jeszcze przed końcem stycznia, zaledwie dziesięć dni po egzekucji Ludwika, powiedział Marii Antoninie, że pomoże jej uciec z Temple. Odparła, że nigdy nie opuści dzieci ani szwagierki. Toulan zapewnił ją, że potrafi wydostać z więzienia ich wszystkich, ale musi nawiązać kontakt z kimś z zewnątrz. Czy Królowa może kogoś zaproponować?

Maria Antonina podała nazwisko kawalera de Jarjayesa, który był niegdyś jej osobistym sekretarzem i pośredniczył w wymianie korespondencji pomiędzy królową a Antoinem Barnave – rewolucjonistą, którego podbiła odwaga, z jaką znosiła wszelkie cierpienia w czasie owej koszmarnej podróży powrotnej z Varennes w 1791 roku. On również próbował ratować monarchinię oraz jej rodzinę. Jarjayes nadal przebywał w Paryżu, ale właśnie sposobił się do wyjazdu. 2 lutego zjawił się w jego domu Toulan z listem od Marii Antoniny, w którym zapewniała o swoim całkowitym zaufaniu dla Gaskończyka. 7 lutego Toulan przeszmuglował Jarjayesa do Temple w przebraniu latarnika. Wspólnie dopracowali szczegóły planu ucieczki. Sprzyjającą

[119] *Ibid.*, str. 337.

[120] Drobny błąd autora. Malarz ów to ALEKSANDER KUCHARSKI (1741–1819), stypendysta Stanisława Augusta Poniatowskiego. Kształcił się w Paryżu (1760–69) i osiadł tam na stałe. Specjalizował się w pastelach i miniaturach. Znane są jego portrety rodziny królewskiej i francuskiej arystokracji. M.in. *Portret Marii Antoniny w więzieniu Conciergerie* (1793) (przyp. tłum.).

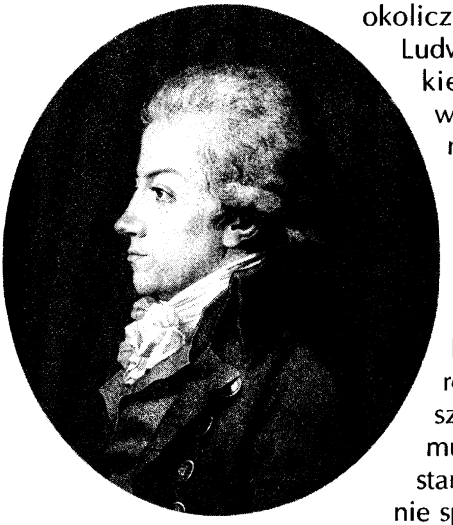

Antoine Barnave

okolicznością było, że po egzekucji Ludwika strażnicy nie mieli już takiego poczucia zagrożenia, iż więźniowie uciekną, i ich czujność zmalała.

Musieli jednak wciągnąć do spisku jeszcze jednego strażnika. Był nim niejaki Lepitre, niegdyś profesor łaciny. On również przed straceniem Ludwika okazywał współczucie rodzinie królewskiej. Lepitre był szefem komisji paszportowej Komuny, co oznaczało, że może dostarczyć dokumenty, bez których nie sposób było wyjechać z Paryża. Plan zakładał uśpienie wrogo nastawionego do królowej małżeństwa Tisonów, których Komuna wraz z innymi strażnikami na stałe przydzieliła do Temple, wyjście z więzienia i pozamykanie za sobą wszystkich drzwi, w tym również tych wykonanych z litego żelaza. Maria Antonina i Elżbieta miały wyjść z Temple przebrane za oficerów Komuny, przepasane trójkolorowymi szarfami i zaopatrzone w dowody tożsamości, które powinien dostarczyć Lepitre. Córka królowej, Maria Teresa, miała przebrać się za syna latarnika. Małego Ludwika zaś planowali ukryć na dnie wielkiego kosza z praniem. Po opuszczeniu Temple mieli wsiąść do trzech szybkich powozów i skierować się w stronę Kanału La Manche, gdzie już czekały na nich łodzie zdobyte przez Jarjayesa, ukryte w grotach niedaleko Hawru.

Plan był sprytny i pomysłowy, miał wszelkie widoki powodzenia. Ciążył jednak nad nim cień gilotyny. Więźniowie nie mieli nic do stracenia. Toulan i Jarjayes byli odważni niczym lwy. Ale kiedy przyszła pora do działania, były profesor Lepitre, który nie był człowiekiem czynu, wycofał się. Mimo wszystko zabrakło mu odwagi, ale nie ośmielił się o tym powiedzieć wprost. Zwlekał i zwlekał, aż sposobna okazja przeszła im mimo nosa. Pod koniec marca, po dezercji generała Dumourieza, który uciekł do Austriaków i w obliczu narastającej groźby wojny, będącej skutkiem francuskich klęsk w Ho-

landii i Belgii, w Temple przywrócono dawną dyscyplinę i środki bezpieczeństwa. Trzeba było odstąpić od realizacji planu, więc Jarjayes wyjechał z Francji. Maria Antonina napisała do niego: *Śniliśmy piękny sen – to wszystko*[121].

5 marca, kiedy Danton wrócił do Belgii, w kraju trwało powstanie katolików wymierzone przeciwko rewolucyjnym okupantom, do wschodniej granicy zbliżali się Austriacy, a Dumouriez tracił kontrolę nad własną armią (Jeżeli Danton rzeczywiście kupił sobie zwycięstwo pod Valmy, przekupując księcia Brunszwiku, niezwykle interesującą kwestią jest, czy Dumouriez, jako dowódca francuskich wojsk, o tym wiedział. Wszelkie dowody świadczą, że nie. Niewykluczone, że tak łatwo odniesiony triumf spowodował u niego wyolbrzymione mniemanie o własnych militarnych zdolnościach). Sytuacja w Belgii była na tyle alarmująca, że Danton w ciągu dwudziestu czterech godzin musiał pospiesznie zawrócić do Paryża, aby uzyskać pomoc, która umożliwiłaby uporanie się z zagrożeniem. 8 marca w trzygodzinnym demaskatorskim przemówieniu, które wygłosił w Konwencie, wzywał do natychmiastowego i znaczącego wzmocnienia oddziałów stacjonujących w Belgii (wymagało to ogłoszenia poboru do wojska, i to na znacznie większą skalę, niż przewidywał dekret, wydany przez Konwencję Narodową 25 lutego), wprowadzenia nadzwyczajnego opodatkowania najbogatszych poprzez ustalenie podatku od kapitału oraz ustanowienia specjalnego sądu, czyli Trybunału Rewolucyjnego, który miał się zajmować przypadkami zdrady.

Uzasadniając konieczność jego utworzenia, Danton odwołał się do wrześniowego kryzysu i towarzyszących mu rzezi, przypominając, co wówczas mówił wielu ludziom: – *Co mnie obchodzi moje dobre imię? Niechby i było zszargane, jeśli tylko Francja pozostanie wolna!* Obywatele, niech mówią o mnie, że jestem potworem, który wciąż łaknie krwi. Czy, jeśli to będzie konieczne dla wyzwolenia Europy, mamy wzdragać się przed piciem krwi wrogów ludzkości?[122]

Przy braku jednolitego stanowiska żyrondystów i pod naciskiem rozwrzeszczanego tłumu, który za sprawą kordelierów i Komuny

[121] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 289.

[122] Christophne, str. 342.

Paryża zebrał się wokół Szkoły Jeździeckiej, 10 marca ustanowiono Trybunał Rewolucyjny, który miał stać się głównym i legalnym narzędziem Terroru. Na stanowisko Prokuratora Trybunału desygnowano Fouquier-Tinville'a.

Tymczasem w całym kraju ogłoszono ustawę Konwentu o poborze do wojska. Na początku marca jej tekst dotarł do władz wszystkich departamentów. Dekret dawał zaledwie pięć dni na rekrutację ochotników. Potem miały rozpocząć się losowania, na podstawie których miano wcielić do wojska poborowych. Wszyscy urzędnicy władz oraz członkowie Gwardii Narodowej, jako rewolucyjny establishment, zostali z niego wykluczeni. Zaciąg objął przede wszystkim rolników i rzemieślników. Wcześniej, to znaczy w roku 1791, a nawet 1792, panował powszechny zapał, aby przeciwstawić się obcym najeźdźcom. W wielu rejonach Francji owa patriotyczna gorączka utrzymywała się nadal, ale w okresie między kolejnymi zaciągami stracono króla. A w pewnej francuskiej prowincji, egzekwowanie praw nakazujących wypędzenie księży, którzy nie złożyli przysięgi na wierność schizmatycznej Cywilnej Konstytucji Kleru, miały wyjątkowo poważne konsekwencje.

Mieszkańcy znali ją jako Bocage, czyli „krainę żywopłotów". W przyszłości, od nazwy jednego z nowo utworzonych przez Rewolucję departamentów, do całego tego regionu przylgnie miano „Wandea". Bocage rozpościera się na obszarze pięćdziesięciu mil na południe i południowy wschód od wielkiego portu Nantes, położonego w pobliżu ujścia Loary, która wpływa do Zatoki Biskajskiej w środkowej części zachodniego wybrzeża Francji. Pomiędzy Nantes a ujściem Loary Bocage łączy się z Marais i Pays de Retz – gdzie niegdyś znajdowały się słone bagna.

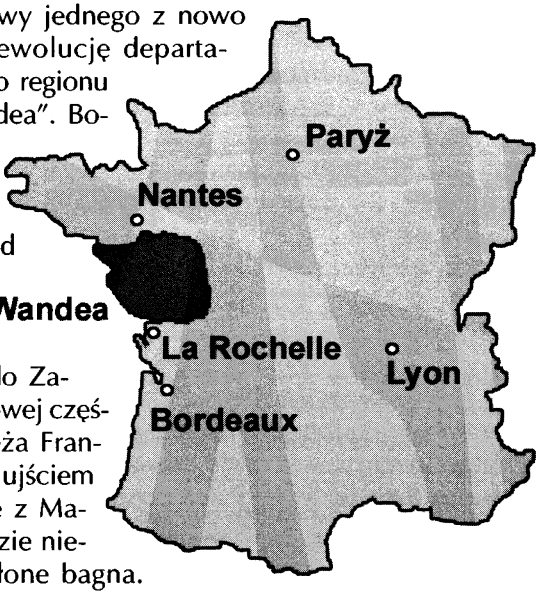

W minionym wieku osuszyli je holenderscy inżynierowie. Skomplikowana sieć kanałów i grobli przekształciła ten obszar w krainę ziem uprawnych i pastwisk. Samo Bocage miało żyzną glebę, bagna tam nie występowały, ale praktycznie nie było też żadnych wzgórz. Cały obszar pocięty był siatką żywopłotów i drzew na tysiące małych posiadłości ziemskich i jeszcze mniejszych gospodarstw rolnych. W tak utworzonym labiryncie 10 mil od domu mogli zgubić się nawet stali mieszkańcy. Bocage miało tylko dwie drogi z prawdziwego zdarzenia, poza tym nie było ich tam prawie wcale, chyba że uwzględnimy starożytne szlaki, teraz częstokroć zatopione lub porośnięte nieprzebytymi chaszczami. Żyzność gleby powodowała, że tamtejsi mieszkańcy nie cierpieli szczególnej biedy, a natura owej krainy sprawiała, że nawet miejscowi arystokraci nie byli specjalnie zamożni. Arystokracja ziemska, właściciele gospodarstw i dzierżawcy żyli obok siebie w znakomitej harmonii, nie mając tak wyraźnego poczucia klasowych różnic, jakie występowało w pozostałej części Francji. Życie w Bocage w niepowtarzalny sposób sprzyjało wolności i równości. Słowa te zachowały tam swe rzeczywiste znaczenie; nie były wyświechtanymi sloganami Rewolucji.

Jednak najważniejszą cechą ludu Bocage był jego głęboki i żarliwy katolicyzm.

Siedemdziesiąt lat wcześniej, czyli na tyle dawno, że już niewielu żyjących mogło te czasy pamiętać, święty Ludwik Maria de Montfort głosił swe niezwykłe przesłania i rekolekcje w najodleglejszych parafiach Bocage. Ów święty, znany ze swego oddania Najświętszej Marii Dziewicy, darem płomiennej wymowy oraz miłosierdziem i dobroczynnością, których nie skąpił nikomu, odnowił i ugruntował wiarę mieszkańców

Święty Ludwik Maria de Montfort

Bocage. W XVII wieku głęboko zakorzeniło się w nich także oddanie Najświętszemu Sercu Jezusa, które głosiła święta Małgorzata Maria Alacoque. W przeciwieństwie do reszty Francji nie występowały tu również żadne znaczące różnice w religijności kobiet i mężczyzn. Niemal wszyscy mieszkańcy Bocage pozostali obojętni na wszelkie wymyślne obiekcje i wątpliwości wobec chrześcijaństwa i Kościoła katolickiego, jakie pod wpływem pism Woltera, Rousseau i im podobnych utrwaliły się w umysłach wielu ludzi. Nie stało się tak bynajmniej dlatego, że w Bocage było mniej osób potrafiących czytać niż w pozostałej części Francji – przeciwnie, jak na tamte czasy wskaźnik ów był wyjątkowo wysoki. Większość z nich czytała jednak dzieła katolickie. Nie zaczytywali się ani w Wolterze, ani w Rousseau.

Kościoły parafialne pod wieloma względami stanowiły ośrodek ich życia. Zamieszkiwane przez nich wioski były małe i biedne. Ze względu na niedogodności podróży wyjeżdżali z nich tylko w razie niezbędnej konieczności. Mimo to niedzielny obowiązek uczestniczenia we mszy świętej traktowali wyjątkowo poważnie. Oznaczało to, że większość mieszkańców co tydzień gromadziła się w parafialnym kościele. Tam ogłaszano wszelkie publiczne i kościelne obwieszczenia, w tym także informacje o polowaniach i potańcówkach, rzadziej komunikaty władz. Tam również rozgrywały się najważniejsze wydarzenia w życiu rolników i ich rodzin: chrzty, pierwsza komunia, śluby i pogrzeby.

Jak niemal zawsze w takich przypadkach, siła wiary tych katolików sprawiała, że ich księża godnie dochowywali wierności wierze i sami z kolei umacniali ją w duszach parafian. W godzinie wielkiej próby, jaką był wymóg składania przysięgi na wierność Cywilnej Konstytucji Kleru, w całym Bocage złożenia jej odmówiło 367 na 474 księży[123]. Przed końcem 1792 roku wielu z nich wypędzono, a niemal wszystkich zmuszono do opuszczenia parafialnych kościołów. Skutek tych działań, przymioty wielu duchownych i lojalność ich parafian w niezapomniany sposób ilustrują wypadki, jakie rozgrywały się w roku 1792 w malutkiej parafii Saint-Hillaire-de-Mortagne. Tamtejszy proboszcz, ojciec Paynaud, odmówił składania przysięgi. Rewolucyjne prawo zmusiło go do opuszczenia parafii. W pewien niedzielny poranek, po raz ostatni widział się z wiernymi

[123] A. Billaud, *La Guerre de Vendée*, Fontenay 1972 str. 17.

i dlatego powiedział im: – Bracia, opuszczam was, ale dokądkolwiek pójdę, me serce będzie przy was i będę się za was modlił. W każdą niedzielę, jak długo zdołam, o tej samej godzinie odprawię dla was mszę. Bądźcie wtedy przy mnie myślą i modlitwami. Nigdy nie bierzcie udziału w mszy prowadzonej przez intruza![124]

I tak w każdą niedzielę o dziesiątej wierni z Saint-Hillaire-de-Mortagne spotykali się na „niewidzialnej mszy". Kiedy najpierw nie pozwolono im wejść do kościoła, a następnie zamknięto go przed nimi na klucz, zaczęli o tej samej godzinie spotykać się na cmentarzu. Urzędnicy rządowi zapytali ich, co tam robią.

Odpowiedzi udzielił wieśniak, niejaki Lumineau: – Jesteśmy na mszy. Nasz ksiądz obiecał nam, że kiedy wyjedzie, w każdą niedzielę, gdziekolwiek by był, będzie odprawiał dla nas mszę.

– Kretyni! – szydzili urzędnicy. – Wasz ksiądz jest sto lig[125] stąd, a wam się wydaje, że uczestniczycie w mszy?

– Modlitwa sięga dalej, niż na sto lig, wstępuje z ziemi w Niebiosa – odparł łagodnie Lumineau.

Tak więc, kiedy dekret Konwentu o poborze dotarł do Bocage, ludzie wiedzieli, że nie tylko wystawia ich on na właściwe wojnie okropności i ryzyko, ale każe służyć rządowi, który zabił ich króla oraz niszczy ich Kościół. Dostarczono im zatem powodu do stawienia oporu i, co być może najważniejsze, bezwiednie ustalono też datę, kiedy ma się rozpocząć. Aby zapewnić jak największą frekwencję na poborowych loteriach, w większości miasteczek Bocage ich datę ustalono na 12 marca. Wieść o tym ogłoszono w dwie pierwsze niedziele miesiąca, które przypadały 3 i 10 marca. Chodziło o to, żeby ją rozpowszechnić i omówić, kiedy mieszkańcy Bocage zbiorą się w tych parafialnych kościołach, które jeszcze funkcjonowały, lub na licznych sekretnych mszach odprawianych przez księży, którzy zignorowali prawo nakazujące im udanie się na wygnanie i nadal służyli swym parafianom, codziennie ryzykując życiem.

Tym razem nareszcie Rewolucja nie będzie miała do czynienia z osamotnionymi bohaterami ani zastraszonymi ofiarami, lecz

---

[124] *Ibid.*, str. 30. Wszystkie cytaty z tej książki w tłumaczeniu autora.

[125] Liga – dawna jednostka odległości. W przybliżeniu 5 km (przyp. tłum.).

z uzbrojonymi katolikami, którzy wiedzieli jak dobyć miecza Hernana Corteza.

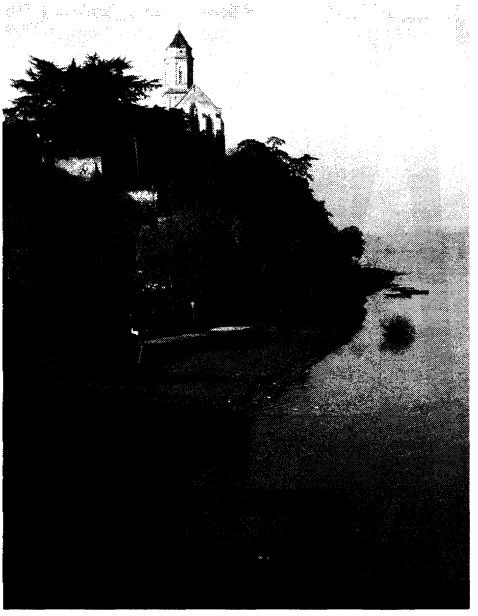

Saint-Florent-le-Vieil nad Loarą

Powstanie z 12 marca było w pełni spontanicznym zrywem, o czym świadczy fakt, że kiedy wybuchło, żaden z jego późniejszych przywódców nie zajmował jeszcze swojego stanowiska ani też nie był gotowy go objąć. Dwa tysiące chłopów z Bocage zgromadziło się na głównym placu Saint-Florent-le-Vieil – pięciotysięcznego miasteczka na południowym brzegu Loary, około 25 km w górę rzeki od Nantes. Mieli ze sobą strzelby, kije, widły i miecze wykonane z ostrzy kos. Przewodzili im cieśla, woźnica, krawiec, bednarz oraz ich synowie. Niemal wszyscy nosili zabronione białe kokardy, które Rewolucja nakazała zastąpić trójkolorowymi. Właśnie miało rozpocząć się losowanie poborowych, gdy z tłumu padł strzał, który uśmiercił jednego z rewolucjonistów. W odpowiedzi, Gwardia Narodowa otworzyła ogień do tłumu, zabijając cztery i raniąc czterdzieści osób. W tej samej chwili dwa tysiące wieśniaków ruszyło do ataku krzycząc *Vive le roi!* i *Vive les bons pretres!* (Niech żyje król! Niech żyją dobrzy księża!). W obliczu przytłaczającej przewagi liczebnej przeciwnika, Gwardia Narodowa uciekła na wyspę na rzece. Rozpoczęło się wielkie katolickie powstanie w zachodniej Francji.

Następne trzydzieści sześć godzin wyłoniło kilku głównych przywódców rewolty. Pierwszym, jako że mieszkał w parafii Saint-Florent-le-Vieil, był markiz Charles de Bonchamps. Miał 33 lata i był etatowym oficerem, który niegdyś służył w Indiach. Po wydarzeniach 10 sierpnia odmówił złożenia przysięgi na wierność Konwentowi. Nie żywił złudzeń i doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka,

Mariz Charles de Bonchamps

jakie podejmują niewyszkoleni bojownicy, rzucając wyzwanie całej potędze Rewolucji. Wszystkich, którzy do niego przychodzili, prosząc, aby ich poprowadził, nieustannie ostrzegał i tłumaczył, jak znikome są ich szanse na sukces. Powiedział im jednak także, że jeśli wiedząc o tym, nadal będą chcieli się bić, nie odrzuci ich prośby. Chcieli, zatem objął dowództwo.

Piętnaście mil dalej na południe, w malutkiej wiosce Le Pin-en-Magues, rankiem 13 marca Jacques Cathelineau piekł w domu chleb, kiedy dotarły do niego wieści o powstaniu. Dowiedział się również, że tysiące mieszkańców Bocage gromadzą się, aby je poprzeć. Cathelineau był biedakiem, człowiekiem skromnym, naturalnym i bardzo religijnym. Miał szczerą młodzieńczą twarz, był wysoki i silny, pracował jako wędrowny handlarz wyrobami z wełny. Jego ludzie nazywali go *świętym z Anjou*. Był żonaty i miał pięcioro dzieci. Żona błagała go, aby został w domu. Odpowiedział, że musi iść. Otrzepał ramiona z mąki, założył płaszcz i wyszedł, aby objąć dowództwo nad grupą dwudziestu mężczyzn. Wkrótce ich liczba zwiększyła się do czterystu, a potem do ośmiuset. Jako znak swego oddania i lojalności nosili na ubraniach krzyże z wyobrażeniem Najświętszego Serca. Przepajał ich duch krucjaty.

Szybko zdobyli dwa najbliższe miasteczka. O 11.30 stanęli pod Jallais. Cathelineau, widząc, że mogą napotkać opór, zatrzymał ich i powiedział: – Przyjaciele, nie zapomnijcie nigdy, że walczymy

za naszą świętą religię[126]. – Ukląkł, przeżegnał się i odśpiewał *Vexilla Regis*[127].

Jacques Cathelineau

On i jego ludzie wzięli miasto szturmem i zdobyli swoją pierwszą armatę, którą nazwali „Misjonarzem". Pomiędzy czwartą a piątą po południu dotarli do ważnego miasta Chemilleé. Tymczasem liczebność oddziału wzrosła do ponad tysiąca osób. Chemilleé zajęli dzięki całkowitemu zaskoczeniu przeciwnika. Wpadli po prostu na rynek, krzycząc *Niech żyje Król! Niech żyje Wiara! Rzućcie broń! Niech żyje Król i nasi dobrzy księża! Chcemy naszego Króla, naszych księży i dawnej władzy!*[128] Po krótkiej wymianie ognia miasto zostało zdobyte, a wraz z nim kolejna armata, którą ochrzcili imieniem Marie-Jeanne. Powstańcy ścięli „Drzewo wolności" – jedno z tych, które znajdowały się w większości francuskich miast i pełniły rolę symbolu Rewolucji. Zrobili z niego ognisko i spalili w nim co do jednego dekrety Konwentu i wszystkie trójkolorowe znaki, szarfy i flagi znalezione w Chemilleé.

Pierwszego dnia, licząc od ranka, kiedy przerwał pieczenie chleba, aby objąć dowództwo nad oddziałem (który rychło miał przybrać nazwę Królewskiej i Katolickiej Armii), do wieczora, gdy jako dowódca siedział przy ognisku, w którym płonęły dekrety rewolucyjnego rządu, Jacques Cathelineau zajął cztery miasta, pokonał

---

[126] *Ibid.*, str. 40.

[127] *Vexilla Regis*, Sztandary Króla (*Vexilla Regis prodeunt, fulget Crucis mysterium! Sztandary Króla się wnoszą, jaśnieje tajemnica Krzyża!*) – hymn, którego autorem jest św. Wenancjusz Fortunat(us) (ok. 535 – po 600). W latach 565-567 pielgrzymował do grobu św. Marcina w Tours. Następnie trafił do Poitiers, gdzie opiekowała się nim Radegunda, wdowa po Chlotarze I, królu z dynastii Merowingów. Pod jej wpływem przyjął święcenia kapłańskie. W roku 597 został biskupem Poitiers (przyp. tłum.).

[128] Charles Tilly, *The Vendée*, Cambridge MA 1964, str. 317.

dwa wrogie oddziały, zdobył dwa działa i opanował samo serce połowy departamentu Maine-et-Loire położonego na południe od Loary. Wtedy było już oczywiste, dlaczego Napoleon powie pewnego dnia o tym skromnym handlarzu, który nigdy przedtem nie sięgnął w gniewie po miecz ani strzelbę, że miał on *najważniejszą cnotę człowieka wojny: ani jako zwycięzca, ani jako pokonany nigdy się nie oszczędzał*[129].

Tego samego niezwykłego dnia pięćdziesiąt mil na zachód od trasy triumfalnego marszu Cathelineau chłopi z gminy Machecoul, którzy poprzedniego dnia przyłączyli się do powstania, prosili François-Athanase Charette'a, aby objął nad nimi dowództwo. Machecoul leżało na słonych bagnach Pays de Retz, na południowy zachód od Nantes. Tamtejszych mieszkańców nazywano „czarnymi owcami", ponieważ zamiast siodeł, na które nie było ich stać, używali błamów czarnych owczych skór. Charette był dziarskim młodym szlachcicem. 10 sierpnia, kiedy król opuścił swoich obrońców i pozostawił ich samym sobie, cudem udało mu się uciec z Tuileries. Miał zaledwie 29 lat i był zawodowym oficerem marynarki. Pochodził z Machecoul. Wywodził się ze starej, towarzyskiej i hojnej szlacheckiej rodziny, która jednak nie była nazbyt zamożna. Wśród prostych ludzi słynął ze wspaniałych polowań; wielu z nich również brało w nich udział. Charette podczas łowów często wykazywał się nadzwyczajną sprawnością i wytrzymałością. Kiedy wieśniacy, którzy powstali przeciwko zwycięskiej Rewolucji, zaproponowali mu, aby objął nad nimi dowództwo, on także, podobnie jak Charles Bonchamps, nie był skory go przyjąć,

François-Athanase Charette

[129] Billaud, str. 62.

ponieważ dobrze wiedział, jak niewielkie są szanse powodzenia. Musieli ostro na niego naciskać:

– To hańba, że były królewski oficer nie chce walczyć z świętokradcami, którzy plądrują nasze kościoły, więżą księży i chcą zabrać nam wszystkich młodych mężczyzn, żeby walczyli w ich wojnach[130].

François-Athanase Charette słysząc te słowa, pojął, co jest jego obowiązkiem, i gotów był oddać zań własne życie. Tak też się stało. Trzy lata później, przeżywszy wiele przygód, które wypełniłyby tuzin podobnych książek, został w końcu schwytany przez rewolucjonistów w lesie w pobliżu Saint-Sulpice-Verdon i rozstrzelany. Stojąc przed plutonem egzekucyjnym, odmówił zgody na zawiązanie oczu i dał ostatni popis swej wspaniałej i niezapomnianej brawury: sam wydał żołnierzom rozkaz otwarcia ognia.

W czasie wielkiego powstania na zachodzie kraju Charette wypowiedział pamiętne słowa:

– Nasz kraj to my sami. To nasze wioski, ołtarze, groby; wszystko co, zanim przyszliśmy na ten świat, ukochali nasi ojcowie. Nasz kraj to nasza Wiara, nasza ziemia, nasz Król... A ich kraj – czymże on jest? Czy wy to rozumiecie? Pojmujecie?... On istnieje wyłącznie w ich umysłach, nasz kraj czujemy pod stopami... Kraj, który oni zwą nowym i pragną zbudować na nieobecności Boga, jest równie stary jak Zło... Mówią o nas, że jesteśmy niewolnikami starych przesądów, śmiejemy się z tego! W porównaniu z tymi demonami, które nieustannie, stulecie po stuleciu podnoszą bunt, my, panowie, jesteśmy młodym pokoleniem! Jesteśmy młodym pokoleniem Boga, młodym pokoleniem wierności! I ta młodość zachowa dla siebie samej i swoich dzieci prawdziwe człowieczeństwo oraz wolność duszy[131].

Następnego dnia, czyli 14 marca, powstanie zyskało kolejnego, czwartego przywódcę. Wraz ze swymi ludźmi dołączył do Cathelineau, gdy ten maszerował na Cholet, główne miasto departamentu Maine-et-Loire, położone na południowym brzegu Loary. Człowiekiem tym był Jean-Nicolas Stofflet, wnuk niemieckiego chłopa ze Szwabii, który osiedlił się w Lotaryngii. Przez osiem lat służył jako szeregowy w Lotaryńskim Regimencie Piechoty, potem był leś-

[130] Michael Ross, *Banners of The King; The War of The Vendée, 1793-4*, New York 1975, str. 70.

[131] Michel de Saint Pierre, *Monsieur de Charette, Chevalier du Roi*, Paris 1977, str. 13. Tłumaczenie autora.

niczym w posiadłościach hrabiego Maulévrier. Ów potężnie zbudowany, mówiący z niemieckim akcentem czterdziestojednolatek, był typem służbisty, który idealnie nadawał się na dowódcę pełnych zapału, ale zupełnie niewyszkolonych i niezdyscyplinowanych bojowników. Cathelineau z całą charakterystyczną dla siebie bezmierną pokorą zdał się na Stoffleta, który napisał wezwanie skierowane do garnizonu Cholet. Garnizon ów liczył mniej niż 400 żołnierzy, podczas gdy zastępy chłopstwa rozrosły się do z górą 12 000 ludzi. Oto treść wezwania Stoffleta: *Mieszkańcom Cholet nakazuje się złożenie broni przed dowódcami Chrześcijańskiej armii*[132]. Garnizon próbował stawiać opór, ale trwało to krótko, bo zmiotła go pierwsza kanonada oddana z „Misjonarza" i „Marie-Jeanne". Cholet padło.

Jean-Nicolas Stofflet

Tymczasem miasteczka Montaigu i Saint-Fulgent, a także cały otaczający je obszar pomiędzy Machecoul i Cholet zostały opanowane przez kolejne spontaniczne i niezależne od innych powstanie chłopów z regionu Marches, Poitu i Anjou. Tutaj dowództwo przypadło innemu drobnemu szlachcicowi o nazwisku de Guerry. Przyjął je 14 marca. Nie dał się długo prosić, uległ już pierwszej skierowanej do niego prośbie. Jego pierwszym rozkazem było odprawienie mszy dla wszystkich powstańców. Wzięło w niej udział około sześciu tysięcy osób. Oto jak ją opisał Guerry w swym prywatnym dzienniku:

Prezentowali sobą dziwny widok: niektórzy uzbrojeni w strzelby, inni w ostrza kos, bagnety, szable, pałki i widły... Trzymałem w dłoni widły, których trzonek miał sześć stóp długości, tuż przed ite Missa est, *zwróciłem je właścicielowi i oznajmiłem głośno:* Ge-

[132] Ross, str. 70.

nez vrais défenseurs de la foi, allez et poursuivez les démons jusqu'a l'enfer! [Słuchajcie, prawdziwi obrońcy Wiary; idźcie i zagońcie demony na powrót do piekła!][133]

Chrześcijańska armia, której najważniejszymi dowódcami byli trzej drobni szlachcice, leśniczy i wędrowny handlarz, w ciągu trzydziestu sześciu godzin wyzwoliła większą część Bocage i Marais.

Na południe od Bocage i przylegających do niej rozległych równinnych obszarów rolniczych departamentów Vendée (Wandea) i Deux-Sevres, w starej hugenockiej twierdzy La Rochelle, stacjonowała Dwunasta Dywizja armii rewolucyjnej. Pierwsze doniesienia o niepokojach na północy docierały do La Rochelle 10, 11 i 12 marca, jeszcze przed wybuchem wielkiego powstania z 13 marca. Dowódca dywizji wysłał generała Marcé – doświadczonego żołnierza o 48-letnim stażu – na czele oddziału liczącego 1200 ludzi i cztery armaty, aby połączył się z wojskami z Nantes i stłumił rozruchy. Ów bardzo już wiekowy weteran z pewnością nie był godnym przeciwnikiem dla „młodego pokolenia Boga". Sytuacja, kiedy jego wojska paradowały drogą z Chantonnay, była jakby żywcem wyjęta z opery komicznej. Przy moście Gravereau natknął się na obce oddziały, których nie umiał zidentyfikować. Uznał ich jednak za sojuszników, jako że śpiewały Marsyliankę. Generał Marcé nie wiedział jednak, że Katolicka i Królewska Armia dorobiła już do sławnej melodii własne słowa.

Zamiast „I naprzód marsz, Ojczyzny dzieci,
bo nadszedł chwały naszej dzień", powstańcy śpiewali:

I naprzód marsz katolickie armie,
Bo nadszedł chwały naszej dzień,
A przeciwko nam Republika,
Podnosi krwawe sztandary wzwyż[134].

Marcé w najlepszym starym stylu wysłał naprzód herolda i trębacza, aby powitać domniemanych sojuszników. Chłopi – zupełnie nieobeznani z wojskowym obyczajem i protokołem dyplomatycznym – spojrzeli na nich ze zdziwieniem, a potem groźnie ruszyli ku

[133] *Ibid.*, str. 91. Przekład słów Guerry'ego do zgromadzonych – W.H. Carrol. Nie jest jasne, dlaczego Ross pozostawił je bez tłumaczenia, choć dokonał przekładu innej części jego tekstu.

[134] Billaud, str. 43

nim. Herold i trębacz przezornie zrejterowali, ale po chwili ponownie zaczęli zbliżać się do powstańców. Znudzeni tymi karesami chłopi ryknęli pełną piersią *Vive le roi! Vive le clergé!*

– Teraz już nie ma wątpliwości: stoimy przed zbójecką armią[135] – stwierdził posępnie pułkownik Boulard, dowódca przedniej straży wojsk Marcé'go.

Zapadał zmierzch. Marcé miał zamiar zaatakować o świcie. „Zbójcy" ani myśleli jednak czekać całą noc. Ich strzelcy wyborowi zajęli pozycje za drzewami i żywopłotami. Dziewiętnaście lat wcześniej podobnie postąpili amerykańscy farmerzy w Concord[136]. Snajperzy unieśli swe długolufowe strzelby, mimo wieczornej szarówki namierzyli cele i otworzyli ogień. Strzelali niczym na strzelnicy. Wydawało się, że każdy z wieśniaków obrał dla siebie inny cel. Żołnierze Rewolucji nie wiedzieli nawet, gdzie jest wróg. Zaczęli strzelać na oślep we wszystkie strony – zazwyczaj Panu Bogu w okno, a potem rozproszyli się i rzucili do panicznej ucieczki. Wieśniacy ruszyli w pogoń, wznosząc jeden ze swych ulubionych wojennych okrzyków – było nim gardłowe *Rembarre! Rembarre!* (Za nimi! Wybić ich!). Z nieba lunęły strugi deszczu. Pułkownik Boulard razem z koniem wpadł do jakiegoś dołu. Przemoknięci i ogarnięci paniką żołnierze ostatkiem sił wędrowali od świtu do późnego ranka, aż wreszcie, ledwo trzymając się na nogach, dotarli do posterunku w Saint Hermand, który znajdował się na głębokich tyłach. Obecni tam komisarze Konwentu pozbawili Marcé'go dowództwa, ale na jego miejsce nie znaleźli nikogo lepszego, więc funkcję tę powierzono Boulardowi. Jeszcze przed południem wszyscy gremialnie doszli do wniosku, że nie ma innego wyjścia: trzeba nakazać całkowity odwrót do La Rochelle.

Znak kontrrewolucjonistów.

[135] Ross, str. 97.

[136] Bitwa pod Concord odbyła się 19 kwietnia 1775 roku. Powodem starcia była próba konfiskaty broni palnej należącej do kolonistów, jakiej dokonał generał brytyjski Thomas Gage. Starcia pod Concord i Lexington uważane są za pierwsze bitwy w wojnie amerykańsko-brytyjskiej (przyp. tłum.).

Był wtorek 19 marca. Dzień świętego Józefa – skromnego cieśli, który był przybranym ojcem Boga Wcielonego. W ciągu zaledwie jednego tygodnia, jaki upłynął od wybuchu powstania, Katolicka i Królewska Armia wyzwoliła cały departament Wandea oraz połowę Maine-de-Loire i Loire-Inférieure. W Paryżu, w czasie sesji Konwentu, delegaci uświadomili sobie, że od pięciu dni nie dotarła do nich żadna wiadomość z Nantes. Stopniowo, pomalutku zaczęły napływać informacje, ale ich treść była albo zafałszowana nienawiścią, albo wyolbrzymiały ją plotki: *okręgi St. Florent, Cholet i Vihiers zostały spustoszone, splądrowane i spalone; wymordowano ponad pięć tysięcy patriotów... dwie potężne kolumny buntowników, pod komendą doświadczonych dowódców, maszerują en masse na Saumur i Angers*[137]. Jakobini i żyrondyści porzucili coraz to bardziej zażarte spory i zjednoczyli się w obliczu wspólnego wroga, jakim była kontrrewolucja. 19 marca deputowany z Maine-et-Loire o nazwisku Delaunay, rzekomo reprezentujący w Konwencie owe dziesiątki tysięcy ludzi, którzy powstali w obronie Wiary i Króla, zaproponował zgromadzeniu następujący dekret, który natychmiast uchwalono:

Księża, szlachcice i feudałowie oraz agenci i służący tych ludzi, a także obcokrajowcy i każdy, kto był albo jest zatrudniony przez poprzedni rząd bądź władze rewolucyjne i pełnił lub pełni jakąś funkcję publiczną, jeśli zostanie uznany winnym podżegania i udzielania pomocy buntownikom lub ich przywódcom, albo też morderstwom, podpaleniom, grabieży lub posiadaniu broni, będzie przekazany trybunałowi wojskowemu i rozstrzelany w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Rozpoczęła się walka na śmierć i życie.

Na czas Wielkiego Tygodnia, który tamtego roku trwał od 24 do 31 marca, większość wieśniaków z Bocage powróciła do domów. Tymczasem generał Berruyer, którego wysłano z Paryża, aby objął komendę nad armią mającą zdławić bunt, zastał ją bliską buntu, zastraszoną, źle wyekwipowaną i wyszkoloną. Nie mogło być mowy o tym, aby wojsko to było zdolne wyruszyć natychmiast przeciw komukolwiek. Dezercja generała Dumourieza, który przeszedł w Belgii na stronę Austriaków, jeszcze bardziej skonsternowała Kon-

[137] Tilly, str. 315.

went. Jego członkowie, zawsze tak skłonni do tropienia we wszystkim spisków, obradując i starając się podjąć jakieś działania, poruszali się teraz w morzu spiskowych teorii. Tego rodzaju spekulacje były, jak zawsze w takich przypadkach, nader ekscytujące i niepokojące, ale zarazem sprzeczne. Kordelierzy w sumie więcej skorzystali na owych chaotycznych debatach, ponieważ przywódcy żyrondystów, a także i Danton byli o wiele bardziej zaprzyjaźnieni z Dumouriezem niż jakobini. Nikt nie potrafił jednak przedstawić żadnego wiarygodnego scenariusza wydarzeń, wedle którego dezercja Dumourieza mogła mieć jakikolwiek związek z powstaniem w Wandei. Nie znaczy to jednak, że nie podejmowano takich prób. Dwieście lat później niektórzy historycy nadal starają się udowodnić, że takie powiązanie istniało, ale ich starania nie zaowocowały dotychczas żadnymi znaczącymi sukcesami.

Przez trzy dni w Konwencie wrzało od podejrzeń, wściekłości i nienawiści. W rezultacie zgromadzenie przyjęło dwie najwyższej doniosłości ustawy. Pierwsza z nich (wniesiona z inicjatywy Marata) znosiła prawny immunitet deputowanych (Czy kiedy Marat zgłaszał ów projekt, któryś z delegatów pamiętał, w jaki sposób uchylili oni gwarancje nietykalności osobistej króla, zapisane w konstytucji z 1791 roku?). Jeżeli zdrada panoszyła się wszędzie, Konwent z pewnością również nie był od niej wolny. Wniosek Marata poparł żyrondysta Biroteau. Oba stronnictwa uważały, że ich przeciwnicy będą bardziej narażeni na oskarżenia niż oni sami. Przytoczmy w tym miejscu cięte słowa Roberta Christophne'a: *żadna ze stron nie uświadamiała sobie, że głosując za wnioskiem Marata i Biroteau, podpisała wyrok śmierci na znaczną część swoich członków*[138]. Druga ustawa powoływała do życia zupełnie nową i niezwykle potężną instytucję, która miała funkcjonować w ścisłej tajemnicy. Był nią Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Oto niektóre z jego prerogatyw, uchwalone 6 kwietnia 1793 r.:

Obrady Komitetu będą tajne. Będzie on mógł nadzorować i przyspieszać działania administracyjne, będące w kompetencji tymczasowej Rady Wykonawczej. Może wstrzymać wykonanie jej dekretów, jeżeli uzna, że są one sprzeczne z narodowym interesem,

[138] Christophne, str. 358.

Kontrrewolucja w republikańskiej karykaturze

w takim przypadku ma jednak obowiązek bezzwłocznego powiadomienia o tym Konwentu.

W nadzwyczajnych okolicznościach ma prawo przedsiębrać odpowiednie środki dla szeroko rozumianej obrony zarówno w kraju, jak i poza jego granicami; jego dekrety, podpisane przez większość członków (parytet dwóch trzecich głosów nie jest wymagany) będą niezwłocznie wcielane w życie przez tymczasową Radę Wykonawczą...

Skarb państwa odda do dyspozycji Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego kwotę nieprzekraczającą 100 000 funtów (miesięcznie) na tajne wydatki ponoszone przez Komitet i wypłaci ją na każde jego pisemne żądanie, podpisane w taki sam sposób, jak dekrety[139].

Ukonstytuowany w ten sposób Komitet Bezpieczeństwa Publicznego liczył dziewięciu członków. W pierwszym jego składzie zasiadał Danton. Charaktery i przeszłość jego członków pozwalały być pewnym, że będzie w nim grał pierwsze skrzypce. Do Komitetu nie weszli żadni przywódcy żyrondystów i jakobinów. Oprócz Dantona jedyną rzeczywiście znaczącą postacią był w nim Barère z *Równi-*

[139] John Hardman, ed., *French Revolution Documents*, Vol. II (1792-95), Oxford 1973, str. 90. Dokument w języku francuskim, przetłumaczony przez autora.

ny, który zawsze trzymał z silniejszymi. Danton przez ponad rok był najważniejszym człowiekiem Rewolucji. Mimo kilku potknięć i kłopotów, nadał komenderował wszystkimi. Nic nie wskazuje na to, aby żałoba po Gabrielle i okoliczności towarzyszące jej śmierci wywarły najmniejszy choćby wpływ na jego oddanie dla Rewolucji lub zdecydowanie i bezwzględność, z jaką jej przewodził.

Każdy z członków Komitetu wziął na siebie osobistą odpowiedzialność – która w tych okolicznościach i w świetle sformułowań dekretu powołującego Komitet oznaczała w istocie władzę ostateczną – za jedno lub więcej ministerstw. Danton objął Ministerstwo Wojny, a nieco później Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Oznaczało to, że ponosił teraz całkowitą odpowiedzialność zarówno za zdławienie katolickiego powstania w Wandei, jak i prowadzenie wojny z największymi mocarstwami ówczesnej Europy.

Henri de la Rochejaquelein

11 kwietnia, generał Berruyer, mimo wielu złych przeczuć, jakie wywoływały w nim kiepskie umiejętności i niskie morale oddziałów, zaatakował Wandejczyków w Chemillé – mieście, które miesiąc wcześniej w imponujący sposób zdobył Cathelineau. Szale bitwy długo pozostawały w równowadze, ale Wandejczycy zużyli prawie wszystkie zapasy amunicji i w związku z tym byli zmuszeni się wycofać. Pierwsza poważniejsza porażka spowodowała, że podupadli na duchu; wielu z nich – pamiętajmy, że prawie wszyscy byli członkami milicji, a ich doświadczenie wojenne liczyło zaledwie kilka dni – zaczęło tracić nadzieję na zwycięstwo. Rdzenny mieszkaniec Bocage, młody markiz Henri de la Rochejaquelein, który

wraz z Charettem 10 sierpnia próbował ratować monarchę, przemierzał okolicę, starając się zwerbować większą liczbę chłopów do walki za Wiarę i Króla. Początkowo czynił to z miernym powodzeniem, prawdopodobnie dlatego, że co bitniejsi wieśniacy zdążyli już przyłączyć się do powstania. Mimo to nie ustawał w wysiłkach. Kiedy zaś pod Chemillé przyszła godzina próby, potrafił na powrót rozbudzić w chłopach zapał. Ich uznani przywódcy nie umieli tego wówczas dokonać. 13 kwietnia tysiące ludzi zgromadziły się wokół rozpłomienionego młodego przywódcy, aby wysłuchać, jak woła do nich:

– Przyjaciele, gdyby był tutaj mój ojciec, wzbudziłby w was zaufanie, mnie jednak ledwo co znacie, wciąż jestem tylko dzieckiem [miał wówczas dwadzieścia lat]. Mam nadzieję, że moimi czynami udowodnię, iż jestem godzien być waszym przywódcą. Kiedy będę nacierał, podążcie za mną, jeśli się wycofam, zastrzelcie mnie; jeśli mnie zabiją, pomścijcie mnie[140].

Słowa Henri de la Rochejaquelein uznano za najwspanialszą ze wszystkich mów wygłoszonych w czasie powstania. Wszystkich zgromadzonych tam ludzi ogarnął wielki przypływ entuzjazmu i poszli za nim do pobliskiego miasteczka Aubiers. Rozegrała się tam pierwsza z dwudziestu pięciu bitew, w których walczył ów młody bohater. Przed każdą z nich odmawiał modlitwę: *Proszę, zabierz mnie do siebie, Panie – a jeśli wolą Twoją jest, abym przeżył, bądź przy mnie zawsze*[141]. Pod Aubiers poprowadził natarcie, które zmiotło wszystko, co stało mu na przeszkodzie, mimo że większość atakujących nie miała amunicji, a ich jedynym uzbrojeniem były kije. Obrońcy uciekli, porzucając dwa działa i duże zapasy rozpaczliwie wręcz brakującej amunicji. La Rochejaquelein szybko dostarczył je głównym siłom, umożliwiając w ten sposób odzyskanie Cholet i Chemillé. 30 kwietnia Charette odniósł walne zwycięstwo pod Legé w pobliżu Machecoul. Jego wojska zabiły bądź raniły co najmniej 500 rewolucjonistów. Z początkiem maja Wandejczycy kolejny raz niemal całkowicie wyparli wroga z Bocage. Wojska generała Quétineau wycofywały się z Bressuire w departamencie Deux-Sévres w stronę Thouars. Czyniły to w takim chaosie, że zapomniały za-

[140] Ross, str. 115.

[141] Saint-Pierre, *Charette*, str. 139. Przekład autora.

brać ze sobą więźniów, których przetrzymywano w Bressuire. W trakcie odwrotu wybuchały zażarte kłótnie o to, którym gościńcem podążać. Żołnierze nie zwracali najmniejszej uwagi na rozkazy generała i omal nie doszło do strzelaniny pomiędzy skłóconymi frakcjami rewolucyjnej armii (Wandejczycy nazywali żołnierzy Rewolucji „Niebieskimi" od koloru noszonych przez nich mundurów).

Wśród wandejskich więźniów pozostawionych w Bressuire znajdował się trzeci spośród niedoszłych obrońców króla. Był nim markiz de Lescure, o którego przygodach 10 sierpnia mieliśmy już okazję wspomnieć. Markiz miał lat dwadzieścia sześć, jego żona Marie-Louise Victoire była dwudziestolatką. Pozostawiła po sobie najbarwniejsze spośród wszystkich wspomnień o tamtej walkach, jakie ocalały do naszych czasów. Jej opis wyzwoleńczej armii jest najlepszym, jakim dysponujemy:

Wczesnym rankiem dostałam liścik od M. de Lescure [tak Marie-Louise Victoire nazywa w swych pamiętnikach męża, mimo że w ich stosunkach nie było ani odrobiny pompatyczności], *w którym prosił mnie, abym czekała na niego, Henriego* [de la Rochejaqueleina] *oraz dwudziestu czterech dragonów w Clisson. Przyprowadzili ze sobą kawalera de Beauvolliers, osiemnastoletniego młodzieńca, którego w Loudun siłą zwerbowano do wojska i wysłano do Bressuire. Wieczorem w czasie ewakuacji miasta* [Quétineau] *znalazł on sposób na opuszczenie oddziału i pędząc, co koń wyskoczy, pospieszył zanieść wieści buntownikom... Był pełen męstwa i delikatności; został adiutantem i serdecznym przyjacielem M. de Lescure. Żaden z dragonów, którzy przybyli razem z tymi dżentelmenami, nie miał wojskowej powierzchowności ani wzbudzającego szacunek wyglądu. Ich konie były najrozmaitszych maści i wielkości. Niektórzy mieli juczne siodła z linami zamiast strzemion, drewniane saboty zamiast butów. Pistolety nosili za pasem, a strzelby i szable przytraczali sznurkiem! Część nosiła białe kokardy, inni z kolei czarne albo zielone! Wszyscy jednak mieli naszyte na płaszczach wyobrażenie Najświętszego Serca, a przy guzikach kołysały się im różańce. Z pogardy dla Niebieskich, przywiązali do końskich ogonów trójkolorowe kokardy i epolety, które im odebrali...*

Żołnierze zasiedli do śniadania; chłopi z okolicznych parafii zeszli się zewsząd, aby im towarzyszyć. Kobiety, które właśnie ścię-

ły drzewo wolności, przyszły z toporami w rękach. Dom pełen był ludzi, którzy jedli, pili i nieustannie wznosili okrzyki „Vive le Roi" [Niech żyje Król]. *W międzyczasie Lescure zawiadomił nas, że w Bressuire przyjęto go z otwartymi ramionami, uznano za komendanta wszystkich gmin kantonu i wyznaczono na jednego z członków rady wojennej...*

Niech żyje Wiara, niech żyje Król – proste hasła Wandejczyków

Wsiedliśmy do powozu eskortowanego przez uzbrojonych służących, a kiedy zbliżaliśmy się do miasteczka, dostrzegliśmy Wandejczyków. Wiedzieli, kim jesteśmy i zaczęli wołać ku nam „Vive le Roi". Krzyczeliśmy wraz nimi i roniliśmy łzy radości. Zauważyłam, że mniej więcej pięćdziesięciu z nich klęczało u stóp krzyża. Nic nie było w stanie przeszkodzić im w modlitwie.

Miasto okupowało około dwadzieścia tysięcy ludzi, ale broń palną posiadało zaledwie sześć tysięcy. Pozostali nieśli ostrza kos osadzone na styliskach (broń o przerażającym wyglądzie), noże i sierpy przytwierdzone do drągów, szpikulce oraz wielkie masywne kije z sękatego drewna. Chłopi byli odurzeni radością; uważali, że są niezwyciężeni. Ulice zaludniały tłumy, dzwoniły dzwony, a oni zrobili sobie na placu ognisko z drzewa wolności i urzędowych papierów.

Gentlemani poszli odszukać generałów, a ja przechadzałam się po mieście w towarzystwie pokojówek. Wieśniacy zapytali mnie, czy byłam już kiedyś w Bressuire. Opowiedziałam im o moim uwięzieniu i o tym, jak mnie uratowali. Wszyscy oni byli szczęśliwi, że ocalili damę. Powiedzieli mi, że emigranci noszą się z zamiarem powrotu, by pomóc im w restytucji wiary i króla... Wieczorem zaskakującą, a zarazem pouczającą sceną był dla mnie widok wszystkich żołnierzy zakwaterowanych wraz z nami w tym samym budynku, którzy klęcząc powtarzali słowa modlitwy, odczytywanej na głos

przez jednego z nich. Pojęłam, że nigdy nie odstępują od trzykrotnego odmawiania jej w ciągu dnia[142].

5 maja Wandejczycy pociągnęli za generałem Quétineau do Thouars. Dostępu do miasta strzegły obronne mury. Załoga obrońców liczyła ponad pięć tysięcy ludzi. Katolicka i Królewska Armia zaatakowała o świcie, bój trwał przez cały dzień. Powstańcy dosłownie wyciosywali wyłomy w murach bagnetami albo wspinali się po nich jak po alpinistycznych klamrach. U schyłku dnia ktoś wywiesił w mieście białą flagę (kwestia, kto to uczynił, stała się później przedmiotem zajadłych sporów). Miasto wpadło w ręce Wandejczyków, a razem z nim 5000 jeńców, 4000 muszkietów, 12000 pistoletów, 2000 szabel, 10 armat oraz srebro wartości 100 000 funtów zrabowane z kościołów. Ponieważ Wandejczycy nie mieli środków ani możliwości, aby zajmować się jeńcami, większość z nich uwolniono *pod warunkiem złożenia przysięgi, że pozostaną wierni religii Ludwika XVII i nigdy nie podniosą ręki na niego samego ani jego armie*[143].

Joseph-Louis d'Elbée

Jednak mimo wszystko nie zapomniano o tragicznej postaci małego chłopca uwięzionego w wieży Temple.

---

[142] Rochejaquelein, str. 101-106. Ta odważna i pełna temperamentu dama przetrwała Rewolucję oraz wojny napoleońskie, które przyszły po niej. Pierwszy mąż Marie-Louise, markiz de Lescure zmarł od śmiertelnej rany, którą otrzymał 15 października 1793 roku w bitwie pod Bocage. Jej drugi mąż, brat Henriego, pierwszy markiz de la Rochejaquelein również poległ w Vendée. Zginął w bitwie z wojskami Napoleona w czasie innego historycznego kryzysu, w przededniu bitwy pod Waterloo. Niewiele kobiet w historii było kochanych przez dwóch podobnych im bohaterów.

[143] Ross, str. 121.

Ostatnim ważnym miastem departamentu Wandea, nad którym sprawowały kontrolę władze rewolucyjne, było Fontenay, położone na żyznej równinie rozpościerającej się na południe od Bocage. Pierwszy atak na silnie umocnione i bronione miasto zakończył się klęską i utratą 32 dział, w tym także „Marie-Jeanne". Decyzję o szturmie podjęto pod naciskiem Josepha-Louisa d'Elbée, kolejnego miejscowego szlachcica, który na początku powstania dołączył do grupy jego dowódców. Miał ograniczone doświadczenie wojskowe, był drobnej postury, miał niepewny głos i był dosyć próżnym człowiekiem. Jego oddziały nadały mu przydomek „Generał Opatrzność". Dotąd nie jest do końca jasne, dlaczego d'Elbée stał się jednym z najważniejszych dowódców Wandejczyków, bo nigdy, chociaż był dobrym żołnierzem, nie wykazywał się wyjątkowymi zdolnościami militarnymi ani przywódczymi.

Cathelineau, jak zawsze skromny i trzymający się w cieniu, nie starał się pokazać, że jest ważniejszy od d'Elbée'go, ale gdy atak nie powiódł się, zebrał zniechęconych wieśniaków do kolejnej próby. 25 maja po wspaniałym godzinnym szturmie zdobyli miasto, chociaż wielu z nich nadal było uzbrojonych w same tylko kije. Wzięto trzy tysiące jeńców, a także znaczne ilości sprzętu wojskowego. Dla Wandejczyków miało to kapitalne znaczenie, gdyż brakowało im nie tylko broni i amunicji, lecz także butów i ubrań, którymi mogliby zastąpić własne, częstokroć nieodpowiednie na wojnę. Ich odzież po dwóch miesiącach walki i nieustannych marszów zaczynała rozpadać się w szwach. W Fontenay w ręce powstańców wpadła skrzynia zawierająca milion franków w rewolucyjnych banknotach. Wandejscy przywódcy

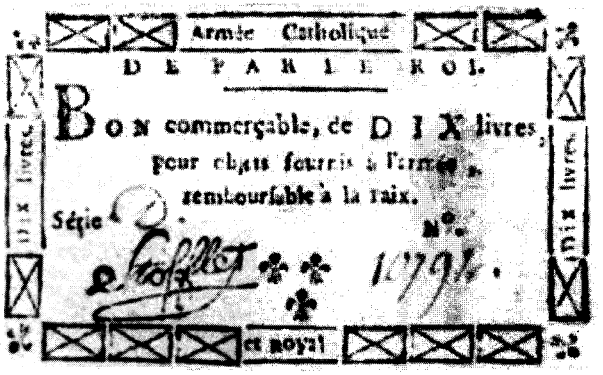

Rodzaj banknotu (wartości 10 liwrów) wydawanego przez armię Stoffleta

wypuścili banknoty *Dobro, w imieniu Króla*. Powstańcy bardzo się zmartwili, kiedy wyszło na jaw, że armaty „Marie-Jeanne" nie ma już w Fontenay. Wycofujący się rewolucjoniści ciągnęli ją drogą prowadzącą do miasta Niort, położonego jeszcze bardziej na południe, poza granicami departamentu Vandée. Specjalny oddział, nie zwlekając, wyruszył w pogoń. Wywiązała się zaciekła walka wręcz o sławną armatę, która sześciokrotnie przechodziła z rąk do rąk. Ostatecznie Wandejczycy zdobyli ją i sprowadzili do Fontenay, gdzie *ukoronowano ją kwiatami i wzniesiono niezliczone toasty za jej jak najdłuższy żywot*[144].

Dwa dni później główni dowódcy Katolickiej i Królewskiej Armii oraz pięciu księży (wśród nich sławny opat Bernier, który współpracował z Napoleonem) spotkali się Fontenay i powołali do życia Najwyższą Centralną Radę powstania, aby zająć się zorganizowaniem administracji na najważniejszych obszarach kontrolowanych obecnie przez powstańców i wydać manifest do narodu. Manifest ów głosił, że celem powstania jest *odzyskanie i zachowanie na zawsze naszej świętej apostolskiej religii rzymskokatolickiej* (...) *oraz króla, który pełni rolę ojca wobec wszystkich wewnątrz* [naszego kraju] *i protektora wszystkich na zewnątrz.*

Pierwszym działaniem podjętym przez Radę było uregulowanie sytuacji Kościoła na wyzwolonych obszarach, poprzez przywrócenie na stanowiska wszystkich księży, którzy odmówili złożenia przysięgi na Cywilną Konstytucję Kleru, a nadal przebywali w swoich parafiach, oraz zaakceptowanie posługi tych, którzy złożyli ją rewolucyjnemu kościołowi, a teraz chcieli poddać się jurysdykcji biskupów ustanowionych przez papieża. Nakazano, aby wszelka własność Kościoła, zajęta lub też sprzedana przez rewolucyjne władze, została zwrócona parafiom, z których ją zabrano.

Po otrzymaniu wiadomości o upadku Fontenay i opublikowaniu manifestu Barère z rzadką u niego przenikliwością i zrozumieniem krzyczał w Konwencie: – Czegoś podobnego nie było od czasu krucjat![145] W katolickiej armii rosło przeświadczenie, że może odnieść zwycięstwo, tak więc nie tylko jej dowódcy, lecz także niżsi oficerowie i żołnierze przemyśliwali i rozmawiali od czasu do czasu

[144] *Ibid.*, str. 128.

[145] Billaud, str. 64.

o tym, co będą robili, gdy już zwyciężą. Nadzieje przez nich wyrażane docierały do uszu Marie-Louise Victoire de Lescure. Oto jej relacja:

Nie wiem, jakie sny o potędze mogły zrodzić się w głowach niektórych dowódców, ale marzenia armii, marzenia dobrych wieśniaków i ich oficerów były nadzwyczaj skromne.

Po pierwsze, zamierzali prosić, aby przypadkowo nadaną nazwę Vandée zachowano, a z Bocage utworzono prowincję z odrębną administracją. Od dawna było źródłem urazy, że kraina, którą stworzył wspólny obyczaj, pracowitość i natura tej ziemi, ma być podzielona na trzy części, a każda z nich będzie należała do innej prowincji, których władze zawsze zaniedbywały Bocage.

Po drugie, chcieli zwrócić się z prośbą do Króla, aby choć raz zaszczycił swą obecnością tę surową i odległą krainę.

Po trzecie, chcieliby, aby dla upamiętnienia tej wojny na wieży każdego kościoła powiewała zawsze biała flaga i żeby korpus Wandejczyków przyjęto do służby w gwardii królewskiej[146].

Takie były cele wojny prowadzonej przez Katolicką i Królewską Armię, stawiającą czoła wojskom Rewolucji Francuskiej, której przywódcy chcieli zmienić wedle swych wyobrażeń cały świat.

[146] Rochejaquelein, str. 124-125.

VI

Zabójczyni, penitent i męczennik

(27 maja – 6 września 1793)

Rewolucja Francuska przypominała serię trzęsień ziemi; każde z nich zmieniało polityczny krajobraz prawie nie do poznania; jednostki albo grupy ludzi, które starały się wytrwać na dotychczasowych pozycjach, spadały w otchłań.

Na początku – wydawać by się mogło, że od tamtego czasu upłynął cały wiek, a nie zaledwie cztery lata – kiedy w maju 1789 zebrały się Stany Generalne, konserwatyści stanęli po stronie króla, centrum domagało się ustanowienia legislatury w znacznym stopniu niezależnej od monarchy, a radykałowie chcieli uchwalenia konstytucji, która zdecydowanie ograniczałaby uprawnienia władcy. W czerwcu 1789 r., po złożeniu przysięgi w sali do gry w piłkę, konserwatyści chcieli konstytucji, centrum chciało konstytucji i znaczącego udziału w rządzie, a radykałowie chcieli pełnej kontroli nad poczynaniami rządu i ograniczenia roli króla do funkcji czysto reprezentacyjnych. Po szturmie na Bastylię konserwatyści chcieli konstytucji i znaczącego udziału w rządzie, centrum chciało pełnej kontroli nad poczynaniami rządu i ograniczenia roli króla do funkcji czysto reprezentacyjnych, a radykałowie żądali uwięzienia króla. W październiku 1789 roku, po ataku na Wersal i uwięzieniu monarchy, konserwatyści chcieli pełnej kontroli nad poczynaniami rzą-

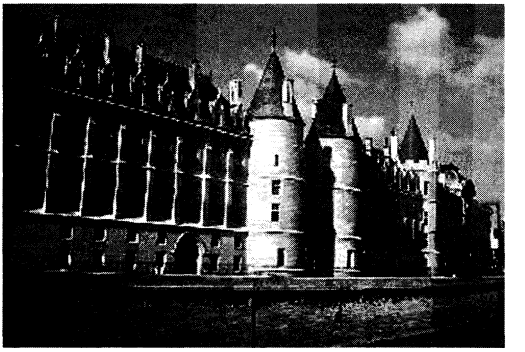

Conciergerie – więzienie, w którym przetrzymywano Marię Antoninę

du i ograniczenia roli króla do funkcji czysto reprezentacyjnych oraz tego, aby ostatecznie jednak uwolnić władcę, centrum chciało przetrzymywać bezradnego monarchę w więzieniu, a radykałowie zaczęli popatrywać w kierunku republiki. W czerwcu 1791 roku, po ucieczce króla i pojmaniu go w Varennes, konserwatyści chcieli zatrzymać króla, ale li tylko w charakterze więźnia, centrum chciało, by go usunąć, ale jeszcze nie teraz, radykałowie zaś chcieli go usunąć natychmiast. Po 10 sierpnia 1792 roku konserwatyści chcieli usunąć króla, nie pragnęli jednak go zabić, lecz wysłać na wygnanie; centrum byłoby zadowolone, widząc go martwym, ale chciało też rządów gabinetowych, połączonych z dobrze zorganizowaną legislaturą, która dodałaby im dostojeństwa oraz pewnych uprawnień dla samorządów lokalnych; radykałowie natomiast chcieli stracić króla, nie dając mu nawet prawa do procesu, oraz narzucić swoją ideologię całej bez wyjątku Francji, następnie zaś także i reszcie świata. Po egzekucji króla konserwatyści nadal chcieli spokojnych rządów i uprawnień dla lokalnych władz, centrum domagało się większej centralizacji władzy, a radykałowie uznali, że nadszedł czas, aby obecni konserwatyści podzielili los Ludwika XVI.

Wiosną 1793 roku nowi kandydaci na ofiary, większość których przeszła do historii jako żyrondyści (choć w tamtych czasach rzadko kto używał tej nazwy w odniesieniu do partii), nie mogli wyjść ze zdumienia, kiedy nagle okazało się, że z dnia na dzień stali się „konserwatystami". Było to jak najdalsze od ich intencji i oczekiwań. Przecież jeszcze zaledwie rok wcześniej większość z nich uważała się za zagorzałych rewolucjonistów i za takich ich wtedy poczytywano. Wielu żyrondystów zaliczało się do najaktywniejszych członków jakobińskich klubów. Teraz atakowano ich jako kontrrewolucjonistów i zdrajców, a nawet „rojalistów". Paryż ogarnęło praw-

dziwe szaleństwo; Pierre Vergniaud, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej głosował za zabiciem króla, teraz publicznie i bez żadnej ironii był nazywany rojalistą.

Całe pokolenia historyków wyrażały swoje współczucie i podziw dla żyrondystów, którzy padli ofiarą Rewolucji. Żaden człowiek, któremu nie jest obce współczucie, nie może nie odczuwać sympatii dla ludzi wciągniętych w tryby maszyny śmierci Rewolucji Francuskiej. W porównaniu z ową przerażającą karykaturą „sprawiedliwości", którą wymierzali Maillard i Fouquier-Tinville, nawet postępki Józefa Stalina w większym stopniu zdają się zasługiwać na miano cywilizowanych. Żeby być jednak naprawdę sprawiedliwym, nie wolno zapominać, że żyrondyści w dużym stopniu sami przyczynili się do wykreowania owego potwora, a czynili to w błogim przekonaniu, że jego pazury nigdy ich samych nie dosięgną. Warto także pamiętać, że żaden z ich przywódców nigdy publicznie nie wyraził żalu za swoje czyny.

27 maja 1793 roku – dokładnie tego samego dnia, kiedy przywódcy krucjaty za Wiarę i Króla w Wandei zebrali się, aby ustanowić rząd i wydać manifest zobowiązujący ich do *odzyskania i zachowania na zawsze naszej świętej apostolskiej religii rzymskokatolickiej*[147] – dla żyrondystów wybiła ich ostatnia godzina.

Jacques-René Hébert

Konwent na ich wniosek powołał uprzednio specjalną Komisję Dwunastu, która miała prześledzić działania Komuny Paryża, zmierzające do przejęcia siłą kontroli nad zgromadzeniem. Komisja Dwunastu trzy dni wcześniej aresztowała Jacquesa-René Héberta, złośliwego i zażarcie ateistycznego dziennikarza, który do spółki z Maratem nieustannie podburzał paryski motłoch, domagał się głów żyrondystowskich przywódców, a niedawno został mia-

[147] Ross, str. 129.

nowany zastępcą Prokuratora Komuny (Żyrondyści już w kwietniu starali się doprowadzić do aresztowania Marata, ale Trybunał Rewolucyjny szybko go uniewinnił). Dwadzieścia cztery z czterdziestu ośmiu „sekcji", czyli okręgów Paryża, zażądało natychmiastowego uwolnienia Héberta. Poparli ich minister sprawiedliwości Garat oraz minister wojny Pache. Konwent przeniósł się z budynku Szkoły Jeździeckiej do pałacowego teatru w Tuileries. Na salę obrad wciskało się coraz więcej rozkrzyczanych i miotających groźby zwolenników „górali". Deputowany żyrondystów, Maxim Isnard, który tego dnia przewodniczył zgromadzeniu, stracił w końcu cierpliwość i doprowadzony do ostateczności, wykrzyczał:

– Słuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Jeżeli w trakcie kolejnych zamieszek, jakie wybuchają nieustannie od 10 marca i o których władzom miasta nigdy nie zdarzyło się ostrzec Zgromadzenia, przedstawicielom narodu zostanie zadany jakikolwiek gwałt, w imieniu całej Francji oświadczam, że Paryż zostanie starty powierzchni ziemi: tak!, cała Francja pomści taką zbrodnię i ludzie rychło będą się zastanawiać, na którym brzegu Sekwany stał niegdyś Paryż![148]

Francuska Rewolucja doszła do punktu, w którym jeden z jej przywódców – i to lider frakcji „konserwatywnej" – groził całkowitym zniszczeniem stołecznego miasta.

To, co wykrzyczał Isnard, zostało uznane (i prawdopodobnie taki był zamiar mówcy) za wypowiedzenie wojny. Żyrondyści jednak, cokolwiek by o nich powiedzieć, nie byli z pewnością wojownikami. Byli przede wszystkim mówcami i pisarzami. Większości z nich z trudem przyszłoby odróżnienie jednego końca karabinu od drugiego. W armii praktycznie nie mieli zwolenników. W zasadzie nie mieli ich także w Gwardii Narodowej ani na prowincji. Tylko w nielicznych większych miastach znaleźliby dość sympatyków, aby poważnie rozważać powołanie oddziałów milicji, które stanęłyby w ich obronie. W ich przypadku, mówienie o całkowitym unicestwieniu Paryża tak, aby ludzie zastanawiali się później, na którym brzegu Sekwany leżała stolica, było czystą mrzonką.

Ich przeciwnicy natomiast byli na tyle potężni, że istotnie mogli zetrzeć stolicę z powierzchni ziemi i w nadchodzących miesiącach miało okazać się, iż uczynią wiele w tym kierunku.

---

[148] Madelin, str. 338.

31 maja 1793 roku o trzeciej rano w Paryżu ponownie odezwały się dzwony. Bito w bębny, strzelano z dział sygnałowych, Gwardię Narodową i lud wzywano do chwycenia za broń. Tym razem jednak nie było już do zabicia nikogo podobnego do wiernego Mandata; piwowara Santerre'a, który objął po nim Gwardię, wysłano na zachód, aby walczył z Wandejczykami (Ci zaś wiedzieli, z kim mają do czynienia; wiedzieli też, że Santerre zabezpieczał egzekucję króla. Przysięgli go schwytać i wsadzić do żelaznej klatki). Rewolucyjna armia Paryża potrzebowała nowego dowódcy. Członkowie Komuny wybrali wówczas na to stanowisko najdziwaczniejszą ze wszystkich postaci Rewolucji – figurę tak nieprawdopodobną w roli twórcy historii, iż można odnieść wrażenie, że wielu historyków do dzisiaj nie może uwierzyć w jej istnienie. Niestety, była ona aż nazbyt rzeczywista. Osobnik ów nazywał się Francois Hanriot i mówiąc wprost, był zapijaczonym lumpem. W różnych okresach życia, jak mówi nam jego udokumentowana przeszłość, był urzędnikiem, lokajem, sprzedawcą brandy oraz policyjnym szpiegiem. Uwagę Komuny zwrócił na siebie 10 sierpnia 1792 roku, kiedy przewodził jednej z grup atakujących Tuileries. Raport policyjny opisuje go jako *ordynarnego i wybuchowego człowieka, który jeśli otwiera usta, zawsze wrzeszczy* (...) *wyróżnia się srogim, wiecznie skrzywionym obliczem*[149]. Na inteligencji zbywało mu niemal w takim samym stopniu jak na wojskowym doświadczeniu. Niczym żołnierzyka-zabawkę można go było nakręcić i skierować na cel (pod warunkiem, że był w miarę trzeźwy), ale uporanie się z nieoczekiwaną sytuacją albo problemem całkowicie wykraczało poza jego możliwości. Jakobini i kordelierzy żadnym innym swoim postępkiem nie okazali przeciwnikom większej pogardy niż wówczas, gdy 31 maja 1793 roku mianowali Hanriota dowódcą Gwardii Narodowej. Ci, którzy

Francois Hanriot

[149] Hibbert, str. 198.

największych żołnierzy wszechczasów wysłali do walki na francuskie granice oraz do Wandei przeciwko Katolickiej i Królewskiej Armii, uznali jednocześnie, że aby uporać się z żyrondystami w Konwencie, Hanriot w zupełności wystarczy. Mieli rację.

Sceny, jakie rozgrywały się w Konwencie przez kolejne trzy dni, przekraczają granice wyobraźni. Z wyjątkiem garstki osób, które organizowały tę czystkę, gloryfikowani uprzednio deputowani byli niczym skrawki papieru w Grocie Wichrów[150]. Niemal wszystkie źródła, opisujące to wydarzenie, wspominają, że w sali panował niemal nieustanny i ogłuszający hałas. 31 maja, kiedy uderzono w dzwony, Hanriot z 30 000 ludzi otoczył teatr w Tuileries, gdzie teraz obradował Konwent. Wewnątrz ściśnięty do granic możliwości tłum wiwatował na cześć kordelierów i zakrzykiwał żyrondystów. Rankiem na trybunę wkroczył dumnie minister wojny Pache i *przysiągł, że wszędzie panuje spokój, a póki on żyje, nikt „nie ośmieli się" podpalić lontów armat. Nie zdążył dokończyć, kiedy ryknęły działa. Hanriot „odważył się"*[151].

Nie strzelał jednak do żadnego konkretnego celu. Nie jest nawet do końca pewne, czy wiedział wówczas, jak to się robi; wszak był to jego pierwszy dzień w pracy. Przez cały dzień armaty odzywały się od czasu do czasu, aby przypomnieć deputowanym, że Hanriot nadal stacjonuje na zewnątrz.

2 czerwca przed świtem 80 000 ludzi i ponad 60 dział otoczyło Tuileries. Pijani mężczyźni i kobiety zapełnili parter i galerie teatru, w którym zbierał się Konwent. Za każdym razem, gdy któryś z żyrondystów podnosił się z miejsca, aby zabrać głos, odzywało się takie pohukiwanie, jakby cała sala zamieniła się w las pełen sów. Tydzień wcześnie kordelierzy uzgodnili listę dwudziestu dwóch czołowych przedstawicieli żyrondystów, którzy mieli zostać aresztowani albo straceni. Wśród nich znajdował się także Vergniaud. Jak na razie jednak „góralom" nie udało się przekonać Konwentu, aby wydał nakaz aresztowania. Tego dnia jednak wydawało się to nieuniknione.

Lanjuinais, jeden z dwudziestu dwóch proskrybowanych, przekrzykując wycie, pohukiwania i gwizdy, wołał do przerażone-

[150] Grota Wichrów – jedna z największych atrakcji turystycznych kompleksu wodospadów Niagara Falls (przyp. tłum.).

[151] Madelin, str. 340.

Jean Denis Lanjuinais na trybunie Konwentu

go Konwentu: – Nie zrobiliście niczego, pozwoliliście na wszystko; zatwierdziliście wszystko, czego od was żądali. Tworzy się komitet powstańczy. Szykuje rewoltę. Wyznacza przywódców, którzy ją poprowadzą. A wy nie robicie *niczego*, żeby temu zapobiec[152].

Owe śmiałe słowa miały taki skutek, że na trybunie doszło do iście zapaśniczej walki, kiedy kilku osiłków Hanriota próbowało ściągnąć z mównicy trzymającego się jej kurczowo Lanjuinaisa. Zdążył jeszcze złożyć ostatnie żądanie rozwiązania Powstańczego Komitetu Komuny, po czym ustąpił miejsca „wnioskodawcom" Komuny.

– Zbrodnie członków tej frakcji Konwentu są wam znane! – krzyczał jeden z rzeczników Komuny. – Musimy ich przed wami oskarżyć po raz ostatni!

Słysząc to, zwolennicy Komuny ruszyli do drzwi, otworzyli je na całą szerokość i zakrzyknęli: – Ratujmy ojczyznę! Do broni![153]

[152] Hibbert, str. 199.

[153] Madelin, str. 342.

W tym momencie kilku deputowanych próbowało wyjść z sali, ale zawrócono ich z drogi energicznymi ciosami kolb muszkietów. Dowodnie wykazało to ich kolegom, że wszyscy oni stali się nagle więźniami. Na trybunę wstąpił Barère. Czy i tym razem zdoła utrzymać się po właściwej stronie? Sądził, że znalazł na to sposób.

– Udowodnijmy, że jesteśmy wolni – krzyknął. – Proponuję, żeby Konwencja kontynuowała obrady w otoczeniu sił zbrojnych, które bez wątpienia nas obronią![154]

Około trzystu deputowanych odpowiedziało na wezwanie i uroczyście pomaszerowało do głównego wejścia za przystojnym i dandysowatym przewodniczącym izby, Héraultem de Séchelles. Drzwi prowadziły na plac Carrousel – ten sam, na którym 10 sierpnia ubiegłego roku, przed atakiem na rodzinę królewską zbierały się zbrojne tłumy i gdzie ustawiano armaty wycelowane w Tuileries. Teraz działa stały jedno przy drugim w rzędzie, który ciągnął się przez cały plac, przed nimi zaś ustawił się jakiś groteskowo ubrany człowieczek na koniu, w olbrzymim kapeluszu z obwisłym białym pióropuszem. Był nim Hanriot.

Na ten widok Hérault de Séchelles uprzejmie zasięgnął informacji: – Czego chce lud? Konwent pragnie wyłącznie jego szczęścia.

– Hérault – odparł Hanriot – lud nie po to powstał, żeby przysłuchiwać się pustej gadaninie: żąda, żeby wydano mu tych dwudziestu czterech winnych (Pomylił liczbę, ale w przypadku Hanriota trudno się temu dziwić).

– Wydajcie nas wszystkich! – odkrzyknął któryś z deputowanych, sądząc najwyraźniej, że wspólny status wszystkich delegatów zapewni im bezpieczeństwo.

Hanriot szarpnął wodze, zawrócił konia i *głosem, który mógłby uciszyć fortecę*, ryknął: – Kanonierzy! Do dział![155]

Trzystu deputowanych zawróciło i chyłkiem przemknęło przez drzwi. Hanriot zamknął je za nimi z głośnym trzaskiem. Louis Madelin opowiada, że:

Grupa nieszczęśników tułała się po więzieniu, w którym została zamknięta: w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia przechodzili przez

[154] *Ibid.*, str. 343.

[155] *Ibid.*, str. 343-344.

dziedzińce i ogrody pod groźnym wzrokiem oddziałów, które krzyczały: „Niech żyją kordelierzy! Na gilotynę z żyrondystami!". Przy wiszącym mostku napotkali Marata na czele kilku żołnierzy. Rzucili się ku niemu z krzykiem. „Wzywam was, abyście powrócili na swoje stanowiska, które opuściliście jak tchórze!". Zawrócili więc, a za nimi podążał Marat, któremu nogi plątały się na wysokich obcasach. Całe wojsko szydziło z nich, gwiżdżąc i krzycząc: „Wielkie Zgromadzenie" stało się pośmiewiskiem[156].

Uchwalono aresztowanie dwudziestu dwóch żyrondystów. W ciągu roku niemal wszyscy z nich zginęli bądź to z własnej ręki, bądź na gilotynie.

Jaką rolę odegrał w tym wszystkim Danton? Prawdopodobnie nie była to rola wiodąca; jeszcze i dziś nie ma ostatecznej pewności, kim byli główni organizatorzy czystki, ale niewątpliwie trzeba do nich zaliczyć Robespierre'a i Marata. Obaj od pewnego czasu w najostrzejszych słowach oskarżali 22 żyrondystów; najbezwzględniejszy zaś atak przypuścili w trakcie decydujących trzech dni. Danton także był jednym z oskarżycieli, ale nie żądał kary śmierci. Jego słowa, spisane w czasie owych trzech dni zamieszania, nie świadczą, by cieszył się z rozwoju wypadków. Nie okazywał demonstracyjnej radości, tak jak 10 sierpnia 1792 roku. W dalszym ciągu regularnie zjawiał się w Klubie Jakobinów i nadal był najważniejszym członkiem Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Podobno w tamtym czasie bardzo zaangażował się w sekretne negocjacje zagraniczne, mające doprowadzić do rozpadu międzynarodowej koalicji, która toczyła wojnę z Francją. Myślami jednak zdawał się być zupełnie gdzie indziej, jakby zupełnie oderwany od spraw publicznych.

Jest czerwiec – zbliża się piąte lato Francuskiej Rewolucji. Miesiąc ów był wyjątkowo ciepły i słoneczny. Mijały piękne, pogodne dni. Zakwitało mnóstwo kwiatów. Cierpienie, jakiego już doświadczyła Francja, podobnie jak jeszcze większe nieszczęścia, które miały ją dotknąć, nie znajdywały żadnego odzwierciedlenia w przyrodzie. Tragedie te odbijają się jednak echem w sferze ducha. Na polu bitwy o zbawienie zajmują stanowiska najpotężniejsze siły kształtujące historię: potęga Niebios, potęga Piekieł; spośród nich potęga i wol-

[156] *Ibid.*, str. 344.

ność człowieka dokonają wyboru. Trzy punkty zwrotne monumentalnej tragedii Francuskiej Rewolucji są bardzo blisko. Tylko jeden z nich daje się zauważyć natychmiast. Drugi niedługo się ujawni. Trzeci pozostaje na wpół nieodgadnięty, w połowie tylko zrozumiały; w całości ogarnia go tylko Bóg; my jednak, patrząc na historię przez pryzmat chrześcijaństwa, wiemy i domyślamy się dość, aby dostrzec rozgwieżdżony szlak jego chwały.

W ciągu dwudziestu dni – od 9 do 29 czerwca 1793 roku – we Francji dojrzewają trzy ostateczne decyzje, które podejmują zabójczyni, penitent i męczennik. Zabójczyni – jedna z najsłynniejszych w historii, a być może także najbardziej niezwykła – to Charlotte Corday; penitent to nikt inny jak Georges-Jacques Danton; męczennikiem zaś jest Jacques Cathelineau – „święty z Angers", biedny handlarz i zawołany generał, który od samego początku wielkiego powstania katolików na zachodzie gotów był oddać życie za wiarę – teraz został wezwany, aby ową ofiarę złożył.

Charlotte Corday

Charlotte Corday pochodziła ze zubożałej gałęzi szlacheckiego normandzkiego rodu, którego korzenie sięgają roku 1077. Jako dziecko wychowywała się na farmie Ferme au Bois. Kiedy miała dwanaście lat, jej ojciec przeniósł się do Caen – jednego z głównych miast Normandii. Była pra-prawnuczką Corneille'a, sławnego siedemnastowiecznego francuskiego dramatopisarza. Wykształcenie zdobywała w szkole klasztornej Abbaye-aux-Dames. W tamtejszym kościele, na chórze, pod czarną marmurową płytą spoczywały doczesne szczątki królowej Matyldy – zuchwałej i porywczej żony Wilhelma Zdobywcy. Kraina ta była jej ojczyzną. W świątyni codziennie odprawiano msze w intencji jej duszy.

Charlotte uczyła się w Abbaye-aux-Dames od roku 1785 do 1791, kiedy to na mocy dekretu Rewolucji szkoła została zamknię-

ta. Miała wyjątkowy intelekt i jeszcze większą skłonność mówienia wprost, co naprawdę myśli. W kwestiach Wiary była uczennicą trudną, ponieważ bardzo wiele rzeczy podawała w wątpliwość. Uważnie jednak przysłuchiwała się odpowiedziom i w końcu je zaakceptowała. Była pobożna i niewinna, opanowana i stanowcza. Wyrosła na wyjątkowo piękną, wysoką, pełną wdzięku kobietę. Miała niski, cudownie brzmiący głos o niepowtarzalnej barwie i uroku. W czerwcu 1793 roku liczyła sobie dwadzieścia pięć lat.

Była też bardzo oczytana, zwłaszcza w historii starożytnej, a także w dziełach Rousseau i Encyklopedystów. Na początku Rewolucji miała do niej entuzjastyczny stosunek. Wzięła za dobrą monetę wzniosłe perory jej orędowników. Słabość wysoko postawionych osób wzbudzała w niej uczucie pogardy. Po nieudanej ucieczce króla do Varennes, kiedy zapytano ją, dlaczego nie chce razem z rodziną wypić za zdrowie „prawego" władcy, odparła: – Uważam, że jest dobrym królem, ale czy słaby król może być prawy? Słaby monarcha potrafi jedynie sprowadzić nieszczęście na swój lud[157].

Mimo to była wstrząśnięta jego egzekucją. Napisała do przyjaciółki: *Słyszałaś już owe przerażające nowiny i z pewnością twoje serce, podobnie jak moje, drży z oburzenia. Biedna Francjo, zdana na łaskę nędzników, którzy wyrządzili nam tyle krzywd! Bóg jedyny wie, jak to się skończy*[158]. Jeszcze bardziej niż śmierć króla poruszyły ją wrześniowe masakry; była przekonana, że odpowiedzialność za nie ponosi Marat.

Stopniowo doszła do przekonania, że cnoty, które tak bardzo podziwiała, ucieleśniają żyrondyści, zwłaszcza dlatego, że coraz bardziej zagrażali im kordelierzy. Nie przyjmowała do wiadomości (o ile w ogóle zdawała sobie z tego sprawę), że wielu z nich nie wyznaje jej wiary. Charlotte Corday należała do owych nielicznych zwolenników Rewolucji, którzy pozostali głęboko wierzącymi katolikami. Potem przyszła czystka z 2 czerwca. Ci, spośród żyrondystowskich deputowanych, którzy mieli taką możliwość, wyjechali z Paryża. Część z nich podążyła za Buzotem (znajdował się na liście dwudziestu dwóch osób, które miały zginąć) do Normandii. Buzot

[157] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 68.

[158] *Ibid.*, str. 103.

był Normandczykiem i zapewnił ich, że znajdą tam pomoc i poparcie. Rzeczywistość jednak wyglądała inaczej. Uciekinierzy schronili się w Caen i zamieszkali w hotelu L'Intendance. Charlotte Corday widziała go z okien swojej sypialni. Począwszy od 9 czerwca, przez cały tydzień wokół hotelu kręcili się żyrondyści oraz ich zwolennicy i wygłaszali na ulicach przemowy kierowane do każdego, kto zechciał ich słuchać. Błyskotliwa inteligencja Charlotte Corday wkrótce prawdopodobnie podpowiedziała jej, że ta droga prowadzi donikąd, a żyrondyści sami nie bardzo wiedzą, czego chcą (Zdałaby sobie z tego sprawę wcześniej i wzbudziłoby to odrazę w jej bohaterskiej duszy, gdyby własnymi oczami mogła ujrzeć ową nikczemną komedię, jaka rozgrywała się w Konwencie od 31 maja do 2 czerwca). Później przypomniano sobie, że któryś z przyjaciół jej ciotki krzyknął przy niej: – Jak to możliwe, że toleruje się takie okrucieństwa? Dlaczego toleruje się te potwory? Czy we Francji nie ma już prawdziwych mężczyzn?[159]

Charles Barbaroux i Francois Buzot

20 czerwca Charlotte poszła do hotelu l'Intendance na osobiste spotkanie z Charlesem Barbaroux – jednym z dwudziestu dwóch proskrybowanych. Poprosiła go o list polecający do pewnego deputowanego Konwentu w Paryżu. Zanim jednak doszło do owego spotkania, wiedziała już, co zamierza uczynić. Udzieliła już sobie odpowiedzi na pytanie wyhaftowane przez nią na kawałku jedwabiu, który pozostawiła w swoim pokoju: *Uczynić to czy też nie?* Zaczęła porządkować swoje sprawy. Oddała wszystkie pożyczone rzeczy.

[159] *Ibid.*, str. 107.

Kobiecie nazwiskiem Patain zwróciła książkę o wzorach koronek, mówiąc przy tym: – Koronki nie będą mi już potrzebne.

Byłej przeoryszy Abbaye-aux-Dames odniosła opracowanie historyczne o Rycerzach Maltańskich. Spaliła wszystkie publikacje, które miały związek z polityką. Pewnego razu, ciotka zastałą ją bardzo zapłakaną i zapytała, jaka jest tego przyczyna.

– Któż, droga ciociu, nie płakałby w takich czasach? – odparła. – Kto wie, jaki następny cios na nas spadnie? Póki żyje Marat, któż z nas jest bezpieczny?[160]

Charlotte postanowiła zasztyletować Jeana-Paula Marata, który wydawał się jej ucieleśnieniem wszelkiego zła Rewolucji.

Tyranobójstwo jest bardzo starą katolicką doktryną, aczkolwiek w wielu ludziach zawsze budziła ona uczucie niepokoju. Kobieta tak inteligentna i oczytana jak Charlotte Corday, prawdopodobnie znała ją równie dobrze jak bardzo wówczas modne i popularne opowieści o zabójstwach tyranów starożytności. Jeżeli jest oczywiste, że jakiś człowiek sprawuje rządy bezprawia, posługując się terrorem i zabójstwami, które nie ustaną, dopóki nie będzie usunięty, jeżeli nie ma żadnych politycznych, prawnych i pokojowych sposobów, by się go pozbyć, a istnieją wystarczające powody, aby sądzić, iż jego usunięcie położy kres rządom tyranii i ucisku – wówczas zabicie takiego człowieka przy użyciu wszelkich możliwych środków jest czynem moralnie uzasadnionym. Klaus von Stauffenberg, wierzący katolik i bohater, w czerwcu 1944 bliski był skutecznego wyeliminowania Adolfa Hitlera. Gdyby mu się powiodło, mogło to zmienić całą historię Europy, a może nawet świata drugiej połowy dwudziestego wieku. Stauffenberg, zanim zdecydował się zrealizować swój plan, miesiącami roztrząsał we własnym sumieniu owe moralne dylematy. *Casus* Hitlera jest najlepszym i zaczerpniętym z rzeczywistości przykładem, jakie okoliczności mogą usprawiedliwić tyranobójstwo.

Druga wojna światowa była jednak czasem bohaterów, o Rewolucji Francuskiej – jeśli pominąć walki w Vandée – powiedzieć tego samego raczej nie sposób. Charlotte Corday chyba to wyczuwała i starała się ten niedostatek zrekompensować. Zastanawiała się, jaki wspa-

[160] *Ibid.*, str. 111.

niały i dramatyczny czyn mógłby przełamać owo zaklęcie, które zniewoliło jej kraj. Zabicie Marata takiego efektu przynieść jednak nie mogło. Nie sprawował wszak władzy absolutnej. Rewolucja Francuska była zjawiskiem o wiele większym – nie sposób utożsamiać jej z postacią Jeana-Paula Marata. Rewolucja mogła z łatwością obejść się bez niego. Podobno choroby, na które cierpiał, sprawiły, że był umierający (Charlotte Corday jednak chyba o tym nie wiedziała).

Historia zna kilka mroczniejszych postaci niż Marat. Jeśli o niego chodzi, z punktu widzenia doktryny katolickiej, moralnie usprawiedliwione tyranobójstwo nie miało zastosowania. W jego przypadku katolik powinien pamiętać, że: *Zemsta jest moją, rzecze Pan.*

Tak bohaterskiej kobiety jak Charlotte Corday nie było we Francji od czasów Joanny d'Arc. Jej heroizm został jednak niewłaściwie spożytkowany. Mogła, podobnie jak święta Joanna, stać się przywódczynią i męczennicą. Miała po temu wszelkie potrzebne cechy. Można odważyć się wysunąć przypuszczenie, że Bóg specjalnie obdarował ją tymi przymiotami, aby właśnie w krytycznej chwili mogła je wykorzystać i, jak powiedział w Wandei de Guerry, *zagonić demony na powrót do piekła*[161]. Ona jednak podjęła decyzję, by stać się zabójczynią i zamordować człowieka, którego śmierć niczego wówczas nie mogła zmienić.

Kościół Chrystusowy nade wszystko jest depozytariuszem życia, nie zaś śmierci. Dla świadomego katolika tyranobójstwo może być aktem moralnym, ale pokuta jest sakramentem.

Gabrielle Danton w trudnym i coraz smutniejszym dla niej okresie czwartej i ostatniej ciąży, nękana gorzką świadomością, że mąż jest odpowiedzialny za wrześniowe masakry, coraz bardziej zbliżała się do Louise Gély – znacznie młodszej od siebie dziewczyny, która w końcu stała się jej najbliższą przyjaciółką. Louise była bardzo młoda (w czerwcu 1793 roku nie miała jeszcze szesnastu lat), ale na swój wiek zadziwiająco dojrzała. Była wybitnie inteligentna, zrównoważona, skryta, dyskretna, uparta i pełna współczucia. Louise Gély jest żywym zaprzeczeniem odwiecznego stereotypu kobiety-plotkarki. Żadna inna kobieta w historii nie potrafiła z taką konsekwencją zachować swoich poglądów wyłącznie dla siebie samej.

[161] *Ibid.*, str. 91.

Prawdopodobnie nielicznym tylko dane było poznać większe tajemnice i po dokonaniu długiego żywota zabrać je ze sobą do grobu. Louise dożyła 1856 r., ale nikomu, kto zapisywał jej słowa, nie udzieliła najmniejszej nawet informacji, jakie były koleje losu Georgesa-Jacquesa Dantona w roku Terroru. Co do jej powierzchowności, wiemy, że *miała bystre jasne spojrzenie, twarz w kształcie serca i piękne kasztanowe włosy*[162].

Po śmierci Gabrielle, Louise i jej rodzice opiekowali się dziećmi Dantona, kiedy ten przebywał w Belgii lub przesiadywał na niekończących się sesjach Konwentu. Kiedy jednak pojawiał się w domu, wiele czasu spędzał w towarzystwie Louise. Rozmawiała z nim bez skrępowania; nad wiek rozwinięty umysł oraz pogodne usposobienie pozwalały jej skutecznie przeciwstawiać się potędze elokwencji i woli Dantona. Ta scena zniewala wyobraźnię: oto ogromny, potężnie zbudowany, trzydziestotrzyletni przywódca rewolucji, ucieleśnienie śmiałości, postrach królów, toczy ożywioną rozmowę z piętnastoletnią dziewczyną, która w niczym nie pozostaje dłużna i potrafi oddać mu pięknym za nadobne.

Czy wiedziała, co niegdyś uczynił? Z pewnością tak, była przecież najlepszą przyjaciółką Gabrielle. Czy z tego powodu go odrzuciła? Nie, jej przyjaciółka go kochała, była potrzebna jego dzieciom. Czy pamiętała słowa Chrystusa o zbłąkanej owcy? Na tym świecie nie będzie nam dane poznać odpowiedzi, gdyż Louise Gély przez wszystkie lata życia zachowała na ten temat całkowite milczenie.

Jakiś czas później, piękną wiosną 1793 roku, Georges-Jacques Danton poprosił Louise Gély, aby za niego wyszła. Nie wiemy, kiedy to uczynił, wiemy jednak, że 12 czerwca zgodziła się przyjąć oświadczyny. Pamiętamy o zastanawiającej i nietypowej dla Dantona ogólnikowości oraz roztargnieniu, jakie zaprezentował dwa tygodnie wcześniej podczas czystki dokonywanej na żyrondystach. Być może właśnie wtedy czekał na jej odpowiedź lub dopiero co ją otrzymał i zastanawiał się, jak na nią zareagować.

Louise Gély na propozycję Dantona odpowiedziała „tak", ale pod dwoma warunkami. Musi najpierw pójść do spowiedzi u księdza, który uznaje zwierzchność papieża, a ślubu może udzielić im

[162] Christophne, str. 367.

tylko taki kapłan, który pobłogosławi ich małżeństwo w imieniu Świętego Kościoła rzymskokatolickiego. Do 12 czerwca Danton zgodził się owe warunki przyjąć.

Sławny francuski historyk powiada, że *spowiedź Dantona należy z pewnością do najbardziej zaskakujących ze wszystkich zdumiewających wydarzeń, jakie przekazały potomności kroniki Rewolucji*[163]. Historyk katolicki musi w tym miejscu dodać, że również jednym z najbardziej znamiennych.

Gdzie w czerwcu roku 1793 można było znaleźć w Paryżu lojalnego księdza, który nigdy nie zaakceptował „konstytucyjnego" kościoła i nadal podlegał Rzymowi? Rodzice Louise wiedzieli, gdzie go szukać. Utrzymywali kontakty z sulpicjaninem o nazwisku Kéravénan. We wrześniu 1792 roku, kiedy Maillard i jego wynajęci mordercy dokonali rzezi księży i zakonników, przebywał w klasztorze karmelitów, ale udało mu się ją przeżyć i później opisać w pamiętnikach. Gdy rozpoczęła się masakra duchownych, przebywał w toalecie. Zdołał wspiąć się po murze, odsunął obluzowaną deskę w suficie i wcisnął się w pustą przestrzeń pod dachem – leżał tam bez ruchu przez dwadzieścia cztery godziny. Potem zszedł na dół i uciekł. Odtąd żył w Paryżu jako banita, nieustannie przenosząc się z miejsca na miejsce, aby uniknąć zdemaskowania. Mimo to nie zaprzestał swojej posługi i gdziekolwiek przebywał, spełniał swoje obowiązki duchownego. I tak, pewnego czerwcowego dnia, w swej kryjówce na jakimś strychu, którego lokalizacji nigdy nie ujawniono, ojciec Kéravénan stanął twarzą w twarz z człowiekiem odpowiedzialnym za wydanie rozkazów, które we wrześniu ubiegłego roku powinny doprowadzić do jego zamordowania[164]. W jego pamiętnikach odnajdujemy opis, jak wówczas wyglądał Danton:

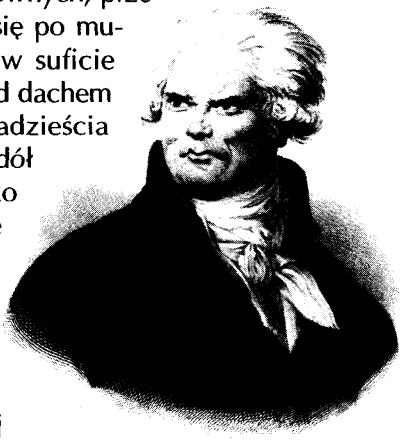

Georges-Jacques Danton

[163] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 249.

[164] Christophne, str. 371-372.

Twarz miał pokrytą bliznami po ospie. Między brwiami biegła głęboka zmarszczka, świadcząca o wybuchowym charakterze. Dobrą naturę zdradzały fałdki w kącikach ust. Miał grube wargi, wielkie zęby, dłonie niczym uliczny tragarz i przenikliwy wzrok[165].

Danton padł na kolana. – Przebacz mi ojcze, albowiem zgrzeszyłem...

Nikt na tym świecie nigdy nie dowie się, co Danton powiedział na spowiedzi ojcu Kéravénanowi. Nieliczni historycy, którzy wspominają o tym wydarzeniu, zdają się przyjmować, że Georges-Jacques po prostu stwarzał pozory, że spełnia obietnicę daną Louise. Jest to, oczywiście, możliwe. Trudno jednak uwierzyć, aby Danton kłamał lub niepoważnie traktował spowiedź składaną księdzu, którego niegdyś kazał zabić. Ostatecznym sprawdzianem wiarygodności spowiedzi jest poprawa i powrót człowieka na właściwą drogę, a te z kolei skutkują zmianą zachowania. Aby ocenić wartość spowiedzi Dantona, należy przyjrzeć się jego postępowaniu podczas tych kilku miesięcy, jakie mu jeszcze pozostały.

Teraz do kryjówki księdza weszła Louisa, razem z Dantonem wypowiedziała słowa starego katolickiego obrządku zaślubin, a ojciec Kéravénan pobłogosławił ich związek w imieniu Kościoła, który zawsze gloryfikował i chronił małżeństwo, w czym nigdy nie dorównywała i nigdy nie dorówna mu żadna inna istniejąca na świecie instytucja, społeczność ani doktryna.

Nie znamy dokładnej daty spowiedzi i ślubu Dantona z Louise, ale musiało to być w połowie miesiąca, kilka dni po podpisaniu umowy małżeńskiej z 12 czerwca. W chronologii publicznej działalności Dantona natychmiast rzuca się w oczy pewien fakt, stanowiący pierwszą przesłankę dla oceny prawdziwości spowiedzi, na którą tak nalegała Louise. 7 czerwca, czyli na tydzień przed spowiedzią, Danton przybył na spotkanie w paryskim Klubie Jakobinów, który był najważniejszym ośrodkiem planowania i działalności rewolucyjnej. Nie było go tam od dłuższego czasu, choć dotąd często w nich uczestniczył. Na kolejnym zebraniu zjawił się dopiero 4 grudnia, kiedy to podjął ogromny wysiłek, aby położyć kres Terrorowi, a jednocześnie musiał bronić się przed zarzutami Klubu.

---

[165] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 249.

Aż do 6 lipca nie był także obecny na żadnej sesji Konwentu ani na żadnym posiedzeniu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Całe te trzy tygodnie spędził z Louisą na wsi. Owe nagłe i całkowite zniknięcie było przedmiotem wielu komentarzy. 10 lipca, na wniosek Robespierre'a, Konwent zmniejszył liczbę członków Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego z szesnastu do dziewięciu i ogłosił nowe wybory jego członków. Danton nie wszedł już do ich grona. Mimo to, nie zaprotestował. Robespierre, który nieco odczekał, aby, jak to zwykle on, upewnić się, że ryzyko jest minimalne, a korzyść oczywista, 27 lipca dołączył do składu Komitetu.

W tym czasie dla Jacquesa Cathelineau nadeszła pora ostatecznych rozstrzygnięć.

9 czerwca, czyli tego samego dnia, gdy żyrondystowscy uciekinierzy i garstka ich zwolenników zaczęli gromadzić się w Caen (co ostatecznie popchnęło Charlotte Corday do podjęcia nieodwołalnego postanowienia zamordowania Marata), Katolicka i Królewska Armia po kilku wspaniałych szturmach zdobyła silnie ufortyfikowane miasto Saumur nad Loarą. Dzień albo dwa wcześniej, la Rochejaquelein zjawił się tam w przebraniu wieśniaka i rozpoznał najważniejsze punkty obrony. Katolicka Armia stale rosła w siłę, a po zwycięstwie w Saumur dołączyła do niej znaczna część wojsk garnizonu miasta, przede wszystkim zaś stacjonujący tam legion niemiecki – wielu jego żołnierzy zgłosiło się na ochotnika. Chcieli służyć pod rozkazami Stoffleta – wandejskiego dowódcy, który mówił ich ojczystym językiem. Dołączyła też do niej grupa około 120 Szwajcarów, którzy niegdyś stanowili część Gwardii Szwajcarskiej, stacjonującej w Tuileries dla ochrony króla. Żołnierzy tych wysłano do

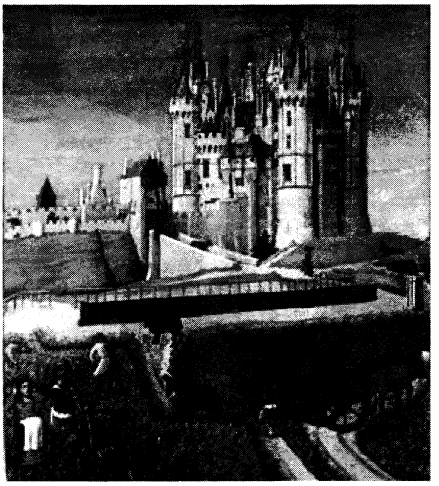

Zamek w Saumur

Normandii, dzięki czemu uniknęli rzezi 10 sierpnia, ale pamięć o tym wydarzeniu mocno utkwiła im w pamięci; walczyli przeciwko Rewolucji bezlitośnie i z wyjątkową zaciekłością.

Zwycięstwo odniesione w Saumur miało ogromny wpływ na cały pobliski obszar środkowej Francji, wykraczając daleko poza granice Bocage, gdzie rozpoczęło się wielkie katolickie powstanie. Miasta i miasteczka zaczęły poddawać się bez oporu pierwszym Wandejczykom, którzy zbliżyli się do ich murów. Saumur stanowiło doskonałą bazę wypadową, skąd Katolicka i Królewska Armia mogła wyruszyć na północny wschód w kierunku odległego o 150 mil Paryża, na północ w stronę oddalonej o niecałe 100 mil Normandii lub na północny zachód ku Bretanii. 10 czerwca Charette zajął Machecoul i uzyskał w ten sposób pełną kontrolę nad Pays de Retz, tuż obok dorzecza Loary, u ujścia której leży wielkie miasto portowe Nantes, znajdujące się wówczas w rękach rewolucjonistów. W owym czasie żyrondystowscy uciekinierzy podjęli dosyć skuteczne próby wzniecenia buntów przeciwko władzom Konwentu w Normandii (Caen i Rouen), Bordeaux (ojczystym mieście kilku ich przywódców), Lyonie i Marsylii. Mimo że współpraca pomiędzy Wandejczykami a żyrondystami nie wchodziła w grę, dawało to Katolickiej i Królewskiej Armii większe szanse na odniesienie zwycięstwa, gdyż ewentualny kontratak musiałby objąć kilka regionów kraju, a więc Rewolucja nie mogła rzucić wszystkich swych sił do zdławienia powstania na zachodzie. Wandejczycy doskonale wiedzieli, że wielu żyrondystów głosowało za zabiciem króla Ludwika XVI, a wszyscy co do jednego byli za jego detronizacją i uwięzieniem. Żyrondyści z kolei mieli świadomość, że Wandejczycy dążą do restauracji monarchii i zlikwidowania Rewolucji.

Trzeba było niezwłocznie podjąć decyzje o ogromnym znaczeniu strategicznym. Od tego mogły zależeć losy katolickiego powstania na zachodzie. Ostatecznie okazało się, że tak rzeczywiście było. Dowódcom Katolickiej i Królewskiej Armii należy się najwyższe uznanie, ponieważ natychmiast dostrzegli nadrzędną konieczność powierzenia dowództwa jednemu człowiekowi. Lescure, który leżał w łóżku i kurował się z postrzału w ramię, jaki otrzymał w czasie szturmu Saumur, ujął to następująco: *Powstanie zyskało teraz ogromnie na znaczeniu, a nasz sukces wydaje się tak bliski, że musimy wyznaczyć*

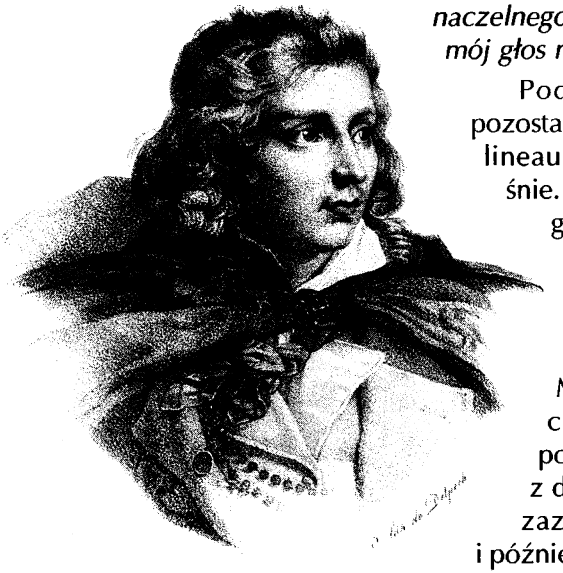

Jacques Cathelineau

naczelnego dowódcę... Oddaję mój głos na Cathelineau[166].

Podobnie postanowili pozostali przywódcy. Cathelineau wybrano jednogłośnie. Jego patent naczelnego dowódcy Katolickiej i Królewskiej Armii podpisało czternastu najważniejszych komendantów. Miał tak szlachetny charakter i skromne pochodzenie, że żaden z dowódców mu nie zazdrościł. I wówczas, i później absolutna i prostolinijna szczerość handlarza z Le Pin-en-Mauges wykluczała jakiekolwiek próby manipulacji lub spisków w łonie katolickiego powstania.

Pierwszym i najważniejszym obowiązkiem Cathelineau, jako głównodowodzącego, było ustalenie, w jakim kierunku powinna teraz ruszyć Armia i jaka będzie jej podstawowa strategia wygrania całej wojny. W umyśle Cathelineau nie powstała najmniejsza nawet wątpliwość. O zawarciu pokoju z Rewolucją nie może być mowy. Rewolucyjny rząd królobójców, póki istnieje, nie zaakceptuje wolności katolickiego zachodu Francji i w żadnym razie nie zgodzi się na restaurację monarchii. Nie mogli przecież podcinać gałęzi, na której siedzą. Rewolucja, mimo kłopotów, z jakimi się borykała, miała aż nazbyt dużo możliwości i siły, aby ich zniszczyć, jeżeli chociaż na chwilę się zatrzymają i staną przez to dogodnym celem. Cathelineau po raz kolejny potwierdził prawdziwość opinii Napoleona, który powiedział o nim, że miał najważniejszą cechę człowieka wojny: nigdy nie ustawał w wysiłkach i nie spoczywał ani na laurach zwycięstwa, ani na gruzach klęski.

[166] Rochejaquelein, str. 167.

15 czerwca Cathelineau zwołał w Saumur radę wojenną. Czas było podjąć decyzję. Stofflet i la Rochejaquelein wzywali do najśmielszego czynu, czyli natychmiastowego wyruszenia na Paryż.

– Anarchia – krzyczał la Rochejaquelein (miał na myśli wydarzenia owego strasznego dnia 10 sierpnia w Tuileries, których był przecież naocznym świadkiem) – to potwór, którego może uśmiercić wyłącznie cios w serce!

– Droga do stolicy stoi przed nami otworem. Ruszajmy na Paryż, odnajdźmy naszego małego króla i ukoronujmy go w Cholet![167] – powiedział Stofflet.

Nawet taki autorytet, jak Napoleon, komentując później wojnę w Wandei, przyznał rację Stoffletowi i la Rochejaqueleinowi:

Gdyby, wykorzystując zdumiewający sukces, Charette i Cathelineau po [zdobyciu] *Machecoul połączyli siły, aby wyruszyć na stolicę, byłby to koniec Republiki; nic nie powstrzymałoby triumfalnego pochodu Królewskiej Armii. Biała flaga załopotałaby nad Notre Dame, zanim armie Renu zdążyłyby nadciągnąć z pomocą rządowi*[168].

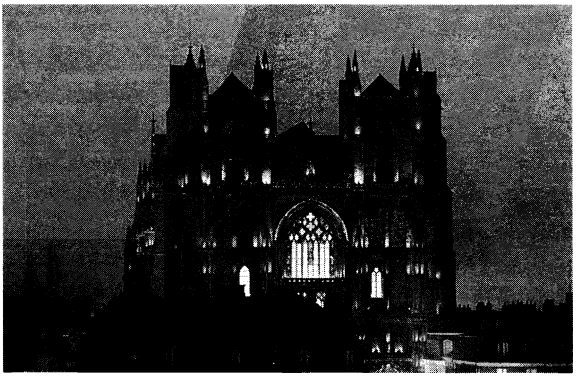

Katedra św. Piotra i Pawła w Nantes

Odmienna, lecz również śmiała i obiecująca, była propozycja Charette'a, którą poparł markiz de Donnissan – ojciec Marie-Louise Victoire, żony Lescure'a i autor znakomitych pamiętników o wojnie w Wandei. Chodziło o zaatakowanie Nantes. To portowe miasto było ostatnią dużą i dobrze bronioną twierdzą Rewolucji w zachod-

[167] Billaud, str. 69. Wszystkie tłumaczenia autora.

[168] M. de Saint Pierre, str. 132. Tłumaczenie autora.

niej części Francji. Dopóki pozostawała w jej rękach, Wandejczycy nie dysponowali żadnym portem, do którego mogłyby napływać obfite dostawy zaopatrzenia z Anglii. Edmund Burke, wiedziony niezawodnym instynktem, już rok po wybuchu Rewolucji, pojął jej sens i głosił o niej prawdę anglosaskiemu światu. Powstańcy prawdopodobnie wiedzieli, że nieustannie domaga się, aby wysłano im pomoc. Kontrolując Nantes, łatwo mogliby zawrzeć silny sojusz z katolicką Bretanią, która rozpościera się na północny zachód od granic tego miasta. Powstanie w Bretanii mogło wybuchnąć w każdej chwili: brakowało jedynie dobrej organizacji i sprawnego przywództwa. Nie ulegało wątpliwości, że prorojalistyczne sympatie są tam bardzo rozpowszechnione. Oddziały Charette'a były gotowe i stały na pozycjach. On sam pochodził z Nantes i wiedział, co należy zrobić, aby szturm na miasto się powiódł.

Ostateczna decyzja należała jednak do Cathelineau. Po raz pierwszy dały wtedy o sobie znać ograniczenia związane z jego pochodzeniem. Nigdy nie był w Paryżu. Wydawało mu się, że stolica jest bardzo daleko. Znał Nantes i wiedział, jakie ma znaczenie. Kochał i szanował Charette'a. Miał świadomość, że nawet gdyby to miało oznaczać ostateczne zwycięstwo, chłopi-żołnierze bardzo niechętnie oddaliliby się o 150 mil od domu. Argumenty za szturmem na Nantes miały swoją wagę. Postanowił więc, co następuje:

Nie możemy pójść do Paryża; to za daleko. Nie powinniśmy bezczynnie tu tkwić, to niebezpieczne. Obierzmy drogę pośrednią: pomaszerujmy na Nantes. Wyciągniemy pomocną dłoń do naszych braci w Bretanii. Atak, dobrze poprowadzony, powinien skończyć się powodzeniem: Monsieur Charette podejdzie do miasta lewym brzegiem; my nadejdziemy przeciwną stroną. A potem, jeśli Bóg pozwoli...[169]

Nie dokończył zdania, ponieważ nie był pewien, co będzie potem. Kiedy wychodził z posiedzenia rady, natknął się na rewolucyjnego generała Quétineau, którego wziął do niewoli w Thouars, a potem ponownie w Saumur. Cathelineau i jego ludzie szanowali generała za szczerość i odwagę, choć ten zdecydowanie odmówił odstąpienia od popierania Rewolucji. Quétineau powiedział: – Wasi żołnierze walczą jak lwy, wszyscy jesteście bohaterami! Ale sami przeciwko Republice nie będziecie wygrywać wiecznie. Co wtedy?

[169] *Ibid.*, 71.

Cathelineau odparł ze spokojem: – Wtedy umrzemy[170].

I tak miało się stać. Możliwe jednak, że wszystko mogło również potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby Jacques Cathelineau miał tylko trochę więcej *l'audace.*

Szturm na Nantes rozpoczął się 29 czerwca. W tygodniu letniego przesilenia noce w Europie północnej są bardzo krótkie. Charette poprowadził atak o drugiej trzydzieści rano. Ludność Nantes nadal jednak entuzjastycznie odnosiła się do rewolucji; burmistrz Baco de la Chapelle, równie dzielny jak każdy z Wandejczyków, zaprzysiągł bronić miasta do ostatniego człowieka. Dowódca obrony, Alzatczyk, generał Beysser był bezlitosnym zabójcą. Po zajęciu Machecoul, gdy tylko wziął do niewoli komendanta Souchu, natychmiast kazał go zaszlachtować siekierą (Fakt, że Souchu, w przeciwieństwie do znakomitej większości Wandejczyków, dopuścił się wielu potwornych czynów, nie usprawiedliwia takiego potraktowania bezbronnego więźnia). W konsekwencji Beysser nie miał ochoty ryzykować pojmania go przez Katolicką i Królewską Armię, był zdecydowany walczyć na śmierć i życie.

Szturm Charette'a napotkał więc na zdecydowany opór. On sam, w miarę jak mijały godziny, a świt zmienił się w czysty letni poranek, odczuwał coraz większy niepokój. Główne siły, które o piątej rano miały nadciągnąć z północy i ze wschodu i natychmiast przystąpić do ataku, nie pojawiały się. Pech chciał, że nad rzeką Erdre, na północny wschód od Nantes, w pobliżu Nort natknęły się na rewolucyjny batalion, stawiający nader zawzięty opór, którego nie udało się przełamać. Obejście go i znalezienie innego brodu zajęło całe godziny. Dywizja Bonchamps, która czekała, aż główna armia upora się z tą przeszkodą, zaatakowała dopiero o ósmej, kiedy wiedziano już, że Cathelineau wreszcie nadciąga, choć jego wojsk wciąż jeszcze nie było widać. Bonchamps nie poprowadził jednak ataku osobiście – a to z powodu dwóch ran odniesionych w kampanii wiosennej. Kiedy go zabrakło, pozostali oficerowie nie potrafili wzbudzić w żołnierzach dostatecznego zapału i szturm ugrzązł w miejscu. Na południu osamotniony Charette toczył artyleryjski pojedynek z obrońcami, ale nie mógł już wiele zdziałać. O dziesiątej nadciągnął wreszcie Cathelineau na czele świeżych sił, liczących

[170] *Ibid.*, str.72.

10 000 ludzi. Liczebność jego oddziałów dorównywała niemal garnizonowi Nantes, w którym stacjonowało 12 000 żołnierzy.

Handlarz z Le Pin-en-Mauges uniósł wysoko miecz, machnął nim i spiętrzona fala chłopskich bojowników, niczym przybój na Przylądku Horn, uderzyła w wały usypane na wzgórzach Baroin na skraju Nantes. W okopach i na szańcach ludzie walczyli wręcz; poszły w ruch bagnety, szable, długie noże i kije. Okrzyki *Vive la religion!* (Niech żyje Wiara!), *Vive le Roi!* (Niech żyje Król!) i *En avant!* (Naprzód!) mieszały się ze znanym gromkim pomrukiem *Rembarre! Rembarre!* Rewolucjoniści, niezdolni powstrzymać tak potężnego uderzenia, cofnęli się, ale nie zaprzestali walki. Burmistrz Baco, dopóki nie został ranny i wywieziony furmanką z pola bitwy, walczył jak prosty żołnierz, wzywając nantejczyków, aby nie ustawali w boju.

– Towarzysze – ryknął nieustraszony Beysser – jeśli musimy umrzeć, zginiemy chwalebnie, z bronią w rękach![171]

Antoine-Philippe de La Trémoille, książę de Talmont

Książę de Talmont – nowy uczestnik Katolickiej i Królewskiej Armii, otworzył ogień z dwóch dział. Nieustępliwy szturm ludzi z emblematami Krzyża i Najświętszego Serca otworzył im drogę do serca miasta. Ich celem był plac Viarme. Rewolucjoniści nie zaprzestali jednak walki.

Oto nadchodzi jedna z najważniejszych chwil w militarnej historii chrześcijaństwa. Gdyby Katolicka Armia 29 czerwca 1793 wygrała bitwę o Nantes, mogłaby doprowadzić do klęski Rewolucji Francuskiej, bądź to poprzez bezpośrednie skutki owej wiktorii, bądź w następstwie przekonania Cathelineau do drogi na Paryż i ostatecznego zwycięstwa. Gdyby tak się stało, następnym dwóm stuleciom historii świata zostałoby oszczędzone zauroczenie Rewolucją, a jej cień nie towarzyszyłby Europie przez dwieście lat i prawdopodobnie nie doszłoby także do rewolucji komunistycznej 1917 r., która była jej bezpośrednią spadkobierczynią.

[171] Ross, str. 164.

Historii jednak nie tworzą strategie i taktyki, broń palna i pociski ani ideologie i systemy ekonomiczne. Historię kształtują ludzie. Dlatego bywa i tak, że o tym, jakim torem będzie się ona toczyć przez sto i więcej lat, mogą zadecydować strzeleckie umiejętności pojedynczego człowieka.

W owym kulminacyjnym momencie przełomu i ostatecznych rozstrzygnięć, w samym centrum Nantes, na górnym piętrze budynku wychodzącego na plac Viarme stał nieznany snajper – jego nazwisko nie zachowało się dla potomności. Powiada się, że był nim pewien szewc z Nantes. Kiedy nacierająca gromada krzyżowców wdarła się na plac za uciekającymi rewolucjonistami, wysunął strzelbę przez okno, namierzył cel i posłał kulę w pierś Jacquesa Cathelineau.

W tamtych czasach, kiedy nie było jeszcze antyseptyków i środków znieczulających, kula w klatce piersiowej oznaczała nieuchronną śmierć, choć zwykle nie następowała ona natychmiast.

Śmierć Cathelineau

Cathelineau zalała fala bólu – cierpiał fizycznie, ale duchowo również, gdyż oddany był sprawie, o którą walczył. Choć nazbyt skromny, aby uważać się za niezastąpionego, wiedział, co może oznaczać dla nich klęska w Nantes; zdawał sobie sprawę, że może o niej zadecydować rana, którą odniósł. Dlatego krzyknął: – Zostawcie mnie! Zostawcie mnie! Czyńcie, co do was należy.

Jego ludzie nie posłuchali jednak – szturm ugrzązł w miejscu, a na placu rozległy się pełne smutku okrzyki: – Cathelineau jest ranny! Cathelineau nie żyje![172]

Dowództwo objął chwiejny i niezdecydowany d'Elbée, ale ponieważ od przerwania ataku minęło już sporo czasu, mógł jedynie wydać rozkaz do odwrotu. Sposobna chwila przeminęła. Nie zdobyli Nantes i nie pomaszerowali na Paryż.

[172] *Ibid.*

W lipcu i sierpniu Wandejczycy ograniczyli się wyłącznie do zabezpieczenia i umocnienia terytoriów, które zajęli wcześniej, oraz odpierania wypadów wojsk Rewolucji. Przez owe dwa miesiące przeprowadzili zaledwie trzy odosobnione ataki na zajmowane przez rewolucjonistów miasto Luçon w pobliżu południowej granicy Wandei. Wszystkie zakończyły się fiaskiem. W tym samym czasie w niemieckim mieście Mainz (Moguncja) wojska międzynarodowej koalicji zmusiły do kapitulacji dziesięć tysięcy najlepszych żołnierzy Republiki. Zwycięzcy nie dysponowali dużymi obozami jenieckimi, zgodnie więc z rozpowszechnionym wówczas obyczajem, wojskom garnizonu w Mainz pozwolono powrócić do Francji. Dowódcy oraz rewolucyjny rząd musieli jednak złożyć uroczystą przysięgę, że żaden ze zwolnionych oddziałów nie zostanie użyty przeciwko koalicji. W skład koalicji nie zaliczono, niestety, Katolickiej i Królewskiej Armii. Dowództwo aliantów wiedziało o niej bardzo niewiele. Armię z Mainz można więc było skierować przeciwko powstańcom. Dowodził nią Jean-Baptiste Kléber, późniejszy zastępca Napoleona w kampanii egipskiej; znakomity żołnierz, niezłomnie wytrwały, pomysłowy i przedsiębiorczy. 5 września Kléber i jego armia przybyli do Nantes.

Jean-Baptiste Kléber

Tymczasem, 14 lipca w Saint-Florent-le-Vieil umierał Cathelineau. Zmarł w tej samej miejscowości, którą zdobył 13 marca, czyli pierwszego dnia, kiedy wyruszył na wojnę za Boga, Wiarę i Króla. Tysiące ludzi klęczało na zewnątrz budynku, w którym leżał na łożu śmierci, i modliło się w jego intencji. Chociaż cierpiał straszliwie, nie krzyczał z bólu. Otrzymał ostatnie namaszczenie. Pożegnał się z żoną i dziećmi oraz niedobitkami z grupy dwudziestu mężczyzn,

którzy razem z nim wyruszyli z Le Pin-en-Magues na krucjatę. Wieczorem jego kuzyn Jean Blon wyszedł do zebranych i oznajmił: – Dobry Cathelineau oddał duszę Temu, który posłał go, by bronił Jego chwały[173].

Być może, Rewolucja Francuska rzeczywiście była złem nazbyt wielkim, aby można je było zwalczyć samą tylko bronią, nawet jeśli znajdowała się ona w dłoniach krzyżowców. Niewykluczone, że ostateczne zwycięstwo nad nią mogła odnieść wyłącznie modlitwa.

Oceniając rzecz w kategoriach doczesnego świata, męczennik poniósł klęskę, teraz przyszła kolej na zabójczynię. 9 lipca, w przeddzień usunięcia Dantona z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, Charlotte Corday wyjechała z Caen do Paryża. Nie wykupiła biletu powrotnego. Przybyła do stolicy 11 lipca i cały następny dzień poświęciła pisaniu *odezwy do francuskiego narodu.* Podkreślała w niej, że we Francji panują chaos i tyrania. Oznajmiła także, iż *ludzkość skazała Marata na śmierć, a jego krwawe uczynki stawiają go poza prawem*[174]. 13 lipca wstała o szóstej rano i poszła do sklepików na rynku Palais Royal. O siódmej rano, kiedy je otworzono, kupiła w jednym z nich kuchenny nóż z hebanowym trzonkiem i piętnastocentymetrowym ostrzem. O dziewiątej zatrzymała dorożkę i kazała się zawieźć do rezydencji Marata, która znajdowała się przy rue Cordeliers, pod numerem 30. Żona i siostra Marata nie wpuściły jej, więc przesłała mu list, w którym napisała, że ma informacje o spisku, jaki zawiązał się w Caen. O siódmej trzydzieści wieczorem wróciła pod dom Marata. Gdy przyszło do niego dwóch mężczyzn zajmujących się drukiem i kolportażem jego gazety, udało jej się wślizgnąć do środka. Ponownie poprosiła o widzenie z Maratem. Wybuchła sprzeczka, której odgłosy dotarły do Marata. Krzyknął, by ją wpuszczono. Siedział właśnie w wannie, w której codziennie moczył się kilka godzin, bezskutecznie starając się zwalczyć chorobę skóry.

Barwnie opisuje tę scenę Stanley Loomis:

Marat siedział w wannie – dziwnym przenośnym urządzeniu o kształcie podobnym do buta, o ściętym nosku i wysokim tyle. Za-

[173] Billaud, str. 81.

[174] Loomis, *Paris In the Terror,* str. 121.

krywało ono jego zwiotczałe ciało znacznie powyżej pasa. Wokół czoła miał owiniętą chustę nasączoną octem, ramiona znajdowały się poniżej krawędzi wanny. Pierś była naga. W poprzek wanny leżała długa deska, na której spoczywał kałamarz, gęsie pióro oraz kartki papieru, tutaj robił korektę i skład...

Na ścianie wisiały dwa skrzyżowane pistolety, a pod nimi ogromna płachta tektury, na której wypisano złowieszcze i znamienne słowa LA MORT [śmierć]. *Oświetlenie pokoju zapewniało pojedyncze okno, usytuowane dokładnie za wanną, wlewał się przez nie bursztynowy blask i rozświetlał ową podobną do akwarium komnatę. Scena, na której się znalazła, była bardzo odmienna od tych, jakie opisał w dramatach jej przodek Corneille*[175].

Charlotte powiedziała Maratowi to, co wcześniej napisała w liście: ma informacje o spisku zawiązanym przez żyrondystów w Caen. Marat zamierzał w kolejnym wydaniu swej gazety napisać długi artykuł o sytuacji w Normandii i działalności tamtejszych żyrondystów, których obrał sobie za cel ataku. Tak więc nalegał, aby przekazała mu wszystko, co wie. Podała mu nazwiska czterech z 22 proskrybowanych przywódców żyrondystów, którzy przebywali w Caen. Marat, skrzypiąc piórem, zapisywał je na papierze opartym o deskę leżącą w poprzek wanny. Kiedy skończył, podniósł głowę i posłał jej uśmiech godny trupiej czaszki.

– Doskonale! – powiedział. Możemy wyobrazić sobie, jak oblizuje wargi i zerka przy tym na ścianę, na ogromny afisz z napisem „ŚMIERĆ". – Za kilka dni wszyscy zostaną zgilotynowani w Paryżu[176].

Mało komu zdarzyło się umrzeć w równie odpowiedniej chwili. Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, Charlotte Corday wyciągnęła zza stanika długi nóż, wyjęła ostrze z pochwy i wbiła mu je prosto w aortę – główną arterię krwionośną, która odprowadza krew z serca. Fontanna krwi wytrysnęła w powietrze. Nie minęło pięć minut i autor wrześniowych rzezi był martwy.

W drodze do wyjścia zatrzymał Charlotte dystrybutor gazety Marata. Aresztowano ją i poddano przesłuchaniu. Przesłuchującymi byli eks-ksiądz Chabot, który 10 sierpnia 1792 r. domagał się, aby

[175] *Ibid.*, str. 128-129.

[176] *Ibid.*, str. 130.

Charlotte Corday schwytana po zamachu na Marata

rodzina królewska nie mogła schronić się w Zgromadzeniu, Legendre – rzeźnik, który bardzo „zasłużył się" we wrześniowych masakrach, oraz Drouet – były naczelnik poczty, który udaremnił ucieczkę rodziny królewskiej do Varennes w roku 1791.

Charlotte przyłapała Chabota na kradzieży jej złotego zegarka i powstrzymała go, mówiąc: – Zapomniałeś, że kapucyni ślubują ubóstwo?

Kiedy Legendre insynuował, że jego również zamierzała zabić, odparła lodowatym tonem: – Jesteś zbyt małym człowiekiem, aby być tyranem. Zabicie ciebie nie byłoby warte zachodu. Nigdy nie zamierzałam zaatakować nikogo, oprócz Marata[177].

Po północy Drouet odwiózł ją do więzienia Abbaye, gdzie rozpoczęły się wrześniowe masakry. Kiedy dotarli na miejsce, Corday powiedziała: – Spełniłam mój obowiązek. Teraz niech inni wypełnią własny[178].

---

[177] *Ibid.*, str. 133-134.

[178] *Ibid.*, str. 136.

Dzień po zabójstwie Marata, w Saint-Florent-le-Vieil umarł Cathelineau.

16 lipca odbył się tłumny i bluźnierczy pogrzeb Marata. Ogromna procesja odprowadzała do grobu wypatroszone zwłoki, śpiewając: *O serce Jezusa; O święte serce Marata!*[179] Ciało pogrzebano w ogrodzie Klubu Kordelierów. Był on odskocznią dla Rewolucji, która wyniosła Dantona do władzy. Serce Marata wyjęto i umieszczono w porfirowej urnie, którą następnie zawieszono pod sufitem Klubu. Aż do końca Terroru, każde zebranie w Klubie Kordelierów odbywało się pod sercem Marata.

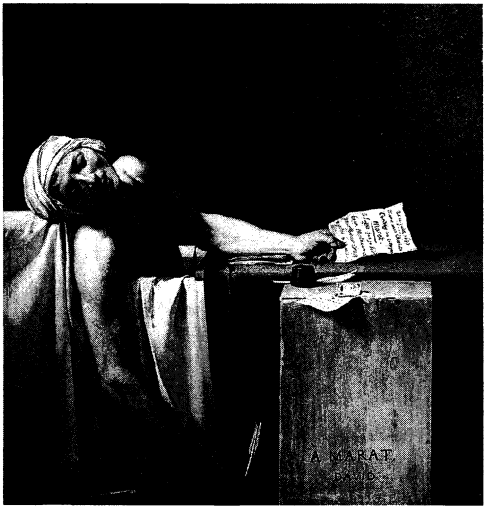

Sławny obraz Jacquesa-Louisa Davida – Śmierć Marata

17 lipca Fouquier-Tinville postawił Charlotte Corday przed Trybunałem Rewolucyjnym. Przynajmniej ten jeden raz nie było wątpliwości, że oskarżony rzeczywiście jest winny. O szóstej poprowadzono ją na gilotynę. Ani na chwilę nie straciła odwagi. Kat Sanson powiedział, że czegoś podobnego nie widział nigdy w całym okresie Terroru. Charlotte obejrzała nawet z zainteresowaniem śmiercionośną maszynę. Wszystkie relacje współczesnych jednoznacznie świadczą o tym, że każdy rewolucjonista, który miał okazję zetknąć się z nią, był speszony, wręcz zalękniony.

W upale późnego letniego popołudnia ogromne ostrze opadło na kark Charlotte Corday i odcięło jej głowę. Męczennik i zabójczyni byli martwi. Rewolucja trwała.

Pozostał jeszcze penitent. Jemu jednak w dalszym ciągu daleko było do zrozumienia, co powinien uczynić. W lipcu i sierpniu,

[179] *Ibid.*, str. 142.

przemawiał jak dawny Danton. Od 25 lipca do 7 sierpnia pełnił zwykłą, dwutygodniową kadencję przewodniczącego Konwentu. Wówczas też oświadczył: – Żądam, aby codziennie jakiś arystokrata, jakiś wróg ludu odkupił swe grzechy na gilotynie![180].

Jedna spowiedź, nawet głęboka i uczciwa oraz złożona w dramatycznych okolicznościach, niezmiernie rzadko – jeśli to w ogóle możliwe – zmienia całkowicie ludzkie życie. W tym celu potrzebna jest nieustanna modlitwa. Możemy być absolutnie pewni, że Louise Danton jej nie zaniedbywała.

Tymczasem, odkąd do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego dołączył Robespierre, instytucja ta znacznie zaktywizowała się i zdobyła przerażającą władzę.

Komitet stał się egzekutywą Rewolucji, faktycznym rządem Francji. W ciągu zaledwie jednego roku ze sławnego zielonego pokoju w Tuileries wypłynęło ponad dziesięć tysięcy dekretów. W komnacie stał duży owalny stół, nakryty zielonym obrusem, tak aby pasował do zielonych tapet. Tutaj odbywały się zebrania Komitetu, które trwały częstokroć niemal przez całą noc. Ministrowie desygnowani do tak zwanego rządu tymczasowego, rychło zostali sprowadzeni do roli sługusów Komitetu. To on 1 sierpnia podjął decyzję o wysłaniu armii Klébera do Wandei. Tego samego dnia nakazał zniszczenie grobowców królów Francji w kościele Saint Denis na przedmieściach Paryża. Wszystko, co pozostało z doczesnych szczątków Ludwika XIV, Ludwika XV, a nawet wygnanego z Anglii Jakuba II, wrzucono do wspólnej mogiły i zalano wapnem.

Inny ustęp tego samego łajdackiego dekretu odnosił się do osób żyjących: Marię Antoninę już wcześniej rozdzielono z synem, którego oddano pod opiekę szewca Antoine'a Simona, mającego go wychować na sankiulotę. Teraz nakazano odseparowanie jej od córki i szwagierki, a następnie zamknięto w pojedynczej celi ponurego więzienia Conciergerie. Rozkaz o rozdzieleniu i przeniesieniu wręczył jej 2 sierpnia o drugiej nad ranem niezrównany Hanriot. Raczej nie dziwi nas, kiedy czytamy w pamiętnikach Marii-Teresy – córki monarchy i jedynego ocalałego członka królewskiej rodziny, że *miał prostackie maniery i używał wulgarnego języka*[181].

[180] Christophne, str. 381.

[181] Furneaux, str. 140.

Kiedy Maria Antonina opuszczała Temple i schodziła po schodach, uderzyła się w głowę o niskie nadproże drzwi. Strażnik zapytał: – Zraniliście się?

Była królowa odparła: – Nie, teraz nic już nie może mnie zranić[182].

Szewc Antoine Simon „sprawujący opiekę" nad Ludwikiem XVII

Ostatnią próbą uratowania jej był tzw. Spisek Goździkowy. Staremu przyjacielowi, kawalerowi de Rougeville udało się złożyć wizytę królowej w jej celi i pozostawić liściki w dwóch kwiatach goździków. Michonis, jeden ze strażników, który miał jej pilnować, zlitował się nad nią, podobnie jak wcześniej Toulan. Postanowił zaryzykować życiem, aby pomóc królowej (Toulan i Michonis za swą wielkoduszność zapłacili cenę najwyższą – zginęli na gilotynie). Udało się przekupić dwóch strażników. 2 września o jedenastej wieczorem Michonis zjawił się w Conciergerie z fałszywymi rozkazami nakazującymi przeniesienie „wdowy Kapet" na powrót do więzienia Temple. Rougeville czekał na zewnątrz w powozie. Dwaj strażnicy otworzyli celę królowej. Ruszyli korytarzami wiodącymi do głównego wyjścia, odmykając po drodze kolejne przegradzające je furty. Byli już prawie u wrót prowadzących na zewnątrz, kiedy jeden ze strażników rozmyślił się, nie chciał iść dalej i zaprowadził Marię Antoninę z powrotem do celi. Dlaczego zaszedł aż tak daleko, jeżeli i tak nie zamierzał uwolnić królowej – tego nigdy ostatecznie nie wyjaśniono. Prawdopodobnie po prostu przestraszył się, kolejny raz dał o sobie znać wszechobecny cień gilotyny.

Trzy dni później, czyli 5 września, paryski motłoch ponownie pomaszerował na Konwent i jak zwykle na jego czele szli przedstawiciele Komuny i Klubu Jakobinów. Wykrzykiwali nowy slogan

[182] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 305.

a zarazem żądanie: *Ustanowienie terroru nakazem chwili!*[183] Dwutygodniową kadencję przewodniczącego Konwentu sprawował wówczas Robespierre. Demonstracja wprawiła go w niemałe zakłopotanie, ponieważ zdawała się rzucać wyzwanie jego oczywistemu przywództwu w Konwencie, które zaczęło się z chwilą, gdy 27 lipca został członkiem Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. W odpowiedzi na postulały demonstrantów Robespierre i Barère zobowiązali się do nasilenia Terroru. Rozbudowano skład Trybunału Rewolucyjnego i podzielono go na cztery sekcje, liczące nie jak dotychczas dziesięciu, ale szesnastu sędziów. Fouquier-Tinville'owi przydzielono pięciu zastępców.

Nazajutrz Komitet Bezpieczeństwa Publicznego zwrócił się do Konwentu o zgodę na poszerzenie liczby jego członków. Wskazał przy tym na Billaud-Varenne'a[184] i Collota d'Herbois – obaj należeli do grona najaktywniejszych organizatorów marszu poprzedniego dnia. Demonstracja ta ostatecznie posłużyła im za odskocznię, dzięki której wkręcili się do wszechwładnego Komitetu, będącego w istocie teraz najwyższą władzą Rewolucji.

Konwent zaakceptował nominowanych, ale uczynił też coś, czym zaskoczył zarówno Robespierre'a, jak i Barère'a. Do listy kandydatów dołączył jeszcze jedną osobę, której Komitet nie rekomendował i która wcale nie ubiegała się o to stanowisko – desygnował do Komitetu Dantona. Ktoś powiedział o nim, że ma *rewolucyjną głowę*[185].

Danton poderwał się z miejsca. Jak dawniej, jego wspaniały głos rozbrzmiewał w sali niczym grzmot.

– Przysięgam na wolność mego kraju, że nigdy nie przyjmę miejsca w tym Komitecie![186]

Męczennik i zabójczyni nie żyli, ale pozostał jeszcze penitent. Zbliżał się czas, kiedy Jean-Jacques Danton, tytan Francuskiej Rewolucji, niczym Frankenstein, zwróci się przeciw własnemu dziełu i zewrze w śmiertelnych zapasach z odrażającym potworem, którego sam powołał do życia.

---

[183] Palmer, str. 52.

[184] Gorliwy uczestnik wrześniowych rzezi. Patrz rozdz. II.

[185] Palmer, str. 54.

[186] Christophne, str. 387.

VII

Zniesienie chrześcijaństwa

(6 września – 30 listopada 1793)

Władzę nad Francją i Rewolucją sprawował teraz Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Robespierre'owi nie udało się jeszcze całkowicie go sobie podporządkować; jego wpływy osłabiło na pewien czas dokooptowanie Billaud-Varenne'a i Collota d'Herbois, którzy należeli do grona przywódców zamieszek z 5 września. Nazywano ich hebertystami, od nazwiska człowieka, którego powszechnie uważano za ich mentora. Był nim Jacques Hébert – mała ludzka gnida, wulgarny i niebezpieczny dziennikarz, redaktor i wydawca obscenicznego dziennika „Pére Duchesne". Hébert był synem zbankrutowanego złotnika. W czasie rozruchów 10 sierpnia 1792 r. należał do grona przywódców Komuny, był także wojującym ateistą. Ożenił się z byłą zakonnicą. Robespierre nie lubił Héberta, któremu raczej rzadko zdarzało się powoływać na „republikańską cnotę". Robespierre przeciwnie: twierdził nieustannie, że jest ona jedynym natchnieniem jego działalności. Chętnie pozbyłby się Héberta, ale w tamtym okresie nie mógł się jeszcze bez niego obyć. Machina rewolucji pędziła w zawrotnym tempie i prawie wymknęła się spod kontroli. Jesienią roku 1793 najważniejszym zadaniem, jakie stało wówczas przed Robespierre'em i jego zausznikami, było niedopuszczenie do zniszczenia sił zbrojnych i zapewnienia tym samym zwycięstwa wrogom Rewolucji. Rzecz jasna, w tym

celu gotowi byli bez zmrużenia oka poświęcić życie dowolnej ilości ofiar, a jednocześnie dążyli do tego, aby destrukcyjną potęgę rewolucji wykorzystać do realizacji własnych korzyści i celów.

Wszyscy powtarzali nieustannie, że *terror jest nakazem chwili*[187]. Aby to żądanie urzeczywistnić i sprawniej je realizować, Konwent uchwalił Ustawę o Podejrzanych. Prawo to po raz pierwszy przyznało status prawny lokalnym grupom rewolucyjnej straży obywatelskiej, znanym jako komitety bezpieczeństwa lub komitety rewolucyjne. Najaktywniejsze z nich znajdowały się w poszczególnych „sekcjach" Paryża, ale wiele działało również w miastach i departamentach na prowincji. Teraz dano im uprawnienia wydawania certyfikatów stwierdzających „dobre obywatelstwo". Osoba, która takiego zaświadczenia nie miała, automatycznie stawała się podejrzana i można ją było w każdej chwili aresztować. Inne paragrafy ustawy stwierdzały, że podejrzanym jest każdy, *kto poprzez swoje zachowanie, kontakty, a także ustne bądź pisemne wypowiedzi okazuje, że jest zwolennikiem tyranii lub federalizmu, oraz wrogiem wolności*[188] i *kto nie potrafi zadowalająco udokumentować swoich środków utrzymania lub zwolnienia z wykonywania obywatelskich obowiązków po 21 marca ubiegłego roku*[189]. Czarny humor rodem z koszmaru prezentowało stwierdzenie, że podejrzanym jest również każdy, *kto, choć nie uczynił niczego przeciwko wolności, nie uczynił też nic na jej rzecz*[190]. Lokalne komitety rewolucyjne miały decydować, kto spełnia owe mało precyzyjne, ale wyjątkowo rozległe kryteria, i przyznawać albo odma-

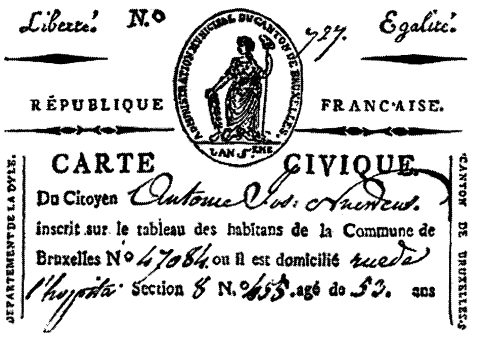
Liberté N.° 727. Egalité
RÉPUBLIQUE FRANÇAISE.
CARTE CIVIQUE.
Du Citoyen Antoine Jos. Nuwens.
inscrit sur le tableau des habitans de la Commune de Bruxelles N.° 4784 ou il est domicilié rue de Chypre. Section 8 N.° 453. agé de 53. ans
DÉPARTEMENT DE LA DYLE.
DYLE.

Karta obywatelska

[187] Slogan pospólstwa, które 5 września pomaszerowało na Konwent. Patrz: Palmer, str. 52.

[188] Palmer, str. 67.

[189] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 255.

[190] Christophne, str. 383.

wiać wystawienia certyfikatu „dobrego obywatelstwa". Otworzyło to nieograniczone możliwości dla korupcji polegającej na sprzedawaniu i kupnie owych zaświadczeń oraz zaspokajania osobistych uraz i nienawiści.

We wrześniu, w rezultacie realizacji owej ustawy, liczba więźniów w Paryżu zwiększyła się o połowę – z 1607 do 2365 osób. Do podejrzanych zaliczono o wiele większą grupę ludzi, ale w Paryżu nie było po prostu wystarczającej ilości miejsc w rozmaitych ośrodkach odosobnienia, aby zamknąć w areszcie wszystkich albo przynajmniej znaczącą większość. Collot d'Herbois, ogarnięty żądzą zdecydowanych działań wymierzonych przeciwko podejrzanym, nie mógł pogodzić się z tymi ograniczeniami, zaproponował więc, aby umieszczać ich w zaminowanych domach, a następnie zabijać, wysadzając budynek w powietrze. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego uznał jednak ten pomysł za przedwczesny. Collot żądał również, aby jako podejrzanych traktować wszystkich kupców, którzy podnoszą ceny.

Niepodzielna jedność republiki, wolność, równość, braterstwo albo śmierć

Komitet także i na to nie wyraził zgody, ale 29 września przegłosował pełną kontrolę cen i wynagrodzeń – tzw. *Maximum General*. Uchwalono wysokość cen maksymalnych na bardzo wiele towarów codziennego użytku, takich jak *świeże i solone mięso, solone ryby, masło, oliwę, wino, brandy, ocet, jabłecznik, piwo, węgiel kamienny, węgiel drzewny, świece, mydło, sól, sodę, cukier, miód, skóry, żelazo, stal, ołów, miedź, papier, wełna, oraz inne tkaniny, a także buty i tytoń*[191]. Wprowadzenie kontroli cen jest jednym

[191] Palmer, str. 69.

z pierwszych i praktycznie nieuchronnych posunięć w historii niemal wszystkich totalitarnych rządów. Mimo że żadnemu z poprzedników to się nie udało, każda nowa dyktatura żywi irracjonalne przekonanie, że jej właśnie uda się sprawić, aby ów system funkcjonował. Rzecz jasna, skutek działań, jakie podjęto we Francji w roku 1793, okazał się taki sam jak zawsze: towary, których ceny są wyznaczane przez rząd, znikają z legalnego rynku lub stają się niemal zupełnie niedostępne. Znaczna ich część wchodzi do obrotu na „czarnym rynku" i jest w dużej mierze wykupywana przez tych, którzy owe ceny wyznaczają. Ludzie ci czynią to każdy na własną rękę lub łączą się w niewielkie, zakonspirowane grupy[192]. Jak zwykle, najbardziej cierpią na tym szarzy obywatele, którzy nie mają pieniędzy na większe zakupy na czarnym rynku ani sekretnej wiedzy, jaka w wielu przypadkach niezbędna jest, aby zdobyć określone towary. Braki w zaopatrzeniu Paryża w podstawowe artykuły stały się cechą charakterystyczną rewolucyjnych rządów i sytuacja ta nie uległa zmianie jeszcze przez sześć kolejnych lat, aż do objęcia władzy przez Napoleona.

10 października Komitet Bezpieczeństwa Publicznego na wniosek Saint-Justa przypieczętował swój dyktat wobec Rewolucji, wydając dekret, w którym przedłużał wojnę na czas nieokreślony. Było oczywiste, że może ją prowadzić jak długo zechce (Saint-Just własnoręcznie odpisał na austriacką prośbę o podjęcie rokowań pokojowych. Sformułowania, jakich użył, trudno uznać za przejaw dążenia do skrócenia wojny: *Republika Francuska odwzajemnia się swoim wrogom jedyną rzeczą, którą od nich otrzymuje – ołowiem*)[193].

Trzy dni później Danton, wymawiając się chorobą, otrzymał od Konwentu krótki urlop i wrócił do swej rodzinnej osady Arcis-sur-l'Aube (Arcis nad Rzeką Świtu). Przyjaciołom oznajmił, że chce *odetchnąć z dala od bliźnich*[194]. Zabrał ze sobą tylko Louise, dwoje dzieci (które miał z Gabrielle), pokojówkę i pokojowca. W miasteczku

---

[192] Istota owego procesu pozostaje niezmiennie taka sama także i w wolnych społeczeństwach, w których podjęto próbę odgórnej regulacji cen. System ów funkcjonuje (choć nigdy naprawdę dobrze) jedynie w stosunkowo krótkich okresach, gdy ogół społeczeństwa dostrzega i uznaje, że narodowi grozi niebezpieczeństwo. Jeżeli jednak dochodzi do jego załamania, udział urzędników rządowych w czarnorynkowych machinacjach jest na ogół niższy, niż w społeczeństwach totalitarnych (przyp. aut.).

[193] Eugene N. Curtis, *Saint-Just, Colleague of Robespierre*, New York 1935, 1973), str. 154.

[194] Christophne, str. 390.

spotkał się z przyjaciółmi z dzieciństwa oraz dawnym proboszczem, który oficjalnie nie pełnił już obowiązków kapłana. Doglądał swoich czarnych klaczy i hodowli świń. Przycinał drzewa i pracował w ogrodzie. Całe popołudnia spędzał na wędkowaniu. Możemy również być pewni, że często rozmawiał z Louise, bo zawsze sprawiało mu to wyjątkową przyjemność.

Danton wyjechał z Paryża 13 października. Możemy zakładać, że przynajmniej do tamtej chwili cały czas był dobrze zorientowany w toku spraw publicznych. Wiedział o walnym zwycięstwie Katolickiej i Królewskiej Armii nad wojskami Klébera z 19 września pod Torfou w Wandei, ale nie znał, być może, wszystkich niezwykłych szczegółów tego wydarzenia.

Charette porwany przez falę wycofujących się bojowników, zdaje sobie sprawę z nadciągającej katastrofy i krzyczy: – Jeżeli mnie opuścicie, sam tutaj zwyciężę albo zginę! Ci, którzy mnie kochają, za mną!

Zapobiega nieuchronnemu pogromowi swych oddziałów, sześć kul dziurawi mu ubranie, ale żadna nawet nie muska ciała.

Lescure, dowodząc decydującym kontratakiem, woła: – Czy jest tu czterystu ludzi na tyle dzielnych, by ze mną umrzeć?

Georges Couthon

Poważnie ranny Bonchamps zeskakuje z noszy, żeby samemu poprowadzić kontruderzenie. Pułkownik Chevardin, dowodzący batalionem rewolucjonistów z Saône-et-Loire stara się za wszelką cenę utrzymać most pod Boussaye, aby ocalić armię Mainzu przed niepowstrzymanym kontrnatarciem Wandejczyków. Traci wszystkich żołnierzy i ginie razem z nimi.

Sam Kléber, później jeden z najwybitniejszych dowódców Napoleona, tak oto odpowiada przedstawicielowi Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, który wyrzuca mu, że się cofa: *Łatwo ci mó-*

wić, ale te diabły w drewnianych chodakach biją się równie dobrze jak my, a jeszcze lepiej strzelają[195].

Tuż przed wyjazdem z Paryża Danton i cały Konwent dowiedzieli się, że 9 października oddziały rewolucyjne po dwumiesięcznym oblężeniu odbiły Lyon z rąk żyrondystowskich buntowników. Całą operację nadzorował Georges Couthon, członek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, który bez wątpienia najlepiej znał surowy dekret w sprawie Lyonu, jaki uchwalono 12 października:

Miasto Lyon zostanie zniszczone. Każde domostwo bogaczy będzie zrównane z ziemią, nienaruszone pozostaną jedynie domy ubogich oraz patriotów, których sprowadzono na manowce albo wyjęto spod prawa, a także budynki przemysłowe, oraz zabytki i pomniki poświęcone sprawie ludzkości i pożytkowi społecznemu.

Nazwa „Lyon" będzie wymazana ze spisu miast Republiki... Na gruzach miasta zostanie wzniesiona kolumna upamiętniająca dla potomności zbrodnie rojalistów z Lyonu i karę, jaką im wymierzono; na kolumnie będzie umieszczona inskrypcja: „Lyon wydał wojnę Wolności. Lyon nie istnieje[196].

Prawdopodobnie Danton wiedział także i o tym, że 3 października Konwent nakazał Fouquier-Tinville'owi przygotowanie oskarżenia przeciwko Marii Antoninie, a Hébert przez kilka kolejnych dni osobiście przekonywał syna królowej, który przebywał teraz pod nadzorem szewca Simona, aby podpisał się pod dokumentem stwierdzającym, że matka nakłaniała go do sprzecznych z naturą seksualnych występków i sama również brała w nich udział. Danton utrzymywał bardzo rozległe stosunki z paryskimi rewolucjonistami, jego źródła informacji były naprawdę doskonałe, więc prawdopodobnie, a nawet niemal na pewno, doskonale wiedział, co przydarzyło się Marii Antoninie nocą, w przeddzień jego wyjazdu nad rzekę l'Aube oraz w nocy po ogłoszeniu przez Konwent dekretu o unicestwieniu Lyonu. Po zapadnięciu zmroku sprowadzono ją do dawnej Wielkiej Sali Parlamentu, gdzie za rządów Ludwika XVI mieścił się główny paryski sąd. Budynek przylegał do więzienia Conciergerie, w którym przetrzymywano królową, teraz zaś pełnił funkcję siedziby Try-

[195] Ross, str. 213-214.

[196] Palmer, str. 156.

Antoine Quentin Fouquier-Tinville

bunału Rewolucyjnego. Było to ogromne gotyckie pomieszczenie, którego posadzkę stanowiła szachownica ułożona z białego i czarnego marmuru. Krucyfiks usunięto; zastąpiło go popiersie Marata. Za stołem przesłuchań siedzieli Fouquier-Tinville i Nicolas Hermann – jeden z jego śledczych. Obaj od stóp do głów byli ubrani na czarno, nie wyłączając kokard przy kapeluszach. Za jedyne oświetlenie całej komnaty służyły dwie świece. Na sali byli obecni również inni ludzie, ale skrywał ich mrok – Maria Antonina widziała tylko Fouquier-Tinville'a, Hermanna oraz stenografa. Migotliwa poświata świec zdawała się dematerializować w czarnych strojach mężczyzn i czarnych kwadratach marmurowej posadzki. Stenograf odnotował, że królowa była „zatrwożona". Sceneria, w jakiej się znalazła, musiała kojarzyć się jej z wrotami Piekieł.

Mimo to, spokojnie i inteligentnie udzieliła odpowiedzi na wszystkie trzydzieści pięć pytań, jakie jej zadał Hermann. Nie, nie posyłała pieniędzy obcym mocarstwom. Nie, nie zmuszała ani nie nakłaniała męża do zawetowania ustaw (takie prawo, bez żadnych ograniczeń, dawała mu pierwsza konstytucja) ani wyjazdu za granicę. Nie, nie podeptała trójkolorowego symbolu. Ona i jej rodzina zawsze pragnęli tylko szczęścia Francji.

Fouquier-Tinville zaproponował jej przydzielenie adwokata z urzędu. Był nim Chauveau-Lagarde, który „bronił" Charlotte Corday. Wyraziła zgodę, po czym została odesłana do celi.

Fouquier-Tinville całą noc pracował nad aktem oskarżenia przeciwko Marii Antoninie (oczywiście, jego treść nie miała najmniej-

szego związku z zeznaniami, jakie przed nim złożyła). Oto, jego początek: *Podobnie jak Messalina*[197], *Brunhilda*[198], *Fredegunda*[199] *i Medyceusze*[200], *których imiona okryte są wieczną hańbą, ta, którą nazywano niegdyś królową Francji – Maria Antonina, wdowa po Ludwiku Kapecie, od chwili przyjazdu do Francji jest przekleństwem narodu i pijawką, która wysysa krew z francuskiego ludu*[201]. Rozwlekły elaborat Fouquier-Tinville'a zawierał nie tylko standardowe zarzuty o pomaganiu wrogom Francji, wspieraniu kontrrewolucji i zmuszaniu męża do (legalnego wszak) wetowania ustaw. Prokurator wzbogacił go o zarzut rozmyślnego doprowadzenia do wydarzeń 10 sierpnia 1792 r., poprzez *utrzymywanie Gwardii Szwajcarskiej w stanie permanentnego pijaństwa*. Dodał też, że *osobiście rozrywała zębami naboje*[202] i sama inspirowała drukowanie obelżywych pamfletów na własny temat, żeby *rozbudzać litość za granicą*[203]. W całej historii ludzkości nie zdarzyło się chyba, aby publiczny proces poprzedzający egzekucję znanej i ważnej dla kraju osoby prowadzony był atmosferze podobnej nienawiści i całkowitego absurdu. W podsumowaniu aktu oskarżenia Fouquier-Tinville stwierdzał: *Na koniec, wdowa Kapet – owa całkowicie wyzbyta moralności nowa Agrypina, której nieobca jest każda zbrodnia, okazała się do tego stopnia zboczona, że za nic mając rolę matki i granice wytyczone prawami natury, nie cofnęła się przed molestowaniem własnego dziecka i, jak wyznał nam jej syn Ludwik Karol Kapet, dopuszczała się z nim nieprzyzwoitości, na myśl i wspomnienie których włos się*

---

[197] Valeria Messalina (ok. 25-48 r n.e.) – trzecia żona rzymskiego cesarza Klaudiusza, nimfomanka znana z seksualnych ekscesów. Zabita na rozkaz męża (przyp. tłum.).

[198] Brunhilda (634-613) – znana z okrucieństwa i chciwości królowa Austrazji i Burgundii (przyp. tłum.).

[199] Fredegunda (ok. 545-597) – żona Chilperyka I, króla Neustrii; od 584 regentka w imieniu syna Chlotara II; popełniła wiele zbrodni dla zapewnienia sobie władzy, o którą rywalizowała z Brunhildą (przyp. tłum.).

[200] Medyceusze – sławny ród władców Florencji. Wydał dwie królowe Francji: Katarzynę Medycejską (żonę Henryka II), której przypisuje się wiele morderstw przeciwników politycznych, oraz Marię Medycejską (żonę Henryka IV). Z Medyceuszów wywodzili się także trzej papieże: Leon X i XI oraz Klemens VII (przyp. tłum.).

[201] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 319.

[202] W tamtych czasach żołnierz otrzymywał papierowe ładunki, w których znajdowała się odmierzona porcja prochu i kula. Trzeba go było rozerwać (najczęściej zębami), wsypać proch do lufy i umieścić w niej kulę (przyp. tłum.)

[203] Cronin, str. 386.

Maria Antonina przed Trybunałem Rewolucyjnym

jeży na głowie[204]. Nazajutrz po południu akt oskarżenia był gotów. Chauveau-Legarde otrzymał go w tym samych czasie, gdy Danton był już w drodze Arcis-sur-l'Aube.

Oczywiście, mógł to być czysty przypadek. W czasie Rewolucji Francuskiej było rzeczą naturalną, że doniosłe wydarzenia następowały jedno po drugim – wszystko rozgrywało się bardzo szybko. Wyjazd Dantona zasługuje jednak na uwagę i zastanowienie. Nastąpił nazajutrz po wydaniu dekretu w sprawie zburzenia Lyonu, nocnym przesłuchaniu Marii Antoniny i sformułowaniu aktu oskarżenia. Ostatni zawarty w nim zarzut przekraczał swoją ohydą i niegodziwością wszystko, do czego dotąd posunęła się Rewolucja. Dłuższy pobyt na wsi spowoduje, że Danton powróci na arenę wydarzeń jako głęboko odmieniony człowiek. Gdyby wiedział o wszystkich tych wydarzeniach, prawdopodobnie znacznie wcześniej podjąłby zasadnicze decyzje co do własnej przyszłości w Rewolucji.

[204] Loomis, *The Fatal Friendship*, str. 319-320.

Proces Marii Antoniny rozpoczął się nazajutrz o ósmej rano.

Trybunał orzekający w jej sprawie składał się z pięciu sędziów, starannie dobranych przez Fouquier-Tinville'a. Przewodniczył Nicolas Hermann – ten sam, który 12 października uczestniczył w nocnym przesłuchaniu królowej. Na ławie przysięgłych zasiadało dwunastu ławników. Ich również osobiście wybrał Fouquier-Tinville. Wszystkich uważano za oddanych i godnych zaufania rewolucjonistów. Jeden z nich, niejaki Trinchard, pisząc list do brata, opisał oskarżoną jako *dziką bestię, która pożarła już dużą część Republiki*[205]. Tłum im podobnych szczelnie wypełnił galerie. Mimo to, kiedy na salę weszła Maria Antonina, po całej widowni przeszedł szmer. Ludzie spodziewali się ujrzeć kobietę, jako tako podobną do królowej, którą zapamiętali. Zamiast niej zobaczyli umęczoną ofiarę, która wyglądała jak człowiek, którego poddano torturom. Była przeraźliwie chuda; nogi miała tak szczupłe, że ledwie mogła na nich ustać. Kompletnie siwa, poruszała się niczym ślepiec. Mimo to weszła do sali sądowej ze spokojem i godnością, w której niektórzy, najbardziej wrogo do niej nastawieni, nadal dopatrywali się arogancji.

Fouquier-Tinville zgromadził 41 świadków oskarżenia, ale nie miał dość czasu, aby dokładnie pouczyć każdego, co ma powiedzieć. Stąd też dziewiętnastu z nich z miejsca oświadczyło, że nic im nie wiadomo o żadnych przestępstwach, o które obwiniał ją akt oskarżenia. Pierwszy świadek, który zeznawał przeciwko Marii Antoninie opisał *uczty i orgie*, jakie miały miejsce w Wersalu. Drugi z nich powiedział, że pod jej łóżkiem w Tuileries znalazł butelki po winie, co miało dowodzić, że upijała nim szwajcarskich gwardzistów. Czwartym świadkiem był Hébert, który powtórzył na sali sądowej swoje straszne i obrzydliwe oskarżenie, dotyczące jej relacji z synem.

Maria Antonina nie zapoznała się wcześniej z aktem oskarżenia, bo w ogóle nie miała okazji go ujrzeć. Albo Fouquier-Tinville go jej nie dostarczył, albo adwokat Chauveau-Legarde, zanim pokazał królowej dokument, usunął z niego ów ostatni zarzut. Obie możliwości wydają się nieprawdopodobne, ale jedna z nich – najpewniej ta ostatnia, musi odpowiadać prawdzie. Chauveau-Legarde z pewnością nie zamierzał zaskakiwać swojej klientki; być może spodziewał się, że jej oskarżyciele w ostatniej chwili okażą choć odro-

[205] Cronin, str. 385.

Maria Antonina w celi Conciergerie

binę ludzkich uczuć i mimo wszystko nie posuną się aż tak daleko, albo zwyczajnie nie potrafił odważyć się, by jako pierwszy jej o tym powiedzieć.

Maria Antonina początkowo po prostu zaprzeczyła obrzydliwemu oskarżeniu. Kiedy jednak jeden z sędziów obstawał przy nim, wstała z miejsca i zwróciła się do całej, wrogo nastawionej galerii, gdzie zasiadało niemało paryskich wiedźm rewolucji, które w 1789 roku w czasie szturmu Wersalu, z krzykiem tłoczyły się pod szafotem, domagając się, aby natychmiast ją ścięto.

– Natura nie pozwala odpowiedzieć na podobne oskarżenie rzucone matce. Odwołuję się do wszystkich matek na tej sali[206].

Przez tę krótką chwilę, reakcja emocjonalna zebranych była jej przychylna.

Tamtego dnia rozprawa trwała piętnaście godzin. Zakończyła się o jedenastej wieczorem. Wznowiono ją nazajutrz, 15 paździer-

[206] *Ibid.*, str. 387.

nika, o godzinie dziewiątej. Był chłodny i wietrzny poranek. Padał deszcz. Pierwszy zeznawał były admirał królewskiej floty. Oświadczył, że intrygi królowej pozbawiły go awansu. Był to postępek tak nikczemny i małostkowy, iż można przypuszczać, że ów były arystokrata został do tego zmuszony groźbami, które prawdopodobnie kierowano również pod adresem jego rodziny. Zeznanie obciążające Marię Antoninę złożył także były minister wojny La Tour du Pin. Nim jednak zaczął mówić, złożył jej ceremonialny, dworski ukłon. Za to właśnie poszedł później na gilotynę.

O czwartej trzydzieści ogłoszono przerwę, a Marii Antoninie podano filiżankę zupy. W tym samym czasie w Wandei, dwieście mil na zachód od Paryża, Kléber który już otrząsnął się po klęsce, jaką miesiąc wcześniej poniósł pod Torfou, maszerował na Cholet – główną bazę oraz kwaterę dowództwa Katolickiej i Królewskiej Armii. Markiz de Lescure – człowiek, który owego fatalnego 10 sierpnia 1792 r. za wszelką cenę starał się dotrzeć do rodziny królewskiej, aby zaoferować ku jej obronie swoją szpadę, spieszy teraz z odsieczą do Cholet i w trakcie niewielkiej potyczki otrzymuje śmiertelny postrzał w głowę. Umiera jednak dopiero 4 listopada. Na wieść, jaki los spotkał królową, krzyczy: – Więc jednak zabiły ją te potwory! Walczyłem, żeby ją ocalić. Jeśli przeżyję, to po to, aby ją pomścić[207].

Również tego samego dnia, Danton i jego rodzina dotarli do Arcis-sur-l'Aube.

Sesję sądu wznowiono po zapadnięciu zmierzchu. Fouquier-Tinville osobiście przesłuchiwał świadków. Około północy, gdy wreszcie skończył, wezwał obronę, aby przedstawiła swe stanowisko. Chauveau-Lagarde, adwokat Marii Antoniny, przemawiał przez dwie godziny, wykazując, że nie istnieją żadne konkretne dowody, które przemawiają przeciwko niej. Kiedy umilkł, rozwścieczony Fouquier-Tinville kazał go aresztować. Głos zabrał teraz asystent Legarde'a, Tronson du Coudray i oświadczył, że jego klientka jest niewinna. Ledwie zdążył usiąść, aresztowano go również. O trzeciej nad ranem ława przysięgłych udała się na naradę. Maria Antonina poprosiła o szklankę wody. Od osiemnastu godzin nie jadła ani nie piła niczego z wyjątkiem filiżanki zupy, którą podano jej o czwartej

[207] Rochejaquelein, str. 313.

trzydzieści po południu. De Busne, jeden ze strażników królowej, przyniósł jej szklankę wody.

Było bardzo zimno. O czwartej przysięgli powrócili. Marię Antoninę uznano winną wszystkich zarzucanych jej czynów. Fouquier-Tinville zarządził, że zostanie stracona jeszcze tego samego dnia, a na razie będzie odesłana do Conciergerie i tam zamknięta razem z dwoma swoimi adwokatami.

Schodząc po schodach, które oświetlała jedyna zapalona świeca, królowa nagle zatrzymała się: – Już nic nie widzę. Nie mogę dalej iść – powiedziała.

Strażnik de Busne podał jej ramię. Za ten postępek oraz za to, że wcześniej przyniósł królowej trochę wody, rankiem aresztowano go na podstawie donosu innego strażnika i osadzono w Conciergerie wraz z Marią Antoniną oraz dwoma jej prawnikami. O czwartej trzydzieści napisała w celi ostatni list, adresowany do szwagierki Elżbiety. Oryginał zachował się po dziś dzień – nadal widoczne są na nim ślady jej łez:

Umieram, wyznając katolicką, apostolską i rzymską religię moich przodków, w której się wychowałam i zawsze wyznawałam. Nie mam nadziei na duchową pociechę, bo nie wiem nawet, czy są jeszcze kapłani tej religii i czy nie naraziłabym ich na jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyby tu przyszli. Szczerze

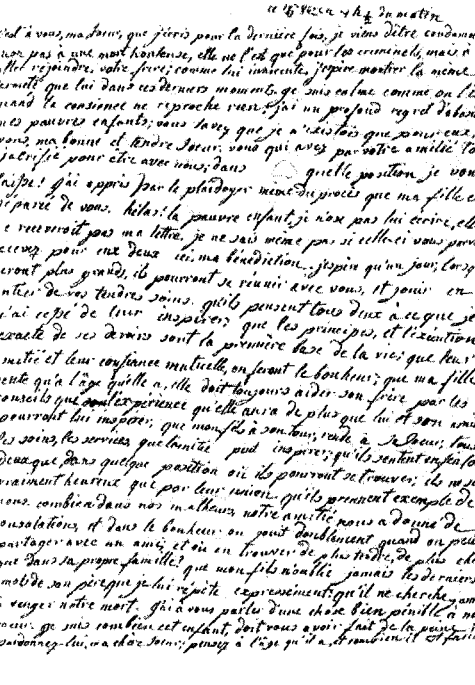

Jedna ze stron ostatniego listu Marii Antoniny

błagam Boga o wybaczenie wszelkiego zła, jakie popełniłam w życiu. Mam nadzieję, że w dobroci Swojej ogarnie mą duszę Swym miłosierdziem i łaską. Proszę o wybaczenie wszystkich, których znam, a zwłaszcza ciebie, siostro, za wszelkie cierpienie, którego bezwiednie mogłam być przyczyną. Wybaczam moim wrogom krzywdy, jakie mi wyrządzili. Przesyłam pożegnania moim ciotkom oraz wszystkim braciom i siostrom. Miałam przyjaciół. W obliczu śmierci myśl o ich żałobie i świadomość, że będę z nimi rozłączona na zawsze, należy do największych cierpień, jakie przychodzi mi znieść. Niech wiedzą przynajmniej, że myślami byłam z nimi aż do ostatniej chwili.

Żegnam moją dobrą i kochającą siostrę. Oby ten list do ciebie dotarł! Nie zapominaj o mnie. Z całego serca całuję ciebie i moje biedne, ukochane dzieci. O Boże, jakiż to ból odchodzić od nich na zawsze! Adieu! Adieu! Od tej chwili zajmę się wyłącznie sprawami mojego ducha[208].

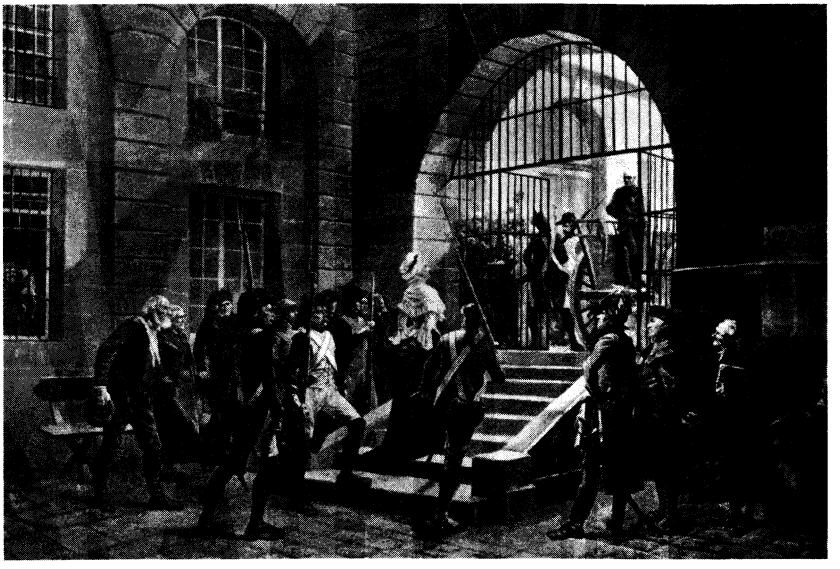

Maria Antonina w drodze na śmierć

[208] *Ibid.*, str. 332.

Królowa na szafocie

Nie pozwolono, aby Elżbieta otrzymała ten list. Strażnik pilnujący Marii Antoniny przekazał go Fouquier-Tinville'owi, a ten z kolei Robespierre'owi. Odnaleziono go w jego papierach.

Trzydzieści tysięcy ludzi przyglądało się Marii Antoninie, którą przez całą godzinę wieziono ulicami Paryża furmanką do przewozu gnoju, ciągniętą przez dwa perszerony. Towarzyszył jej ksiądz, ale nie mogła poprosić go o udzielenie ostatnich sakramentów, bo wyparł się papieża i przystąpił do kościoła stworzonego przez Rewolucję. Siwe włosy królowej obcięto pospiesznie i nierówno, aby odsłonić tylną część szyi w miejscu, gdzie spadnie ostrze gilotyny. Ręce skrępowano jej za plecami. Całą twarz, z wyjątkiem policzków, na których widniały dwa krwawe rumieńce, miała bladą jak kreda. Zaczerwienione, prawie niewidzące oczy, spuściła w dół. Na szafot jednak weszła po drewnianych schodach bez niczyjej pomocy, jakby niemal spieszyła się, żeby zakończyć to jak najszybciej. Ogromne ostrze opadło z metalicznym łoskotem.

Nazajutrz Hébert napisał w gazecie, że: *Pere Duchesne nigdy przedtem nie doświadczył równie wielkiej radości, jak wówczas, kiedy na własne oczy ujrzał głowę kobiety WETO, oddzieloną od jej*

(w tym miejscu nieprzyzwoity wyraz) *łabędziej szyi*[209]. Tego samego dnia wieczorem Robespierre, Saint-Just i Barère – trzej najważniejsi przywódcy Rewolucji (Hébertowi nigdy nie udało się „awansować" do ich grona) spotkali się na obiedzie w pewnej znanej restauracji. Był tam również niejaki Vilate, któremu zawdzięczamy opis owego spotkania i przebiegu rozmowy. Mówiono o procesie i egzekucji Marii Antoniny. Robespierre ubolewał, że Hébert niepotrzebnie przedstawił swój zarzut, ponieważ rozbudziło to w ludziach nieco sympatii i współczucia dla byłej królowej. Saint-Just był jednak w dalszym ciągu nieprzejednany: – Ów akt narodowej sprawiedliwości podniesie morale – oświadczył. Następnym tematem konwersacji byli liczni wrogowie Rewolucji, Barère zaliczył do nich także księży. Saint-Just nalegał, aby zgodnie z jego wcześniejszą propozycją, konfiskować majątek wszystkich podejrzanych.

– Statek Rewolucji nie dotrze do spokojnego portu, póki morskie fale nie poczerwienieją od krwi – skomentował jego wypowiedź Barère.

– To prawda – odparł Saint-Just. – Naród może odrodzić się tylko na zwałach trupów[210].

Owego dnia armia rewolucyjna pod dowództwem Jourdana pokonała Austriaków i Brytyjczyków pod Wattignies w Belgii. Nazajutrz, po zaciekłej i wyrównanej walce o Cholet, której szale ważyły się przez cały dzień i dużą część nocy, Kléber wziął wreszcie odwet za porażkę w Torfou. W trakcie bitwy polegli lub zostali ranni najważniejsi dowódcy, a w nocy Katolicka i Królewska Armia została ostatecznie zamknięta w pułapce i wybita śmiercionośnymi salwami kartaczy. Głównodowodzący d'Elbée otrzymał ciężki postrzał, a bohaterski markiz de Bonchamps został śmiertelnie ranny w brzuch. Wandea padła. Rochejaquelein robił co w jego mocy, aby osłonić odwrót. Dowodzenie przejął markiz Donnissan, teść Lescure'a i ojciec Marie-Louise Victoire. Następnego dnia sto tysięcy Wandejczyków – mężczyzn, kobiet i dzieci – zaczęło przeprawiać się przez Loarę. Uciekali przed armią, która ich pokonała. Chcieli ukryć się gdzieś w północnej Francji. Czynili to jednak w nieładzie, nie wie-

[209] Cronin, str. 392.

[210] Curtis, str. 235-236.

dząc, dokąd zmierzają i co zrobią, kiedy tam dotrą. Katolicka i Królewska Armia miała sześć tysięcy jeńców, którzy w dalszym ciągu przebywali w niewoli. Proponowano, aby ich wszystkich wyrżnąć. Usłyszał to umierający Bonchamps i wydał ostatni rozkaz:

Towarzysze, do dzisiaj, do mego ostatniego dnia, zawsze byliście mi posłuszni. Jako wasz dowódca rozkazuję wam darować życie moim więźniom. Jeżeli rozkazy umierającego dowódcy nie mają już dla was żadnego znaczenia, błagam was oto w imieniu ludzkości i w imieniu Boga, dla którego walczycie, abyście oszczędzili ich życie. Towarzysze, jeżeli zlekceważycie moje rozkazy i modlitwy, oświadczam, że sam stanę pośród nich i pierwsze wystrzelone przez was kule uderzą we mnie[211].

Sześć tysięcy jeńców pozostało przy życiu, a Bonchamps zmarł. Przyjął wiatyk od kapelana armii i rzekł: – Ufam boskiemu miłosierdziu. Nigdy nie walczyłem o zwykłą ludzką chwałę. Jeśli nawet nie było mi dane przywrócić ołtarzy i tronu, to jednak stawałem przecież w ich obronie. Służyłem mojemu Bogu, królowi i krajowi[212].

Grobowiec Charlesa Bonchampsa w St. Florent

Zaledwie tydzień później Konwent po długotrwałych obradach, które ciągnęły się przez niemal cały październik, ogłosił zniesienie ery chrześcijańskiej. Kolejne lata nie będą liczone od chwili Narodzin naszego Pana i Zbawcy Jezusa Chrystusa. Nie będzie się już obchodziło chrześcijańskich świąt, znosi się nawet upamiętniające je dni. Zmienia się nazwy miesięcy i zastępuje nowymi, które w żaden sposób

[211] Ross, str. 228.

[212] Billaud, str. 129. Tłumaczenie autora.

nie nawiązują do nazw używanych wcześniej. Zmienia się również tygodnie: odtąd nie składają się one z siedmiu, ale dziesięciu dni. Niedziela zostaje zlikwidowana, dniem odpoczynku będzie *decadi*, czyli dziesiąty dzień każdego tygodnia. Nowa era rewolucyjna liczona jest od 22 września 1792 roku, czyli daty zniesienia monarchii. Rok, w którym rozegrało się owo wydarzenie jest Pierwszym Rokiem Wolności, teraz zaś mamy Rok Drugi. Tym samym dokonywało się oficjalne zniesienie chrześcijaństwa.

Aby jednak ów proces mógł dobiec końca, należało jeszcze załatwić ostatnią ważną społecznie sprawę, która jak dotąd pozostawała w zawieszeniu. Żyrondystowskich przywódców aresztowano w czasie czystki z początku czerwca i od tamtej pory przetrzymywano w areszcie. Teraz nadeszła pora, by podzielili los Marii Antoniny. Niegdyś czynili wiele, żeby ją zniszczyć, ale ich również czekała gilotyna.

Proces rozpoczął się 24 października – dokładnie w tym samym dniu, kiedy oficjalnie zniesiono we Francji erę chrześcijańską (W ich przypadku nie miało to jednak specjalnego znaczenia, bo znakomita większość już dawno wyparła się wiary katolickiej, w której

Żyrondyści ukrywający się w lesie

się wychowali. Wyjątek stanowił jedynie były ksiądz Claude Fauchet, który w obliczu rychłego Sądu powrócił do dawnej wiary). Grupa oskarżonych liczyła dwadzieścia jeden osób. Byli wśród nich Vergniaud i Brissot. Obrony podjął się nieustraszony Chauveau-Legarde. Fouquier-Tinville, gdy jego wściekłość nieco osłabła, nakazał wypuścić adwokata z Conciergerie. Ponieważ wielu oskarżonych było prawnikami i znakomitymi mówcami, teoretycznie istniała możliwość, że niektórym uda się wymknąć spod ostrza gilotyny. Mimo to nic nie wskazuje na to, aby którykolwiek z nich rzeczywiście miał taką szansę.

Proces odbywał się w tym samym ponurym pomieszczeniu Pałacu Sprawiedliwości, w którym przesłuchiwano Marię Antoninę i gdzie orzeczono, że jest winna. Sesje Trybunału Rewolucyjnego, któremu i tym razem przewodniczył Hermann, odbywały się również w nocy, ale mimo to nie uczyniono niczego, aby poprawić oświetlenie sali. Fouquier-Tinville był obecny na każdym posiedzeniu. Wiele relacji z tamtych czasów wspomina o jego makabrycznych i nieprzyzwoitych żartach wobec oskarżonych. Nie zaniedbał żadnej okazji, aby codziennie poinformować ich, ilu ludzi zostanie straconych nazajutrz. Starannie dobrano ławę przysięgłych: jej przewodniczącym został arystokrata, niegdysiejszy markiz d'Antonelle, który z racji pochodzenia czuł się w obowiązku nieustannie dowodzić swej lojalności wobec Rewolucji i robił wszystko, co nakazywali mu jej przywódcy. W mieście ponownie spuszczono ze smyczy odpowiednio poinstruowanego Hanriota. Na ulicach wokół Pałacu Sprawiedliwości roiło się od członków Gwardii Narodowej, dział oraz pieszych i konnych w jarmarcznych uniformach, którzy włóczyli się po okolicy wymachując szablami.

Chauveau-Lagarde zaczął od wykazania, że ani jemu, ani nikomu z oskarżonych nie pokazano dotąd żadnego dokumentu, który mógłby posłużyć jako dowód przeciwko nim. Przekazano im jedynie sam akt oskarżenia. Fouquier-Tinville odparł z niezmąconym spokojem, że kilka z tych dokumentów *jeszcze nie dotarło*, pozostałe natomiast *nadal pozostają w zamknięciu*. Proces ma toczyć się zgodnie z planem. Obrona zapozna się z dokumentacją we właściwym czasie. Gazeta Robespierre'a napisała nazajutrz: *Trybunał ten (...) nie szuka winnych. Wolałby, żeby wszyscy oskarżeni okazali się niewinni. Zapewnia im wszelkie możliwości usprawiedliwienia się*[213].

[213] Bowers, str. 466, 470.

Świadkami oskarżenia byli ateista Hebert, Pierre Chaumette (człowiek wyjątkowo wrogo nastawiony do katolicyzmu, który otwarcie bronił wrześniowych rzezi oraz dowodził majowym atakiem pospólstwa na Konwent, co doprowadziło do czystki i aresztowania żyrondystów) oraz ekskomunikowany kapłan Chabot (Widząc go dumnie wkraczającego do sali, oskarżony Ducas zauważył: *Teraz diabeł wygłosi nam tutaj kazanie*)[214].

Drugiego dnia procesu Chaumette zaatakował Vergniauda za jego najprzyzwoitszy postępek w czasie Rewolucji, czyli za obietnicę ochrony daną królowi i jego rodzinie w imieniu Legislatywy 10 sierpnia 1792 roku, której wszak nie dotrzymał. Kiedy obwiniał Vergniauda za próbę okazania miłosierdzia, na dużej i płaskiej twarzy Chaumette'a, którą wieńczyła burza nieporządnie przyczesanych włosów, nie było najmniejszego śladu ludzkich uczuć. – Okazywanie smutku w tamtych okolicznościach było aż nadto dostatecznym dowodem, że jest się przestępcą – oświadczył[215].

Piątego dnia rozprawy (28 października według kalendarza chrześcijańskiego, a 7 Brumaire'a wedle kalendarza Rewolucji) jedyna rzeczywista umiejętność oskarżonych, czyli imponujące siłą przekonywania krasomówstwo plus oczywista stronniczość sędziów zaowocowały negatywnymi dla terrorystów reakcjami ludzi, które pojawiły się nawet wśród ich najwierniejszych stronników zasiadających na galerii. Fouquier-Tinville natychmiast wyczuł zmianę atmosfery. Wystosował pismo do Konwentu, w którym prosił zgromadzenie o odebranie obronie prawa głosu. Ów list zachował się i stanowi doskonałe świadectwo totalitarnej niesprawiedliwości, której najgorsze i najbardziej odrażające przejawy nie są też obce naszym czasom:

Nasza praca napotyka na przeszkody w postaci procedur wymaganych przez prawo. Proces deputowanych, których oskarżyliście, rozpoczął się pięć dni temu, a przesłuchano dotąd tylko dziewięciu świadków (...) Czy musimy mieć świadków? Tych ludzi oskarża Konwent, czyli cała Francja. Dowody ich zbrodni są oczywiste i wszyscy są przekonani o ich winie. Trybunał samoistnie nie może przedsiębrać żadnych kroków – zobligowany jest do przestrzegania prawa,

[214] *Ibid.*, str. 467.

[215] *Ibid.*, str. 471.

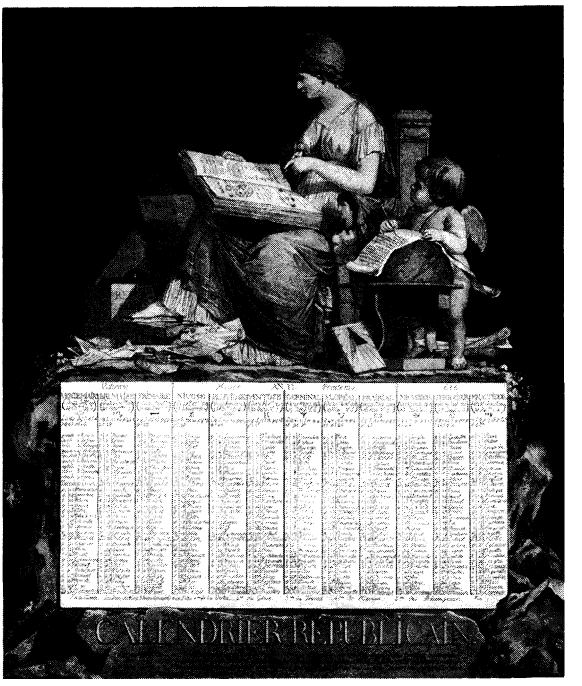

Kalendarz republikański, z nowymi nazwami miesięcy i dziesięciodniowymi tygodniami

w mocy Konwentu leży zniesienie wszelkich formalności, które utrudniają mu [Trybunałowi] *pracę*[216].

Nazajutrz, Fouquier-Tinville'owi wtórowała gazeta Robespierre'a „Antyfederalista":

Czy Trybunał Rewolucyjny ma przestrzegać procedur dobrych dla zwyczajnych sądów? Czy aby osądzić oskarżonych, nie wystarczy sam akt oskarżenia? Czyż nie zawiera on prawdziwej historii spisku i zbrodni popełnionych przez jego przywódców? Czyż łańcuch dowodów przeciwko nim nie jest dla przysięgłych wystarczająco przekonujący? Sposób, w jaki sądzi się oskarżonych, jest szkodliwy dla narodu (...) Dlaczego przysięgli nie mogą, kiedy uznają to za stosowne, zawiadomić sędziów, że wyrobili już sobie własne zdanie? Dlaczego owo prawo nie zostało uwzględnione w dekrecie ustanawiającym Trybunał? Dzielni kordelierzy, od was należy uchwalenie owej zbawiennej ustawy[217].

Uchwalono ją jeszcze tego samego dnia. Odręczny szkic ostatecznej wersji dekretu zachował się po dziś dzień. Pisany był ręką Robespierre'a.

---

[216] *Ibid.*, str.481.

[217] *Ibid.*, 482-483.

Jeżeli rozpatrzenie sprawy przed Trybunałem Rewolucyjnym przeciąga się do trzech dni, przewodniczący otwiera kolejną sesję, pytając członków ławy przysięgłych, czy zgodnie ze swym sumieniem uważają sprawę za wyjaśnioną. Jeżeli przysięgli odpowiadają „tak", przewodniczący natychmiast przystępuje do wydania wyroku. Przewodniczący nie będzie tolerował żadnych interpelacji ani incydentów sprzecznych z postanowieniami niniejszego dekretu[218].

Następnego dnia, czyli 30 października, kiedy o dziewiątej rano sąd wznowił posiedzenie, Fouquier-Tinville odczytał dekret przysięgłym i zapytał, czy zgodnie ze swym sumieniem uważają sprawę za wyjaśnioną. Przewodniczący ławy przysięgłych, eks-markiz d'Antonelle, oświadczył, że życzą sobie dalszych wyjaśnień. Dostarczono je im pod postacią „zeznań" złożonych przed prokuratorem, które były po prostu zbiorem jadowitych przemówień potępiających oskarżonych. O czternastej ogłoszono przerwę, o szóstej Trybunał zebrał się ponownie, a d'Antonelle ogłosił, że mimo iż żaden z oskarżonych nie dał ławie okazji wysłuchania prawdziwego zeznania, bo zamiast tego wygłaszali jedynie przemówienia mające zdyskredytować świadectwa oskarżenia, które nie stanowiły jednak podsumowania ich stanowiska ani oświadczenia o winie lub niewinności, ława przysięgłych zgodnie ze swoim sumieniem uważa sprawę za wyjaśnioną. O dwudziestej drugiej trzydzieści, w mrokach nocy rozświetlanych chybotliwymi płomykami świec, przysięgli powrócili na salę. Każdego z oskarżonych uznano winnym wszystkich postawionych zarzutów. Hermann zapytał ich, czy mają coś do powiedzenia.

Komitet Rewolucyjny

[218] *Ibid.*, str. 485.

Mieli, i to aż nadto. Na sali wybuchło istne pandemonium, bo większość żyrondystów przekrzykiwała się nawzajem. Niektórzy z nich rzucali w tłum swoje notatki, brudnopisy zeznań i przemówień przygotowanych na swoją obronę. Tylko Vergniaud zachował milczenie i kamienny spokój. Jako chłodny realista i najinteligentniejszy ze wszystkich oskarżonych, wiedział od dawna, że nic nie jest w stanie uchronić ich przed gilotyną. Tuż obok niego siedział Valaze – jego paryski dom był jednym z pierwszych miejsc, gdzie spotykali się żyrondyści. Nagle wyciągnął sztylet i wbił go sobie w serce. Vergniaud w te oto słowa zwrócił się do jednego z oskarżonych, który był lekarzem: – Doktorze, proszę złożyć ofiarę z koguta Eskulapowi, jeden z pana pacjentów jest już wyleczony[219].

Claude Fauchet

Wezwano innych lekarzy, którzy oznajmili, że Valaze nie żyje. Fouquier-Tinville domagał się, aby zwłoki tak czy owak posłano na gilotynę i obcięto im głowę podobnie jak pozostałym żyrondystom. Nawet Hermann zaprotestował przeciwko temu żądaniu. Ostatecznie przewodniczący i prokurator zgodzili się na kompromis. Ciało posłano na gilotynę, ale nie dekapitowano go. Dopiero kiedy skazańców ścięto, pochowano je razem z ich okaleczonymi zwłokami.

Pozostali przywódcy żyrondystów pomaszerowali na gilotynę z Marsylianką na ustach. Do ostatniej chwili nie odczuwali skruchy za swoje słowa i czyny. Jedynym wyjątkiem spośród nich był Fauchet. Vergniaud i Brissot kategorycznie odmówili spowiedzi i ostatniego namaszczenia. Warkot bębnów zagłuszył ich ostatnie próby przemówienia do zgromadzonych.

[219] *Ibid.*, str. 490.

W okolicach Acris-sur-l'Aube, w cichych polach i lasach panował przyjemny chłód, pod stopami szeleściły opadające jesienne liście. 2 listopada, kiedy Danton przechadzał się w towarzystwie sąsiada i przyjaciela o nazwisku Doulet, jakiś mężczyzna zaczął biec w ich kierunku wymachując gazetą i krzycząc: – Dobre nowiny! Żyrondyści skazani i straceni!

W oczach Dantona pojawiły się łzy i ryknął grzmiącym, stentorowym głosem, który niegdyś przewodził Rewolucji: – To nazywasz dobrymi nowinami, nędzniku? Cóż to za dobre nowiny, że część żyrondystów nie żyje?

– No – ośmielił się odpowiedzieć ów człek – przecież byli frakcjonistami, czyż nie?

– Frakcjonistami! – wrzasnął Danton. – A czy my wszyscy nie jesteśmy frakcjonistami? Skoro żyrondyści zasłużyli na śmierć, to i my także. I tak właśnie będzie, taki sam los spotka po kolei każdego z nas[220].

8 listopada stracono madame Roland. Nie pozwolono jej wypowiedzieć ani jednego słowa we własnej obronie. Zbliżając się do szafotu, zauważyła, że blisko gilotyny stoi posąg Wolności i powiedziała: – O Wolności, ileż zbrodni popełnia się w twoim imieniu![221]

Jej mąż ukrywał się wtedy w zaułkach Rouen, na wieść o jej egzekucji natychmiast popełnił samobójstwo.

Poprzedniego dnia hebertyści przyprowadzili do Konwentu „konstytucyjnego" arcybiskupa Paryża Jean-Baptiste Gobela, księdza z Alzacji, który na samym początku Rewolucji był jednym z duchownych deputowanych do Stanów Generalnych. Traktowali go niczym swoiste łowieckie trofeum; szedł w otoczeniu procesji przedrzeźniających go i naśmiewających się z niego młodzików, ubranych w zrabowane szaty liturgiczne, którzy popijali tanie wino z ukradzionych kielichów mszalnych.

Gobel zjawił się w Konwencie, aby oświadczyć, że nie będzie już dłużej wypełniał swoich kapłańskich obowiązków. Odmówił, co prawda, wyparcia się religii, ale nie zaprotestował, gdy Laloi,

---

[220] Christophne, str. 391-392.

[221] Madelin, str 372.

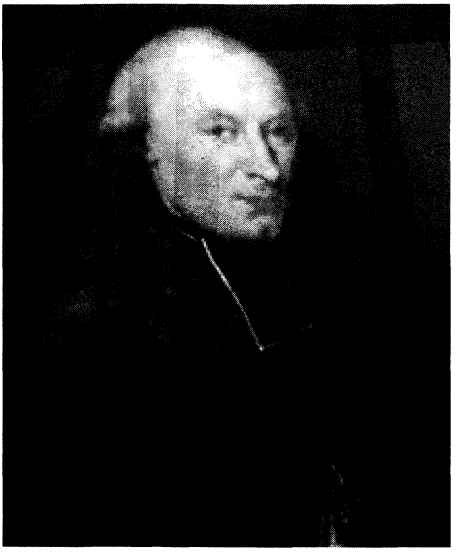

Jean-Baptiste Joseph Gobel

który przewodniczył obradom, oznajmił, że ponieważ Najwyższa Istota *nie życzy sobie, aby oddawać jej cześć inaczej niż poprzez kult Rozumu, w przyszłości powinien on stać się religią narodową*[222]. Gobel zdjął sutannę, założył czerwoną czapkę wolności i oddał Konwentowi biskupi krzyż oraz pierścień (do którego nie miał w Kościele katolickim żadnego prawa, ponieważ był schizmatykiem). Za jego przykładem poszli trzej zastraszeni biskupi, liczni księża, a nawet kilku protestanckich duchownych – wszyscy ochoczo zapierali się chrześcijaństwa i kapłańskiego powołania.

10 listopada (20 Brumaire'a) przypadał w niedzielę. Komuna Paryża, przychylając się do nalegań Chaumette'a uchwaliła, że obchody święta Rozumu odbędą się *przed wizerunkiem bóstwa w gmachu, który niegdyś był głównym kościołem metropolii*[223]. Chodziło o katedrę Notre Dame. Sformułowania użyte w dekrecie były jednoznaczne i wskazywały wyraźnie, że celem rewolucjonistów jest zniesienia chrześcijaństwa. Jeżeli katedra Notre Dame, która od wieków była symbolem francuskiego katolicyzmu, nagle przestała już być kościołem, czymże się stała? Otóż stała się ona „Świątynią Rozumu", a bluźniercze uroczystości zaplanowane na 10 listopada, miały upamiętnić tę transformację.

W nawie głównej przepięknej i wyświęconej budowli, skąpanej w łagodnym połyskującym świetle, które od wieków szczególnie przyciąga uwagę i zapada w pamięć niemal wszystkim odwiedzającym, robotnicy Rewolucji w ciągu dwóch tygodni wznieśli dziwną

[222] *Ibid.*, str. 388.

[223] *Ibid.*, str. 388.

kanciastą konstrukcję z drewna i tektury, która w zamierzeniu miała wyobrażać górę. Na jej szczycie ustawiono niewielki model greckiej świątyni poświęconej „filozofii". Migotliwe płomienie pochodni rzucały refleksy i cienie na popiersia Woltera, Rousseau i Beniamina Franklina.

Na zewnątrz znowu padało, trwała bardzo deszczowa jesień. O dziesiątej rano w strugach deszczu wyruszyła procesja oficjeli, muzyków, śpiewaków i aktorów. Ludzie zebrali się na chodnikach wzdłuż trasy przemarszu, ale tłum zdawał się o wiele mniejszy, niż oczekiwali organizatorzy „święta". Nie przybyła nań nawet żadna oficjalna reprezentacja Konwentu. Jedna z aktorek, mademoiselle Aubry, grała boginię Rozumu. Ubrana w trójkolorową szatę wspięła się na „górę" i kiedy stanęła na jej szczycie przy replice greckiej świątyni, tłum zareagował oklaskami[224].

Tuż po trzeciej po południu procesja bluźnierców ruszyła spod Notre Dame do niedalekiej siedziby Konwentu w Tuileries. Chabot zaproponował, aby katedrę oficjalnie przemianować na Świątynię Rozumu. Wniosek uchwalono. Przewodniczący Laloi najpierw patetycznie uściskał Gobela, a zaraz po nim mademoiselle Aubry. Część deputowanych udała się do Notre Dame, gdzie powtórzono poranne „obrzędy" na „górze".

Nazajutrz jeszcze większa liczba „konstytucyjnych" księży wyrzekła się sakramentu kapłaństwa, wiele kościołów oficjalnie zamknięto, a paryska sekcja Praw Człowieka[225] formalnie odrzuciła wiarę katolicką i nakazała zaprzestanie jej praktykowania na zarządzanym przez siebie terenie. 12 listopada Chaumette przeforsował w Konwencie dekret o zniszczeniu posągów z portali Notre Dame, ale kiedy przyszło do jego realizacji, cofnęli się przed tym nawet rewolucjoniści. Koniec końców ustalono kompromis i pozakrywano je drew-

[224] Pierre de la Gorce, *Historie religieuse de la Revolution*, Paris 1912-23), New York 1969, t. III, str. 98-100. Wydarzenia te zniekształciła legenda, ale są one na tyle wymowne, że żadnego poprawiania nie wymagają. Mademoiselle Aubry, cokolwiek by powiedzieć o jej osobistym poczuciu moralności, ani nie była naga, ani nie była prostytutką. Nie weszła też na wysoki ołtarz, a tylko na nowo wybudowaną „górę". W rzeczywistości, rewolucjoniści starannie omijali i ołtarz i prezbiterium. Być może, katedra Notre Dame nadal znajdowała się pod opieką Matki Bożej, której została poświęcona.

[225] Chodzi o Towarzystwo Przyjaciół Praw Człowieka, które zawiązał Danton i jego zwolennicy (przyp. tłum.).

Pierre Gaspard Chaumette

nem. 14 listopada Konwent uchwalił deifikację Marata i Rozumu. Trudno wyobrazić sobie bardziej niedobraną parę.

Następnego dnia pięć kolejnych Sekcji odrzuciło katolicyzm i nakazało pozamykać na stałe wszystkie kościoły znajdujące się na ich terytorium. Sekcja Montmartre, której nazwa wywodziła się od jednej z najbardziej poważanych świątyń, przemianowała się na Mont-Marat.

W tym samym tygodniu w wielu częściach Francji postępował intensywny proces dechrystianizacji. Dwaj deputowani Konwentu, którzy przebywali w Alzacji, zakazali w Strasburgu wszelkich katolickich praktyk. W podbitym Lyonie odbyły się uroczystości ku czci poległego rewolucyjnego przywódcy Chaliera. W czasie ich trwania spalono Ewangelię i krucyfiks, osioł pił z mszalnego kielicha, a konsekrowane hostie wdeptano w ziemię. Najsławniejsze katedry Francji w Chartres, Reims, Metzu, Bordeaux i Tours potraktowano identycznie jak paryską Notre Dame.

W niedzielę 17 listopada, tydzień po przekształceniu Notre Dame w „Świątynię Rozumu" Komuna Paryża zakazała w stolicy religijnych pogrzebów. Większość paryskich kościołów zdążono już zamknąć. Hanriot w otoczeniu zbrojnych wygnał wiernych z kościoła Saint-Gervais i oddał go we władanie pospólstwa, na pijatykę i tańce, które przeciągnęły się do późna w nocy. Wkrótce potem zamieniono go na Świątynię Młodości. W kościele Saint-Nicolas-du-Chardonnet – jednym z nielicznych, które pozostały otwarte, przez cały dzień gromadziły się tłumy, aby wziąć udział w mszy. Po południu część zgromadzonych wezwała do wystosowania petycji do Konwentu, aby zezwolił katolikom na stałe i nieskrępowane speł-

Obraz symbolizujący kult Najwyższej Istoty

nianie praktyk religijnych. Nie minęła godzina, a miejscowy komitet rewolucyjny zamknął świątynię.

Tamtej niedzieli w Arcis-sur-l'Aube Danton, Louise i kilkoro przyjaciół kończyli właśnie wspólny obiad, kiedy zobaczyli, że przez okoliczne laski pędzi galopem jakiś jeździec. Zatrzymał się przed ich drzwiami. Danton rozpoznał w nim swego bratanka Mergeza. Okazało się, że przyjechał prosto z Paryża. Chciał rozmówić się ze stryjem w cztery oczy. Danton nakazał mu, aby bez wahania powiedział wszystko w obecności jego żony i przyjaciół.

– Fabre i Desmoulins chcą, żebyś wracał teraz, najszybciej jak się da. Robespierre i jego zwolennicy za wszelką cenę chcą cię dopaść.

– Chcesz powiedzieć, że chcą mojej głowy? Nigdy się nie ośmielą.

– Nie bądź taki pewny. Wracaj ze mną, nie ma chwili do stracenia.

Danton podniósł nieco swój potężny głos, jakby już stał na trybunie i odparł: – Wracaj i powiedz Robespierre'owi, że wrócę na tyle wcześnie, żeby go zmiażdżyć, a razem z nim jego zauszników![226]

Nie spieszył się. Ów człowiek, tak impulsywny i skory do nieprzemyślanych słów oraz czynów, był teraz o wiele bardziej skłonny do refleksji i starannie zaplanowanych działań. Przemyślał to, co mu powiedział bratanek, przemyślał również odpowiedź, jakiej mu udzielił. Czy radził się w tej sprawie Louise? Wydaje się to bardzo prawdopodobne. Wiele dalibyśmy za to, aby dysponować naj-

[226] Christophne, str. 394.

mniejszą choćby wskazówką, jak przebiegała ich rozmowa. Wiedział, że stanął w obliczu zagrożenia – wszak wyraźnie go przed nim ostrzeżono. Danton miał jednak prawdziwie lwie serce. Nigdy nie cofał się przed niebezpieczeństwem. Niektórym zapewne wydawało się dziwne, że w takiej sytuacji zabrał Louise do Paryża, ale świadczy to jedynie o tym, że nie rozumieli ani Dantona, ani Louise. Od ślubu byli nierozłączni. Nie miał żadnej możliwości, aby utrzymać żonę z dala od siebie, chyba że zdecydowałby się ją uwięzić.

Danton nie był ani głupcem, ani ryzykantem. Nikt lepiej od niego nie znał mechanizmów rewolucji – sam wszak uczynił najwięcej, by ją wywołać. Mamy uzasadnione powody przypuszczać, że do chwili, kiedy dostrzegł pędzącego wśród topól Mergeza, który miał mu przekazać wieści z Paryża, żywił wątłą nadzieję, że uda mu się jakoś wycofać z aktywnego uczestniczenia w Rewolucji, zejść z areny i tym samym ocalić głowę. Teraz jednak wiedział już, że to niemożliwe i zapewne dziwił się, jak w ogóle mógł kiedykolwiek myśleć, iż jest inaczej. Nadszedł czas podejmowania ostatecznych decyzji. Miał trzy podstawowe możliwości: 1) dołączyć do Rewolucji sterowanej przez obecne przywództwo z nadzieją, że pozostając w jej ścisłym kierownictwie, uda się ją skierować na inne tory; 2) uciekać z kraju i stać się, jak Lafayette, kolejnym émigré; 3) wyzwać bestię na pojedynek i stanąć z nią do walki na śmierć i życie. W ciągu dwudziestu czterech godzin skupienia, jakie upłynęły od momentu wizyty Mergeza do chwili wyjazdu do Paryża, Danton musiał rozważyć istotę wszystkich trzech opcji, ich konsekwencje i możliwe warianty. Duma i ambicja skłaniały go ku pierwszej możliwości; miłość do rodziny, życia i wolności ku drugiej, ale Danton, będąc sobą, w głębi duszy prawdopodobnie ani przez chwilę nie wątpił, że wybierze trzecią – opcję spod znaku *toujours l'audace*. Zagrożony ani nie układał się z przeciwnikami, ani nie uciekał. Jeśli zaś jego skrucha była szczera, jeśli czerwcowa spowiedź, małżeństwo z Louise, jej modlitwy i przykład znaczyły dla niego rzeczywiście wiele (a że tak było, miały wyraźnie pokazać przyszłe wydarzenia), trzecia możliwość musiała go pociągać ze zdwojoną siłą. Pozwolił Szatanowi zagnieździć się w swojej ojczyźnie. Jeżeli to pojął, w naturze Georges-Jacquesa Dantona nie leżało wchodzenie w jakiekolwiek konszachty z diabłem ani odwrócenie się plecami, ani wyjazd i pozostawienie kraju jego rządom. Został zatem i podjął walkę.

Nie wiemy, czy modlił się do Boga o pomoc. Najprawdopodobniej nie zaszedł jeszcze tak daleko, nadal nazbyt polegał na sobie samym i własnych nieprzeciętnych talentach. Możemy być jednak pewni, że Louise modliła się w jego intencji, a zdążyliśmy się już przekonać, jaką moc miały jej modlitwy.

Późnym popołudniem, w poniedziałek osiemnastego listopada, Georges-Jacques, Louise Gély-Danton i dwóch synków Gabrielle wyruszyli z Arcis-sur-l'Aube w drogę powrotną do Paryża. Jechali okrężną drogą. Do mieszkania na rue des Cordeliers dotarli wieczorem dwudziestego listopada. Okazało się, że w międzyczasie zmieniono nazwę ulicy. Nosiła teraz imię Marata.

Tego samego dnia niejaki Fayau – deputowany z Wandei, zgłosił w Konwencie wniosek o całkowite zniszczenie swojej ojczystej krainy: *całe terytorium musi doszczętnie strawić ogień, tak aby przez co najmniej rok żaden człowiek ani zwierzę nie mogło tam znaleźć pożywienia*[227].

Nazajutrz, 21 listopada, na placu de Greve (gdzie 10 sierpnia 1792 roku gromadziły się oddziały zbrojnych, które miały zaatakować rodzinę królewską w Tuileries) wyrwano z relikwiarza ponadtysiącletnie szczątki świętej Genowefy – ukochanej patronki Paryża, wrzucono je do prostej drewnianej skrzynki, ciśnięto na stertę gałęzi i spalono, *aby odkupić popełnioną za ich pośrednictwem zbrodnię rozprzestrzeniania błędu i umożliwiania życia w luksusie tak wielu próżniakom*[228].

W niedzielę, 24 listopada (4 Frimaire'a według rewolucyjnego kalendarza) Rewolucja Francuska wykonała ostateczny krok w celu zniesienia chrześcijaństwa. Komuna nakazała zamknięcie wszystkich paryskich kościołów, łącznie z tymi, które niedawno przekształcono na „świątynie". Każdy, kto prosiłby, aby je otwarto, mógł zostać natychmiast aresztowany, jako „podejrzany". W ciągu dwudziestu dni w całej Francji wyłączono z użytkowania 2436 kościołów (liczba ta nie uwzględnia Paryża) i zakazano odprawiania w nich katolickich obrzędów.

---

[227] Ross, str. 302.

[228] Jacques Hérissay, *La Vie religieuse à Paris sous la Terreur (1792-1794)*, Paris 1952, str. 163. Tłumaczenie autora.

Klasyczna symbolika rewolucji

W czasie owych apokaliptycznych wydarzeń, jakie rozegrały się w listopadzie 1793 roku i które uderzyły w samo serce wielusetletniej wiary ludu Francji – od tak dawna noszącej zaszczytne miano „najstarszej córy Kościoła", nie znalazł się nikt, kto zechciałby kiwnąć palcem, aby temu zapobiec. Wielu odczuwało zaniepokojenie tym, co rozgrywało się na ich oczach. Nawet Robespierre uznał, że to nierozsądne i w złym guście. Mówił, że jest temu przeciwny. Mimo to, nie uczyniono niczego, aby postawić tamę szaleństwu. Zdawało się, że Kościół nie ma żadnych prawdziwych obrońców, z wyjątkiem dogorywającej Katolickiej i Królewskiej Armii z Wandei, której już wszak w ojczystej prowincji nie było.

Kościół Jezusa Chrystusa odradza się jednak niczym feniks i zmienia ludzkie serca. 26 listopada, po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy, Georges-Jacques Danton podszedł do mównicy w Konwencie. Potępił *religijną maskaradę* hebertystów. Następnie rzucił wyzwanie samemu Terrorowi.

– Możliwe, że w swoim czasie Terror był rzeczą celową, ale nie powinien uderzać w niewinnych. Nikt z nas nie chce przyglądać się temu, że człowieka traktuje się jak winnego, bo akurat zdarzyło mu się nie przejawiać dostatecznego rewolucyjnego zapału[229].

Wielu jednak chciało się temu przyglądać, a Danton z pewnością o tym wiedział. Być może w całej tej gadaninie o deifikacji rozumu upatrywał pewnej nadziei, że rozsądna argumentacja mimo wszystko może zwyciężyć. Ulotniła się ona jednak niezwykle szybko.

O wiele bardziej znamienna była rozmowa pomiędzy Dantonem, Kamilem Desmoulins i lekarzem o nazwisku Souberbielle.

[229] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 281.

Doszło do niej najprawdopodobniej w końcu listopada, pewnego wieczoru, kiedy wracali z posiedzenia Konwentu. Trzej mężczyźni szli wzdłuż Sekwany. Ogromne zachodzące słońce odbijało się czerwienią w wodach rzeki. Dr Souberbielle, który był członkiem Trybunału Rewolucyjnego, wspomniał, że tego dnia na gilotynie zginęło 15 osób, a na jutro przewiduje się 27 egzekucji.

Danton zapatrzył się w krętą linię wód pięknej paryskiej rzeki.

– Spójrz na Sekwanę – powiedział. – Spływa krwią.

Lekarz dał wyraz swemu zaniepokojeniu i lękowi: – Ech, gdybym był Dantonem... – mruknął.

– Danton wraca do walki. Za długo spał. – Olbrzym zwrócił się do Desmoulinsa: – Rozlano zbyt wiele krwi, Kamilu. Chwyć znów za pióro. Zaapeluj do nich, by byli bardziej litościwi. Ja cię poprę.

Wyciągnął potężną dłoń, którą ojciec Kéravénan nazwał *dłonią ulicznego tragarza*. – Widzisz moją rękę, znasz jej siłę...[230]

Rozpoczęła się ekspiacja Dantona.

[230] Christophne, str. 402.

VIII

Ekspiacja Dantona

(1 grudnia 1793 r. – 5 kwietnia 1794)

Pierwszego dnia grudnia Danton uczynił kolejny krok w walce z Terrorem. Najistotniejsze wszakże jest to, że atakując Terror, wziął w obronę katolickich buntowników z zachodu kraju. W przemówieniu, które wygłosił w Konwencie, piętnował okrucieństwa, które za sprawą komisarzy szerzyły się w całej Wandei.

Trudno przecenić dobór tematu i cel tego wystąpienia, a jednak umyka ono uwagi większości historyków. Nawet dla najbardziej nieprzejednanych przywódców rewolucji, którzy byli dogłębnie przekonani, że naród jest z nimi, stało się jasne, iż rewolta w Wandei była prawdziwie ludowym powstaniem. Nie chodziło w nim o zaprotestowanie przeciwko nadużyciom Rewolucji, tak jak to było w przypadku żyrondystowskich insurekcji w Lyonie i Bordeaux. Powstanie w Wandei było wymierzone bezpośrednio w samą Rewolucję. Okazało się na tyle silne i powszechne, że zagroziło poważnie istnieniu rewolucyjnej władzy. To było rzeczywistym źródłem żywiołowej i bezwzględnej wrogości, jaką żywił do niego Konwent. O ile głównym celem Dantona byłoby odzyskanie dawnej pozycji na szczytach rewolucyjnej władzy i jeśli żywiłby nadzieję, że uda się mu odwieść ją od stosowania terroru, wówczas z pewnością wybrałby (przynajmniej początkowo) mniej prowokacyjny przedmiot interpelacji.

Jeżeli jednak kierowało nim przede wszystkim nowe dla niego poczucie chrześcijańskiego obowiązku, musiał go spełnić przede wszystkim właśnie wobec ludności Wandei. Katolicka i Królewska Armia, w której służyło gros najsprawniejszych młodych ludzi w wieku poborowym, została zepchnięta na północ. Większość wandejskich kobiet, dzieci i starców została pozostawiona samym sobie. Byli całkowicie bezradni i zdani na łaskę okupacyjnych oddziałów Rewolucji oraz komisarzy Konwentu. Bezlitosne niszczenie, pacyfikacja i rzezie już się rozpoczęły. Władzę z ramienia Rewolucji sprawował w Nantes sadysta Jean-Baptiste Carrier – prawnik z Auvergne. Po raz pierwszy wybrano go do Konwentu w czasie wrześniowych rzezi. *Nieustannie mówił o zabijaniu, a kiedy to czynił, często ciął szablą powietrze gestem człowieka ścinającego głowy.* Szczególną nienawiścią darzył dzieci; oświadczył, że *trzeba je wyrżnąć bez litości*[231]. Uznał, że gilotyna pracuje zbyt wolno, wymyślił zatem nową metodę egzekucji, znaną jako *noyades.* Ofiary spławiano Loarą na dużych tratwach. W odpowiednim momencie wyciągano umieszczone w dnie czopy i wszyscy skazańcy tonęli. Na *noyades* Carriera zginęło ponad sześć tysięcy ludzi, w tym wielu księży, zakonników, kobiet i dzieci. Pierwsza taka egzekucja odbyła się 17 listopada; wśród ofiar było wówczas 90 księży.

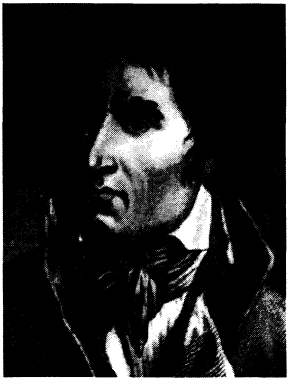

Jean-Baptiste Carrier

Odpowiedź na niespodziewaną interwencję Dantona była natychmiastowa. Dwa dni później w Klubie Jakobinów hebertyści zaatakowali go za sprzeciw wobec przyznania klubowi rządowych subsydiów pochodzących z podatków. Robespierre uznał wówczas, że Danton oraz Hébert są niebezpieczni i stanowią poważne zagrożenie dla jego władzy, ale z jakiegoś powodu większego zagrożenia upatrywał ze strony Héberta. Dlatego wystąpił w obronie Dantona, lecz uczynił to w sposób, który jasno dawał do zrozumienia, że zamierza zaatakować go w bardziej sprzyjających okolicznościach.

[231] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 288.

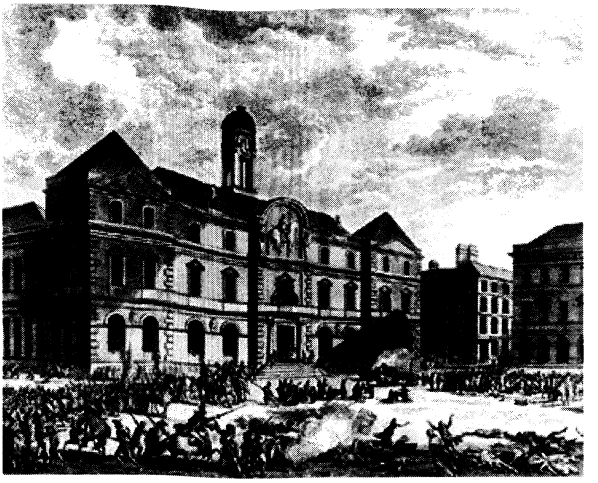

Masowa egzekucja uliczna w Lyonie

Wymienił wszystkie „zbrodnie" popełnione myślą i czynem, jakie zarzucali Dantonowi jego wrogowie, a następnie oświadczył:

– Mogę się mylić co do Dantona, ale widziałem go w gronie rodzinnym; jego postępowanie zasługuje wyłącznie na pochwałę. Bardzo uważnie obserwowałem jego postawy polityczne. Prawdą jest, że niezbyt był skory okazywać nienawiść Brissotowi i podejrzewać Dumourieza, ale chociaż nie zawsze się z nim zgadzałem, kimże ja jestem, aby wyciągać z tego wniosek, że zdradził swój kraj? Zawsze sprawiał wrażenie, że służy mu z pełnym oddaniem[232].

Następnego dnia w Lyonie, Collot d'Herbois z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i Joseph Fouché – (nauczyciel z Nantes, absolwent szkoły prowadzonej przez księży, który stał się zaciekłym ateistą i zanim został wysłany do Lyonu, pomagał w prześladowaniu Wandejczyków) – wydali rozkaz przeprowadzenia pierwszej masowej egzekucji w odwecie za pomoc, jakiej miasto udzieliło żyrondystowskiej rebelii. Gilotyna codziennie ścinała w Lyonie dwadzieścia głów, ale Collot i Fouché uważali, że to o wiele za mało. Wymyślili więc inne rozwiązanie. Skazańców ustawiano rzędem na skraju rowów, które miały być ich grobami, a następnie rozstrzeliwano kartaczami. Rannych dobijali szablami kawalerzyści. Kiedy było po wszystkim, rowy zasypywano ziemią. 5 grudnia 1793 roku zabito

[232] *Ibid.*, str. 282.

[233] Palmer, str. 169-170.

w ten sposób 5209 osób[233]. Zrównano z ziemią całe kwartały miasta, w tym także plac Bellecourt, który z racji przepięknej architektury był podziwiany i sławny w całej Europie. Działania te również jednak uznano za nazbyt ospałe: *Zniszczenia postępują w tym obrzydliwym mieście zbyt powoli. Republikańskie zniecierpliwienie trzeba uśmierzyć szybszymi metodami. Pełny wyraz wszechwładzy Ludu dadzą dopiero wybuchy min i zastosowanie ognia*[234].

5 grudnia ukazał się też w Paryżu pierwszy numer gazety Kamila Desmoulins „Le Vieux Cordelier". W roku 1792 Klub Kordelierów spełnił rolę dźwigni, która wyniosła Dantona do władzy, teraz jednak kontrolowali go hebertyści, ale jego nazwa niezmiennie budziła skojarzenia z Dantonem. W pierwszym numerze „Le Vieux Cordelier" Desmoulins wznosił hymny pochwalne na cześć Dantona i ostro zaatakował Ustawę o Podejrzanych. *Otwórzcie więzienia!* – krzyczał Desmoulins. *Wypuśćcie dwieście tysięcy podejrzanych, którzy w nich siedzą! W Deklaracji Praw Człowieka nie ma mowy o uwięzieniu na podstawie podejrzeń. Przetrzymuje się tylko aresztowanych*[235].

Desmoulins przedsięwziął środki ostrożności i szczotkę pierwszego numeru posłał najpierw Robespierre'owi, to samo uczynił z drugim wydaniem gazety, które ukazało się 10 grudnia („Le Vieux Cordelier" ukazywał się co pięć dni, czyli wedle kalendarza Rewolucji, dwa razy w tygodniu). W pierwszym numerze wychwalał również Robespierre'a za *wyciągnięcie przyjaznej dłoni* do Dantona na spotkaniu w Klubie Jakobinów, kiedy to hebertyści ostro go zaatakowali. Wszystkie te posunięcia i oświadczenia rzucają światło na strategię Dantona, a jednocześnie pozwalają zrozumieć, z jak ogromnymi trudnościami musiał się zmierzyć.

Jeśliby uznał, że jest moralnie zobligowany do próby zasadniczej zmiany kursu, jaki obrała Rewolucja, musiałby rzucić na szalę cały swój ogromny prestiż i w ten sposób pozyskać pomoc rewolucjonistów. Z oczywistych względów nie mógłby jednak od samego początku działać jawnie i informować wszystkich, że takie właśnie są jego zamierzenia. Natychmiast zostałby oskarżony, aresztowany

---

[234] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 361.

[235] Ibid., str. 283.

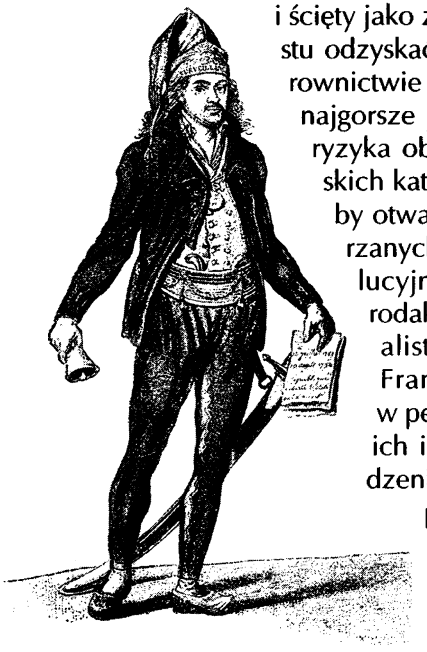

Jakobin

i ścięty jako zdrajca. Gdyby zaś chciał po prostu odzyskać wysoką pozycję w ścisłym kierownictwie Rewolucji i, być może, łagodzić najgorsze jego okrucieństwa, nie podjąłby ryzyka obrony znienawidzonych wandejskich katolickich rojalistów i nie wystąpiłby otwarcie przeciwko Ustawie o Podejrzanych, która dawała komitetom rewolucyjnym władzę życia i śmierci nad rodakami. Podchodząc do sprawy realistycznie, jeśli chciał przywrócić Francję chrześcijaństwu, nie mógł w pełni szczerze zaprezentować swoich intencji. Z moralnego punktu widzenia jednak, nie mógł też obojętnie przyglądać się najpotworniejszym zbrodniom, jakich wówczas dokonywano. Musiał wystąpić przeciwko okrucieństwom, prześladowaniom i uciskowi, a jednocześnie składać gołosłowne deklaracje poparcia dla Rewolucji. Wszystko po to, aby na powrót rozbudzić w przywódcach Rewolucji choćby i nikłe poczucie moralności, które pozwoli im wyrzec się okrucieństwa i ucisku właśnie z przyczyn natury moralnej, dotąd przez nich ignorowanych lub pogardliwie odrzuconych. Gdyby do tego doszło, nie uznaliby ich za kontrrewolucyjne, a co za tym idzie, mogliby je zaakceptować.

Strategia ta przypominała stąpanie po ostrzu brzytwy. Niewielu ludzi uznałoby, że są w stanie sprostać podobnej sytuacji. Danton jednak z pewnością się do nich zaliczał. Pokładał w sobie bezgraniczne zaufanie. Kiedy przystępował do walki, był pewien, że zwycięży. Aż do samego końca ani przez chwilę nie sądził, że padnie ofiarą Rewolucji. Cecha ta była jego największą siłą, ale i słabością.

„Le Vieux Cordelier" zyskał entuzjastyczny oddźwięk wśród sterroryzowanej ludności Paryża. Drugi numer sprzedał się w pięćdziesięciu tysiącach egzemplarzy. Robespierre poczuł się poważnie zaniepokojony. Niepokój ów przybrał na sile, gdy przyjaciel Dantona,

deputowany Bourdon de l'Oise 12 grudnia przedstawił Konwentowi propozycję wprowadzenia okresowej reelekcji wszystkich członków Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Unaoczniła ona Robespierre'owi, że wyzwanie rzucone Terrorowi wykracza poza krytykę najgorszych ekscesów hebertystów i zaczyna zagrażać bezpośrednio ludziom z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, którzy w istocie rządzili Rewolucją i ponosili bezwzględną odpowiedzialność za okropności, jakich dopuszczono się w jej imieniu. Mimo że wniosek Bourdona przeszedł bez echa, Robespierre został ostrzeżony.

Piętnastego grudnia ukazał się trzeci numer „Le Vieux Cordelier". Tym razem jednak, Robespierre nie miał wcześniejszego do niego wglądu. Czytelnikom przypomniano w nim o rzymskich cesarzach: Gajuszu Kaliguli i Neronie – czasach ucisku i prześladowań, gdy zwykły donos często niszczył ludziom karierę i życie, to zaś, kim był denuncjator i jakie motywy nim kierowały, nie miało najmniejszego znaczenia. Stosunki w starożytnym Rzymie porównano do sytuacji we Francji, w której obowiązuje Ustawa o Podejrzanych. W tym numerze gazety Desmoulins zwracał się bezpośrednio do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego: *Czyżbyście rzeczywiście sądzili, że te bezradne kobiety, ci starcy, owi maruderzy Rewolucji, których uwięziliście, są niebezpieczni?*[236]

Zanim dzień dobiegł końca, w Paryżu wykupiono cały nakład „Le Vieux Cordelier". W sali posiedzeń Konwentu zebrał się wielki tłum ludzi, którzy domagali się uwolnienia podejrzanych przetrzymywanych w więzieniach. Danton przypomniał Konwentowi, że wszystkie okoliczności, którymi uzasadniano wprowadzenie Terroru, uległy zmianie. Kraj i Rewolucja nie znajdowały się już w poważnym niebezpieczeństwie. Wszystkie żyrondystowskie powstania stłumiono, a insurekcja w Wandei lada chwila się skończy (wandejska armia, która przeprawiła się przez Loarę i pomaszerowała na północ, została ostatecznie rozbita 23 grudnia w bitwie pod Savenay). Brytyjczycy okupujący Tulon znaleźli się w okrążeniu (kapitan Napoleon Buonaparte właśnie rozstawiał artylerię, która 19 grudnia wygoni ich z miasta), a natarcie Austriaków w Alzacji utknęło w martwym punkcie. Kryzys militarny się skończył. Terror należy znieść, a Komitet Bezpieczeństwa Publicznego powinien zrzec się swych dyktatorskich prerogatyw.

[236] *Ibid.*, str. 288.

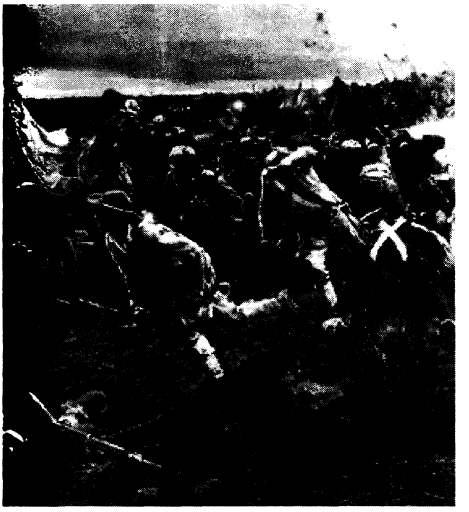

Rozbicie armii powstańczej pod Savenay

20 grudnia do Konwentu przybyła delegacja obywateli Lyonu, aby błagać zgromadzenie o zniesienie rządów Terroru w mieście. Konwent przekazał ich prośbę Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Pamiętajmy jednak, że jeden z najokrutniejszych jego członków, Collot d'Herbois, był główną postacią Terroru w Lyonie. Wiedząc, że delegacja jest w drodze do Paryża, ruszył co koń wyskoczy do stolicy, aby dotrzeć tam przed nią. Bronił masowych egzekucji, usprawiedliwiając je groźbą wyimaginowanych spisków i rzekomymi pożytkami płynącymi z szybkich procesów i egzekucji pod gołym niebem, „na łonie natury", które przeciwstawiał powolnym procedurom sądowym w zatłoczonych salach. Powiedział, że skazańcy w istocie nie są ludźmi i nie zasługują na żadne względy. Przemawiając tej samej nocy w Klubie Jakobinów nadal potępiał lud Lyonu, a zwłaszcza kobiety *nurzające się bez opamiętania w cudzołóstwie i prostytucji.* Dzień albo dwa później otrzymał list od Fouchégo: *Mamy tylko jeden sposób na uczczenie zwycięstwa. Dziś wieczór wystawiamy dwustu trzynastu rebeliantów na uderzenia piorunów*[237].

Dokładnie w tym samym czasie, od 22 do 25 grudnia, na rozkaz Carriera przeprowadzono w Nantes czwarte, piąte, szóste i siódme *noyades.* Utopiono ponad 1700 mężczyzn, kobiet i dzieci[238].

Tego roku nie było żadnych oficjalnych obchodów radosnej rocznicy narodzin Zbawiciela. Robespierre przeforsował w Konwencie ustawę gwarantującą katolikom wolność wyznania. Odczytano to jako kontynuację gestu pojednania, jaki wykonał w stosunku do

[237] Palmer, str. 174-175.

[238] Billaud, str. 172.

Dantona 6 grudnia. Mimo to w przeważającej części miasta jej nie realizowano. W wielusetletniej historii Paryża, który zawsze był katolicki i pozostawał taki nawet w czasie szesnastowiecznych powstań hugenotów, w dzień Narodzenia Pańskiego po raz pierwszy nie odprawiano o północy uroczystych mszy. Ukazał się za to kolejny numer „Le Vieux Cordelier", w którym Kamil Desmoulins kierował swe słowa bezpośrednio do Robespierre'a:

Towarzyszu ze szkolnych lat, którego krasomówcze mowy będą czytały jeszcze nienarodzone pokolenia, pamiętaj o lekcji, jakiej udziela nam historia i filozofia: miłość jest silniejsza i trwalsza niż strach... Uwolnij z więzień 200000 obywateli, których nazywasz „podejrzanymi"; Deklaracja Praw nie zawiera klauzuli pozwalającej więzić człowieka na podstawie podejrzeń. (...) *Jesteś zdecydowany niszczyć wszelki opór za pomocą gilotyny. Jednak czy można wyobrazić sobie bardziej niedorzeczne postępowanie? Przecież każdy przeciwnik, który ginie na szafocie, przysparza ci dziesięciu kolejnych wrogów z grona swojej rodziny i przyjaciół.* (...) *Wierz mi, gdybyś kierował „Komitetem Miłosierdzia", wolność umocniłaby się, a Europa zostałaby zmuszona do uległości*[239].

Cały nakład gazety rozszedł się jeszcze szybciej niż poprzedni numer. Przed biurem wydawcy formowały się długie kolejki, wielu nabywców odsprzedawało gazetę z dużym zyskiem. Kosztowała dwa sous, ale w ciągu zaledwie dwóch dni cena egzemplarza podskoczyła do dwudziestu franków, a i tak trudno go było zdobyć. Co oczywiste, tym razem wyzwanie zostało rzucone nie tylko Terrorowi, ale także Robespierre'owi – jego głównemu mistrzowi i twórcy.

Robespierre wiedział, że Terror i on sam to jedno. Jego niesnaski z hebertystami miały czysto osobisty i taktyczny charakter. Uważał, że ich atak na wiarę katolicką jest przesadny i wulgarny. Upatrywał w nich zagrożenia dla swej dominującej pozycji u steru władzy. W kwestii Terroru jednak *Nieprzekupny* i hebertyści byli jednomyślni. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, Robespierre w imieniu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przedstawił Konwentowi raport o celach i priorytetach rewolucyjnego rządu, w którym stwierdzał: *W czasie pokoju źródłem władzy ludu są jej cnoty, jed-*

[239] Christophne, str. 405.

nak w czasie rewolucji musi się ona opierać na cnotach i na terrorze[240].

Inni wyrażali się bez osłonek: – Kamil ociera się o gilotynę – powiedział Nicolas, oficjalny drukarz rządu rewolucyjnego, a zarazem członek Trybunału Rewolucyjnego, który posyłał ludzi na gilotynę.

Barère z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego uczynił wyraźną aluzję do Desmoulinsa: – Człowiek, który krytykuje wszystko, co wydarzyło się podczas rewolucji, jest podejrzany[241].

Nie był to jeszcze właściwy czas, aby wprost zaatakować Dantona, który cieszył się wielkim poważaniem wśród ludu, na linii ognia znalazł się więc Desmoulins.

Desmoulins zaprezentował znacznie większą odwagę, niż zwykło mu się przypisywać, i w piątym numerze „Le Vieux Cordelier", który ukazał się 5 stycznia 1794 roku, dał zdecydowany odpór nie tylko Hébertowi, ale i Barère oraz Collotowi d'Herbois. W międzyczasie Robespierre (zachęcony przez Saint-Justa, który 31 grudnia powrócił z Alzacji) pozbył się dwóch ważnych zwolenników Dantona: Héraulta de Séchelles, członka Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego zmusił do rezygnacji ze stanowiska, a Fabre d'Eglantine'a oskarżył o zbrodnię korupcji. 7 stycznia na zebraniu w Klubie Jakobinów ostro atakowano Desmoulinsa. Robespierre wkroczył na podium, aby oznajmić swój werdykt:

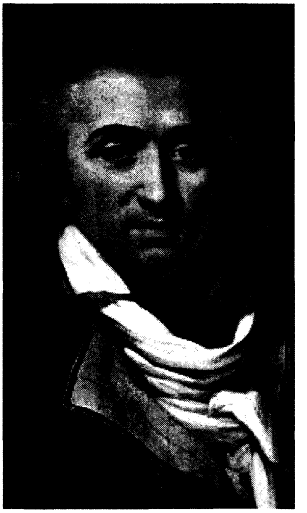

Fabre d'Eglantine

– Kamil, który siedzi tutaj i puszy się kolosalną sprzedażą swojej gazety, oraz perfidnymi pochwałami, którymi zasypują go arystokraci, nadal kroczy po błędnej ścieżce. Jego artykuły są niebezpieczne. Przysparzają nadziei naszym wrogom i mącą ludziom w głowach (...) Kamil jest zepsutym dzieckiem, które niegdyś miało

[240] Madelin, str. 366.

[241] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 292.

dobre skłonności, ale złe towarzystwo zwiodło go na manowce. Musimy zastosować wobec jego gazety surowe środki, których nawet Brissot nie ośmieliłby się zaakceptować; mimo to jednak musimy zatrzymać Kamila pośród nas.

W tym miejscu przerwał. Zapadła długa cisza. Robespierre uniósł okulary na wysokość brwi i hipnotycznym niemal spojrzeniem zielonych oczu omiótł salę i wszystkich zgromadzonych, jakby w poszukiwaniu ofiary.

– Domagam się – powiedział po dłuższej chwili – aby wszystkie szkodliwe egzemplarze tego dziennika zostały spalone w sali Towarzystwa!

Badawczy wzrok Robespierre'a zwykle paraliżował wolę potencjalnych oponentów, ale Desmoulins miał poparcie Dantona, który również był tego wieczoru obecny w Klubie Jakobinów. Prawdopodobnie to właśnie dodało mu odwagi:

– Spalić nie znaczy odpowiedzieć – zripostował Desmoulins cytatem z Rousseau.

Robespierre prawie nigdy nie okazywał emocji. Tym razem było inaczej. Na jego bladą twarz śledziennika wypełzł krwistoczerwony rumieniec.

– Wiedz, Kamilu – powiedział – że gdyby to nie o ciebie chodziło, okazywanie tak daleko posuniętej pobłażliwości byłoby nie do pomyślenia. Postawa, jaką prezentujesz, utwierdza mnie w przekonaniu, że twoje intencje nie są czyste (...) Człowiek, który tak uparcie broni swojej perfidnej pisaniny, jest chyba kimś gorszym niż tylko zwykłym malkontentem[242].

Robespierre w większości ludzi budził przerażenie. Nie dotyczyło to jednak Dantona:

– Obywatele! – oświadczył. – Podejmujmy wszelkie decyzje ze spokojem i w zgodzie z nakazami sprawiedliwości! Rzucając oskarżenie na Desmoulinsa, baczcie, abyście nie zadali śmiertelnego ciosu wolności prasy![243]

---

[242] *Ibid.*, str. 294.

[243] Christophne, str. 413.

Tuż przed lub zaraz po owym decydującym spotkaniu w Klubie Jakobinów Danton osobiście udał się do Robespierre'a, żeby uzyskać jego pomoc w dziele zakończenia Terroru, który zabijał przecież także całkiem niewinnych ludzi.

– Bądź uprzejmy poinformować mnie, kto ci powiedział, że zgładzono chociaż jednego niewinnego człowieka – zapytał lodowatym tonem Robespierre.

Danton popatrzył na niego jak na wstrętnego gada. – Co ty nie powiesz? Nikt niewinny nie zginął![244] – Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Marie Jean Hérault de Séchelles

Pojedynek na śmierć i życie wkroczył w decydującą fazę.

Strategia Robespierre'a polegała na wyeliminowaniu co znaczniejszych i podatnych na ciosy stronników Dantona, szczególnie Fabre d'Eglantine'a i Héraulta de Séchelles, których już wcześniej otwarcie oskarżono. Fabre został aresztowany 12 stycznia, a Hérault pięć dni później. Obu przedstawiono zarzut korupcji – prawie na pewno słuszny, ale korupcja była słabością wielu przywódców Rewolucji, których mimo to nie aresztowano. Przywara ta nie dotyczyła jednak Robespierre'a, który czerpał ogromną dumę z tego, że jest *Nieprzekupnym*. Aresztowania były czytelnym posunięciem wymierzonym w Dantona.

Pewnego dnia, kiedy Danton wychodził z Konwentu, zauważył, że Vadier, członek Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, wskazał na niego i powiedział: – Wyprujemy flaki z tego tłustego morświna.

[244] Madelin, str. 393.

Danton usłyszał, odwrócił się ku stojącym za jego plecami ludziom i rzekł: – Niech ktoś powie temu tam łajdakowi, że jeśli kiedykolwiek znajdę powód, żeby bać się o własne życie, będę gorszy od kanibala: zjem mu mózg[245].

Historycy pokpiwają z Dantona z racji podobnie gwałtownych wypowiedzi, ale dla niego najważniejsze było wówczas pokazać tym, którzy jawnie zamierzali go zabić, że ani trochę się ich nie boi. Rządy Robespierre'a były wszak oparte na strachu.

W atmosferze potęgującego się lęku, rzucania oskarżeń i kontroskarżeń, aresztowań i szantażu, gdy każdy z prominentów wiedział, że jest winien zbrodni, za które w normalnych czasach skazano by go na karę śmierci, doszło do jednego z najbardziej tajemniczych wydarzeń we współczesnej historii. Tysiące godzin badań i studiów, którym oddawały się tuziny pisarzy i naukowców, nie przyniosły rozwiązania zagadki. Nazywa się ją największą tajemnicą w historii i prawdopodobnie taka pozostanie. Rewolucji Francuskiej poświęcono ogromną literaturę, a sprawę zgłębiało tylu poważnych badaczy, że szansa na to, aby kiedykolwiek udało się ją wyjaśnić, jest nader nikła. Tajemnica dotyczy losu ośmioletniego chłopca, którego rojaliści uznawali za pełnoprawnego króla Ludwika XVII. Nie możemy poświęcić tej sprawie dużo miejsca, ponieważ nie wiąże się bezpośrednio z naszą opowieścią o gilotynie i Krzyżu w czasach Terroru, ale do tego niezwykle ważnego wydarzenia doszło właśnie teraz, w samym środku jednego z najbardziej dramatycznych epizodów Rewolucji Francuskiej.

18 stycznia, Georges Couthon, członek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i bliski współpracownik Robespierre'a, oświadczył w Konwencie: – Odkryto haniebny spisek, którego najważniejszym celem było wymordowanie deputowanych „Góry" i ogłoszenie chłopca Kapeta królem. Liczba jego uczestników jest ogromna, aresztowano już ponad 4000 osób[246].

---

[245] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 296.

[246] Madelin, str. 366.

Nie istnieje choćby najmniejszy cień historycznego dowodu na prawdziwość spisku. Trudno jednak nie dopatrywać się związku pomiędzy owym niezwykłym oświadczeniem, a faktem, że 19 stycznia szewc Simon został bez ceregieli zwolniony z obowiązków opiekuna młodego Ludwika, zabrał cały swój dobytek i opuścił Temple. Chłopiec w dalszym ciągu zamieszkiwał w wieży, ale jak nigdy przedtem, został całkowicie pozostawiony samemu sobie. Dźwięk dobrze rozchodził się w starych murach, więc jego siostra i ciotka, które nadal tam przetrzymywano, bez trudu usłyszałyby, gdyby krzyknął do nich ze swojej celi. Mijały miesiące, a one ani razu nie usłyszały jego głosu, od czasu do czasu dobiegały je tylko odgłosy czyjejś obecności. Siostrze ani razu nie pozwolono się z nim zobaczyć, a kiedy w 1795 r. ogłoszono informację o jego rzekomej śmierci i pogrzebie, nie dopuszczono jej do identyfikacji zwłok. Te oraz inne fakty wyłuskane z późniejszych zeznań (m.in. zaprzysiężonego oświadczenia szewca Simona), a także powtarzane z pełnym przekonaniem twierdzenie jego siostry (wówczas już księżny d'Angoulême), że *mój brat nie umarł*, są podstawą do wyciągnięcia wniosku, że syn Ludwika XVI i Marii Antoniny został wywieziony z Temple 19 stycznia, a na jego miejsce podstawiono innego chłopca, który prawdopodobnie był głuchoniemy. Ogłoszono, że zmarł 8 czerwca 1795 roku. Od tamtej pory ciało trzykrotnie ekshumowano. Lekarze, którzy je badali, nie byli w stanie jednoznacznie ustalić, czy zwłoki ośmioletniego chłopca są rzeczywiście szczątkami Ludwika XVII. Rzecz jasna, po Rewolucji pojawiło się wielu samozwańców, ale żadna z ich opowieści nie oparła się dokładniejszym badaniom. Nikt nie wie, jaki los spotkał nieszczęsnego chłopca, i prawdopodobnie już nigdy się tego nie dowiemy[247]. Rywalizujące ze sobą frakcje rewolucjonistów były oczywiście zdolne do popełnienia każdej zbrodni i całkiem prawdopodobne, że jedna z nich niepostrzeżenie uprowadziła, a następnie zamordowała Delfina, aby konkurenci nie mogli go wykorzystać przeciwko niej. Istnieją jednak dowody, że Robespierre nie wiedział, co się z nim stało, zupełnie nieprawdopodobne jest, by taką wiedzę miał Danton, a trudno sobie wyobrazić, żeby hebertyści (nigdy niewyróżniający się inteligencją ani przebiegłością) zdołali z powodze-

[247] Patrz: Furneaux, str. 159-181, 197-215 – jest to dobre i poważne podsumowanie stanu wiedzy i dowodów na temat losu Ludwika XVII.

niem dokonać uprowadzenia i potem perfekcyjnie zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Tajemnica pozostaje niewyjaśniona.

19 stycznia w Wandei generał Turreau wydał rozkazy podzielenia armii rewolucyjnej na 24 kolumny i wysłał je, aby paliły i niszczyły wszystko, co napotkają na swojej drodze. Miały również zabijać mieszkańców – w znakomitej większości cywili – aby sterroryzować ludność i całkowicie ją sobie podporządkować. Owe, jak je nazywano „piekielne kolumny" przemierzały Wandeę przez pozostałą część stycznia, cały luty, aż do początków marca, niszcząc, mordując, okaleczając. Niech wystarczy jeden tylko przykład ich „działalności", ale pamiętajmy, że było ich wiele. Na pole spędzono około dwie setki wieśniaków: mężczyzn, kobiet i dzieci. Następnie poobcinano im nosy, uszy i palce, wyrwano języki. Krzyki nieszczęśników były słyszane w promieniu półtora kilometra. Później pole to nazwano *łąką skowyczących*[248].

Herb Wandei

Główne siły Wandejczyków rozbito 23 grudnia pod Savenay. Mimo to, w obliczu tak potwornych okrucieństw, w całej Wandei trwał rozpaczliwy i beznadziejny opór, bo z całą pewnością lepiej było umierać z bronią w ręku, niźli z rąk oprawców. 6 stycznia schwytano i rozstrzelano d'Elbée'go. Dziarski i bohaterski la Rochejaquelein zginął w walce 29 stycznia. Stofflet i Charette ocaleli, prowadzili walkę partyzancką – ich udziałem stało się kilka zapierających dech w piersiach ucieczek. W roku 1796 obaj zostali schwytani i straceni. Jednak mimo to w Wandei nie zgasła iskierka nadziei na zwycięstwo.

Chrześcijanom pozostała ich broń ostateczna, czas było po nią sięgnąć.

30 stycznia o drugiej nad ranem przed Trybunał Rewolucyjny doprowadzono siostry karmelitanki z ulicy Grenelle, które już od kilku tygodni przetrzymywano w areszcie. Przesłuchujący, który

[248] M. de Saint Pierre, str. 14.

występował w imieniu władz Terroru wezwał trzydziestodwuletnią siostrę Vitasse. Nie okazała lęku.

– Jestem sędzią Trybunału Rewolucyjnego. Musisz wiedzieć, że trybunał ów ustanowiono, aby sądzić i skazywać na śmierć tych, którzy są przeciwni Rewolucji.

Spojrzała mu w oczy. Czyżby się uśmiechnęła?

– *C'est bon!* Doskonale!

To go musiało zaskoczyć, ale szybko się opanował.

– Czy złożyłaś przysięgę? – Miał na myśli rotę Cywilnej Konstytucji Kleru, ustawy, na podstawie której Rewolucja stworzyła we Francji schizmatyczny kościół.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo to jest sprzeczne z moim sumieniem i moimi ślubami.

Kilka chwil później zadał kolejne pytanie: – Czy twoja religia pozwala ci skłamać?

– Nie.

– Dobrze więc: czy na ulicę Cassette przychodzili księża?

– Mamy przyjaciół, którzy czasami nas odwiedzają.

– Nie pytałem, czy odwiedzali was przyjaciele. Zapytałem wyraźnie, czy przychodzili tam księża! – wrzasnął rozwścieczony przesłuchujący. – Odpowiadaj! Czy księża przychodzili się z wami zobaczyć?

– Czasami.

– Często?

– Nie.

– Ich nazwiska?

– Nie powiem.

– Dlaczego nie?

– Bo nie chcę tego powiedzieć.

– Jeżeli nie podasz ich nazwisk, źle to się dla ciebie skończy.

– Stanie się wedle woli Bożej.

– To nie Bóg cię tu sądzi – ryknął przesłuchujący – tylko ja i wszyscy sędziowie tego trybunału.

– Bóg pozwala, byś ten sąd sprawował nade mną. – Słowa, jakimi się posłużyła, były bardzo podobne do tych, którymi Chrystus zwrócił się do Piłata[249].

– Co za upór! Chcesz ryzykować dla nich życiem, ale nie uczyniłabyś tego dla własnego ojca!

– Proszę o wybaczenie. Bez wątpienia oddałabym życie za ojca i to samo uczyniłabym dla pana.

– To nieprawda! Dla mnie byś tego nie zrobiła.

– Proszę o wybaczenie. Nie chciałabym ratować własnego życia kosztem pańskiego.

– Zatem nie podasz nazwisk?

– Nie[250].

4 lutego trybunał Rewolucyjny oskarżył karmelitanki z ulicy Grenelle o *fanatyzm*, nielegalne przebywanie we wspólnocie zakonnej, kontakty z „opornymi" księżmi (czyli tymi, którzy nie złożyli przysięgi przestrzegania Konstytucji Cywilnej Kleru) oraz podburzanie do wojny domowej i spiskowanie przeciwko Republice. 7 lutego uwięziono je w Conciergerie, gdzie Maria Antonina spędziła ostatnie tygodnie życia. W toku dalszych przesłuchań Trybunał ustalił, że jednym z księży, którzy w ciągu ostatnich miesięcy odwiedzili klasztor przy ulicy Grenelle, był ojciec Kéravénan. Ten sam, który wysłuchał spowiedzi Dantona. Mimo usilnych poszukiwań nie udało się go zatrzymać. Dosyć zaskakującym faktem jest, że karmelitanek nie skazano na śmierć, a tylko na deportację. W rzeczywistości jednak wcale ich nie deportowano, lecz zamknięto w areszcie. Nieustannie groziła im gilotyna, ale pozostały w więzieniu aż do zakończenia Terroru. Inne siostry z tego samego zakonu poszły drogą, którą zawsze były gotowe podążyć. Wkrótce miała dosięgnąć je męczeńska śmierć na gilotynie.

19 stycznia Louis Antoine Saint-Just objął piętnastodniową kadencję przewodniczącego Konwentu (Konwent od samego począt-

[249] W naszych przekładach *Pisma* podobieństwo to nie jest uderzające. Patrz: *Biblia Tysiąclecia, Ewangelia wg św. Jana*, Rozdz. XIX: *Rzekł więc Piłat do Niego: „Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzą Ciebie ukrzyżować?". Jezus odpowiedział: „Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie"* (przyp. tłum.).

[250] Hérissay, str. 206-207. Tłumaczenie autora.

ku aż po zakończenie Terroru rygorystycznie przestrzegał zasady, aby przewodniczący zgromadzenia zmieniali się co piętnaście dni). Saint-Just był najmłodszym deputowanym, ale cieszył się dużą estymą, zawsze stał po prawicy Robespierre'a i nigdy ani przez chwilę nie wątpił, jaki jest cel, do którego zmierza. Terror, większy terror i jeszcze więcej terroru – oto jego recepta na wszelkie problemy, w obliczu których stanęła lub mogła stanąć Rewolucja. Przedstawił projekt ustawy o konfiskacie i sprzedaży wszelkiej własności osób uznanych za podejrzane i zatrzymanych w areszcie (Robespierre czynił to już wcześniej, ale tylko w odniesieniu do obywateli, którzy uciekli za granicę). Na forum zgromadzenia oświadczył: – Zniszczyć buntowników, sprawić, że wolność będzie twarda jak stal, pomścić patriotów, którzy padli ofiarą intryg.

Jean-Nicolas Billaud-Varenne

Wyszydził tych, *którzy chcą zburzyć szafot, bo boją się, że sami na niego wstąpią*[251]. Trudno o wyraźniejszą groźbę; była skierowana do Dantona, Desmoulinsa i wszystkich, którzy ich popierali.

Saint-Just zamierzał też zmiażdżyć hebertystów. Uważał ich za nieodpowiedzialnych fanatyków, których zmienność i niekompetencja z wielu przyczyn poważnie zagraża Rewolucji. Wykorzystując stanowisko przewodniczącego Konwentu, zaczął mówić o „frakcjach" i „zagranicznych spiskach". To zachęciło Robespierre'a, aby zaatakował hebertystów, a razem z nimi stronników Dantona i Desmoulinsa. Saint-Just, jako członek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, mógł wykorzystać swoją pozycję, aby zapewnić sobie poparcie dwóch innych członków Komitetu, dotąd kojarzonych z hebertystami. Collot d'Herbois i Billaud-

[251] Curtis, str. 189.

-Varenne byli gotowi dołączyć do nagonki na byłych towarzyszy. Hebertyści sami ułatwili zadanie Saint-Justowi. 4 marca zorganizowali kolejną demonstrację. Była podobna do tej, jaką w czerwcu ubiegłego roku, za zgodą Robespierre'a, przygotowali przeciwko żyrondystom, a potem już bez jego aprobaty przeprowadzili 5 września. Wówczas to zmusili Komitet Bezpieczeństwa Publicznego do poszerzenia swego składu o Collota i Billauda. Teraz jednak, gdy obaj dokooptowani członkowie zadomowili się w nim na dobre, postanowiono posłużyć się wywołaną przez hebertystów ruchawką, jako pretekstem, który miał doprowadzić do ich upadku. Kadencja Saint-Justa jako przewodniczącego Konwentu kończyła się 6 marca, ale jego prestiż wzrósł ogromnie i był on w stanie pociągnąć za sobą całe zgromadzenie, tak aby bez słowa sprzeciwu przegłosowało zgubę hebertystów.

– Każda partia jest zatem przestępcza, stanowi bowiem formę odizolowania się od narodu i ludowych społeczności oraz swoisty rodzaj uniezależnienia od rządu. Każda frakcja jest przestępcza, ponieważ dąży do podzielenia obywateli, każda frakcja jest przestępcza, ponieważ osłabia siłę obywatelskich cnót[252] – oświadczył 13 marca Saint-Just. W dalszym ciągu przemówienia opisał, czym jest Republika Rewolucyjna. Szczególny i jednoznaczny nacisk położył na jej potęgę destrukcji i fizyczną eliminację przeciwników.

– Republika oznacza zniszczenie wszystkiego, co jej się przeciwstawia. Z punktu widzenia Republiki, człowiek jest winny, gdy okazuje współczucie więźniom; jest winny, bo nie chce dążyć do cnoty; jest winny, bo przeciwstawia się Terrorowi[253].

Kiedy już wygłosił swe totalitarne credo, wezwał do aresztowania hebertystowskich „spiskowców", poszerzenia przepisów ustawy o zdradzie stanu i powołania sześciu kolejnych komisji do osądzania podejrzanych. Mimo że Danton i Desmoulins na początku grudnia postulowali, aby w przypadku braku dostatecznych dowodów uwalniać podsądnych, szale sprawiedliwości jeszcze bardziej przechyliły się na niekorzyść podejrzanych.

Pierwszymi, którzy na własnej skórze mieli odczuć srogie przepisy nowego prawa, byli hebertyści. Posunięcie to świadczyło o iście

[252] Palmer, str. 291.

[253] Madelin, str. 394.

diabolicznej politycznej inteligencji. Odciągało uwagę od Dantona, który był rzeczywistym celem ataku, a nawet dawało złudzenie, że podejmowane przez niego wysiłki przynoszą efekty. W istocie jednak chodziło jedynie o przygotowanie gruntu, aby go zniszczyć, a jednocześnie wyeliminować jeszcze jedno źródło potencjalnego oporu wobec dyktatury Robespierre'a.

Hébert i jego czterej najważniejsi współpracownicy zostali aresztowani w nocy z 13 na 14 marca. Piętnastu kolejnych trafiło za kratki w ciągu następnych pięciu dni. Wszyscy, oprócz jednego, zostali skazani na gilotynę. Stracono ich 24 marca. Hébert, który prześladował i posłał na śmierć tylu ludzi, umierał jak tchórz, skomląc i krzycząc.

19 marca Danton przemawiał w Konwencie, nawołując do pojednania i jedności. Trzy dni później odwiedził Robespierre'a w jego mieszkaniu, aby przekazać mu swoje posłanie osobiście. Robespierre właśnie pudrował włosy. Na zielony prążkowany surdut miał narzucony fartuch, który chronił ubranie przed zaplamieniem. Danton, jak zwykle miał na sobie prostą, rozpiętą pod szyją koszulę.

– Zapomnijmy o różnicach, jakie nas dzielą, i zajmijmy się przede wszystkim naszą ojczyzną i jej potrzebami. Kiedy republika zyska szacunek za granicą, będzie również kochana w kraju, nawet przez tych, którzy teraz okazują jej wrogość.

Odpowiedź Robespierre'a świadczyła o tym, że w jakiś sposób zorientował się, z czego wynika nowa postawa Dantona.

– Stosując twoje zasady i twoją moralność, nikt i nigdy nie uznałby, że trzeba ukarać przestępcę (Czy ktokolwiek wcześniej pomyślałby o Dantonie, że ma „zasady" i „moralność"? – Chyba tylko zagorzali rewolucjoniści, którzy sami wyraźnie i jednoznacznie deklarowali, że są przeciwko wszelkiej konwencjonalnej moralności).

– Ubolewałbyś nad tym? – zapytał Danton. – Żałowałbyś, że nie masz za co ukarać przestępcy?

Danton ze szczególnym uporem domagał się łaski dla 73 deputowanych, których uwięziono zeszłego lata za krytykowanie metod stosowanych przy obalaniu żyrondystów.

– Jedynym sposobem ugruntowania wolności jest obcinanie głów podobnym przestępcom – powiedział Robespierre.

W oczach Dantona zaszkliły się łzy. Robespierre dostrzegł je i poczuł pogardę dla takiej oznaki słabości. Danton ostrzegł go, że na dłuższą

metę terror jest niemożliwy do utrzymania, bo Francja go odrzuci. Po raz ostatni błagał, aby dyktator okazał litość. Próbował nawet objąć Robespierre'a, który wyrwał mu się *zimny, niczym marmur*[254].

Wielu zorientowało się teraz, że Robespierre planuje zgubę Dantona, a jego uwięzienie jest tylko kwestią czasu. Danton otrzymał co najmniej dwa ostrzeżenia, zanim Komitet Bezpieczeństwa Publicznego stosunkiem głosów 18 do 2 rzeczywiście przegłosował uchwałę o aresztowaniu. Stało się to wieczorem 30 marca. Część przyjaciół namawiała Dantona, aby uderzył pierwszy, inni doradzali ucieczkę. Byli i tacy, którzy uznali, że „buja w obłokach", bo odmówił jednego i drugiego. Niektórzy historycy nadal mają mu to za złe. Tym, którzy doradzali, aby kontratakował i posłużył się ludźmi z rewolucyjnych władz, odparł: – Lepiej, po stokroć lepiej samemu pójść na gilotynę, aniżeli posyłać na nią innych.

Tym, którzy doradzali ucieczkę, odpowiedział: – Czy człowiek może zabrać ze sobą ojczyznę na podeszwach butów?[255]

Prawdą jest, że pierwsza z tych odpowiedzi nie przypomina dawnego Dantona, druga jednak już tak. Gdyby jednak założyć, że nawrócił się na katolicyzm, pasowałaby doskonale. To on, bardziej niż jakikolwiek inny człowiek, przyczynił się do triumfu gilotyny we Francji. On, który wspiął się do władzy po jej ogromnym zakrwawionym ostrzu, nie mógł ratować życia puszczeniem jej w ruch. Musiał przed nią stanąć i ją potępić. W żadnym razie też by nie uciekł, jego powołaniem była teraz walka do końca, ale bronią w niej miały być słowa i prawda, a nie śmierć i zniszczenie.

Aresztowano go jeszcze przed świtem 31 marca wedle starego kalendarza, a 11 Germinala według nowego. Próbował pocieszać szlochającą Louise. Zapewniał, że wkrótce wróci. Nadal wierzył, że uda mu się odwrócić bieg wydarzeń.

Razem z Desmoulinsem, Philippeaux i innymi przyjaciółmi zabrano go do więzienia Luxembourg (dawnego pałacu). Więźniowie tam zgromadzeni byli oszołomieni widokiem twórcy i przywódcy Rewolucji, który przebywał z nimi w jednej celi. Danton zwrócił się do nich i zapewne zanim się odezwał, posłał im cierpki uśmiech.

---

[254] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 298-299.

[255] Christophne, str. 418.

– Panowie – powiedział. – Miałem nadzieję was stąd wydostać. Niestety, siedzę tu razem z wami (...) Jeśli temu biednemu krajowi wkrótce nie powróci opamiętanie, to, co widzieliście do tej pory, będzie niczym w porównaniu z tym, co dopiero nadejdzie[256].

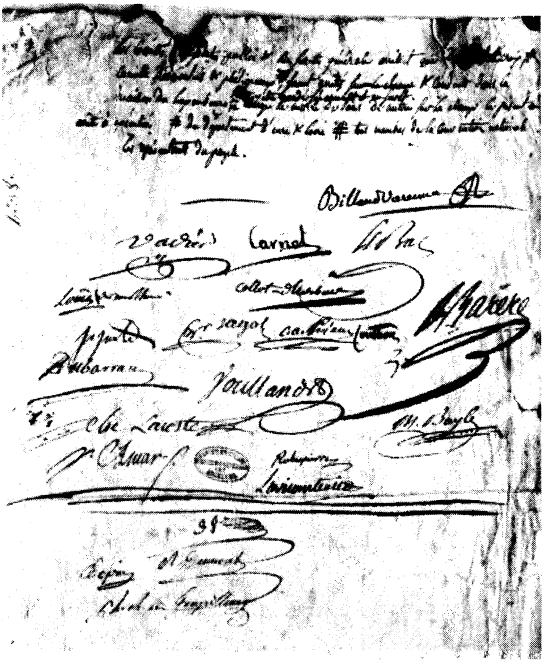

Nakaz aresztowania Dantona

Tego ranka rzeźnik Legendre, jeden z przywódców wrześniowych rzezi, próbował bronić Dantona i protestował w Konwencie przeciwko jego aresztowaniu. Za późno jednak odkrył w sobie litość. Zyskał tyle, że zgromadzenie zgodziło się, aby Danton wystąpił przed Konwentem i powiedział, co ma na swoją obronę. Zanim wniosek Legendre'a poddano pod głosowanie, zjawił się Robespierre. Nosił, jak zwykle, swoje złowróżbne, barwione na zielono szkła. Kiedy spojrzenie małego prawnika z Arras omiotło salę, w wielkim i gwarnym pomieszczeniu zapadła kompletna cisza.

– Legendre wspomniał o Dantonie – powiedział jadowitym tonem Robespierre. – Sądzi zapewne, że temu nazwisku należą się pewne przywileje. Ale czy Danton ma prawo do jakiś przywilejów? Czy jest pod jakimkolwiek względem lepszy od reszty współobywateli? Nie! Nie będzie tu więcej miejsca na żadne przywileje! I nie będzie też żadnych idoli! – Podniósł okulary na wysokość brwi i nie-

[256] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 307.

ruchome, szaro-zielone spojrzenie utkwił w Adrienie Legendre: – Człowiek, który drży, słysząc moje słowa, jest winny. Niewinność nigdy nie lęka się publicznego osądu.

Legendre pobladł. – Jeżeli Robespierre sądzi, że dla jednostki zdolny jestem poświęcić wolność, błędnie odczytał moje intencje. Ci, którzy mają w rękach dowody, lepiej niż my zdają sobie sprawę z winy ludzi, których aresztowano[257].

Adrien Marie Legendre

Saint-Just odczytał i objaśnił akt oskarżenia, który był długi, nikczemny i zmyślony, wręcz na granicy paranoi. Mówiąc, lewą ręką wykonywał gesty naśladujące cięcie, które niektórym obserwatorom przywodziły na myśl opadające ostrze gilotyny. Kiedy skończył, akt oskarżenia przyjęto jednomyślnie. Legendre także głosował „za", podobnie jak wszyscy obecni na sali deputowani.

Nocą 1 kwietnia Dantona i aresztowanych z nim towarzyszy przeniesiono do więzienia Conciergerie. Ktoś zastanawiał się, jak daleko od ich cel znajdują się cele siostry Vitasse i innych karmelitanek oraz pomieszczenia zajmowane niegdyś przez Marię Antoninę.

Danton nie utracił nic ze swej wspaniałej, aroganckiej odwagi. Rano skonfrontowano go z Fouquier-Tinvillem, który zapytał, czy knuł spisek w celu przywrócenia monarchii i obalenia republikańskich rządów. Jedyną odpowiedzią Dantona było pogardliwe wzruszenie potężnych ramion. Zapytany, czy ma adwokata, odparł, że sam najlepiej potrafi się bronić. O sędziach Trybunału Rewolucyjnego, którzy mieli go sądzić powiedział: – Zobaczymy, jakie wrażenie na nas sprawią, kiedy przed nami staną[258].

---

[257] *Ibid.*, str. 306.

[258] Christophne, str. 429

Po powrocie do Conciergerie mówił o tej splamionej krwią instytucji poważniej, a jego słowa zapamiętano: – Rok temu ustanowiłem Trybunał Rewolucyjny. Proszę o wybaczenie Boga i ludzi. Uczyniłem to, aby zapobiec powtórzeniu się wrześniowych rzezi, a nie po to żeby stał się plagą ludzkości.

Potem padło jeszcze bardziej znamienne zdanie: – Lepiej być biednym rybakiem, niż władcą nad ludźmi[259].

Czemu akurat rybakiem? Danton nim nie był (chyba że dla rozrywki), był farmerem. Kiedyś jednak w dalekim kraju za morzem żył pewien ubogi rybak, który napotkał Mesjasza i został Następcą Chrystusa.

„Proces" rozpoczął się rankiem 2 kwietnia. Tak jak w przypadku procesu Marii Antoniny, przewodniczącym składu sędziowskiego był Hermann, a oskarżycielem Fouquier-Tinville. Obaj wiedzieli, że Komitet Bezpieczeństwa Publicznego wydał i podpisał nakazy ich aresztowania i natychmiastowej egzekucji na wypadek, gdyby nie udało się im doprowadzić do skazania oskarżonych. Komitet przydzielił Fouquier-Tinvillowi dwóch asystentów, żeby dopilnowali, aby uczynił to, czego po nim oczekiwano. Nie zapomnieli, że Fouquier-Tinville zawdzięczał swe stanowisko Dantonowi. Niepotrzebnie się obawiali. Antoine Fouquier-Tinville nie znał pojęcia lojalności. Był biurokratą doskonałym, który zawsze dokładnie wykonywał polecenia przełożonych, jacy aktualnie byli u steru władzy. Świetnie sprawdziłby się jako urzędnik w Auschwitz.

Do niego należało wyłonienie takiego składu ławy przysięgłych, który zapewni skazanie Dantona na śmierć. Rozpoczęcie procesu opóźniło się o prawie trzy godziny, dopóki nie upewnił się, że może polegać na ludziach, których wybrał. Jednym z nich był niegdysiejszy arystokrata, markiz Leroy de Montflobert. Jego pseudonimem rewolucyjnym był *Leroy-dix-aout* – Leroy Dziesiątego Sierpnia.

Czternastu oskarżonych wezwano, na ławę oskarżonych, przysięgli złożyli przyrzeczenie, że będą „sądzili bezstronnie" i rozpoczęło się długotrwałe odczytywanie aktu oskarżenia pióra Saint-Justa. W czasie czytania, trzech deputowanych podeszło z tyłu do Hermanna i szeptało mu coś na ucho. Wśród nich byli Couthon z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i Amar – deputowany, któ-

[259] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 308.

ry w swoim czasie nakłaniał cały Konwent, żeby poszedł przyglądać się[260] pracy gilotyny: – Podejdźmy do stóp wielkiego ołtarza i weźmy udział w krwawej mszy!

Danton poderwał się na równe nogi: – Żądam zgody na napisanie pisma do Konwentu i powołania komisji, która wysłucha mojego i Desmoulinsa zeznania o dyktatorskich praktykach w Komitetach Bezpieczeństwa Publicznego i Ochrony!

Z tłumu dobiegły okrzyki aprobaty. Tumult był taki, że przerażony Hermann natychmiast odroczył sesję trybunału.

– Kanalie nie pozwoliły mi skończyć – warknął rozeźlony Danton, kiedy prowadzono go do celi w Conciergerie. – Nie szkodzi, jutro zrobię miazgę z ich sędziów[261].

W dalszym ciągu wierzył, że wygra ostateczny bój, którym stawką było życie lub śmierć.

Następnego ranka do grona podejrzanych dołączyły dwie kolejne osoby. Ironia losu sprawiła, że jedną z nich był generał Westermann, który 10 sierpnia 1792 roku dowodził atakiem na Gwardię Szwajcarską. Hermann odmówił mu nawet wyjaśnienia, dlaczego zasiada na ławie oskarżonych. Danton poparł protest Westermanna, a wtedy Hermann przywołał go do porządku.

– Mamy prawo do tego, żeby nas wysłuchano! – ryknął Danton. – Ponoszę odpowiedzialność za utworzenie tego Trybunału, znam procedury lepiej, niż ktokolwiek inny!

Na sali wybuchła wrzawa. Hermann jak oszalały potrząsał dzwonkiem. Kiedy to nie przyniosło żadnego efektu, krzyknął do Dantona: – Nie słyszysz mojego dzwonka?

– Człowiek, który walczy o życie, nie zwraca uwagi na dzwonki! – odkrzyknął Danton.

Tego samego dnia, czyli 3 kwietnia, Dantonowi zezwolono wreszcie, aby wygłosił przed Trybunałem swoją mowę obrończą. Jego potężny głos był słyszalny nie tylko w sali sądowej, ale także na okolicznych ulicach, powiada się nawet, że dobiegał na drugą stronę rzeki. Odrzucił z pogardą wyssane z palca fantazje na temat spis-

[260] Madelin, str. 367.

[261] Christophne, str. 433.

Antoine Quentin Fouquier-Tinville

ku, zawarte w akcie oskarżenia i zażądał, aby skonfrontowano go z rzeczywistymi oskarżycielami.

– Wzywam moich oskarżycieli, aby stawili się tutaj – krzyczał. – Żądam, aby dano mi prawo, żeby się z nimi zmierzyć. Niech pokażą się ci nikczemni szalbierze, a zedrę z nich maskę, która chroni ich przed publiczną karą![262]

Nie mógł wprost zaatakować Rewolucji, bo tym samym pośrednio potwierdziłby zarzuty, które mu postawiono. Jego celem było unaocznienie nikczemnej absurdalności postępowania sądowego, które stało się całkowitą parodią sprawiedliwości. Udało mu się to znakomicie. Zdemaskowanie sposobu prowadzenia procesu było tak skuteczne, a potęga jego wymowy na tyle przytłaczająca, że tamtego dnia sesja zakończyła się na jego mowie obrończej. Zyskiwał sobie powszechną sympatię i Trybunałowi mogło nie wystarczyć odwagi, aby go skazać. Ponadto, dysponował długą listą świadków, którzy mieli zeznawać na jego korzyść; był wśród nich nawet Robert Lindet – członek Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, który odmówił podpisania dokumentu oskarżającego Dantona.

Tego samego wieczoru, Fouquier-Tinville napisał prośbę do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Po raz kolejny prosił o zezwolenie na odstąpienie od procedur chroniących prawa oskarżonych. Kiedy Terror się skończył, pisemna prośba prokuratora stanowiła koronny dowód, który zaprowadził go na gilotynę.

Przerażająca burza sroży się od samego początku posiedzenia. Oskarżeni zachowują się jak szaleńcy i rozpaczliwie domagają się

[262] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 311.

przesłuchania swoich świadków. Otwarcie oskarżają przed narodem fakt odrzucenia tego żądania. Mimo stanowczej postawy przewodniczącego [Hermanna] *i całego składu sędziowskiego, ich ustawicznie ponawiane pretensje przeszkadzają w prowadzeniu rozprawy. Oświadczyli, że nie uspokoją się, dopóki ich świadkowie nie będą przesłuchani. Prosimy was, abyście coś uczynili w tej sprawie, jako że nasze sądowe uprawnienia nie dają nam możliwości odrzucenia ich prośby*[263].

Na forum Konwentu nawet Saint-Just nie mógł zacytować tego listu dosłownie. Tak więc omówił go, oświadczając, że *Prokurator Publiczny właśnie poinformował mnie, że bunt oskarżonych zmusił go do zawieszenia procesu do czasu kiedy Konwent podejmie stosowne kroki* (...) *Nie potrzeba żadnych dalszych dowodów. Sam opór tych nikczemników stanowi najlepsze potwierdzenie ich winy!* Przedstawił następnie list od więźnia osadzonego w Luxembourgu do Robespierre'a który donosił o rzekomym spisku zawiązanym przez oskarżonych w celu ucieczki. Ułatwić ją miało zamieszanie, jakie przy okazji procesu wzbudzał Danton, oraz pieniądze żony Desmoulinsa. Czy list ów był fałszywką, czy zdobyto go drogą przekupstwa, a może po prostu próbą ocalenia życia i pozyskania łaski Komitetu Ocalenia Publicznego, jaką w obliczu śmierci podjął jeden z więźniów – tego nie wiadomo. Saint-Just domagał się, aby Konwent uchwalił niezwłocznie, że *każdemu podejrzanemu, który stawia opór albo obraża narodowy wymiar sprawiedliwości, zabrania się przemawiania we własnej obronie*[264].

Konwent, obezwładniony strachem, uchwalił ten przepis. Amar pospieszył z Tuileries, gdzie obradowało zgromadzenie do Pałacu Sprawiedliwości, aby przekazać tekst uchwały Fouquier-Tinvillowi. Wywołał prokuratora z sali, wręczył mu dokument i powiedział:
– To ci powinno ułatwić pracę.

– W istocie, właśnie to było nam potrzebne – odparł Fouquier-Tinville i wrócił, aby odczytać dekret.

Amar siedział teraz na sali rozpraw, razem z Vadierem, który tydzień wcześniej zadeklarował zamiar „wyprucia flaków" Dantonowi, oraz malarzem Davidem – niegdysiejszym przyjacielem Danto-

[263] Hibbert, str. 242.

[264] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 314-315.

na, a teraz jego wrogiem, jako że za wszelką cenę starał się przypodobać aktualnym przywódcom Rewolucji. Wszyscy trzej byli członkami Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego. Danton spojrzał na nich. Doskonale wiedział, kim są, za czym się opowiadają i kto naprawdę nimi steruje. Podniósł się i ryknął, aż zadygotały mury: – Jesteście mordercami! Mordercami! Spójrzcie na nich! Doprowadzili do naszej śmierci! Nikczemny Robespierre! Ty też trafisz na szafot! Będziesz następny![265]

Nazajutrz, 5 kwietnia rano, na mocy wydanego dzień wcześniej dekretu, Fouquier-Tinville ogłosił zakończenie procesu. Zanim jednak głowa Dantona trafiła pod ostrze gilotyny, trzeba było pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Przysięgli, których z taką starannością dobierał prokurator, musieli uznać go winnym. A oni się z tym nie spieszyli.

W miarę jak upływały godziny, a wyroku nie było, Fouquier-Tinville i Hermann, początkowo tylko zniecierpliwieni, zaczęli się bać. W końcu weszli po prostu do sali, w której trwała narada przysięgłych, i przypomnieli im, co mieli uczynić. Kiedy i to nie poskutkowało, naciski i groźby zastosowali Amar i Vadier z Komitetu ds. Bezpieczeństwa Powszechnego. Pokazali jakiś dokument – prawdopodobnie kompromitujący list znaleziony podczas przeszukania domu Dantona, który rzekomo miał przekonać przysięgłych o jego winie. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, bardziej prawdopodobne wydaje się, że przysięgłych ostatecznie przekonała groźba posłania na gilotynę. Tak czy inaczej, orzekli winę Dantona i skazali go na karę śmierci.

W ciągu kilku minut rozpoczęto przygotowania do egzekucji wszystkich skazanych. Desmoulinsa, który płakał i krzyczał, trzeba było przywiązać do ławy. Danton na przemian żartobliwie i poważnie wyraził swą pogardę dla ludzi, którzy go zniszczyli. Drwił z szaleństwa, jakie ogarnęło Paryż, i wyraził nadzieję, że dokonała się zmiana, z której nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy. Kiedy wchodził na wóz, który miał go zawieźć na gilotynę, powiedział: – Pociesza mnie myśl, że potomność łaskawie potraktuje człowieka, który zginął jako przywódca Pobłażliwych[266].

[265] *Ibid.*, str. 315.

[266] *Ibid.*, str. 317.

Trzy wozy wypełnione skazańcami ruszyły w drogę. Powoli posuwały się w stronę Placu Rewolucji, na którym w oddali majaczyły kontury gilotyny. Tłumy na ulicach były ogromne, ale milczące. Wzrok wszystkich był skierowany na Dantona, ale on już się nie odezwał, od czasu do czasu zamieniał tylko kilka słów z innymi skazańcami. Jego oczy jednak nieustannie omiatały znajome ulice i morze zwróconych ku niemu twarzy. Powolna procesja zmierzająca ku śmierci dotarła mniej więcej do połowy drogi. Na ulicy St. Honoré, Danton wlepił nagle baczne spojrzenie w człowieka w czerwonym kapeluszu i karmanioli, który kroczył przy jego wozie od samego Pałacu Sprawiedliwości. W tym ubraniu wyglądał jak każdy inny rewolucjonista, ale właśnie na rue de St. Honoré, Danton wreszcie go rozpoznał.

Człowiekiem tym był ojciec Kéravénan. Louise specjalnie poprosiła go, by się tam zjawił, ale możemy być pewni, że przyszedłby także bez jej wstawiennictwa. Ksiądz odmawiał modlitwy za umierających. Kiedy Danton napotkał jego spojrzenie i rozpoznał go, skłonił głowę. Stojąc na poboczu drogi, ojciec Kéravénan udzielił mu ostatniego rozgrzeszenia.

Owego bladego i mglistego popołudnia na przednówku paryskiej wiosny piętnastu ludzi miało stracić życie. Danton był ostatnim z nich. Patrzył, jak jedna po drugiej spadają głowy jego towarzyszy, a czerwona plama na deskach szafotu robi się coraz większa. Stał niczym skała, blednące promienie słońca podkreślały kontury jego ogromnej sylwetki. Jeden z naocznych świadków przekazał nam, że *W zamierającym świetle dnia wielki przywódca zdawał się unosić ze swego grobu, a zarazem przygotowywać, aby do niego zstąpić. Nigdy nie widziano nikogo odważniejszego od owego niewzruszonego siłacza, nic nie robiło tak potężnego wrażenia, jak jego sylwetka, która zdawała się rzucać wyzwanie ostrzu.*

Gdy wreszcie nadeszła kolej na Dantona, wizja Louise – jego dobrego anioła, na krótką chwilę zmąciła kamienny spokój skazańca.

– Ukochana – powiedział – czy nigdy już cię nie ujrzę? – I zaraz dodał: – Spokojnie, spokojnie, Danton. Żadnej słabości.

Z wysoko podniesioną głową, w ostatnim geście przekory zwrócił się do kata Sansona: – Musisz pokazać moją głowę ludowi. Jest tego warta[267].

[267] *Ibid.*, str. 319-320.

Ogromne ostrze opadło. Georges-Jacques Danton, twórca i przywódca Francuskiej Rewolucji zginął z jej ręki. Miał trzydzieści cztery lata.

Danton nie żył, ale Rewolucja i Terror trwały. Mamy uzasadnione powody dla nadziei, że skrucha i ekspiacja uratowały jego duszę. Ale ostatecznie, w rozstrzygającej bitwie ducha, gilotynę może pokonać tylko Krzyż. Siostra Vitasse – karmelitanka z ulicy Grenelle, która nie była mocarzem śmiałości, objawiła w istocie rzeczy, jedyną drogę, jaka prowadzi do odniesienia zwycięstwa nad tak wielkim złem.

IX

Męczennicy

(6 kwietnia – 17 lipca 1794)

Paryż, znany jako Miasto Świateł, przez niemal cztery miesiące pogrążony był w całkowitych ciemnościach.

Dziewiętnastoletni wówczas Joseph Broz, późniejszy członek Francuskiej Akademii Nauk, wspominał: *Widziałem Paryż w owych dniach zbrodni i żałoby; sądząc z otępiałego wyrazu ludzkich twarzy, można było pomyśleć, że miasto nawiedziła zaraza. Śmiertelną ciszę przerywał jedynie rechot kilku kanibali*[268].

Zdawało się, że machina śmierci żyje już własnym, samodzielnym życiem. Robespierre posługiwał się nią i jeżeli ktoś sprawował jeszcze nad nią jakąkolwiek kontrolę, to właśnie on. Członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego oraz Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego podpisywali dekrety, Fouquier-Tinville pociągał za dźwignię, ale wszyscy na przestrzeni tych koszmarnych miesięcy sprawiali wrażenie, że służą owej machinie ślepo, jakby zahipnotyzowało ich lśniące ostrze, które opadało codziennie i po wielokroć. Była taka okropna chwila, kiedy Fouquier-Tinville przechodził wieczorem po Pont Neuf. Nagle zatoczył się, potknął i omal nie wpadł do rzeki.

---

[268] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 331.

– Źle ze mną – zwierzył się towarzyszowi. – Czasami wydaje mi się, że widzę idące za mną cienie zmarłych[269].

Stanley Loomis, historyk zajmujący się okresem Terroru, który najlepiej potrafił zawładnąć wyobraźnią czytelników, stwierdza: *Kiedy czyta się o tamtym okresie, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że starły się tam siły potężniejsze od tych, jakimi rozporządza człowiek*[270]. R.R. Palmer – człowiek o wiele bardziej prozaiczny i powściągliwy, (a pod wieloma względami nawet apologeta Rewolucji Francuskiej), w którego dziełach nie wyczuwa się, aby bliska mu była perspektywa katolicka i chrześcijańska, stwierdza zdumiewająco prawdziwie: *Zaraza ta nie oszczędziła nawet ludzi rozsądnych. Byli w stanie ducha, który współcześni konserwatyści trafnie określają mianem szatańskiego*[271].

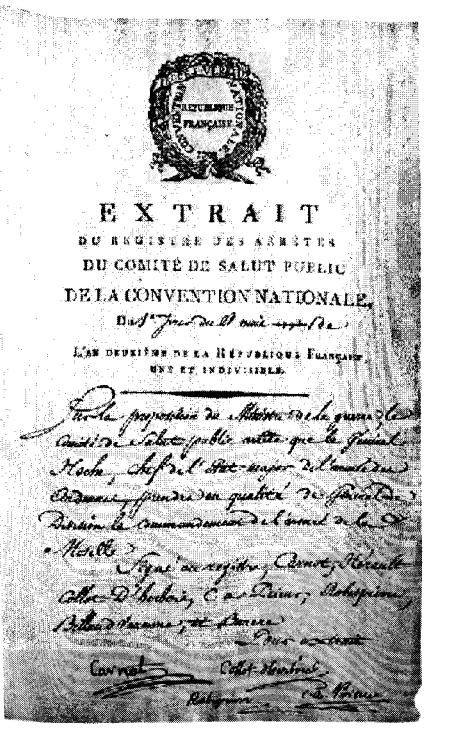
EXTRAIT
DU REGISTRE DES ARRÊTÉS
DU COMITÉ DE SALUT PUBLIC
DE LA CONVENTION NATIONALE.

Rejestrr decyzji Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego z października 1793 roku z podpisem Robespierre'a

W ciągu dwóch miesięcy, jakie upłynęły od egzekucji Dantona do uchwalenia ustawy 22 Prairiala (10 czerwca), która po raz pierwszy zezwoliła Trybunałowi Rewolucyjnemu na wykonywanie egzekucji bez przeprowadzenia procesu, w samym Paryżu zgilotynowano ponad pięciuset mężczyzn i kobiet – przeciętnie dziesięcioro dziennie. Od 10 czerwca do 27 lipca, kiedy obalenie Robespierre'a położyło kres Terro-

[269] *Ibid.*, str. 328-329.

[270] *Ibid.*, str. 328.

[271] Palmer, str. 406.

rowi, stracono 1366 ludzi – oznacza to, że każdego dnia ginęło przeciętnie trzydzieści osób. Przed 27 lipca tysięcy w samym tylko Paryżu ponad siedem tysięcy obywateli było już skazanych na śmierć i oczekiwało na wykonanie wyroku. W kraju liczba ta sięgnęła niemal stu tysięcy. W niniejszej książce skoncentrowaliśmy się na egzekucjach, jakie miały miejsce w Paryżu, ale w innych francuskich miastach gilotyna była wykorzystywana niemal tak samo intensywnie. 27 lipca w Strasbourgu na egzekucję oczekiwało 3000 skazańców, w Tuluzie 1500, a w Arras 1000. Co najmniej 300 tysięcy osób oficjalnie uznano za „podejrzane", a zatem na mocy ustawy z 22 Prairiala, w każdej chwili mogły zostać aresztowane, oskarżone i stracone bez sądu[272].

W tamtym okresie nie istniała już we Francji żadna zbrojna opozycja z wyjątkiem kilku rozproszonych partyzanckich oddziałów w Bretanii i w Wandei. Dysponowały drobnym ułamkiem dawnej siły. Wszyscy pozostali bojownicy zostali wyłapani i nie miał już kto chwycić za broń, aby wydać walkę rządowi.

W istocie, był to czas męczenników, bo tylko męczeństwo może zatriumfować nad podobną tyranią. Jego rozmiary miał powiększyć dekret z 11 kwietnia. Stanowił on, że kara śmierci czeka wszystkich, którzy przyjmą u siebie, nakarmią, albo udzielą schronienia księżom lojalnym wobec Rzymu.

Dla Jean-Baptiste Gobela nadchodzący dzień był przedostatnim dniem pobytu na tej ziemi. Gobel pełnił niegdyś funkcję schizmatycznego arcybiskupa Paryża. Wyparł się kapłaństwa w czasie listopadowej „dechrystianizacji". Teraz jednak, o ironio, miał pójść na gilotynę jako hebertysta. Umierał w skrusze i wierze, która była jego wiarą dzięki łasce chrztu, bierzmowania, święceń i Eucharystii. 12 kwietnia napisał list do starego biskupa wikariusza Lothringera. On to, jako jeden z trzech kapłanów jawnie wypełniających w Paryżu swoją posługę, odrzucił namowy Gobela i nie zaparł się wiary ani kapłaństwa.

Oto wigilia mojej śmierci, przesyłam ci moją spowiedź na piśmie. Za kilka dni, dzięki boskiemu miłosierdziu odkupię wszelkie zbrodnie i zgorszenia, jakie popełniłem wobec Jego świętej religii. W głębi serca zawsze przyklaskiwałem zasadom, jakimi się kierowałeś. Wybacz mi, drogi abbé, jeśli skusiłem cię do błędu. Błagam,

[272] *Ibid.*, str. 305; Thompson, str. 538; Loomis, *Paris In the Terror*, str. 328; Madelin, str. 406.

Pseudoreligijna uroczystość w kościele

abyś nie odmawiał mi ostatniej posługi i bez narażania się na niebezpieczeństwo pojawił się u wrót Conciergerie, a kiedy wyjdę, rozgrzeszył mnie ze wszystkich grzechów, nie zapominając o pierwszych słowach: „z wszelkich okowów klątwy" (ab omni vinculo excommunicationis). Żegnaj, mój drogi *abbé, módl się do Boga za moją duszę, która być może doświadczy Jego miłosierdzia*[273].

Ojciec Lothringer z narażeniem życia uczynił, o co go poproszono. 13 kwietnia biskup Gobel pojechał na gilotynę na jednym wozie z Chaumette'm, który był pomysłodawcą i realizatorem „dechrystianizacji". Rozwścieczony Chaumette miotał się i krzyczał, co mu ślina na język przyniosła, Gobel siedział, milcząc ze spuszczonymi oczyma i przez cały czas po cichu odmawiał modlitwy za konających. Na szafocie jednak podniósł wysoko głowę, a jego ostatnim okrzykiem było: *Vive Jesus Christ!*[274]

[273] Hérissay, str. 242. Tłumaczenie autora.

[274] Madelin, str. 404.

Była Niedziela Palmowa, osiem dni po egzekucji Dantona. Kiedy jechali wozem na miejsce kaźni, obaj mężczyźni otrzymali ostatnie rozgrzeszenie od księży, stojących na poboczu drogi.

Za starania, jakie podjęła dla uratowania męża, w tę samą Niedzielę Palmową, skazano na śmierć piękną Lucille Desmoulins. Horace, jej synek, którego miała z Kamilem, został sierotą. Ojcem chrzestnym Horacego był Robespierre. List zrozpaczonej matki Lucille skierowany do Robespierre'a, przemawia w imieniu wszystkich jego ofiar:

Nie dość ci, że zamordowałeś najlepszego przyjaciela, ale chcesz jeszcze krwi jego żony. Fouquier-Tinville – ten potwór na twoich usługach, rozkazał właśnie, żeby ją odwieziono na szafot. Nie miną dwie godziny, a będzie martwa. Jeżeli nie jesteś tygrysem w ludzkiej skórze, jeśli krew Kamila nie doprowadziła cię do szaleństwa, jeżeli nadal pamiętasz szczęśliwe wieczory, które spędziłeś z nami przy kominku, bawiąc się z małym Horacym – oszczędź niewinną ofiarę. Jeśli nie – nie zwlekaj i zabierz nas wszystkich: Horacego, mnie i moją córkę Adéle. Pospiesz się i rozedrzyj nas swymi pazurami wciąż ociekającymi krwią Kamila (...) pospiesz się, pospiesz, abyśmy wszyscy mogli zasnąć w jednym grobie![275]

Lucille pojechała na gilotynę wozem, który podążał za furmanką wiozącą Gobela i Chaumette'a. Przez cały czas okazywała niewzruszoną odwagę, która przeczyła jej reputacji płochej i kokieteryjnej dziewczyny. Była ubrana z *niezwykłą starannością i smakiem.* Bez wahania weszła po stopniach wiodących na szafot i *kiedy dosięgnął ją śmiertelny cios, zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na poczynania kata*[276].

Nocą, 10 sierpnia 1792 roku, kiedy w Paryżu rozdzwoniły się dzwony, a w dziejach Rewolucji Francuskiej rozpoczynał się jej kulminacyjny okres, w mieszkaniu Dantona i pod jego opieką przebywały trzy młode kobiety. Teraz dwie z nich nie żyły, a Danton również.

15 kwietnia w ważnym przemówieniu, które wygłosił na forum Konwentu, Saint-Just domagał się jeszcze bezwzględniejszych posunięć:

Należy koniecznie pomścić naszych ojców i z gruzów monarchii usypać kurhan nad grobowcem jakże wielu zniewolonych i nieszczęśliwych pokoleń (...) Dlatego musicie poświęcić uwagę zapew-

[275] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 327.

[276] Hibbert, str. 245.

nieniu porządku w państwie oraz stosować bardzo surową cenzurę wobec wrogów Rewolucji i wobec władz publicznych. Zachęcajcie sędziów, by śmiało wymierzali sprawiedliwość, chrońcie ich i sprawcie, by byli szanowani, ale jeżeli odstąpią od wykonywania waszych dekretów, srogo ich ukarzcie[277].

Saint-Just przedstawił projekt ustawy, która liczyła 18 artykułów. Konwent zwiększył ich liczbę do 26 i uchwalił go następnego dnia. Odtąd, szlachcicom i cudzoziemcom nie wolno było zamieszkiwać w Paryżu. Oskarżonych o spiskowanie należy w możliwie jak największej liczbie sprowadzić z terenu całej Francji do stolicy i wytoczyć im proces przed Trybunałem Rewolucyjnym. Każdy, kto narzeka na Rewolucję, jeżeli nie ma *konkretnego zajęcia*, nie ukończył sześćdziesięciu lat i jest w miarę zdrowy, będzie zesłany do Gujany. Powołano nową komisję, której zadaniem było *powołanie ciała złożonego z obywatelskich instytucji zajmujących się ochroną dobrych obyczajów oraz ducha wolności*[278].

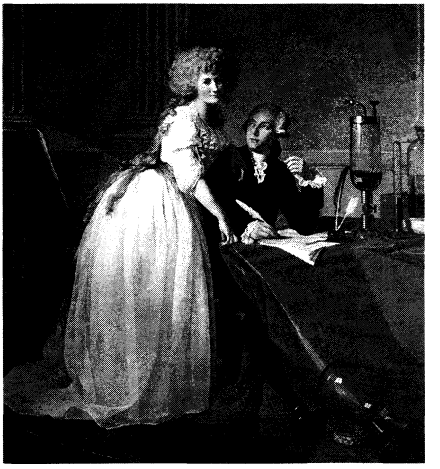

Antoine Lavoisier z żoną (obraz Davida)

28 kwietnia na gilotynę poszły 32 osoby, a wśród nich niegdysiejszy markiz de Montbrun i jego siostra, której jedyną zbrodnią, oprócz arystokratycznego rodowodu, było ukrywanie pięciu sióstr urszulanek. Na początku maja ścięto księżniczkę Elżbietę, siostrę Ludwika XVI – jedynego dorosłego członka rodziny królewskiej, któremu dotąd jeszcze udało się przeżyć w więzieniu. Razem z nią powędrował na szafot sławny naukowiec Antoine Lavoisier[279].

---

[277] Gurtis, str. 228.

[278] *Ibid.*, str. 229.

[279] Antoine Lavoisier (1743-1794) Jego prace wprowadziły do chemii pomiary ilościowe i obaliły teorię flogistonu. M.in. wykazał obecność tlenu i azotu w powietrzu, dokonał analizy i syntezy wody, sformułował prawo zachowania masy (przyp. tłum.).

6 maja Robespierre wywołał zrozumiałą sensację, oznajmiając na posiedzeniu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, że jego zdaniem Republika Francuska powinna oficjalnie uznać istnienie Boga.

Nie chodziło mu, rzecz jasna, o Boga, jakiego wyznają katolicy. Księży nadal poczytywano za zatwardziałych wrogów Rewolucji. Robespierre nigdy ani jednym słowem nie zająknął się o Chrystusie. Bóg, dla którego domagał się oficjalnego rządowego uznania, był wygodną deistyczną abstrakcją. Nadawał duszy nieśmiertelność, ale nigdy nie ingerował w ludzkie sprawy. „Najwyższa Istota" – tak oto brzmiał jedyny tytuł, jakim można go było określać.

Owa deklaracja i przemówienie w Konwencie, które Robespierre wygłosił na ten temat następnego dnia, a nade wszystko zdumiewające święto ku czci „Najwyższej istoty", które odbyło się miesiąc później, są tematem omawianym przez większość historyków, w tym także katolickich. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, uczeni czynią to z powagą, którą trudno usprawiedliwić. Istota, o której mówił Robespierre, nie miała zgoła nic wspólnego z Bogiem męczenników Rewolucji ani Bogiem, przed którym ukorzyli się w skrusze Gobel i Danton. Ów „bóg" nader przypominał samego Maksymiliana Robespierre'a. W czasie „święta Najwyższej Istoty" głosił jej chwałę z ogromnej tekturowej góry, przy której zjawił się przed oficjalną procesją, aby mieć pewność, że pierwszy się na nią wdrapie. Ubrany w jasnobłękitny surdut i żonkilowe pantalony, otulony chmurą kadzidlanego dymu, przemówił do ogromnego tłumu. Dla uczczenia tak niezwykłego wydarzenia tego dnia gilotynę przybrano aksamitem i nie odcięła ona ani jednej głowy.

Nazajutrz, zanim jeszcze gilotyna rozpoczęła codzienną pracę, tłumy przemaszerowały z Placu Rewolucji na plac, na którym niegdyś stała Bastylia. Główną przyczyną były nieoczekiwane trudności: oto zwierzęta, które ciągnęły wozy ze skazańcami, nie chciały już wchodzić na plac. Zapach nasączonej krwią ziemi drażnił im nozdrza i budził w nich przerażenie. Zwierzęta, równie dobrze jak ludzie, wiedziały, co oznacza krew, a zmysł powonienia miały nieporównanie lepszy. Za nic nie chciały postawić nogi na placu i nie mógł tego zmienić żaden dekret Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego.

Licząc od11 maja, w ciągu tygodnia stracono 66-letnią damę Genevieve Goyon i dwie siostry dominikanki, którym udzieliła schronie-

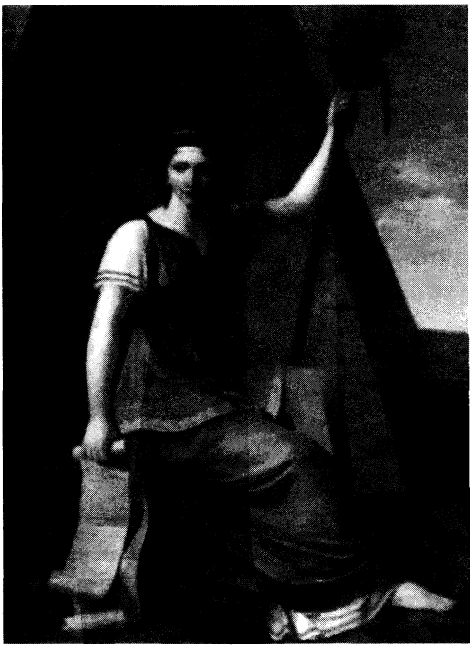

Rewolucyjne symbole

nia, a razem z nimi trzech księży lojalnych wobec papieża. Ojca Lartigue, dawnego proboszcza paryskiej parafii Fontenay-aux-Roses, także ścięto za wierność Rzymowi. Ten sam los spotkał nazajutrz księdza Rougane z Auvergne. Nie wszyscy męczennicy i ci, którzy im pomagali, byli księżmi albo zakonnikami. Pierre Mauclaire był drobnym sklepikarzem, który handlował używanymi rzeczami. Aresztowano go, bo wypowiadał się przeciwko próbom likwidacji katolickich obrzędów religijnych na terenie Paryża. Osadzony w więzieniu Luxembourg, 15 maja napisał ten oto list:

Czy nie ma podstaw mówić, że od czterech lat wszyscy, poczynając od księży, jesteśmy poddawani jawnym prześladowaniom, w których zginęła i co dzień ginie ogromna liczba chrześcijan? (...) Ileż niewinnych ofiar znosi męki w więzieniach nieszczęsnej Francji i ze spokojnym sumieniem oczekuje, aż zło przeminie. Wznoszą okrzyki pełne łez do Boga, dla którego cierpią (...) Nawróć nas Panie, abyśmy do Ciebie powrócili i odpokutowali za bezmiar ohydnych zbrodni (...) Niech miłosierdzie Twoje da nam prawdziwie chrześcijańskiego króla, aby odmienił żałosny stan, w jakim znajduje się Francja, i żarliwie dbał o Twoje świątynie, Twoje ołtarze i relikwie Twoich świętych, które z taką wściekłością sprofanowano. Daj nam Panie świętobliwych księży, żeby nauczali prawdziwej religii, abyśmy po trzykroć świętemu Bogu przynieśli jedyną Ofiarę zdolną ułagodzić Twój gniew (...) Ześlij Francji pokój[280].

[280] Hérissay, str. 251. Tłumaczenie autora.

Pierre Mauclaire zginął na gilotynie 24 maja. W ostatnim liście, który napisał trzy dni wcześniej, dawał wyraz wierze, nadziei i zaufaniu, że Bóg da mu siłę, aby w obliczu rewolucyjnych sędziów zachować wiarę, którą *ustanowiła i scementowała Krew Boga oraz krew milionów męczenników*[281].

We Francji w owych tygodniach wszelki zbrojny opór przeciwko Rewolucji ograniczał się do sporadycznych partyzanckich potyczek. Wojna z europejskimi mocarstwami toczyła się nadal wedle scenariusza, jaki w swoim czasie naszkicowała dziwna bitwa pod Valmy. Austriaccy generałowie już wcześniej uznali, że nie ma nadziei na odzyskanie Belgii i uwolnienie jej od rewolucyjnych rządów i okupującej ją armii. 26 czerwca potwierdziła to bitwa pod Fleurus, w której Francuzi odnieśli całkowite i niekwestionowane zwycięstwo. Na morzu, które jest naturalnym żywiołem Wielkiej Brytanii, rewolucyjna marynarka wojenna zmusiła do maksymalnego wysiłku angielską flotę admirała „Black Dicka" Howe'a. Bitwa morska trwała pięć dni i zakończyła się 1 czerwca. Co prawda, szala zwycięstwa przechyliła się w końcu na stronę Brytyjczyków, ale duży francuski konwój transportujący z Ameryki tak potrzebne krajowi zboże, dotarł bezpiecznie do portu. Zadaniem Howe'a było do tego nie

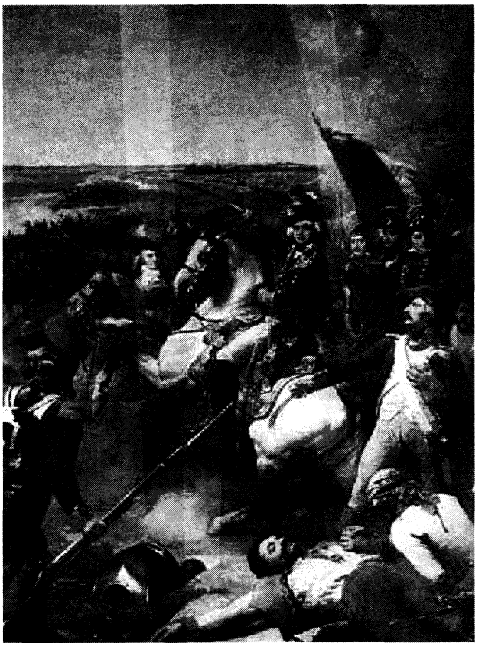

Bitwa pod Fleurus – w centrum Jean-Baptiste Jourdan, bohater tej bitwy

[281] *Ibid.*, str. 252.

dopuścić. Z zagranicy jeszcze przez długi czas nie nadejdzie pomoc zdolna uwolnić Francję od rządów Rewolucji.

10 czerwca Georges Couthon w imieniu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przedłożył Konwentowi tzw. Ustawę z 22 Prairiala, na mocy której po raz pierwszy można było wykonywać egzekucje bez żadnego procesu, wyłącznie na mocy wyroku Trybunału Rewolucyjnego. Ustawa była pomysłem Robespierre'a, który oświadczył, że jej celem jest wyposażenie Trybunału we wszelkie uprawnienia, tak aby w ciągu 24 godzin możliwe było wydanie orzeczenia w każdej sprawie i w odniesieniu do każdego oskarżonego (Nawiązywał tu do pośpiechu, z jakim przeprowadzono egzekucję Maillarda, który jako hebertysta, zginął na gilotynie kilka miesięcy wcześniej). Robespierre domagał się, aby Konwent uchwalił ustawę jeszcze tego samego dnia. Później niektórzy członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego utrzymywali, że projekt trafił do zgromadzenia bez konsultacji z nimi, ale wówczas żaden z nich nie zaprzeczył, że edykt, który przedstawił Couthon, jest wnioskiem Komitetu. Zasadę, że *zgodnie z prawem same dowody bez zeznań świadków i pisemnych oświadczeń nie wystarczają do skazania,* Couthon nazwał zwykłym *uprzedzeniem starego reżimu*[282].

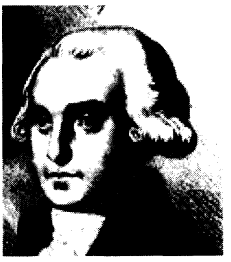

Gorges Couthon

Owa przerażająca ustawa, prawzorzec współczesnego totalitaryzmu, zasługuje na obszerne zacytowanie:

Trybunał Rewolucyjny jest powołany do wymierzania kary wrogom ludu. Wrogami ludu są ludzie, którzy siłą lub intrygami dążą do zniszczenia powszechnej wolności. Za wrogów ludu będą uważani:

Ci, którzy będą głosili ponowne ustanowienie monarchii lub dążyli do zdyskredytowania bądź rozwiązania Narodowej Konwencji oraz republikańskich i rewolucyjnych rządów, których jest ona istotą;

Ci, którzy zdradzą Republikę, dowodząc twierdzą albo armią lub sprawując inną wojskową funkcję, którzy będą kontaktowali się z wrogami Republiki bądź dążyli do spowodowania niedoborów w ludziach albo braków w zaopatrzeniu;

---

[282] Palmer, str. 365.

Ci, którzy będą chcieli uniemożliwić zaopatrzenie Paryża albo doprowadzić do głodu w Republice;

Ci, którzy będą sekundować zamysłom wrogów Francji poprzez udzielanie schronienia lub ukrywanie spiskowców i arystokratów, prześladowanie i szkalowanie patriotów, korumpowanie reprezentantów ludu bądź też nadużywanie zasad, prawa i rządów Rewolucji poprzez składanie bezpodstawnych i podstępnych wniosków;

Ci, którzy oszukają lud, albo jego reprezentantów i nakłonią ich do działań sprzecznych z interesami wolności;

Ci, którzy dla poparcia przedsięwzięć tyranów sprzymierzonych przeciwko Republice, będą szerzyli defetyzm;

Ci, którzy będą rozpowszechniali nieprawdziwe informacje, aby podzielić i zaniepokoić lud;

Ci, którzy będą dążyli do wprowadzenia w błąd opinii publicznej, nie dopuszczali do oświecenia ludu, psuli morale, demoralizowali narodowe sumienie i wystawiali na szwank siłę oraz czystość rewolucyjnych i republikańskich praw bądź hamowali ich rozwój pozornie niewinnymi, a w istocie kontrrewolucyjnymi publikacjami lub innymi machinacjami;

Ci, którzy zagrożą bezpieczeństwu Republiki nieuczciwymi kontraktami bądź też trwonieniem funduszy publicznych w sposób, który nie został uwzględniony w ustawie z 7 Frimaire'a;

Ci, którzy sprawując funkcje publiczne wykorzystają stanowisko, by pomóc wrogom Rewolucji, dokuczyć patriotom i uciskać lud;

Wreszcie wszyscy wyszczególnieni we wcześniejszych przepisach odnoszących się do karania konspiratorów i kontrrewolucjonistów, a także ci, którzy w jakikolwiek sposób lub pod jakimkolwiek pozorem wystąpią przeciwko wolności, jedności lub bezpieczeństwu Republiki bądź też będą dążyli do utrudnienia jej dalszego rozwoju.

Karą za wszelkie przestępstwa, przy których przeprowadzenie śledztwa należy do Trybunału Rewolucyjnego, jest śmierć. Dowodami koniecznymi do wydania wyroku na wrogów ludu są wszelkie świadectwa natury materialnej, moralnej, ustnej lub pisemnej, które w naturalny sposób wpływają na wydanie sprawiedliwej i uzasadnionej opinii[283].

[283] Higgins, str. 350-351.

Deputowany Ruamps, który przysłuchiwał się sformułowaniom odczytywanej ustawy, miał wszelkie powody, aby krzyknąć: – Jeżeli ta ustawa przejdzie, mogę od razu palnąć sobie w łeb! Proszę o zarządzenie przerwy w obradach.

Robespierre odparł mu jednak wątłym głosem, że: – Konwent długo omawia i uchwala dekrety, bo od dawna rządzą nim całkowicie rozmaite frakcje. Proponuję, aby zgromadzenie nie brało pod uwagę tego wniosku i kontynuowało obrady, aby, jeśli to konieczne, do godziny ósmej wieczorem, omówić zgłoszoną propozycję![284] Konwent podjął nieśmiałą próbę wyłączenia deputowanych spod przepisów ustawy, ale Robespierre do tego nie dopuścił. Przerażeni i zastraszeni członkowie zgromadzenia podporządkowali się jego żądaniom. Ustawa została uchwalona jeszcze tego samego dnia. Nazajutrz Konwent ponownie potwierdził, że aresztowanie któregoś z członków zgromadzenia wymaga co prawda jego zgody, ale jeżeli już jej udzieli, deputowani podlegają przepisom ustawy uchwalonej poprzedniego dnia i mogą zostać straceni bez przeprowadzenia procesu. Ta niewielka poprawka nie miała wówczas specjalnego znaczenia, bo Robespierre sprawował niemal absolutną władzę nad Konwentem.

Józef Fouché

Całkowicie podporządkował sobie także Komunę Paryża, która była wszak kołem zamachowym Rewolucji. Tuż po uchwaleniu ustawy z 22 Prairiala, w łonie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego wybuchały coraz to ostrzejsze dyskusje, co może świadczyć o tym, że rzeczywiście nie była ona konsultowana wcześniej z jego członkami. 6 czerwca, ku całkowitemu zaskoczeniu Robespierre'a, przewodniczącym paryskiego Klubu Jakobinów wybrano Józefa Fouché. W Lyonie zaskarbił sobie żywiołową wrogość jakobinów, ponieważ kiedy był tam jednym z przywódców Terroru, nie chciał dzielić się z nimi władzą. 6 kwietnia, po egzekucji Dantona, przyjechał do Paryża na wezwanie Robespierre'a. Na miejscu przekonał się, że stolica całkowicie podporządkowała się rządom „Nieprzekupnego".

[284] Madelin, str. 409-410.

Józef Fouché, potomek długiej linii bretońskich marynarzy, był chyba najsprytniejszym, najodporniejszym na ataki i najbardziej amoralnym człowiekiem, jakiego huragan Rewolucji wyniósł ze społecznych nizin. Nie przyświecały mu żadne ideały. Nie było takich spraw ani zasad, które uznałby za istotniejsze od samego siebie. Nie był jednak równie ambitny jak Napoleon. Cele, do których dążył, były stare jak świat: chciał władzy, pieniędzy i pragnął przeżyć, zachowując jedno i drugie. W dążeniu, aby to osiągnąć, nie uznawał żadnych moralnych ograniczeń. W czasie Rewolucji Francuskiej nie łatwo było zyskać majątek i wpływy, a rzeczą jeszcze trudniejszą było je zachować. Jemu to się udało.

Ów rewolucjonista, który głosował za śmiercią króla i nakazał wymordowanie tysięcy mieszkańców Lyonu, pełnił wysokie urzędy w sześciu kolejnych rządach. Każdemu z nich pomagał ugruntowywać władzę, aby następnie przyłożyć rękę do ich obalenia, i zawsze udawało mu się czerpać z tego niemałe korzyści. Zmarł we własnym łóżku, podobnie jak książę Otranto – honorowy doradca Ludwika XVIII. Cynizm Fouché potrafił zniszczyć wszystko i każdego: *Dobrze znam ludzi, nieobce są mi namiętności, które nimi kierują*[285]. Za rządów Napoleona zdradziecko zwabiono w pułapkę i zastrzelono księcia d'Enghien – prominentnego członka rodziny królewskiej (jedynego syna ostatniego księcia z linii Bourbonów i Kondeuszy). Po Europie przetoczyła się burzę sprzeciwów i krytyki. Fouché, który był wówczas szefem policji Napoleona, tak oto skomentował śmierć księcia: *To gorsze niż zbrodnia, to błąd.*

Po klęsce Rewolucji i upadku Napoleona, kiedy przywrócono monarchię, Ludwik XVIII przypomniał mu, że głosował za śmiercią królewskiego brata. Fouché odparł: – Była to pierwsza przysługa, jaką mogłem oddać Waszej Wysokości[286]. Odpowiedź ta zmusiła króla do milczenia, była bowiem na tyle prawdziwa, że odebrała mu moralne prawo dalszych indagacji.

Stanley Loomis celnie stwierdza również, że: *Fouché miał przeżyć wszystkich rewolucjonistów oraz większość członków Dyrektoriatu i Konsulatu. Z Józefem Fouché nie było żartów. Robespierre*

---

[285] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 356.

[286] *Ibid.*, str. 359.

zginął, zanim zdążył wyciągnąć wnioski z lekcji, jakiej mu udzielono. Inni, których spotkał podobny los, mieli się o tym przekonać na własnej skórze[287].

Zręczny manewr, dzięki któremu obrano go przewodniczącym Klubu Jakobinów, który wszak od dawna znajdował się pod całkowitą kontrolą Robespierre'a, był pierwszym krokiem w realizacji przemyślnej strategii Fouchégo. Jej celem było wymknięcie się spod ostrza gilotyny, na którą, jego zdaniem, zamierzał go posłać Robespierre. Poznali się w Arras, gdzie Fouché pracował jako administrator miejskiego seminarium. Tam też uwiódł i porzucił Charlotte, siostrę Robespierre'a, której najpierw zaproponował małżeństwo, a następnie zerwał z nią zaręczyny. Robespierre i Fouché zawsze serdecznie się nienawidzili. Józef Fouché, podobnie jak wielu innych ludzi (m.in. Danton), z początku nie doceniał Maksymiliana, ale bardzo szybko zorientował się, jaką popełnił pomyłkę.

Nazajutrz po uchwaleniu ustawy 22 Prairiala, Robespierre pojawił się w Klubie Jakobinów, aby oskarżyć Fouchégo. Ten jednak, jako przewodniczący, miał prawo zamknąć posiedzenie. Tak właśnie uczynił, po czym wyszedł z sali. Klub zebrał się ponownie następnego wieczoru, ale Fouché nie pojawił się na zebraniu. Robespierre kazał go wezwać. W odpowiedzi Fouché przysłał list, w którym prosił Klub, aby odroczył rozpatrywanie skargi przeciwko niemu do czasu otrzymania wyjaśnień na piśmie. „Nieprzekupny" ogłosił Fouchégo „prowodyrem spisku" i w typowym dla siebie stylu domagał się jego głowy:

Czyżby ten człowiek obawiał się, że na jego upiornej twarzy objawią się wszystkie zbrodnie, które popełnił? Że kiedy na niego spojrzymy, nasze oczy przenikną na wskroś jego duszę i odczytają myśli, które zgodnie ze swoją naturą skrzętnie skrywa? Czyżby ten człowiek obawiał się, że niezdecydowanie i sprzeczności zawarte w tym, co nam powie, obnażą przed nami jego winę? Człowiek, który nie potrafi spojrzeć w oczy współobywatelom, jest winny! Domagam się, aby Fouchégo wezwano tutaj na sąd!

Wzrok Robespierre'a, niczym oczy kobry, spoczął na kolejnej ofierze. Wąż sposobił się do ataku i śmiertelnego ukąszenia. Józef

[287] *Ibid.*, str. 357.

Fouché przypominał jednak mangustę, która na nie poluje – dostatecznie szybką, aby uskoczyć, gdy kobra uderza, i zawsze gotową do niespodziewanego ataku. Był ostatnią osobą, w której można by upatrywać rycerza w lśniącej zbroi. Maksymilian Robespierre, pan gilotyny, zstąpił jednak do świata ludzi podobnych Fouchému. Sprawiedliwość nie zawsze pojawia się nad naszymi głowami, dzierżąc w dłoni wzniesiony miecz, bywa że przypomina mackę, która nagle wyłania się spod ruchomych piasków.

Tak więc, o ile męczennicy przystąpili do walki na wyższych poziomach ducha, kampania Józefa Fouchégo, wymierzona w pana Terroru rozpoczęła się skrycie i w podziemiu.

29 czerwca na gilotynę poszedł ojciec Vaurs, lojalny wobec papieża ksiądz, którego schwytano w Paryżu, a wraz z nim osiemnaścioro innych osób. Wśród nich był Nottaire, stary kucharz archidiecezji paryskiej, który ukrywał kilku zbiegłych księży, oraz dwudziestoletnia Catherine Doublot z Besançon. W jej rzeczach znaleziono około tuzina obrazków przedstawiających Najświętsze Serce Jezusa. Ponieważ było ono symbolem powszechnie używanym przez Wandejczyków, Fouquier-Tinville uznał, że posiadanie jakiegokolwiek wyobrażenia Najświętszego Serca stanowi dowód, iż jego posiadacz jest zamieszany w działalność antyrewolucyjną. Na początku lipca, ojciec Férey, który złożył przysięgę na wierność „konstytucyjnemu" kościołowi, a nawet wziął udział w obchodach „święta Najwyższej Istoty", publicznie oznajmił swoją skruchę, mimo iż wiedział, że wyznanie to jest równoznaczne ze śmiercią.

– Niech moja śmierć będzie pokutą! – krzyczał. – Umrę, dając świadectwo niezłomnemu przywiązaniu do katolickiej, apostolskiej i rzymskiej religii[288].

7 lipca na gilotynie stracono co najmniej 59 osób, a wśród nich Jean-Baptiste Auguste de Salignaca, osiemdziesięcioletniego emerytowanego księdza z arystokratycznym rodowodem. Kiedy przebywał w więzieniu Luxembourg, uznał, że jego misją powinno być przywracanie wiary więźniów, którzy wyparli się jej albo ją utracili. W wielu przypadkach jego starania kończyły się powodzeniem. Męczeństwo powitał z zadowoleniem: – Cóż za radość umierać za to, że wypełniłem swój obowiązek!

[288] Gorce, t. III, str. 528. Tłumaczenie autora.

Luxembourg – pałac-więzienie

Kiedy jechał na gilotynę, dzieci którym niegdyś pomagał, szły za nim, płacząc.

– Nie płaczcie, moje dzieci – powiedział. – To wola Boża. Módlcie się za mnie[289].

Skazańców, odwożonych razem z nim na gilotynę, nakłaniał, aby podobnie jak on ofiarowali swe życie w Bogu, oraz udzielał im ostatniego rozgrzeszenia. W dokumentach rewolucyjnych władz nie ma żadnej wzmianki o przyczynie jego egzekucji. Był po prostu jednym ze 159 więźniów Luxembourga zbiorowo skazanych na śmierć za wyimaginowany spisek, którego celem miało być wywołanie zamieszek w więzieniu. Wyrok śmierci *en masse,* nonszalancko i od niechcenia podpisał Saint-Just. W grupie tej znajdowało się jeszcze jedenastu innych księży. Wszystkich ścięto tego samego tygodnia.

9 lipca zgilotynowano Simona-Judę Masse – człowieka świeckiego, którego jedyną winą było uczestniczenie we mszy odprawianej przez księdza lojalnego wobec Rzymu. 13 lipca na rozkaz Komitetu Bezpieczeństwa, członkowie Gwardii Narodowej wtargnęli do domu madame Bergeron przy ulicy La Barillerie, gdzie właśnie odprawiał mszę ksiądz, który nie złożył przysięgi na wierność Konstytucji Cywilnej Kleru. Duchownego, madame Bergeron i kilku członów rodziny aresztowano i przewieziono do więzienia La Force, gdzie zgodnie z ustawą z 22 Prairiala oczekiwali na egzekucję. Ocaleli, bo 27 lipca ogłoszono koniec Terroru.

W czasie wielkiego prześladowania chrześcijan w Rzymie za panowania Dioklecjana do grona najsławniejszych męczenników należało kilka dwunastoletnich dziewczynek. Terror również skazał na śmierć dziewczynkę w tym właśnie wieku. Nazywała się Jeanne-Julie Champy.

[289] *Ibid.*, str. 529.

Ocalała wyłącznie dlatego, że Terror nagle się skończył. Pracowała wraz z ciotką w domu, będącym własnością lojalnego księdza Cirrieza, który przybrał nazwisko Duché i często odprawiał w mieszkaniu msze. 15 lipca komisarze lokalnej sekcji Komuny Paryża aresztowali i przesłuchali Jeanne-Julie, która stawiła im czoła, odpowiadając na pytania z absolutną szczerością i niewiarygodną odwagą:

– Skąd znasz człowieka o nazwisku Cirriez?

– Poznałam go w pracy (...) Nie mam obowiązku mówić, co robię, a czego nie, kiedy przychodzę do jego domu, bo chodzę także do innych.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że z ręki Rewolucji giną niewinni?

– Zawsze tylko to, że wielu niewinnych zostało niesprawiedliwie skazanych; w przeszłości bardziej starano się unikać skazywania ludzi na śmierć... Tak uważam.

– Czy wielokrotnie byłaś na mszy w domu człowieka nazwiskiem Cirriez? Kto tam jeszcze przychodził?

– Nie mogę nic o tym powiedzieć, bo przychodziłam tam tylko do pracy... Zresztą nie mam wam nic do powiedzenia.

– Jaki dzień wybierasz dla odpoczynku – starą niedzielę czy décadi?

– Wyznaję religię, której nauczyli mnie ojciec i matka. Przestrzegam świąt i niedziel, i nie zmienię się.

– Czy podoba ci się obecny rząd?

– Nie bardzo... Nie, stanowczo nie!

Dlaczego nie lubisz obecnego rządu?

– Bo nie jest sprawiedliwy.

Kontemplacyjne wspólnoty religijne stały się jednym z pierwszych obiektów wściekłego ataku Rewolucji wymierzonego w Kościół katolicki. Od maja 1789 roku, kiedy zwołano Stany Generalne nie minął nawet rok, kiedy uchwalono prawo nakazujące ich rozwiązanie. Mimo to, wiele wspólnot przetrwało w ukryciu. Wśród nich zgromadzenie sióstr karmelitanek z Compiègne – miasta w północno-wschodniej Francji, położonego niedaleko Paryża. Był to pięćdziesiąty trzeci klasztor karmelitanek, który zaakceptował reformy św. Teresy z Avila. Założono go w roku 1641. Siostry z owego zgro-

madzenia zawsze wyróżniała wierność i zapał w spełnianiu powołania. W sierpniu 1790 roku motłoch napadł na klasztor, własność sióstr została przejęta przez władze, a je same zmuszono do zrzucenia sukien zakonnych i opuszczenia budynku. Zakonnice podzieliły się na cztery grupy, które znalazły schronienie w czterech różnych domach w pobliżu tego samego kościoła w Compiegne i przez kilka lat udawało się im potajemnie wieść religijny żywot, który w dużej mierze nie odbiegał od tego przed Rewolucją. Rządy „Wielkiego Terroru" oznaczały jednak wzmożoną inwigilację i przeszukania, które przyniosły ujawnienie ich sekretu. W czerwcu 1794 roku większość karmelitanek aresztowano i osadzono w więzieniu.

Spodziewały się tego, nawet się o to modliły. Latem 1792 roku, najprawdopodobniej tuż po wydarzeniach 10 sierpnia, które zapoczątkowały najkoszmarniejsze dni Rewolucji, ich przeorysza, Madelaine Lidoine, w zakonie nazywana siostrą Teresą (wszystkie źródła opisują ją jako uroczą, przenikliwą i bardzo inteligentną kobietę), miała widzenie. Objawiło się jej niemal wszystko, co miało nadejść. Swoim zakonnicom powiedziała: – Wiele medytuję nad tym problemem i myślę, że potrzebny jest akt konsekracji, w którym wspólnota złoży samą siebie w ofierze, aby uśmierzyć gniew Boga, tak żeby na świecie zapanował boski pokój Jego Ukochanego Syna, aby został on przywrócony Kościołowi i państwu[290].

Siostry omówiły propozycję i przystały na nią, ale dwie najstarsze wahały się. Kiedy jednak nadeszły wieści o wrześniowych masakrach, w których chwalebne męczeństwo mieszało się z apostazją, również one dokonały wyboru i całym sercem przyłączyły się do pozostałych. Wszystkie złożyły ofiarę, która miała zostać przyjęta.

W czerwcu dokonano kolejnej napaści na ich domostwa. Rewolucjoniści porozbijali dewocjonalia i podeptali tabernakulum. Powiedzieli im, że ich miejsce kultu powinno zostać przeznaczone na schronisko dla psów. Karmelitanki zabrano do więzienia Conciergerie, w którym swe ostatnie dni spędziło wiele najznamienitszych ofiar gilotyny. Siostry ułożyły kantyczkę o swoim męczeństwie, którą śpiewały do znanej melodii Marsylianki. Oryginał tekstu pisa-

[290] Bruno de Jesus-Marie, *Le sang du Karmel; ou la véritable passion des seize Carmélites de Compiègne*, Paris 1954, str. 28. Tłumaczenie autora.

nego ołówkiem zachował się – przekazały go pewnej świeckiej kobiecie, której udało się przeżyć.

Radują się nasze serca,
Bo nadszedł chwały naszej dzień,
Daleka nam jest wszelka słabość,
Bo sztandar w górę wznosi się;
Gotowe na zwycięstwo,
Maszerujemy na prawdziwy podbój,
Pod flagą konającego Boga
Biegniemy, by dostąpić chwały;
Rozpal na nowo nasz zapał,
Nasze ciała przynależą Panu
Wchodzimy, wchodzimy na szafot
I oddajemy się w ręce Zwycięzcy.

O, szczęściem zawsze pożądanym
Przez katolików Francji,
Jest iść tą cudowną drogą,
którą tak często wyznaczali
Swoim cierpieniem męczennicy
Na wzór Jezusa, razem z Królem,
Naszą Wiarę pokazujemy chrześcijanom,
Wielbimy Boga sprawiedliwości;
Jak żarliwy ksiądz,
Niezłomnie wierny,
Przypieczętujmy, przypieczętujmy ich krwią
Wiarę w konającego Boga...

Święta Dziewica naszym wzorem,
Wspaniała królowo męczenników,
Zechciej umocnić nas w zapale
Oraz pragnienia nasze oczyść,
Ochraniaj Francję mimo wszystko,
Pomóż nam wstąpić na Niebiosa;
Spraw, byśmy nawet w takim miejscu,
Czuły przejawy Twojej władzy.
Pokrzep swe dzieci, uległe, posłuszne,
Umierające, umierające w Jezusie
I wiarę w Króla naszego pokładające[291].

[291] *Ibid.*, str. 418-419. Tłumaczenie autora.

„Pielgrzymka" do świątyni wolności

17 lipca szesnaście sióstr doprowadzono przed oblicze Fouquier-Tinville'a. Wszystkie sprawy, zgodnie z życzeniem Robespierre'a, rozpatrywano teraz wciągu dwudziestu czterech godzin. Dla nich także nie uczyniono wyjątku. Oskarżono je o przechowywanie broni przeznaczonej dla *émigrés*. Przeorysza, siostra Teresa uniosła w górę krucyfiks i odpowiedziała: – Oto jedyna broń, jaką kiedykolwiek mieliśmy w naszym domu.

Drugim zarzutem było posiadanie obrusa ołtarzowego, którego zdobienia gloryfikowały dawną monarchię (prawdopodobnie chodziło o *fleur-de-lis*).

Siostry namawiano też, aby wyparły się wszelkiego przywiązania do rodziny królewskiej. Siostra Teresa odparła: – Jeśli to zbrodnia, wszystkie jesteśmy winne, nigdy nie wydrzecie z naszych serc przywiązania do Ludwika XVI i jego rodziny. Wasze prawa nie są w stanie zabronić uczucia; królestwo, którym władają, nie obejmuje afektów duszy; te może osądzić tylko Bóg.

Trzecim zarzutem było prowadzenie korespondencji z księżmi, których zmuszono do opuszczenia kraju, ponieważ nie złożyli

konstytucyjnej przysięgi – zakonnice bez wahania wyznały, że to prawda. Na koniec oskarżono je o „fanatyzm". W czasach Terroru ów wyjątkowo wieloznaczny zarzut pozwalał posłać na gilotynę każdego francuskiego katolika, który poważnie i szczerze wyznawał swoją wiarę.

Siostra Henriette – niegdyś Gabrielle de Croissy, zdecydowanie przeciwstawiła się Fouqier-Tinville'owi: – Obywatelu, twoim obowiązkiem jest odpowiedzieć na prośbę jednej ze skazanych. Wzywam cię, abyś nam odpowiedział i wyjaśnił, co rozumiesz pod słowem „fanatyk".

– Rozumiem pod nim przywiązanie do waszej infantylnej wiary i głupie praktyki religijne – warknął pierwszy prokurator Terroru.

Siostra Henriette zwróciła się do zakonnic: – Radujmy się, droga Matko i siostry, radością Pana, bo umrzemy za naszą świętą religię, wiarę i zawierzenie świętemu Rzymskokatolickiemu Kościołowi[292].

Jeszcze tego samego dnia pojechały na gilotynę. Podróż wozami trwała ponad godzinę. Przez całą drogę karmelitanki śpiewały „Miserere", „Salva Regina" i „Te Deum". W hałaśliwym i okrutnym tłumie, który im się przyglądał, zapadła cisza, a przecież widok publicznych egzekucji, które powtarzały się dzień po dniu, deprawował ludzi i powodował, że obojętnieli wobec nich coraz bardziej.

U stóp gilotyny siostry wzniosły oczy do nieba i odśpiewały „Veni Creator Spiritus". Następnie jedna po drugiej odnowiły zakonne śluby. Udzieliły przebaczenia katom. Któryś ze świadków tego wydarzenia krzyknął: – Spójrzcie na nie, są niczym anioły! Zaprawdę, jeżeli te kobiety nie pójdą prosto do Nieba, to nikt tam się nie dostanie![293]

Przeorysza, siostra Teresa, chciała, aby stracono ją jako ostatnią. Przychylono się do jej prośby. Pierwsza poszła na śmierć najmłodsza, siostra Konstancja. Weszła po stopniach gilotyny *niczym królowa idąca na koronację*, śpiewając *Laudate Dominum omnes gentes* (Chwalcie Pana wszystkie narody). Nie pozwoliła się dotknąć katowi i sama ułożyła głowę w odpowiedniej pozycji. Wszystkie

[292] *Ibid.*, str. 468-470. Tłumaczenie autora.

[293] *Ibid.*, str. 476.

zakonnice poszły za jej przykładem i wtórowały śpiewem każdej karmelitance, która wstępowała na szafot. I tak to trwało, aż pozostała już tylko przeorysza. W dłoni ściskała niewielką figurkę Błogosławionej Dziewicy Maryi. Egzekucja każdej z męczenniczek trwała około dwóch minut. Dochodziła ósma wieczorem, ale ponieważ był to środek lata, nadal było widno. Przez cały ten czas w tłumie, jaki zgromadził się wokół gilotyny, panowała ciężka, głęboka i niezmącona cisza.

Dwa lata wcześniej, zanim ten koszmar się zaczął, wspólnota sióstr zakonnych z Compiègne złożyła z siebie ofiarę, aby Francji i Kościołowi został przywrócony pokój. W pełni objawił się on dopiero dwadzieścia jeden lat później. Ale rządy Terroru miały trwać jeszcze tylko dziesięć dni. Francję czekały lata wojen, ucisku i prześladowań, ale oficjalne masowe egzekucje na placach Paryża odeszły w przeszłość. Gilotynę pokonał Krzyż.

X

Koniec Terroru

(18-28 lipca 1794)

W Paryżu nie pamiętano równie gorącego lata. Każdego upalnego dnia gilotyna zabierała coraz to więcej ofiar: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, czasem nawet osiemdziesiąt. Po uchwaleniu ustawy z 22 Prairiala, która odmówiła oskarżonym jakiegokolwiek prawa do obrony, Trybunał Rewolucyjny poświęcał coraz mniejszą uwagę elementarnym wymogom dochodzenia prawdy i przestrzegania procedur. Stanęli przed nim stary marszałek de Souchu i jego osiemdziesięcioletnia, zniedołężniała żona. W czasie przesłuchania okazało się, że jakiś urzędnik popełnił błąd i jej aresztowanie było nielegalne. Fouquier-Tinville zachował niezmącony spokój i kontynuował posiedzenie. Madame de Muchy, mimo tego uchybienia, została skazana i ścięta razem z mężem.

Sławnego poetę André Cherniera mylnie wzięto za jego brata i zgilotynowano na dwa dni przed upadkiem Terroru.

Dwie kobiety nazwiskiem Biron więziono w Conciergerie. Pewnego dnia do więzienia dotarł rozkaz, aby doprowadzić na przesłuchanie „kobietę Biron" (teraz był to jedyny „proces", jaki przysługiwał ofiarom). Kiedy urzędnik zapytał Fouquier-Tinville'a, o którą z kobiet mu chodzi, ten odparł mu, że równie dobrze może przyprowadzić obie.

Arystokratkę, madame de Maille skazano na śmierć, strażnicy uznali, że chodzi o inną więźniarkę o podobnie brzmiącym nazwisku i wsadzili madame Mayet na wóz, którym pojechała na gilotynę. Ktoś napomknął o tej pomyłce Fouquier-Tinville'owi. – Ponieważ już tu jest, możemy ją zabrać – odparł prokurator[294].

Konwent sparaliżował strach, deputowani sprawiali wrażenie wręcz zahipnotyzowanych. Powszechnie znana była maniera Robespierre'a wchodzenia na salę obrad w Tuileries w przyciemnionych okularach, które zasłaniały mu oczy. W trakcie posiedzenia od czasu do czasu unosił je ku brwiom i wbijał zimne zielone spojrzenie w któregoś z deputowanych. Ścinało im to krew w żyłach, bo ten, na którym spoczął jego wzrok, mógł paść kolejną ofiarą gilotyny. Jeden z nich miał chwilę roztargnienia, a kiedy się z niego otrząsnął, napotkał spojrzenie Robespierre'a, który bacznie się mu przyglądał. Przerażony, zanim zdążył ugryźć się w język, zwrócił się do stojących obok i palnął: – Teraz będzie uważał, że o czymś myślałem![295]

12 czerwca, dwa dni po uchwaleniu ustawy z 22 Prairiala, Robespierre wystosował do paryskiego Klubu Jakobinów pismo, w którym ostatecznie demaskował Fouchégo. Józef Fouché został natychmiast wyrzucony z Klubu i przeznaczony na ścięcie, ale nie uczestniczył w zebraniu i natychmiast gdzieś zniknął, jakby się zapadł pod ziemię.

Teraz, podobnie jak wielu przed nim, był ukrywającym się i ściganym uciekinierem. Józef Fouché, który wszak sam również był rewolucjonistą i terrorystą, w tej rozpaczliwej dla siebie sytuacji wzniósł się na wyżyny swoich możliwości. W przeciwieństwie do żyrondystów, nie miał złudzeń, które mógłby utracić, ani poczucia upokorzenia, które musiałby przezwyciężyć ani fałszywej dumy do zwalczenia.

W bardzo krótkim czasie otrząsnął się i był gotów do walki. Nikt lepiej od niego nie manipulował ludźmi. Józef Fouché był diabłem w ludzkiej skórze, ale miał jedną zaletę i jedną ludzką cechę, która jest godna podziwu. Był kochającym mężem i ojcem, nie pozostawił żony i dzieci losowi Lucille i Horacego Desmoulins. Nad

[294] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 334

[295] Madelin, str. 403

jego głową wisiał topór, ale właśnie wtedy objawił chłodną i niezłomną odwagę, która nie zachwiała się w obliczu ostatecznego starcia z panem Terroru i „Aniołem Śmierci".

Rewolucjonista francuski w brytyjskiej karykaturze. Nieogolony,bez spodni, z zakrwawionymi rękami, śpiewa „*Ça ira!*".

Gdyby chrześcijanin miał napisać scenariusz historii zakończenia Terroru, niewątpliwie uznałby, że doprowadzili do niego wielcy katoliccy bohaterowie: Cathelineau, la Rochejaquelein lub Hernan Cortez, ale w żadnym razie Józef Fouché. Bóg jednak *pisze prosto po liniach krzywych.* Chrześcijanin zaufa przekonaniu, że w wymiarze ostatecznym zakończenie Terroru zawdzięczamy w dużym stopniu modlitwom męczenników, zwłaszcza chyba karmelitanek z Compiègne. Bezpośrednim czynnikiem sprawczym był jednak jeden z ludzi Terroru. Ci, którzy rządzili Terrorem, sami padli jego ofiarą, i to jest sprawiedliwe.

Przez sześć tygodni od chwili oskarżenia go przez Robespierre'a, Fouché był w ustawicznym ruchu. Nigdy nie przesypiał dwóch nocy w tym samym miejscu. Na wszelki wypadek prawie w ogóle nie spał. Noc była porą, którą wybrał, by działać. Tylko nieliczni potrafiliby go rozpoznać na słabo oświetlonych ulicach. Celem wszystkich jego przedsięwzięć byli deputowani Konwentu, którzy w znakomitej większości przebywali wówczas w swoich mieszkaniach. Znał większość z nich, a oni znali jego. Rzadko umawiał się na spotkania. Pojawiał się niczym duch i niespodziewanie pukał do drzwi po zapadnięciu zmroku albo późnym wieczorem, kiedy uporczywa i parna duchota nie pozwalała zasnąć. Każdemu z nich miał do zakomunikowania wiadomość – taką samą dla wszystkich.

– Robespierre szykuje nową listę proskrypcyjną. Jest na niej twoje nazwisko[296].

Robespierre rzeczywiście przygotowywał nową listę ofiar. Nieustannie to czynił. Rządził dzięki temu, że sukcesywnie zabijał tych, którzy mogli mu się przeciwstawić, i w ten sposób terroryzował pozostałych: zmuszał ludzi, żeby siedzieli cicho, i odbierał im wolę walki. Jeżeli jednak wszyscy lub prawie wszyscy znaleźli się na jego liście, deputowani nie mieli już nic do stracenia. Byli jak szczury, które zapędzono w kąt. Musieli walczyć. I to właśnie zamierzał wymóc na nich Fouché.

Robespierre nie był głupcem. Prawdopodobnie dorównywał inteligencją Fouchému. Odkrycie, na czym polega intryga, zajęło mu niecały miesiąc, ale nadal nie potrafił schwytać uciekiniera. 9 lipca ostrzegł paryski Klub Jakobinów:

Ktoś usiłuje przekonać każdego z deputowanych, że znajduje się na liście proskrypcyjnej Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Ten ktoś chce sterroryzować Konwent. Zalecam wszystkim członkom, aby nieufnie traktowali pozornie niewinne uwagi pewnych ludzi, którzy, bojąc się o swe życie, chcą strachem zarazić innych[297].

Robespierre miał jednak pewną fatalną dla siebie wadę: cechą wszystkich wielkich tyranów jest pycha. Wiedział, czym się zajmuje Fouché, ale to zlekceważył. Nadmiernie ufał stabilności swych rządów i sposobom jej sprawowania, przyjął więc założenie, że strategia Fouchégo po prostu nie zadziała. Przygotował wielką przemowę, w której obnażał wymierzone przeciwko niemu spiski i obiecywał, że gilotyna nie uzna niczyjego immunitetu. Mogło przecież być tak, że tych, których oszczędzi dzisiaj, będzie chciał zabić jutro.

Pewność siebie Robespierre'a na pewno nie była bez pokrycia. Jak zobaczymy, jego upadek, który dokonał się 9 i 10 Thermidora (27 i 28 lipca) był niczym zwycięstwo Wellingtona pod Waterloo – *w najwyższym stopniu niepewny.*

W przemówieniu, wygłoszonym 9 lipca w Klubie Jakobinów, dał wyraźnie do zrozumienia, że dobrze wie, jakimi metodami posługuje się Fouché i do czego zmierza. Nie był bynajmniej przera-

---

[296] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 376.

[297] Matrat, str. 270.

żony i nie zamierzał siedzieć z założonymi rękami. Przeciwnie. Tempo i zuchwałość jego działań wyraźnie wzrosły. Pewnego dnia, szpiedzy złożyli mu raport w obecności czterech deputowanych, z którymi właśnie rozmawiał w kuluarach Konwentu. Robespierre wiedział o tarciach oraz lękach, jakie istniały w łonie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego i robił wiele, aby je podsycać. Jego najcenniejszymi kontaktami w Komitecie byli: stary towarzysz z Lyonu – Collot d'Herbois i Billaud-Varenne. Nikt z członków władz Terroru nie miał rąk bardziej unurzanych we krwi, niż ci organizatorzy masowych rzezi z grudnia 1793 roku w Lyonie i w paryskich więzieniach we wrześniu 1792 r. Jeden i drugi byli wcześniej hebertystami. We wrześniu 1793 roku Komitet Bezpieczeństwa Publicznego dokooptował ich do grona swoich członków, aby podzielić ów ruch i uratować tym samym przywództwo Robespierre'a. Teraz jednak Collot i Billaud bali się o własne głowy i mieli po temu powód, bo Robespierre w pierwszym rzędzie musiał rozprawić się z przeciwnikami w Komitecie. Odkąd zaczął głosić kult Najwyższej Istoty, Collot i Billaud byli z nim w otwartym konflikcie, ponieważ widzieli w tym poważny krok w celu umocnienia dyktatorskiej pozycji „Nieprzekupnego". 29 czerwca doszło do karczemnej awantury pomiędzy Robespierrem i Saint-Justem z jednej strony a Billaudem i Collotem z drugiej. Robespierre aż do 22 lipca nie uczestniczył w zebraniach Komitetu (odbywały się niemal codziennie). Kierował Terrorem za pośrednictwem Biura Policji, które zostało utworzone pod jego osobistym nadzorem natychmiast po egzekucji Dantona. Tak więc, Fouché nie miał najmniejszych trudności z przekonaniem Collota i Billauda, że są w niebezpieczeństwie, musiał ich tylko zachęcić do oporu. Rzecz niełatwa, bo obaj byli tchórzliwymi pyszałkami. W ostatniej chwili dowiedział się, że rozważają możliwość pojednania z Robespierre'm; mieli mu pomóc w posłaniu na gilotynę kolejnych „hebertystów" i „dantonistów", dzięki czemu sami ocaliliby życie.

– Jeżeli pozwolicie Robespierre'owi wziąć nasze głowy – chłodno zauważył Fouché – kto wtedy będzie bronił waszych? Nasza śmierć spotęguje tylko jego ambicję i arogancję, a kiedy nas już nie będzie, zabije was bronią, którą sami mu włożyliście do ręki[298].

[298] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 378.

Aktywni obywatele – pasywni obywatele. Propaganda namawiała do aktywności, ale ani jedna, ani druga postawa nie gwarantowała bezpieczeństwa.

Wszystko wskazuje na to, że po wspólnym zebraniu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego oraz Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, które odbyło się 22 i 23 lipca, Robespierre uznał, że udało mu się pojednać z pozostałymi członkami obu instytucji i zaczął pisać ważne przemówienie, które miał przedstawić w Konwencie. Wygłosił je 26 lipca, czyli 8 Thermidora („upalny miesiąc"), tuż przed południem. Przygotowując je, nie konsultował się z nikim. Nawet z Saint-Justem i Couthonem, którzy byli jego najbliższymi i najbardziej zaufanymi współpracownikami, a jednocześnie członkami Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Ostatnie poprawki i szlifowanie tekstu zajęło mu całą noc. Do Konwentu przybył ubrany w jasnobłękitny surdut i żonkilowe pantalony, które miał na sobie, kiedy celebrował święto Najwyższej Istoty. Zmęczenie i brak snu były wyraźnie widoczne na jego twarzy, ale w sposobie bycia nie okazywał najmniejszej nawet słabości. Przeciwnie, roztaczał wokół siebie aurę bliżej nieokreślonego niebezpieczeństwa. Zanim zaczął przemawiać, uniósł okulary na czoło i przez kilka długich, pełnych napięcia minut lustrował salę i przerażonych deputowanych, swymi bladozielonymi, przenikliwymi oczyma.

Mówił przez dwie godziny. Treść przemówienia świadczyła o megalomanii, ale zawierała także złowieszcze groźby.

– Mówią o mnie, że jestem tyranem. Ja jednak jestem raczej niewolnikiem. Niewolnikiem Wolności, żywym męczennikiem republiki. Jestem w równej mierze ofiarą, co wrogiem zbrodni. Wyznam wam, że czasem obawiam się, iż nieprzychylne języki perfidnych ludzi oczernią moje imię w oczach potomnych (...) Obiecałem pozostawić po sobie prześladowcom Ludu budzące respekt świadectwo. I pozostawię im straszliwą prawdę – oraz Śmierć![299]

Bez rewolucyjnych rządów nie można umocnić Republiki. Jeżeli teraz zostanie zniszczona, jutro nie będzie już wolności. W obecnej sytuacji, jeśli przedwcześnie się zatrzymamy, zginiemy. Nie jesteśmy nazbyt surowi. Mówią o naszym rygoryzmie, a ojczyzna tymczasem wyrzuca nam słabość... Pośród was gnieździ się chmara łotrów, którzy działają na szkodę publicznego dobra. Pamiętajcie, że wasi wrogowie chcą was zaprzedać tej garstce łobuzów[300].

Przyznajmy, że istnieje spisek wymierzony w powszechną wolność; że siłę swą czerpie ze zbrodniczego przymierza, które snuje intrygi w samym łonie Konwentu; że przynależą do niego członkowie Komitetu; że tak utworzona koalicja dąży do zagłady patriotów i kraju. Jakie istnieje na tę chorobę lekarstwo? Ukarać zdrajców, odnowić skład Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, oczyścić go i podporządkować Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego. Oczyścić sam Komitet Bezpieczeństwa Publicznego; utworzyć jednolity rząd, który będzie podlegał najwyższej władzy Konwentu. Powagą narodowej władzy zmiażdżyć wszystkie frakcje, a na ich gruzach zbudować rządy wolności i sprawiedliwości[301].

Kto jednak został zaliczony do owej „chmary łotrów" i „garstki łobuzów"? Kto będzie oskarżony o przynależność do „zbrodniczego przymierza, które snuje intrygi w samym łonie Konwentu"? Którzy członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego pójdą na gilotynę, aby „oczyścić" tę instytucję? Których członków Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego spotka podobny los? Bez wątpienia szykowała się nowa czystka, której wszyscy się obawiali. Zarzuty, jakie padły w przemówieniu Robespierre'a mogły być przedstawione każdemu, czyje nazwisko figurowało na „liście", o której tak często

[299] *Ibid.*, str 385.

[300] Matrat, str. 272.

[301] Madelin, str. 418.

opowiadał Fouché, zapewniając przy tym wszystkich swoich rozmówców, że ich nazwiska są na niej umieszczone.

Gdyby Robespierre ujawnił wtedy jakąkolwiek listę, najprawdopodobniej ocaliłby życie i utrzymał rządy Terroru. Powód, dla którego pojedynczy człowiek, za którym nie stoi żadna potężniejsza siła, jest w stanie zamordować tak wielu ludzi, zawiera się w kąśliwej uwadze, jaką dużo później wygłosił Winston Churchill, w stosunku do apologetów totalitaryzmu nazistowskich Niemiec: *Każdy jest przekonany, że jeśli karmi krokodyla, krokodyl zje go na samym końcu.* Robespierre jednak żadnej listy nie pokazał. Wymienił tylko jedno nazwisko. Chodziło o finansistę Cambona.

Bourdon de l'Oise

Nie mógł popełnić gorszego błędu i znakomicie ułatwił zadanie Fouchému. Najlepiej przysłużyłoby mu się ogłoszenie wiarygodnie brzmiącej listy nazwisk. Później na pewien czas mógłby się z tego wycofać i ostatecznie w ogóle jej nie przedstawić. Kiedy jednak wymienił jedno tylko nazwisko, tym samym faktycznie skazując tego człowieka na śmierć, wszyscy w Konwencie zyskali pewność, że chce uśmiercić więcej niż jedną osobę. W ten sposób dostarczył owemu człowiekowi motywacji do walki o własne życie, a większość deputowanych zyskała wszelkie powody, aby pójść w jego ślady.

Mimo to, omal nie uratował go zakorzeniony nawyk posłuszeństwa, który stanowi najnikczemniejszą tarczę wszelkiej tyranii. Galerie, jak zwykle zapełnione jakobinami, zaczęły klaskać. Powodowani nawykiem i strachem, przyłączyli się do nich deputowani. Przegłosowano wniosek, aby przemówienie Robespierre'a zostało wydrukowane. Couthon zaproponował, żeby dostarczono je lokalnym władzom poszczególnych departamentów.

Wtedy, w tylnej części sali, gdzie zasiadali deputowani „Góry", powstał z miejsca Bourdon de l'Oise. Znano go jako żarliwego

rewolucjonistę, był jednym z przywódców zamieszek z 10 sierpnia 1792 roku, które dały początek Terrorowi. Był jednak również dobrym przyjacielem Dantona i wiedział, że Robespierre go nienawidzi. Fouché zapewnił go, że jego nazwisko figuruje na „liście". Może zdawało mu się, że słyszy gromki głos nieżyjącego przywódcy, który stojąc przed Trybunałem Rewolucyjnym zawołał: – Nikczemny Robespierre! Ty też trafisz na szafot! Będziesz następny![302]

– Jestem przeciwny wydrukowaniu tego przemówienia! – krzyknął Bourdon. – Zawiera wiele ciężkich oskarżeń, które należy wyjaśnić.

To jakby przełamało zaklęcie i dodało odwagi Cambonowi, na którego padł mroczny cień śmierci. Skoczył na równe nogi i ruszył w stronę trybuny, na której w dalszym ciągu stał Robespierre.

– Zanim zostanę okryty hańbą, przemówię do Francji!... Niech wszyscy usłyszą, jaka jest prawda. Wolę Konwencji Narodowej paraliżuje jeden tylko człowiek. Jest nim Robespierre!

Wielka sala eksplodowała krzykiem. Do podium podbiegł Billaud-Varenne: – Trzeba zerwać tę maskę!

– Robespierre sporządził listę, podobno jest na niej moje nazwisko! – wtórował mu Panis. Sala powtórzyła za nim wzmocnionym echem: – Lista! Lista! Powiedz, kogo oskarżyłeś! Podaj nazwiska! Podaj nazwiska!.

W końcu ktoś krzyknął: – Fouché? Co z Fouché?[303]

Wszystkie noce, jakie Józef Fouché spędził na włóczędze ulicami Paryża, pukaniu do drzwi deputowanych i informowaniu każdego, że jest na liście śmierci, zaczynały wydawać owoce.

Robespierre był całkowicie zaskoczony, ale choć powinien, nie zaniepokoił się zbytnio. Nadal był przekonany, że pewną ręką dzierży ster władzy. Następnego dnia w Konwencie miał przemawiać Saint-Just i poprzeć „Nieprzekupnego".

– Jutro będzie piękna pogoda – powiedział wesoło Robespierre, kiedy udawał się tego wieczoru na zwykłe spotkanie w Klubie Jakobinów.

---

[302] *Ibid.*, str. 398.

[303] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 387.

Kiedy zjawili się tam także Collot d'Herbois i Billaud-Varenne, natychmiast zorientowali się, że ich nazwiska z pewnością figurują na liście Robespierre'a. Ledwie zdążyli wejść, a już zaatakowano ich okrzykami „Na gilotynę!". Billaud odwrócił się na pięcie i uciekł. Collota złapano i zanim zdołał dołączyć do pierzchającego sromotnie kolegi-terrorysty, podarto na nim ubranie.

Robespierre'owi przemknęła myśl, że na jutrzejszy dzień przydałby mu się lepiej zorganizowany i uzbrojony oddział, niż ci jakobini, którzy z obłędem w oczach ściągają z ludzi przyodziewek. Nigdy nie nosił przy sobie broni, więc pewności siebie dodała mu zapewne obecność dowódcy Gwardii Narodowej i jego obietnica, że pospieszy na odsiecz ze swymi oddziałami i artylerią.

François Hanriot

François Hanriot, najosobliwsza postać wśród generałów, po kompromitacji sprzed ponad roku, był znowu gotów wkroczyć do akcji.

W międzyczasie w sławnej zielonej komnacie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego Saint-Just od ósmej wieczór przygotowywał przemówienie, które nazajutrz miał wygłosić w Konwencie. Niemal wszyscy przypuszczali, że będzie ono konkretnym i szczegółowym oskarżeniem ludzi, których Robespierre zamierzał uśmiercić w najbliższej kolejności (Naprawdę jednak zawierało, co prawda, ostry atak na Collota i Billauda, ale nikogo oprócz nich nie wymieniało z nazwiska; pozostała część była zbiorem mętnych i ogólnikowych gróźb, typowych dla mów Robespierre'a). Około jedenastej obaj inkryminowani wpadli do komnaty. Byli w opłakanym stanie. Billaud z pewnością ledwie oddychał po długim biegu. Collot miał zapewne podbite oko, a z pleców zwieszały mu się strzępy odzieży.

Saint-Just uniósł piękną głowę; niektórzy powiadali, że nosi ją niczym jakąś świętość.

– Co nowego w Klubie Jakobinów? – zapytał.

– Jeszcze śmiesz nas o to pytać! Ty! – wrzasnął Collot. – Kto jak kto, ale ty wiedziałeś! Ty, który razem z Robespierre'm i Couthonem planujesz nas zabić! Jesteś tu, żeby nas szpiegować i donosić na nas do swoich kolegów. Piszesz przeciwko nam oskarżenie!

– Nie do końca się mylisz – odparł złowrogo Saint-Just.

Collot złapał go za gardło.

– Pokaż nam swoje sprawozdanie. Nie wyjdziesz stąd, dopóki go nie pokażesz![304]

Lazare Nicolas Carnot

Lazare Carnot, jak zwykle opanowany, rozdzielił obu mężczyzn, a Saint-Just przyrzekł, że pokaże im tekst, zanim wygłosi go w zgromadzeniu.

Całą noc pracował nad przemówieniem. Całą noc Collot, Billaud, Carnot i Barère z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego rozmawiali, spierali się i prawdopodobnie spiskowali. Choć tak podają niektóre źródła, trudno wyobrazić sobie, aby cały ten czas spędzili wspólnie w zielonej komnacie. Bardziej prawdopodobne jest, że siedzieli w sąsiednich pokojach. Fouché także ciężko pracował przez całą noc: kończył tworzenie koalicji, przedstawiał plany działania na następną sesję Konwentu, która rozpoczynała się rano, i doskonale wiedział, że nim minie dzień, może dwa, Robespierre, albo on sam, będzie martwy.

Tego samego dnia, czyli 26 lipca 1794 roku (prawie dwa lata po tym jak 10 sierpnia 1792 r. obalono króla i konstytucję Francji), zgilotynowano pięćdziesiąt pięć osób. Wśród nich dziewiętnaście kobiet oraz dwóch księży. Jednym z nich był ojciec Brongniard –

[304] *Ibid.*, str. 389.

odważny duchowny, który w ostatnią niedzielę przed zamknięciem paryskich kościołów, przez cały dzień odprawiał msze w parafii St. Nicolas-de-Chardonnet[305].

Nadszedł ciemnoczerwony świt, na niebie gęstniały chmury, panował wilgotny upał. Dzień zaczął się od pomruku grzmotów. Przed siódmą rano, galerie Konwentu były już szczelnie wypełnione. Tym razem jednak nie zasiadali na nich sami jakobini. Przyszli także nieliczni ocalali hebertyści, aby bronić Collota d'Herbois i Billaud-Varenne'a, a także starzy kordelierzy, którzy chcieli poprzeć pozostałych przy życiu przyjaciół Dantona.

Jak zwykle, obrady Konwentu miały się rozpocząć o jedenastej rano. Kilka minut wcześniej do Komitetowi Bezpieczeństwa Publicznego, który zebrał się w zielonej komnacie, dostarczono notatkę od Saint-Justa. *Zawiedliście me serce* – głosił świętoszkowaty liścik. – *Dlatego postanowiłem podeptać moje tchórzliwe obietnice i otworzyć serce bezpośrednio przed samym tylko Konwentem*[306]. Wysyłając tę wiadomość, Saint-Just zawiadamiał, że wbrew przyrzeczeniu, jakie złożył w nocy, kiedy Collot go zaatakował, nie zamierza pozwolić członkom Komitetu na uprzednie zapoznanie się z treścią jego przemówienia.

W Tuileries zebrał się już ogromny tłum – tutaj, tak na początku, jak i na końcu Rewolucji Francuskiej, rozgrywały się najważniejsze jej wydarzenia. Konwent w dalszym ciągu zbierał się w dawnej sali pałacowego teatru. Deputowani nadal dzielili się na prawicę (w istocie zasiadała ona po lewej stronie i była bardzo nieliczna), centrum (Równinę albo Bagno) oraz lewicę, zwaną również „Górą". Odrażająca twarz Jean-Paul Marata, którego Charlotte Corday wysłała na Sąd, popatrywała na nich z góry, z dużego portretu, który wisiał po prawej stronie za krzesłem przewodniczącego. Pod nim znajdowała się wąska trybuna, a naprzeciwko niej szeroki stół protokolantów. Owego dnia (nie wiadomo, czy był to przypadek, czy celowe działanie) sesji przewodniczył nikt inny tylko Collot d'Herbois.

Robespierre, Saint-Just i Couthon przybyli na salę krótko przed południem. Kilka minut później pojawił się Collot i ludzie, którzy

---

[305] Madelin, str. 416.; Hérissay, str. 288. Patrz rozdział siódmy.

[306] Loomis, *Paris in the* Terror, str. 390.

spędzili z nim noc w siedzibie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Jakobini powitali swoich przywódców gromkimi oklaskami. Niepełnosprawny Couthon, który za sprawą jakiejś tajemniczej choroby dwa lata wcześniej utracił władzę w nogach, powoli zmierzał o kulach na swoje miejsce. Robespierre ponownie miał na sobie strój ze święta Najwyższej Istoty: jasnoniebieski surdut i żonkilowe pantalony. Zajął swoje miejsce w Centrum, dokładnie naprzeciwko trybuny. Saint-Just nosił brązowy giemzowy surdut, perłowoszare pantalony i nieskazitelnie czystą, kunsztownie marszczoną białą kamizelkę z halsztukiem, które stały się jego uniformem, a zarazem symbolem ważnych publicznych wystąpień. Natychmiast wszedł na mównicę, aby wygłosić przemówienie, nad którym pracował całą noc. Była prawie dokładnie dwunasta w południe. Z zewnątrz dobiegł złowróżbny odgłos grzmotu. Rywalizujące partie rewolucyjne zajęły stanowiska. Nadeszła „chwila prawdy".

Saint-Just rozpoczął przemówienie.

– Nie należę do żadnej frakcji. Zwalczałem je wszystkie (...) Rozwój wypadków wskazuje, że ta trybuna może stać się Tarpejską skałą[307] dla człowieka, który...

Jean Tallien

Wtedy z miejsca poderwał się Jean Tallien i krzyknął: „W sprawie formalnej! Żądam, aby mnie wysłuchano!". Tallien urodził się w Paryżu, był synem służącego markiza de Berty, pracował jako notariusz, później został rewolucyjnym dziennikarzem, a 10 sierpnia 1792 r. był jednym z przywódców ataku na Tuileries. Z Paryża wysłano go do Bordeaux, aby zaprowadził tam Terror i ukarał tych spośród jego mieszkańców, którzy wspierali żyrondystów. Miasto to leży w departamencie Gironde, od którego wywodzi się nazwa owego ugrupowania. Początkowo Tallien był równie okrutny i bezwzględny jak Robespierre. Potem jednak, w więzieniu w Bordeaux poznał piękną Hiszpankę, Teresę Cabarrus. Darował jej życie. Dzięki niej zaczął

[307] Tarpejska skała – miejsce egzekucji przestępców; niesławny koniec, czekający zdrajcę narodu lub wielkiego zbrodniarza (przyp. tłum.).

skłaniać się ku większemu umiarkowaniu i dlatego co agresywniejsi jakobini od dawna domagali się jego głowy. Teresa przebywała teraz w paryskim więzieniu Carmes, gdzie odbyła się jedna z wrześniowych rzezi. Mogła być ścięta każdego dnia, ale hiszpański temperament dawał o sobie znać: nigdy nie dała się zastraszyć i nie popadła w apatię. Dwa dni wcześniej przesłała Tallienowi sztylet i wyraźnie zaznaczyła, że ma go użyć. Fouché od samego początku upatrzył sobie Talliena na jednego z przywódców spisku. Do niego należało najważniejsze zadanie – we właściwej chwili miał dać sygnał do ataku.

Zaskoczony Saint-Just próbował mówić dalej. Collot d'Herbois, który przewodniczył obradom, zaczął wymachiwać dzwonkiem jak oszalały. On dzwonił, a Tallien przyskoczył do trybuny, odepchnął Saint-Justa i zawołał: – Domagam się, aby zerwać zasłonę milczenia!

W odpowiedzi, z gardeł setek odpowiednio przygotowanych i poinstruowanych przez Fouchégo deputowanych wydarł się okrzyk: – Niech tak się stanie![308].

Na trybunę wbiegł Billaud-Varenne. Opowiedział, co mu się przydarzyło ubiegłej nocy w Klubie Jakobinów. – Ci ludzie chcą wymordować Konwent!

Zaraz potem postarał się sprawdzić, jaka jest rzeczywista siła protestu: wskazał na jednego z mało znanych deputowanych i oświadczył, że rozpoznaje w nim jednego z napastników, którzy zaatakowali go w Klubie Jakobinów. Deputowanego natychmiast obezwładniono i wyrzucono z sali.

Collot d'Herbois stanął na siedzeniu fotela przewodniczącego i cały czas wymachiwał dzwonkiem. Parny upał powodował, że z twarzy lał mu się pot. Wszyscy wrogowie Robespierre'a czuli, że najważniejsze jest teraz, aby ani on, ani jego poplecznicy nie mieli żadnej szansy dojścia do głosu. Każdy, kto próbował dostać się na trybunę, był odpychany, podobnie jak wcześniej Saint-Just, który stał nieruchomo obok podium i ani stamtąd nie odchodził, ani nie starał się walczyć. Ci z członków „Góry", których zjednali sobie Fouché, Collot i Billaud, gwałtownie wymachiwali kapeluszami.

Tallien ponownie wszedł na trybunę i krzyczał na całe gardło:

---

[308] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 391.

– Chwilę wcześniej prosiłem, żeby zerwać zasłonę milczenia. Teraz rozdarto ją na kawałki. Spiskowcy wkrótce zostaną zdemaskowani i unicestwieni. Wolność zatriumfuje! (...)

Ja także byłem na ostatnim spotkaniu w Klubie Jakobinów. Patrzyłem, co się tam dzieje, i drżałem o mój kraj. Widziałem, jak powstaje nowa armia Cromwella! Uzbroiłem się w sztylet, którym przebiję pierś tego człowieka, jeżeli Konwencja nie ma odwagi kazać go aresztować![309]

Zamaszystym ruchem wyciągnął zza pasa sztylet Teresy Cabarrus i przeciął nim powietrze. Na całej sali podniosły się krzyki „Precz z tyranem!".

Tallien ze sztyletem

Blade zazwyczaj policzki Robespierre'a poczerwieniały – była to oznaka rzadko przydarzających się mu wybuchów gniewu. Poderwał się i podbiegł do trybuny. Szczupły i niewielkiego wzrostu, nie mógł jednak sprostać fizycznie przeciwnikom ani przekrzyczeć ich

[309] *Ibid.*, str. 392.

swoim wątłym, piskliwym głosem. Collot „rozdzwonił się" jak nigdy wcześniej, zagłuszając wszystko, co mógłby powiedzieć Robespierre (Działalność Collota d'Herbois w tym przełomowym momencie dziejów praktycznie ograniczała się do wymachiwania ze wszystkich sił dzwonkiem. Ciekawe, czy cyniczny Fouché – doskonale świadomy rzeczywistej pustki umysłu i braku charakteru, jakie kryły się za przystojną twarzą byłego aktora – nie uznał przypadkiem, że jest to jedyna rzecz, której wykonanie można powierzyć Collotowi).

Tallien wrócił na trybunę i zgłosił wniosek, aby aresztowano Hanriota i Dumasa – przewodniczącego Trybunału Rewolucyjnego. Konwent okazał swą aprobatę rykiem setek gardeł. Dumas pobladł jak ściana, a na twarz wystąpiły mu krople potu. Robespierre kolejny raz próbował dostać się na trybunę. Collot, który na czas przemowy Talliena zawiesił swoją działalność, teraz rozdzwonił się ze zdwojoną siłą.

Nagle z kłębiącego się na parterze tłumu dobiegły decydujące słowa. Wypowiedział je prawie zupełnie nieznany deputowany o nazwisku Louchet: – Domagam się aresztowania Robespierre'a!

Odpowiedzią były coraz liczniejsze okrzyki „Precz z tyranem!" Robespierre nadal znajdował się w pobliżu trybuny. Podjął ostatni, rozpaczliwy wysiłek, żeby przekrzyczeć dźwięk dzwonka i przez krótką chwilę jego skrzekliwy głos górował nad hałasem czynionym przez Collota: – Mówię po raz ostatni, pozwolisz wreszcie, żeby mnie usłyszeli, ty, Przewodniczący Zabójców!

Tallien, który nadal stał blisko podium, zareagował natychmiast: – Ten potwór obraził Konwent! – i wezwał do przegłosowania wniosku Loucheta. Collot natychmiast przestał dzwonić, wyrażając w ten sposób aprobatę dla żądania Talliena.

Tego, co nastąpiło potem, nikt nie opisał i nie opisze lepiej od Stanleya Loomisa:

Robespierre uniósł dłonie w błagalnym geście, zszedł z trybuny i ruszył w stronę ławek lewicy, wprost ku „Górze", gdzie zawsze zasiadał. Ktoś krzyknął: „Precz stąd! Cienie Dantona i Desmoulinsa zabraniają ci wstępu!".

Po raz kolejny próbował coś powiedzieć, ale jego głos utonął w ogólnym pandemonium. „To krew Dantona nie pozwala ci mówić, dławisz się nią!" – zawołał inny deputowany.

Odtrącony przez „Górę", przerażony, zwrócił się ku delegatom centrum. – Wy, o czystych rękach – błagał. – Cnotliwi! Odwołuję się do was. Pozwólcie mi powiedzieć to, czego tamci zabójcy nie dozwolili!

„Równina", jak zawsze czujna, zdążyła już jednak policzyć dłonie na lewicy i prawicy, i zorientowała się, że los Robespierre'a jest przesądzony. Oni również z oburzeniem go odtrącili. Otumaniony niczym zwierzę w pułapce, rzucił się ku pustym miejscom prawicy i ciężko dysząc opadł na jedną z ławek. Nieliczni członkowie tej partii, którym udało się uniknąć gilotyny, przerażeni odsunęli się jak najdalej.

Potworze! – krzyknął któryś. – Tam, gdzie siedzisz, siadywali niegdyś Condorcet i Vergniaud!

Przeganiana z jednego krańca sali na drugi, opuszczona przez wszystkich i oszalała ze strachu istota, po raz ostatni zerwała się z miejsca i skierowała zrozpaczony wzrok ku galeriom, na których zasiadał Lud – ów wyidealizowany motłoch i wytwór jego płonnej wyobraźni. Lud jednak, nie bacząc, jakie wyobrażenia miał o nim Robespierre, rozpadł się nagle na ludzkie, a przez to godne pogardy składniki. Byli wśród nich dantoniści i hebertyści, którzy obsypywali go przekleństwami. Pozostali widzowie, lojalni wobec Robespierre'a, których na pewno była większość, również wyczuli, że wiatr się zmienia i pospiesznie opuścili skazanego na zagładę przywódcę.

– Aresztować go! – krzyczeli.

– Zbóje! Hipokryci! Łajdaki! – wrzeszczał na „górali" Robespierre.

– Aresztować go! – padła bezlitosna odpowiedź[310].

Podobno deputowanym, który krzyknął: *„To krew Dantona nie pozwala ci mówić, dławisz się nią!"*, był niejaki Garnier z Arcis-sur-l'Aube. Z tej samej okolicy pochodził Danton. Powiada się, że kiedy Robespierre usłyszał te słowa, przestał się miotać w ucieczce, zastygł w bezruchu niczym trafiony strzałą i powiedział: – Ach, a więc to jego chcecie pomścić[311].

---

[310] *Ibid.*, str. 393-394.

[311] Matrat, str. 277.

W niemilknącej wrzawie Konwent uchwalił aresztowanie Robespierre'a, Saint-Justa i Couthona. Doprowadzono ich do barierki przed krzesłem przewodniczącego, gdzie sekretarz odczytał im nakaz aresztowania. Deputowani gwizdali i tupali. Terror się skończył! Jego cień już nie padał na Paryż. Była piąta trzydzieści po południu – najwyższy czas, aby uczcić zwycięstwo. Collot odłożył dzwonek i ogłosił dwugodzinną przerwę na obiad.

Stanley Loomis chyba nie przesadza, stwierdzając, że podjęcie takiej decyzji *w samym środku jednego z najważniejszych coups d'etat*[312], *w historii* (...) *opiera się wszelkim próbom racjonalnego wytłumaczenia*[313]. Możemy sobie wyobrazić, jak zaklął Fouché, kiedy się o tym dowiedział. Zaplanował wszystko z najwyższą starannością, ale nawet jemu nie przyszło do głowy poinstruować spiskowców, aby w trakcie przewrotu nie rzucali wszystkiego i nie wychodzili na obiad.

O szóstej po południu, kiedy deputowani prawdopodobnie zasiadali do stołu, usłyszeli dźwięk, który wrył im się w pamięć 10 sierpnia 1792 roku oraz w dniu rozpoczęcia wrześniowych rzezi. W Paryżu rozdzwoniły się dzwony.

Burmistrz Fleuriot był pewny, że jego nazwisko nie figuruje na żadnej liście śmierci ułożonej przez Robespierre'a i nie darzył specjalną sympatią Konwentu, z którym Komuna Paryża nigdy nie była w najlepszych stosunkach. Popierał Robespierre'a i nie wiedział, jak długo jeszcze uda mu się zachować głowę, jeżeli jego przeciwnicy zwyciężą. Wydał rozkaz, że Robespierre, Saint-Just i Couthon nie mogą zostać zamknięci w żadnym z paryskich więzień. Zwołał sankiulotów. Nakazał uderzyć w dzwony. Dwadzieścia tysięcy zbrojnych zebrało się przed ratuszem. Pilnie posłano po Hanriota.

Minął jakiś czas, zanim go znaleziono. W nocy uczestniczył w burzliwym zebraniu Klubu Jakobinów (obiecał wtedy Robespierre'owi ludzi i artylerię). Hanriot wiedział, że zbliżają się wielkie wydarzenia, a jemu przyjdzie prawdopodobnie odegrać w nich kluczową rolę. Nie wiadomo, czy chciał to uczcić, czy się pokrzepić – może w grę wchodziły obie te przyczyny, ale pić zaczął już od śnia-

[312] *Coups d'etat* – zamach stanu, przewrót, obalenie dotychczasowej władzy (przyp. tłum.).

[313] Loomis, *Paris in the Terror*, str. 394.

Ostatni wóz ze skazańcami. Interwencja Hanriota

dania i z krótkimi przerwami czynił to aż do piętnastej, kiedy to dotarły do niego wiadomości, że Konwent (na wniosek Talliena) kazał go aresztować. Natychmiast wskoczył na konia i pogalopował ulicami Paryża, wymachując szablą i wrzeszcząc: – Zabić wszystkich policjantów! Zabijać! Zabijać!

Tego dnia jednak, jedynym miejscem, w którym zabijano, był plac, na którym, jak co dzień, pracowała gilotyna. Fouquier, mimo pogłosek o zamieszaniu w Konwencie, dalej robił swoje. Kat Sanson zaproponował, aby tego dnia odwołać egzekucje, lecz prokurator odmówił i czterdzieści dwie osoby wsadził na wozy śmierci. Wymachujący szablą Hanriot pojawił się przed Conciergerie około piątej, kiedy wozy właśnie ruszały w drogę, i postanowił natychmiast, że będzie im towarzyszył, aby upewnić się, że wszyscy skazańcy zostaną straceni. Zanim dobiegła siódma, wszyscy już byli martwi.

Ani burmistrz Fleuriot, ani nikt inny nie wpadł na to, aby szukać Hanriota przy gilotynie, ale oto zjawił się sam, pełen pijackiej brawury, bez kapelusza, z łysą głową, na którą padały czerwone

promienie słońca, gotów do rozprawy z Konwentem, który ośmielił się kazać go aresztować.

– Tym trzystu kryminalistom zasiadającym w Konwencie trzeba poderżnąć gardła! – ryknął[314].

Do Tuileries przyjechał bez żadnej eskorty i zaczął ciskać gromy na zdezorientowany tłum, który tam się zgromadził. Wtedy policjanci, którzy pełnili służbę i mieli stosowne rozkazy od Konwentu, aresztowali go, związali mu ręce i nogi, i skaczącego jak żaba zaprowadzili do biur Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego.

Dochodziła siódma trzydzieści. Przerwa obiadowa dobiegła końca i obrady wznowiono. Ledwie deputowani dowiedzieli się o aresztowaniu Hanriota, na salę wpadły dwie setki zbrojnych z ratusza, którzy przybyli, aby go uwolnić i szybko tego dokonali. Deputowani byli teraz na łasce Hanriota, mieli tylko kilka sztuk broni – nie dysponowali żadnymi oddziałami zbrojnych. François Hanriot nie miał dostatecznych zdolności umysłowych, aby uporać się z niespodziewanymi i niecodziennymi sytuacjami, a 9 Thermidora właśnie w nie obfitował. Oprócz tego, wypity tego dnia alkohol spowodował, że opuściła go niedawna brawura, a jej miejsce zajęło przygnębienie. Zabrał swoich dwustu ludzi i pojechał zapytać Fleuriota, co robić dalej. Wszyscy widzieli, że jest pijany w sztok, i w taki oto sposób Komuna pozostała bez uznanego wojskowego dowódcy, który potrafił pociągnąć za sobą ludzi.

Konwent uchwalił dekret oznajmiający, że Komuna Paryża się zbuntowała i nakazał aresztowanie Fleuriota. Burmistrz, kiedy otrzymał nakaz, podarł go w strzępy. Deputowany Paul Barras, który służył przedtem w armii jako oficer, zaczął organizować zbrojnych z poszczególnych sekcji Paryża, aby wsparli Konwent w walce z Komuną. W tym samym czasie, powołując się na rozkazy Komuny, Robespierre'owi grzecznie odmówiono przyjęcia do więzienia Luxembourg. Na jego własną prośbę zabrano go do rezydencji burmistrza w pobliżu Pałacu Sprawiedliwości, mniej więcej w połowie drogi między ratuszem a Tuileries, gdzie nie mógł się z nikim skontaktować. Robespierre, który nigdy nie był człowiekiem czynu, głęboko wstrząśnięty i nadal zdumiony popołudniowymi wydarzenia-

[314] *Ibid.*, str. 396.

mi, przesiedział tam kilka godzin. Prawdopodobnie nie chciał albo po prostu nie był w stanie wyjść. W końcu Fleuriot wielokrotnymi ponagleniami nakłonił go, aby przyszedł do ratusza. Do tego czasu jednak Barras zebrał już znaczne siły, a ludzie Hanriota zaczęli wymykać się w mroki nocy.

Prawie dokładnie o północy, nadeszła gwałtowna, ulewna burza, na którą zbierało się cały dzień. Ludzie Hanriota od dwóch godzin nie widzieli dowódcy, większość wiedziała, w jakim jest stanie. Byli zdezorientowani i niezdyscyplinowani. Rozeszły się pogłoski, że wielu ich przyjaciół i sąsiadów popiera Konwent i Barrasa. Większość nie wiedziała, że Robespierre przebywa w ratuszu. Mimo nalegań Fleuriota, „Nieprzekupny" nie zgodził się podpisać odezwy do ludu Paryża, aby wyruszył na pomoc swemu przywódcy. Protestował i mówił, że nie wie, w imieniu jakiej władzy ma ów dokument

Zatrzymanie Robespierre'a

podpisać. Sporadyczne akty dezercji sprzed godziny przekształciły się w zmasowaną ucieczkę.

Przed pierwszą w nocy rewolucyjna armia Komuny rozproszyła się niemal do ostatniego człowieka.

O drugiej nad ranem oddziały Barrasa pojawiły się na placu przed ratuszem i nie napotykając żadnego oporu, weszły do budynku. W chwili, kiedy wtargnęli do pokoju na trzecim piętrze, w którym zgromadzili się przywódcy Terroru, wybuchło straszliwe zamieszanie. Robespierre otrzymał postrzał w szczękę. Jego brat Augustyn próbował ucieczki, czołgając się po parapecie, ale spadł łamiąc sobie kości. Philippe Lebas, jeden z bardzo nielicznych deputowanych, którzy do samego końca popierali Robespierre'a, wyciągnął pistolet. Saint-Just poprosił, żeby go zabił. Lebas odparł: – Głupcze! Mam coś ważniejszego do zrobienia![315] – i palnął sobie w łeb.

Couthon wydostał się ze swego fotela na kółkach i wczołgał pod stół. Ktoś wyciągnął go stamtąd na szczyt schodów, skąd spadł, poważnie się raniąc. Dumas, przewodniczący Trybunału Rewolucyjnego, również próbował się ukryć pod stołem. Coffinhal, wiceprzewodniczący Trybunału, widząc, że wszystko stracone, wyładował wściekłość na pijanym do nieprzytomności Hanriocie. Wziął go pod pachy, zaciągnął do okna i wyrzucił na zewnątrz, na stertę gnoju. Godzinę później, zakrwawionego Robespierre'a zaprowadzono do tej samej zielonej komnaty Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, z której władał Terrorem. Miał strzaskaną szczękę, więc ułożono mu głowę na drewnianej skrzynce. Leżał tak ponad sześć godzin. W ogólnym zamieszaniu, nikt nie pilnował drzwi. Wielu szarych mieszkańców Paryża, którzy słyszeli, że Robespierre tam jest, przychodziło na niego popatrzeć. Niektórzy szydzili i naśmiewali się z niego, inni po prostu patrzyli w zadziwieniu na upadek możnego tego świata. Dwie wypowiedzi są szczególnie warte zapamiętania. Jedna padła z ust przygodnego obserwatora, drugie zdanie wygłosił sam Robespierre.

Człowiek ów długo i w milczeniu wpatrywał się w Robespierre'a, a potem cichym i poważnym głosem oświadczył: – Tak, Robespierre. Bóg istnieje.

---

[315] *Ibid.*, str. 399.

Jednakże niezależnie od tego, kim niegdyś był i co uczynił Maksymilian Robespierre, teraz był tylko bezradnym, skazanym na śmierć i straszliwie cierpiącym człowiekiem. Ktoś poruszony litością przyniósł mu wodę do obmycia rany.

– Dziękuję, monsieur – powiedział Robespierre, zapominając lub ignorując fakt, że rewolucyjne dekrety, które całkowicie popierał, nakazywały wszystkim zwracać się do siebie wyłącznie „obywatelu", a nigdy „monsieur", jak w czasach monarchii[316].

O dziesiątej rano Robespierre'a i innych aresztowanych, między innymi Saint-Justa, Couthona, Fleuriota i Hanriota przewieziono do więzienia Conciergerie, w którym Maria Antonina spędziła najboleśniejsze ostatnie tygodnie życia. Stało się to z rozkazu wła-

Ranny Robespierre leży na stole ze skrzynką pod głową.

[316] *Ibid.*, str. 400-401.

dzy, do której wprowadzenia i umocnienia oni właśnie w znacznym stopniu się przyczynili. Wczesnym popołudniem na podstawie ustawy Robespierre'a z 22 Prairiala zostali uznani za winnych, bez żadnej możliwości obrony. Fouquier-Tinville ze ściągniętą twarzą oznajmił im wyrok śmierci; nie trzeba mu było mówić, że Pierwszy Prokurator Terroru nie ma przed sobą długiego życia i już wkrótce porwą go cienie zmarłych, które dotąd postępowały jego śladem. O czwartej po południu wyruszyli wozami śmierci w długą podróż, na którą skazali tak wielu bliźnich. O siódmej dotarli do gilotyny. Z dwudziestu dwóch osób, jakie ścięto tamtego dnia, 28 lipca 1794 roku, Maksymilian Robespierre był przedostatni. Kiedy przywiązano go do deski, kat zerwał mu z rany opatrunek, a wtedy Robespierre *niczym konający tygrys, wydał z siebie ryk, który usłyszano w najdalszych zakątkach placu*[317].

Maksymilian Robespierre na gilotynie

Ogromne, lśniące ostrze opadło. Pan gilotyny zginął na gilotynie.

Ale Pan Krzyża daje życie przez Krzyż i Jego jest ostateczne zwycięstwo.

[317] Matrat, str. 288.

Posłowie

Upadek rządów Terroru nie oznaczał końca Francuskiej Rewolucji. Siły, które wyzwoliła, choć nieco okiełznane i pozbawione wyzywająco złych, wręcz satanicznych elementów, nadal nękały Europę i zagrażały całemu światu jeszcze dwadzieścia jeden lat po tym, jak Maksymilian Robespierre zginął na gilotynie. Nawet wówczas, gdy dzięki ogromnemu i heroicznemu wysiłkowi, chrześcijaństwo pokonało ostatecznie Rewolucję i spadkobierców jej tradycji, duch tego ruchu wkrótce znów się odrodził. Nadal jest z nami, właśnie teraz, współcześnie. Trzeci Świat znajduje się pod panowaniem ideologii zrodzonej przez Rewolucję Komunistyczną – bezpośrednią kontynuatorkę Rewolucji Francuskiej. Reszta świata w dziedzinie myśli i czynów została naznaczona i skażona jej dziedzictwem, które często jest mylnie pojmowane, ale być może właśnie dlatego, wcale nie mniej przez to sugestywne i pociągające.

28 lipca 1794 roku położył jednak kres najgorszemu, przynajmniej do chwili, kiedy ponad wiek później, władzę w Rosji przejęli komuniści. Bezpośredni spadkobiercy Rewolucji – przede wszystkim Napoleon Bonaparte, uciskiem, prześladowaniami i zniszczeniem, jakie spowodowali, sami postawili się poza nawiasem ludzkości. Nawet ich najzagorzalsi przeciwnicy i najbardziej nieprzejednani wrogowie nie mogliby jednak o ich rządach powiedzieć tego samego, co trzeźwo patrzący historycy o czasach Terroru. Ich opinie przytoczyliśmy w niniejszej książce. Stwierdzają oni, że *starły się tam siły potężniejsze od tych, jakimi rozporządza człowiek*, a Rewolucję Francuską przenikał duch, *który współcześni konserwatyści trafnie określają mianem szatańskiego*[318]. Zgodnie z wezwaniem de

[318] Loomis, *Paris In the Terror*, str. 331.; Palmer, str. 406.

Guerry'ego, które skierował do Wandejczyków w Montaigu i Saint-Fulgent, demony na powrót zagoniono do piekła. Samym Wandejczykom zapewne nie udało się tyle dokonać, co męczennikom, ale rola, jaką odegrali, była niewątpliwie znacząca.

Nazajutrz po egzekucji Robespierre'a Konwent zarządził, że co miesiąc będzie zmieniała się jedna czwarta składu Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, a odchodzący członkowie będą mogli zostać do niego wybrani ponownie po upływie co najmniej trzydziestu dni. W ten sposób Komitet nigdy więcej nie mógł stać się siedliskiem tyranii. 31 lipca wybrano sześciu nowych członków Komitetu na miejsce trzech, którzy zostali straceni i trzech, którzy podlegali rotacji. Wszyscy nowi członkowie zdecydowanie poparli obalenie Robespierre'a (rzecz jasna prawie każdy, kto był na świeczniku w Paryżu lub miał na to nadzieję, utrzymywał teraz, że zawsze do tego dążył).

1 sierpnia, Konwent zniósł ustawę z 22 Prairiala, aresztował Fouquier-Tinville'a i wtrącił go do Conciergerie. Kiedy więźniowie zorientowali się, kim jest, omal go nie zabili, uratowano go w ostatniej chwili i osadzono w pojedynczej celi. *Tam, zdany na łaskę własnych myśli, w ciemnościach, niczym dzika bestia zwinięta w swym legowisku, czekał i myślał*[319]. Temu, który w ciągu dwudziestu czterech godzin od aresztowania posłał rzesze ludzi na szafot, dano tygodnie i miesiące na przygotowanie i przedstawienie argumentów na własną obronę. Uznano go winnym dopiero po dwóch długich procesach. Został skazany na śmierć i zginął na gilotynie 7 maja 1795 roku.

24 sierpnia 1794 roku Konwent rozwiązał lokalne komitety rewolucyjne, które były jednymi z głównych narzędzi Terroru. 1 września, Billaud-Varenne'a, Collota d'Herbois i Barère'a usunięto z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. 2 marca 1795 roku zostali aresztowani, a wkrótce potem Billauda i Collota deportowano do Cayenne w Gujanie Francuskiej, w głąb parnej równikowej dżungli południowego wybrzeża Ameryki Południowej. Nazywano je „suchą gilotyną". Miejsce to zasłynęło później dzięki filmowi „Diabelska Wyspa". Collot wkrótce tam umarł, a Billaud spędził w Gujanie

[319] Alphonse Dunoyer, *The Public Prosecutor of The Terror, Antoine Quentin Fouquier-Tinville*, NewYork 1913, str. 129.

dwadzieścia lat, kresu swoich dni doczekał na Haiti, lecz nigdy nie objawił skruchy. Barère, zawsze śliski jak piskorz, uciekł stamtąd i dożył roku 1841, ale ostatnie lata spędził w skrajnej nędzy. Był ostatnim żyjącym członkiem Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego.

12 listopada na polecenie Konwentu zamknięto paryski Klub Jakobinów. Decyzję tę traktuje się jako ostateczne odrzucenie Terroru i ludzi, którzy ów system stworzyli.

Wszystkie te poczynania sprawiły, że we Francji nie było już rządu, który miałby jakiekolwiek podstawy, aby podawać się za legalną władzę. Rewolucja Francuska zaangażowała jednak zbyt wielkie zasoby ludzkie i materialne, by większość przywódców całkowicie wycofała się z dotychczasowej działalności. 22 sierpnia 1795 roku proklamowano powstanie nowego reżimu. Stworzono dwuizbowy parlament (w każdej z nich deputowani Konwentu mieli zagwarantowane dwie trzecie miejsc) i pięcioosobowy Dyrektoriat pełniący funkcję władzy wykonawczej. Próba obalenia go przez paryski motłoch została powstrzymana przez Napoleona Bonaparte (wówczas generała, który wolał pisać swoje nazwisko na modłę francuską) „podmuchem kartaczy". W ciągu następnych czterech lat, generał Bonaparte ugruntował swoją pozycję najlepszego dowódcy wojskowego w Europie. Podbił Włochy i uwięził we Francji papieża Piusa VI. W listopadzie 1799 roku, mimo odwrotu z Egiptu, do którego zmusiło go walne zwycięstwo admirała Horatio Nelsona nad flotą francuską w zatoce Aboukir, generał Bonaparte został pierwszym konsulem, czyli głową państwa. Cztery i pół roku później, ten syn korsykańskiego chłopa proklamował się cesarzem Francji. W wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat był najpotężniejszym człowiekiem na Ziemi. Wyruszył na podbój Europy i świata, chciał również rządzić Kościołem. Zamierzał stopić w jedną całość dziedzictwo Rewolucji oraz nową arystokrację, która swoją pozycję zawdzięczała wyłącznie własnym talentom i umiejętnościom i dzięki temu stworzyć najpotężniejsze imperium, jakie kiedykolwiek znano.

Niewiele brakowało, by mu się powiodło. Zapobiegło temu przymierze katolickich narodów Europy (wykute i zahartowane, kiedy Napoleon schwytał i uwięził we Francji kolejnego papieża, Piusa VII), prawosławnego cara Rosji oraz angielskich i pruskich protestantów. Po dziesięciu latach zmagań wreszcie go pokonano. Decydująca bitwa rozegrała się 18 czerwca 1815 roku pod Waterloo.

Książę Wellington starał się przebić wzrokiem popołudniową mgiełkę, ludzie z jego sztabu leżeli martwi, atak szkockiej gwardii załamał się i zakończył pogromem, a jego ostatnie rezerwy pod dowództwem pułkownika Maitlanda stały za niewielkim, osłaniającym je wzniesieniem. Napoleon przygotowywał się, aby wydać Starej Gwardii rozkaz ostatecznego szturmu. Zabrakło mu jednak dziesięciu tysięcy ludzi, którzy najprawdopodobniej zapewniliby mu zwycięstwo pod Waterloo (Wellington do końca życia powtarzał, że było ono *w najwyższym stopniu niepewne*). Nie było ich tam, bo Louis de la Rochejaquelein, brat Henriego i drugi mąż Marie-Louise wywołał kolejne powstanie w Wandei, które uniemożliwiło oddziałom Napoleona uczestniczenie w rozstrzygającej bitwie pod Waterloo. Louis de la Rochejaquelein poległ 4 lipca 1915 roku w potyczce z żołnierzami Bonapartego pod Pont des Marches. Marie-Louise Victoire owdowiała po raz drugi; obaj jej mężowie zginęli walcząc z Rewolucją i jej bezpośrednimi spadkobiercami.

W latach 1789-1793 wydawało się, że bohaterstwo we Francji i w Europie umarło. Chrześcijański heroizm odrodził się i dał o sobie znać najpierw w Vandée, potem czynami męczenników, wreszcie wielką wojną z Napoleonem, która w istocie była wojną religijną, a zarazem krucjatą – w walce tej zwycięstwo odniosło chrześcijaństwo.

Wokół nas trwają jednak większe i nieustanne zmagania w walce, która toczy się w sferze ducha. Rewolucja nieustannie powstaje przeciwko Wierze. Jest uzbrojona i śmiertelnie niebezpieczna: potęga ludzka i potęga Szatana sprzymierzyły się przeciw władzy Boga i dziełom Jego łaski. Bywa, że fronty tej walki są wytyczone wyraźnie – tak było w Paryżu, gdy dzwony uderzyły na trwogę; w Nantes w dniu ataku Cathelineau; kiedy armie Kornikowa i Denikina starły się w 1918 r. na Kubaniu z oddziałami Lenina i Trockiego lub kiedy pułkownik Moscardo[320] w palącym słońcu lata 1936 roku stanął naprzeciw Largo Caballero[321], a modlitwy sześciu tysięcy męczenni-

[320] Jose Ituarte Moscardo – dowódca twierdzy Alkazar obleganej przez siły republikańskie. Obrona trwała ponad dwa miesiące. Mimo niezwykle trudnego położenia, twierdza dotrwała do nadciągnięcia odsieczy, która rozbiła wojska republikańskie i uwolniła miasto. (przyp.tłum.)

[321] Caballero Francisco Largo (1869-1946), hiszpański polityk, działacz ruchu robotniczego i związkowego; od 1893 członek partii socjalistycznej, organizator związków zawodowych; w latach 1936-1937 w czasie hiszpańskiej wojny domowej był premierem i ministrem wojny, w latach 1943-45 więzień obozu w Sachsenhausen; zmarł w Paryżu. (przyp.tłum.)

ków unosiły się wokół niego niczym kadzidło. Czasem bywa jednak i tak, że są one dla nas ledwo uchwytne. Tak było w przypadku walki o duszę Dantona, Jean-Baptiste Gobela, Whittakera Chambersa i Igora Guzenki[322], oraz tajemnej areny zmagań modlitw karmelitanek z Compiègne z wrogością Robespierre'a i Saint-Justa. Najlepszym jej symbolem jest przeciwstawienie gilotyny i Krzyża.

[322] Igor Guzenko (1919-1982) – szyfrant ambasady radzieckiej w Kanadzie. Po ucieczce przekazał zachodnim służbom wywiadowczym materiały dotyczące radzieckich operacji szpiegowskich, które zmierzały do wykradzenia tajemnic konstrukcji i budowy amerykańskiej bomby atomowej. (przyp. tłum.)